

Kryminalna
symfonia

JAN ANTONI
HOMA



**Alto
wiolista**

OFICYNKA
WYDAWNICTWO

JAN ANTONI
HOMA

*Alto
wiolista*



OFICYNKA
WYDAWNICTWO

Copyright © Oficynka & Jan Antoni Homa, Gdańsk 2021

Wszystkie prawa zastrzeżone.

Książka ani jej część nie może być przedrukowywana ani w żaden inny sposób reprodukowana lub odczytywana w środkach masowego przekazu bez pisemnej zgody Oficynki.

Wydanie pierwsze w języku polskim, Gdańsk 2021

Redakcja: Justyna Mrowiec

Korekta: zespół

Skład: Perpetuum Design, Marzena Madej

Grafika: P Animates, Vecteezy.com

Projekt okładki: Anna Damasiewicz

Zdjęcia na okładce: © © Artem | stock.adobe.com;

Zerophoto | stock.adobe.com; © Tyhran Hasparian | depositphotos.com

Konwersja do EPUB/MOBI: InkPad.pl

ISBN 978-83-66899-55-1



www.oficynka.pl

e-mail: oficynka@oficynka.pl



SPIS TREŚCI

[Strona tytułowa](#)

[Karta redakcyjna](#)

[IN LIPIEC](#)

[TRO SIERPIEŃ](#)

[DUK SIERPIEŃ](#)

[CJA WRZESIEŃ](#)

[ROZDZIAŁ I NIEDZIELA](#)

[ROZDZIAŁ II PONIEDZIAŁEK](#)

[ROZDZIAŁ III PONIEDZIAŁEK PÓŹNIEJ](#)

[ROZDZIAŁ IV WTOREK](#)

[ROZDZIAŁ V WTOREK PÓŹNIEJ](#)

[ROZDZIAŁ VI ŚRODA](#)

[ROZDZIAŁ VII ŚRODA PÓŹNIEJ](#)

[ROZDZIAŁ VIII ŚRODA CZWARTEK](#)

[ROZDZIAŁ IX CZWARTEK](#)

[ROZDZIAŁ X CZWARTEK PÓŹNIEJ](#)

[ROZDZIAŁ XI PIĄTEK](#)

[ROZDZIAŁ XII PIĄTEK PÓŹNIEJ](#)

[ROZDZIAŁ XIII SOBOTA](#)

[ROZDZIAŁ XIV SOBOTA PÓŹNIEJ](#)

[ROZDZIAŁ XV SOBOTA PÓŹNIEJ](#)

[ROZDZIAŁ XVI NIEDZIELA](#)

[ROZDZIAŁ XVII NIEDZIELA PÓŹNIEJ](#)

ROZDZIAŁ XVIII PONIEDZIAŁEK PÓŹNIEJ

C GRUDZIEŃ

O STYCZEŃ

D MAJ

A LIPIEC

PRZYPISY



IN LPIEC

Skąpany w wieczornym słońcu, rozpościerający się ze wzgórza widok odrealniał rozmowę.

Wydawało się, że prócz tego, co tu i teraz, nie istnieje już inny świat. Ale spotkanie obu mężczyzn miało swoje korzenie w przeszłości, a owoce wydać mogło w przyszłości, w miejscu odległym i tajemniczym.

Ci dwaj wiedzieli, że najważniejsze słowa już padły. Powoli rozplywały się w ciszy gasnącego dnia.

– Jeszcze raz dziękuję, że zechciał mnie pan przyjąć – młodszy mężczyzna przerwał panujące od dłuższej chwili milczenie.

– To ja panu dziękuję. Gdyby nikogo nie zainteresował artykuł w mało poczytnej lokalnej gazecie, pewnie wszystko zabrałbym ze sobą do grobu. Przez całe lata zastanawiałem się, czy spróbować samemu czy może powierzyć komuś taką misję. Ale brakowało mi odwagi, a ludzie, z którymi rozmawiałem, nie traktowali mnie poważnie... Zresztą tyle rzeczy mogło się w międzyczasie wydarzyć.

Mężczyzna zamilkł; robił wrażenie zmęczonego emocjami, które dzisiaj odżyły w nim na nowo. Opuściło go jednak napięcie, tak wyczuwalne na początku rozmowy. Po chwili podjął myśl:

– Postanowiłem zrobić ostatnią próbę i poddać się jej wyrokowi: pomyślałem, że jeśli ktoś zareaguje na zamieszczony w gazecie wywiad i wzbudzi moje zaufanie, podzielę się z nim kilkoma kluczowymi szczegółami; brak odzewu odbiorę jako znak, by ostatecznie zamknąć drzwi do przeszłości. I wkrótce potem pan zadzwonił...

– Gdybym nie mieszkał w tym kraju, gdybym na stacyjce kolejowej nie kupił pliku gazet do wertowania w czasie podróży, gdybym nie zatrzymał wzroku na nazwie miasta, w którym studiowałem i skąd całkiem niedawno otrzymałem zaproszenie do udziału w festiwalu... Zgodziłem się, choć nie byłem do końca przekonany, czy powinienem. Czy sentyment to wystarczający powód, aby wystąpić w miejscu położonym trochę z boku moich

artystycznych ścieżek? Po rozmowie z panem wszystko jednak nabrało nowego sensu. I nie żałuję swojej decyzji, przeciwnie, dostrzegam w niej ziarno przeznaczenia.

– Ze swojej strony proszę pana tylko o jedno: bez względu na to, czy i co pan odnajdzie, niech pan już mnie w to nie miesza. Jedynym celem, jaki mi przyświecał, było rozliczenie się z pewnych spraw przed śmiercią. Proszę mi wierzyć; kiedy dzisiaj opuści pan mój dom, poczuję, że w miarę możliwości wyrównałem rachunki ze światem. Może za mało, może za późno, może za wiele powierzając przypadkowi, ale wyrównałem.

– Nie mnie oceniać pańskie postępowanie, ale niech mi będzie wolno... Sam pomyśl i wysiłek, który pan podjął, zasługują na szacunek. Za pańskim pozwoleniem chciałbym jednak po powrocie odwiedzić pana i zdać relację z przebiegu i rezultatu poszukiwań.

– Nie, proszę, nie! Dla mnie ta sprawa zamyka się dzisiaj. A resztą... Zostawmy to opatrności.

Starszy mężczyzna wstał, dając do zrozumienia, że rozmowa dobiegła końca.

– Niech pan tego strzeże jak oka w głowie i pamięta, że któraś ze stron powinna kryć odpowiedź – powiedział, ściskając rękę gościa. – Bez tych kilku słów niczego pan nie znajdzie.

– Niech pan będzie spokojny, nie wypuszczę tego z rąk. A reszta? Zgadzam się z panem – resztę zostawmy opatrności...

Gdy odjeżdżał żwirową alejką, w lusterku raz jeszcze ujrzał szczupłą, przygarbioną sylwetkę prześwieconą promieniami pomarańczowiejącego słońca.



TRO SIERPIEŃ

– Signore, pan wybaczy, po prostu nie rozumiem, dlaczego nie chce pan podzielić się wiadomościami, których nie taił pan przed poprzednim gościem.

Ten sam taras w blasku o dwa tygodnie starszego słońca był miejscem kolejnej rozmowy.

– Nie, to pan musi mi wybaczyć. Ja rozstałem się z tą sprawą, z tą przeszłością, z tym brzemieniem. Przestała dla mnie istnieć. W ogóle nie bardzo rozumiem, o czym pan mówi, skąd pan się o mnie dowiedział i czego pan ode mnie chce.

Starszy mężczyzna siedział w fotelu. Mimo gorącego wieczoru kolana miał przykryte pledem. Jego rozmówca przechadzał się po tarasie, paląc cygaro i strzepując popiół prosto na ziemię.

– Dowiedziałem się o panu z gazety. Czy zainteresowanie czytelników zawartymi w artykule informacjami nie było pańską intencją? Stoję na czele dużej organizacji, która nie lubi rozgłosu, a interesuje się – nazwijmy to – dobrem publicznym. Do naszych obowiązków należy między innymi wyszukiwanie spraw o dużej wartości historycznej i zajmowanie się nimi. Ta, którą opisał pan w gazecie, może do nich należeć, ot i cała tajemnica. A że pozwoliłem sobie niepokoić pana bez uprzedzenia? Ależ ja próbowałem się dodzwonić! Niestety, bezskutecznie. Natomiast człowiek, który pana odwiedził, jest naszym dobrym znajomym. Nieskromnie mogę powiedzieć, że staliśmy za kilkoma jego dokonaniem, finansując je, rzecz jasna.

– Dlaczego więc nie zwróci się pan bezpośrednio do niego?

– Artyści bywają roztargnieni, dlatego wolałem zdobyć informacje u źródła. Gdy jednak dowiedziałem się, że właśnie nasz przyjaciel jest osobą, która pana odwiedziła, uznałem to za więcej niż przypadek.

– Hm, ciekawe, niedawno słyszałem coś bardzo podobnego... – Wypowiedziane półgłosem słowa nie uszły uwadze gościa.

– No, widzi pan! Najlepiej byłoby, gdybyśmy wspomogli naszego wspólnego znajomego w misji, bo, jak sądzę, o niej panowie rozmawiali. Dysponujemy odpowiednimi środkami i doświadczeniem.

– A on jeszcze czymś... – Starszy mężczyzna zorientował się, że był bliski powiedzenia o słowo za dużo.

– I widzi pan – natychmiast podchwycił rozmówca – właśnie o to „coś” nam chodzi.

– Źle mnie pan zrozumiał. Mówię o dokładnych wskazówkach, które podałem w artykule. Zresztą... każdy człowiek ma wolną wolę; jeśli zechce, podzieli się z wami tym, co wie. Niech pan jednak zrozumie; wszystko działo się tyle lat temu... Czasami zastanawiam się, czy to przypadkiem nie czas wypaczył mi pamięć, każąc wierzyć w twory własnej wyobraźni.

– A to już stoi w sprzeczności z precyzją opisu, która uderza w pańskim wywiadzie. Zresztą, załóżmy, że jest tak, jak pan mówi. Czy wobec tego zasadne byłoby milczenie na temat legendy?

– Ale przecież ja ją właśnie opowiedziałem! – Znużenie starszego mężczyzny było coraz bardziej widoczne.

– Reasumując: artykuł stanowi kompletny zapis informacji, zaś pański poprzedni gość dysponuje ich dokładnym wytłumaczeniem. Czy dobrze zrozumiałem?

– Sam nie potrafiłbym tego lepiej ująć. A teraz, wybaczy pan, chciałbym odpocząć... – Starszy człowiek nie bez trudu podniósł się z siedziska.

– Ależ oczywiście. Nie dowiedziałem się wiele, cenię sobie jednak czas, który zechciał mi pan poświęcić. – Tym kurtuazyjnym zdaniem młodszy mężczyzna przygotowywał grunt pod ostatnią próbę. – Jest jeszcze jedna rzecz, o której ma pan prawo nie wiedzieć. Czy przypomina pan sobie rok tysiąc dziewięćset sześćdziesiąty ósmy, rok pańskiego przyjazdu do Włoch? Poszukiwał pan wówczas kogoś, kto byłby skłonny udzielić panu pomocy w uzyskaniu nowej tożsamości.

Starszy mężczyzna spojrział na rozmówcę z błyskiem nowego zainteresowania w oku i ponownie opadł na fotel.

– Otóż, tak się składa, że osobą, która panu pomogła, był mój ojciec. A nasza rodzina przechowuje w pamięci zarówno dobroczyńców, jak i dłużników. I, jak pan sam rozumie, nie mówimy tu tylko o pieniądzech. Czy to coś zmienia?

Gospodarz zamyślił się głęboko. Po chwili zaczął przyglądać się rozmówcy, jakby pragnął odnaleźć w nim cień sylwetki sprzed lat.

– Zgoda, nie mówmy o pieniądzech. Nie wiem, czy w pańskich kronikach rodzinnych przechowywane są dane o kwotach zawieranych transakcji. Niech mi pan wierzy, ta była niemała. Nie czuję się dłużnikiem; mam wrażenie, że dokonaliśmy wówczas obopólnie korzystnego interesu. Wygląda więc na to, że pańska rodzina nie zajmuje się wyłącznie – jak pan to ujął – dobrem publicznym. Starszy człowiek ciągle przyglądał się wytrwałemu rozmówcy.

– Indywidualnym też. Ale chyba nawet w kraju pańskiego pochodzenia obalono mit, że szczęście jednostki należy spalić na ołtarzu szczęśliwości powszechnej.

– Tak, tak, w pewnym sensie ma pan rację. Cóż zresztą warte są wszystkie teorie, kiedy żadna z życiowych sytuacji nie jest tożsama z inną? Oczywiście, pamiętam pańskiego ojca. On naprawdę dał mi przepustkę do nowego życia. Nigdy więcej go już nie widziałem, ale w jakiś sposób stał się jego częścią.

Wydawało się, że mężczyzna rozważa coś w myślach.

– Jeśli miałbym gwarancję, że nie chodzi panu o osobistą korzyść...

– W to proszę nie wątpić. Sprawa, o której rozmawiamy, interesuje mnie z czysto historycznego punktu widzenia. Wdzięczność i dobre imię powetowałyby w zupełności wysiłek i środki, jakie mógłbym zaangażować w jej wyjaśnienie.

Gospodarz milczał. Być może te słowa go nie przekonały. W końcu przemówił:

– Ujmę to tak: jeśli nasz wspólny znajomy zgodzi się na współpracę, niech pan mu powie, że pewna część tajemnicy znajduje się poza kluczem. Wiedza, którą na ten temat posiadam, jest czysto teoretyczna, a jej wartość bliska zeru. Praktyczną zabrał ze sobą mój wielki wspólnik i – chciałbym go nazwać – przyjaciel, ale boję się, że byłoby to z mojej strony nadużycie. Niech mu pan więc powie, że ostatnie zdanie, które usłyszałem, a którego nie chciałem w całości przytoczyć w wywiadzie, brzmiało: „Mój korytarz ma być jeszcze raz otwarty, a potem to już muszą pójść szlakiem patrona”. Nie wiem i nigdy nie domyśliłem się, co to za patron i kim byli oni... I to jest moje ostatnie słowo. Ostatnie zdanie opowieści, które chciałem zachować wyłącznie dla siebie... Ale może i dobrze, że tak się stało. Mam uczucie, jakbym się uwolnił z ziemskich więzów. Żegnam pana. Niech będzie, co ma być...

– Do zobaczenia. Kto wie? – Mężczyzna w białym garniturze uśmiechnął się. – Niech mnie pan nie odprowadza.

Przed domem wsiadł do zaparkowanej limuzyny, dając znak kierowcy, że może jechać. Innemu, stojącemu obok samochodu mężczyźnie skinął głową.



DUK SIERPIEŃ

– Damiano, *amico mio*, znamy się nie od dziś. Coś sobie chyba zawdzięczamy, prawda? To nieładnie nie podzielić się z przyjaciółmi czymś cennym, choćby to była tylko wiedza, ale my, umysły wolne i otwarte, wiemy, że ponad wiedzę nie ma nic cenniejszego, czyż nie tak?

– Sądziłem, że nasze kontakty ograniczamy do spraw czysto zawodowych...

– O-gra-ni-cza-liś-my, Damiano, ograniczaliśmy. Kiedy jednak pojawia się okazja, że i ty możesz być dla nas użyteczny...

– Czy układ nie był korzystny dla obu stron?

– Proszę, nie przerywaj mi. Otóż gdy pojawia się taka okazja, ty udajesz, że nie wiesz, o co chodzi. Aha, à propos obustronnej korzyści: czy nie przyszło ci do głowy, że nasz kapitał można by uwiarygodnić na szereg innych sposobów, niekoniecznie przy udziale twojej szacownej osoby? To dowodzi, że prócz miłości do sztuki powoduje nami sympatia. Do ciebie, rzecz jasna! Kto inny tak skutecznie sponsorowałby karierę artysty – spojrzął z lekką ironią – z dalekiego kraju, choć o swojsko brzmiącym nazwisku? Zanim więc powiesz ostatnie słowo, zastanów się, *amico mio*, kto tak naprawdę może stracić na twoim uporze...?

Nieustępliwość oponenta zdawała się z wolna kruszeć.

– Po pierwsze, poruszamy się tylko w sferze domniemań, może legend, a może schorowanej i sfrustrowanej wyobraźni starego człowieka – zaczęła, lecz rozmówca od razu wszedł mu w słowo:

– Jeśli tak, to nikt nie zyska, ale i nikt nie straci, a na pewno nie wystawimy na szwank wzajemnej sympatii i zaufania.

– Po drugie, to miał być rodzaj misji zadość czyniącej, której się podjąłem, obdarzony pełnym zaufaniem...

– Chyba nie tylko zaufaniem?

Spojrzenia obu mężczyzn na ułamek sekundy się spotkały.

– Posłuchaj, *amico*, my też z nim rozmawialiśmy! Wydawał się zachwycony faktem, że otrzymasz od nas wsparcie.

Tym razem spojrzeli sobie w oczy bez pośpiechu, jakby próbując wyczytać, co kryje się pod powierzchnią słów.

– Sprawdź to; zadzwonię do niego albo wręcz jeszcze raz tam pojadę.

– Oczywiście, zrób tak. – Rozmówca poparł go z entuzjazmem.

– Po trzecie, nawet, jeśli misja miałaby przynieść jakąś korzyść, to na pewno nie taką, jaką ty masz na myśli...

– A, to już nieładnie, wręcz niegrzecznie. Skąd nasz przyjaciel raczy wiedzieć, co wielbiciel jego talentu ma na myśli?

– Bo w przeciwnym razie nie interesowałby się przedsięwzięciem z gatunku non profit.

– Powiedzmy, że wszystko na tym świecie ma wartość... relatywną. Jako ludzie biznesu, ale i sztuki, jesteśmy chyba w stanie oddzielić walory historyczne od finansowych? I to wydaje mi się rozsądnym kompromisem, który podtrzyma nasze korzystne relacje. Czy wyraziłem się jasno, *amico mio*?

– Cholernie jasno! Chciałbym tylko usłyszeć, jak to sobie wyobrażasz w praktyce? Powołamy zespół ekspertów do wyceny wartości rynkowej i historycznej?

– Damiano, nie doceniasz nas. Nie doceniasz naszej wiedzy, erudycji i dobrej woli. Ty po prostu zrób swoje, a jak już coś będziesz wiedział, to moi ludzie pomogą ci w ocenie oraz... wszystkim, czym trzeba będzie się zająć. Jeszcze jedno: nie próbuj grać na własną rękę, bo ktoś z nas będzie zawsze w pobliżu; wszak obecność zagranicznych gości jest na takim festiwalu rzeczą naturalną. I pamiętaj, że stary nie szczędził nam szczegółów, o których w artykule nie było mowy. Ale wszystko w swoim czasie.

– Don Pasquale, proszę, przestań już. Jesteś jak zawsze niemożliwie precyzyjny. Nalej lepiej tej wybornej brandy i wypijmy za... sztukę.

– Dla ciebie wszystko, maestro...



CJA WRZESIEŃ

– Andrea, *are you from Krakowice?*

– Maj nejm is Jędrzej, Jen-drzej, patrz na usta, mówię wyraźnie.

W oczekiwaniu na rozpoczęcie posiedzenia grupa młodych europarlamentarzystów raczyła się poranną kawą. Niektórzy wertowali gazety. Jeden z nich zmrużył oczy i z ukontentowaniem cmokając, zamruczał:

– Mmm, lavazza, nie ma to jak dobra kawa o poranku. – Po czym wyraźnie już dodał: – Okej, Jendze. Czy ty jesteś z Krakowic?

– Tak, a czemu pytasz?

– A słyszałeś o facecie, który ostatnio udzielił wywiadu w naszej lokalnej gazecie? On też stamtąd pochodził.

– Nie, nie słyszałem, zresztą takich jak on jest pewnie wielu. A co z nim?

– Takich jak on wielu nie ma, zresztą jego też już nie ma – został znaleziony w swojej posiadłości. Martwy.

– Co, znowu afery z pracownikami sezonowymi? – Jędrzej nie odrywał wzroku od gazety.

– Andrea, co z tobą? Od kiedy to pracownicy sezonowi mieszkają w toskańskich willach? Naprawdę nie słyszałeś o człowieku, który opisał tajemnicę sprzed lat? Zresztą, faktycznie, to było tylko u nas i chyba nikt nie wziął tych bzdur na poważnie...

– A możesz być nieco bardziej konkretny? – Jędrzej wykazał w końcu odrobinę zainteresowania.

– Sorry, Jendze, wiesz co? Ja gdzieś mam jeszcze ten artykuł, po prostu ci go przyniosę.

– I przetłumaczysz? – spytał z powagą Jędrzej. – Postawię ci grappę.

– I przetłumaczę. Jak mi przywieziesz dzubrowkę. Grappę to ja mogę sobie sam postawić.

– Okej, masz u mnie żubrowkę. Ale pod warunkiem, że ten artykuł jest coś wart.

– Ile jest wart, tego nie wiem. Ale interesujący, sam zobaczysz.

Dzwonek wzywał do sali plenarnej. Kawiarniane stoliki z wolna pustoszały, za to poselskie ławy zaczęły wypełniać się jedynym w swoim rodzaju melanżem narodowości, poglądów i intelektów.

Parlament Europejski rozpoczął obrady.



ROZDZIAŁ I

NIEDZIELA

Nie mogłem się uspokoić. Ciągłe targał mną bezmiar emocji, zapisanych w każdej z Beethovenowskich partytur. Pamięć odtwarzała fragmenty koncertów i wyłapywała strzępy fraz, którymi żyłem przez ostatnie dwa tygodnie, choć to koda z *IX symfonii* – finał finałów – jak wicher unosiła się nad moją głową.

Oczywiście mogłem pójść na bankiet. Wypić coś dobrego, coś smacznego przekąsić. Nabrać trochę dystansu do muzyki, która wypełniała mnie, jakbym był naczyniem do przechowywania skroplonych dźwięków. Zafundować sobie cezurę między pracą wykonaną a oczekującą.

Wbrew pozorom bankiety w życiu muzyka to rzadkość. Nie mówię oczywiście o imprezach prywatnych, w odniesieniu do których to wytwornie brzmiące słowo ma charakter nieco ironiczny. Ale tak, żeby było dużo ludzi, odświętna atmosfera i kelnerzy z tacami pełnymi apetycznych przekąsek i przyzwoitego zazwyczaj wina musującego – bo nazwy szampan nie odważyłbym się jednak użyć – to już nie zdarza się często, takie okazje mogą przytrafić się na tournée, zwieńczyć festiwal i... to chyba tyle. A wtedy wystarczy przeczekać parę okolicznościowych przemów i wychodzi się na prostą konsumpcyjną.

Przy okazji mogłem porozmawiać z paroma osobami, dać się zauważyć; strategia, którą w obliczu zbliżających się przesłuchań przyjęłoby wielu kolegów znajdujących się w podobnej sytuacji. Ale ja nie. Nawet możliwość spotkania mistrza i zamienienie z nim paru słów – choć sam nie wiem, na jaki temat – nie była wystarczającym powodem, by zmienić wcześniej powziętą decyzję.

No dobrze; przeżyłem moment wahania, którego imię brzmiało... wiolonczelistka. Ale przecież i tak bym do niej nie podszedł, a ona, otoczona wianuszkiem zachwyconych kolegów, i tak by mnie nie zauważyła.

Nie, nie mogłem pójść na bankiet, bo następnego ranka musiałem Ćwiczyć. Właśnie tak – Ćwiczyć, przez duże Ć; nie – poruszać bezmyślnie palcami, ale rozpocząć ciężką pracę

nad doszlifowaniem konkursowego programu.

Długo wahałem się, czy przyjąć propozycję udziału w festiwalu, bo chwila nie wydawała się odpowiednia. Może to zabrzmieć paradoksalnie, ale żeby zdobyć stałą posadę w orkiestrze, powinienem był na pewien czas zrezygnować z okazjonalnego grania w niej.

Ale... No właśnie, jak to w życiu: zawsze jest kilka „ale”...

„Ale” podstawowe mówi, że nie odmawia się orkiestrze, która proponuje współpracę na tak zwane kwity. Lista muzyków, do których mogą się zgłosić, jest długa, i bardzo szybko można znaleźć się na jej dole. Stąd już tylko krok, aby wylecieć poza nią, co równa się egzystencjalnej katastrofie.

Drugie „ale” jest najzupełniej prozaiczne. Będąc pozbawionym stałych dochodów, nie można lekceważyć okazji, która zapewnia – bądź co bądź – konkretny dopływ gotówki. A choć życie w świecie idei i artystycznych kreacji jest kuszące i piękne, to i przyziemna część naszej natury ma swoje prawa.

Trzecie „ale” dotyczy poczucia profesjonalnej przyzwoitości: o ile w pewnych sytuacjach odmówić można, a nawet wypada, szczególnie gdy propozycja dotyczy udziału w produkcji pospolicie zwanej chałturą, a jej wymiar materialny ma przysłonić, używając eufemizmu, niedobór walorów artystycznych, o tyle etyka zawodowa nie pozwala odrzucić możliwości zagrania ambitnego programu, z dobrą orkiestrą, ciekawym dyrygentem i/lub solistą. Dla przykładu: można – czy wręcz należy – odrzucić ofertę udziału w wieczorze piosenki biesiadnej, ale nie wypada uczynić tego w przypadku *Pasji według św. Mateusza* Jana Sebastiana Bacha, choć – wiem, że trudno w to uwierzyć – pierwsza ze wspomnianych imprez byłaby prawdopodobnie bardziej opłacalna pod względem finansowym.

Tym razem sytuacja była zupełnie wyjątkowa: dziewięć symfonii Beethovena, rozpisanych na pięć festiwalowych wieczorów, pod dyktando krajowych i zagranicznych mistrzów batuty... Temu nie można się było oprzeć, to było coś więcej niż zazwyczaj – prawdziwe artystyczne wyzwanie i przygoda. I dlatego choć powinienem ćwiczyć, ćwiczyć i jeszcze raz ćwiczyć, zdecydowałem, że wezmę udział w beethovenowskim cyklu, a zaległości nadrobię szalenie ciężką pracą w tygodniu bezpośrednio poprzedzającym audycję. I właśnie dlatego nie mogłem pójść na bankiet; nie należał już do części artystycznej, choć zaręczam, że dla wielu byłby to dopiero jej właściwy początek.

A oprócz tego czekał na mnie pies. I jemu coś się od życia należało; wieczorny spacer, trochę wspólnego pobycia w domu... Ostatnio nie było z tym najlepiej.

Czy zresztą moja obecność na bankiecie coś by zmieniła? Może, w myśl teorii, że trzepot skrzydeł motyla nad Amazonką, uruchamiając łańcuszek konsekwencji, powoduje lawinę w Himalajach. Ale, patrząc trzeźwo, chyba nie. Dynamika zdarzeń, które wkrótce miały mnie porwać w swój wir, musiała być już spora. Wystarczająco duża, aby toczyć się siłą rozpędu. Zresztą, kontynuując metaforę lawiny, przypadek może ją wywołać, ale nie zdoła jej zatrzymać. Co powiedziawszy, stwierdzam jednak, że bankietowy akces ograniczyłby zapewne mój osobisty udział w sprawie lub zgoła go wyzerował.

Wyruszyłem więc w kierunku domu, który na szczęście znajdował się niedaleko.

Późnolistopadowy śnieg z deszczem kazał mi się wzdrygnąć na myśl, że osiągnąwszy za chwilę suchą i przyjazną przystań mieszkania, raz jeszcze będę musiał ją opuścić. Widoczny w oddali gmach filharmonii pulsował światłem, życiem i odświętnością. Może jednak trzeba było zostać...

Z plakatu przyklejonego do słupa ogłoszeniowego spojrzeli na mnie diaboliczne oczy maestro Damiana Rucacellego. To on dostąpił zaszczytu dyrygowania koncertem finałowym – *IX symfonią d-moll* op. 125. Chociaż, przepraszam, sformułowanie wyjątkowo niefortunne; to my dostąpiliśmy zaszczytu grania pod jego batutą.

Opuściwszy centralny skwer, który z jednej strony prowadził do parku, a z pozostałych otoczony był należącymi do lepszej części świata obiektami, na czele z filharmonią, teatrem i wspinałym secesyjnym hotelem, udzielającym gościny jedynie wybranym dyrygentom i solistom (Damianowi Rucacellemu na pewno), a w którym nas, zwykłych muzyków stać było najwyżej na cukier do kawy, znalazłem się na ulicy wiodącej już bezpośrednio do domu. W naszym dużym małym mieście wszędzie było blisko, przynajmniej w starym centrum, w którym udało mi się kiedyś cudem, do dzisiaj to powtarzam, wynająć poddasze w dwupiętrowej kamienicy. Na dole znajdował się antykwariat; pierwsze i drugie piętro zajmowali antykwariusz i jego rodzina, czyli żona i matka. Starsza pani, mieszkająca wyżej i rzadko kiedy – jeśli w ogóle – opuszczająca swoje lokum, miała ponoć słuch na tyle przytępiony, że nawet ćwiczenie na puzonie nie robiłoby na niej wrażenia. Antykwariusz i jego żona należeli natomiast do rzadkiego gatunku ludzi lubiących, gdy ktoś w ich pobliżu gra na instrumencie, byle nie był to syntezator lub – cytuję – inne mechaniczne urządzenie produkujące nienaturalne dźwięki.

Kiedy pół roku temu szukałem mieszkania – a było to wkrótce potem, gdy Eston stał się częścią mojego życia – wydawało się, że stanąłem przed zadaniem z gatunku niemożliwych.

Samotny muzyk z olbrzymim psem – ta informacja i ten widok natychmiast spędzały uśmiech z oblicz właścicieli lokali przeznaczonych pod wynajem.

Z poprzedniego lokum musiałem się wynosić i to szybko. Usytuowana na parterze mrówkowca kawalerka przez pewien czas wydawała mi się szczytem marzeń; to było moje pierwsze samodzielne mieszkanie. Ale w miarę upływu czasu, gdy moim ćwiczeniom – nawet w ciągu dnia – zaczęły towarzyszyć dobrosąsiedzkie uderzenia bądź kopnięcia w drzwi, przyszła pora na weryfikację początkowego zachwytu. Przyjąłem wówczas taktikę dwutorową: po pierwsze, nie przejmować się i robić swoje; a po drugie, używać, zwłaszcza w późniejszych godzinach, tłumika hotelowego, który nadaje brzmieniu altówki barwę i moc niezwykle osłabionego komara. Oba te rozwiązania były nieidealnym kompromisem, choć na pytanie: czy kompromis idealny jest możliwy, odpowiedziałbym: tak, wszakże pod warunkiem istnienia czarnej bieli. (A jednak ona istnieje; słyszałem, że jest jednym z wielu możliwych odcieni koloru białego, bez trudu rozpoznawanego przez Eskimosów).

Właściciele kawalerki musieli zapewne wysłuchiwać wielu skarg pod moim adresem. Ja czułem się niewinny. Jedynym przestępstwem, które popełniałem, było ćwiczenie, a wpajano mi przez lata, że to największy obowiązek muzyka, większy nawet niż koncertowanie, bo wystąpić publicznie bez ćwiczenia nie sposób, natomiast ćwiczyć bez koncertowania można; ot, taka prosta hierarchia ważności. Podejrzewam więc, że szukano możliwości, by pozbyć się dziwnego lokatora. Gdyby normalnie pił czy trochę się poawanturował, to można by go było jakoś przełknąć, ale on taki jakiś dziwny, mąci tym swoim graniem...

No dobrze, przesadziłem z goryczą i troszkę przeinterpretowałem rzeczywistość. Ale naprawdę było mi gorzko; nie czułem się misjonarzem kultury, pragnącym nawracać

mieszkańców bloku, ale pewnej życzliwej neutralności miałem chyba prawo oczekiwać? Albo i nie miałem...

Gdy więc któregoś dnia pojawił się u mego boku duży pies, wiedziałem, że wizyta gospodarzy – w oczywistym celu wymówienia kawalerki – jest wyłącznie kwestią czasu. Myliłem się tylko co do jednego: z mieszkania miałem się wynosić, a nie je opuścić, i to ze skutkiem natychmiastowym, łaskawie rozciągniętym do tygodnia, zamiast po upływie umownego miesiąca.

Zmuszony do rozpoczęcia bezzwłocznych poszukiwań, czułem, jak z każdym kolejnym telefonem uchodzi ze mnie powietrze. Albo pies, albo instrument, o których postanowiłem – by nie tracić czasu i nie rozdmuchiwać złudzeń – od razu informować, zamykały dalszą dyskusję. Gdy w końcu trafiałem na kogoś, dla kogo powyższe fakty nie miały znaczenia, to cena okazywała się absurdalna lub lokalizacja tak odległa, że – przy braku samochodu – absolutnie nie do przyjęcia. Kiedy dzwoniłem, pies przyglądał mi się uważnie z bezpiecznej odległości, jakby miał świadomość, że moje rozmowy dotyczą naszej wspólnej przyszłości. Ostrożne zaufanie, którym darzył mnie od początku, trwało. O niczym więcej na razie nie mogło być mowy.

Któregoś dnia, gdy termin opuszczenia mieszkania zbliżał się wręcz namacalnie, a mówiąc precyzyjnie – w sobotę rozpoczynającą nasz ostatni osiedlowy weekend, zapuściliśmy się aż na Stare Miasto. Zawsze mnie tam ciągnęło, ludzie byli jacyś łaskawsi, atmosfera inna, park z kwitnącymi o tej porze roku bzami... Nie mając nic lepszego do roboty, a nadzieje swoje powierzając przypadkowi, błakaliśmy się niespiesznie, przystając przy witrynach kawiarni, uwodzących zmysły słodkim asortymentem, bądź antykwiariatów, kuszących starymi wydaniem.

– Jaki piękny pies! – Musiała upłynąć chwila, zanim zrozumieliśmy, że słowa skierowane były do nas. Zrozumieliśmy, bo i zwierzak ledwo zauważalnie poruszył ogonem, ustawiając go w puszysty znak zapytania. Sympatyczny pan w średnim wieku przyglądał nam się z uśmiechem.

– Piękny – potwierdziłem. – I duży.

– Tak... Taki pies potrzebuje przestrzeni – kontynuował przechodzień.

– Zgadł pan, potrzebuje, i to jakiegokolwiek. – Chyba nie powinienem był tego dodawać, ale w oczach sympatycznego pana pojawiły się błyski zaciekawienia.

– Co pan ma na myśli? – zapytał.

– Ehe, właściwie nic ponad to, co powiedziałem – zacząłem się wycofywać, nie widząc celu, do którego rozmowa mogła prowadzić.

– Ale nie zamierza się pan go chyba pozbyć? – w głosie rozmówcy pojawiła się nutka niepokoju.

– Ależ skąd! – Zrozumiałem, jak mógł zinterpretować moje słowa. – Jeśli już, to raczej nas chcą się pozbyć.

Cień ulgi przemknął mu przez twarz. Przez chwilę nic nie mówił, rozważając w myślach jakąś kwestię.

– Nie jestem pewien, czy dobrze oceniam pańską sytuację, zresztą teraz i tak jestem umówiony – spojrzął na zegarek – może jednak spotkalibyśmy się później, powiedzmy o siódmej, tu, za rogiem serwują wyborną kawę, i porozmawiali o trapiących was kłopotach? Może uda mi się jakoś pomóc.

Zgodziłem się. Nie żywiłem wielkich nadziei, ale nie miałem innego punktu zaczepienia. Jeśliby natomiast zainteresowanie sympatycznego pana miało dwuznaczny podtekst, to zawsze pozostawała możliwość adekwatnej reakcji.

Pozostałą godzinę spędziliśmy z psem w parku. Staralem się namówić Estona, by na wszelki wypadek zaprezentował się nowemu znajomemu z dobrej strony. W tej chwili robił wrażenie zmęczonego nadmiernie przeciągającym się spacerem.

O umówionej godzinie znaleźliśmy się w zaproponowanej przez sympatycznego pana kawiarni. Nie było go, co przyjąłem bez nadmiernego zdziwienia, jako że naiwnością zdawać się mogło oczekiwanie na cudowne, radykalne rozwiązanie moich problemów. Siedliśmy przy stoliku na zewnątrz lokalu; do środka nie próbowałbym nawet wchodzić. Zamówiłem kawę, szklankę wody i... miskę z wodą. Wywieszony język psa starczył za całe tłumaczenie; uprzejma kelnerka bez dalszych pytań przyjęła zamówienie.

Przyglądałem się sobotniemu tłumkowi, niespiesznymi falami płynącemu przez staromiejskie ulice. Od czasu do czasu pojawiała się jakaś postać idąca mniej spacerowo, docelowo rzekłbym, z wyrazem twarzy zwiastującym pewne napięcie. Nie musiałem zgadywać; wiedziałem, że to muzycy śpieszący na abonamentowy koncert. Sytuację ułatwił mi fakt, że większość z nich znałem, choćby tylko z widzenia. Spróbowałem czegoś trudniejszego: wyodrębnienia kategorii przechodniów, wprowadzających atmosferę oczekiwania.

Hmm, nieźle. Większość wytypowanych przeze mnie wkraczała w obrotowe drzwi filharmonii.

„Muzycy, melomani, czciciele i szamani”, zakołatało mi w głowie. Chichot wewnętrzny zaczął przedzierać się na zewnątrz; niekiedy mi się to zdarzało.

– Czy niedyskrecją będzie, jeśli spytam, co wprawiło pana w tak wyborny humor? – Sympatyczny pan stał koło stolika, nie bez rozbawienia obserwując moje zmieszanie. – Można się dosiąść?

– Oczywiście, bardzo proszę, właśnie na pana czekamy. – Miałem sobie za złe bezwiedną ucieczkę moich niezbyt mądrych myśli. – Czasami śmieję się do siebie. Albo z siebie.

– To wielka umiejętność. Ludzie, którzy ją posiadają, są szczęśliwsi.

Okej, prolog mieliśmy z głowy. Eston też to zrozumiał, bo zmienił pozycję z leżącej na siedzącą. „Brawo, mądralo”, pomyślałem.

– Przepraszam pana za spóźnienie. – Mój rozmówca spojrzał znacząco na kelnera, który po chwili pojawił się przy stoliku z filiżanką espresso. – Przeciągnęły mi się sprawy natury zawodowej. Pozwoli pan, że się przedstawię: nazywam się Sebastian Mars, jestem antykwariuszem, a kamienica, przed którą się spotkaliśmy, należy do mnie. Czy dobrze zrozumiałem, że pan oraz pański imponujący pies – Eston poruszył dwa razy ogonem – przechodzicie trudności lokalowe, to znaczy – już nie macie lub za chwilę nie będziecie mieli gdzie mieszkać?

Muszę przyznać, że zaskoczył mnie bezpośredniością pytania, ale przynajmniej od razu przystępowaliśmy do sedna sprawy.

– Tak, od końca mówiąc – tak. Jeszcze przez dwie noce mamy gdzie się podziać, a potem... Ale czy można spytać, dlaczego to pana interesuje?

– Oczywiście. Otóż, widzi pan, nasze dziecko właśnie wyjechało na dwuletni staż archeologiczny do Włoch. W nietypowym momencie, to prawda: cały świat akademicki czeka już na wakacje, ale nie archeolodzy; oni nie mogą zmarnować tych kilku miesięcy najkorzystniejszych do badań wykopaliskowych. Zastanawialiśmy się z żoną – cień ulgi musiał przemknąć przez moją twarz, co nie uszło uwadze rozbawionego pana Sebastiana – czy na ten okres nie wynająć poddasza. Mamy oczywiście nadzieję, że dziecko będzie nas odwiedzać, ale miejsca ci u nas nie brak. Aha, naszą ofertę chcieliśmy zaadresować do środowiska akademickiego. Pan mógłby uchodzić za późnego studenta – nie byłem pewien, czy to komplement – a na pewno pan nim kiedyś był. Chyba się nie mylę, prawda?

Potwierdziłem skinieniem głowy.

– I jeszcze rzecz ważna, oboje z żoną lubimy zwierzęta, a już tak niepowtarzalne psy w szczególności. Owszem, trzeba więcej sprzątać, ale to byłby pana problem, bo na poddasze jest osobne wejście.

Myślałem, że śnię. To nie mogła być prawda, coś się za tym musiało kryć. Pewnie niebotyczna cena. Postanowiłem wypalić z ciężkiego kalibru:

– Ma pan rację, studia skończyłem kilka lat temu, moje dochody są nieregularne, a w dodatku jestem... Jestem altowiolistą.

Umilkłem zdruzgotany, wiedząc, że mój piękny sen pryśnie zaraz jak bańka mydlana.

– No tak, miło się rozmawiało, ale... – Zacząłem się podnosić, przeczuwając, czym musi skończyć się rozmowa.

Eston spojrział na mnie z naganą. Miał rację: zachowywałem się w sposób mocno przewrażliwiony, by nie rzec – z lekka histeryczny łamane przez nielogiczny (by nie rzec – zgodny z obiegową opinią o altowiolistach).

Usiadłem ponownie.

– No cóż... – O dziwo, pan Sebastian nie przestawał się uśmiechać. – *Nobody is perfect...* A mówiąc poważnie, to myśleliśmy nawet o studencie akademii muzycznej, bo – widzi pan – my lubimy żywe dźwięki instrumentu. Jeśli zaś chodzi o cenę, to – pozostając przy studenckich pułapach – równowartość za pokój w akademiku wydaje mi się uczciwą propozycją. Jeśli jest pan zainteresowany, to możemy od razu pójść obejrzeć poddasze, a jeśli spodoba się panu – jutro możecie się wprowadzać. Aha, jesteśmy w środku miesiąca, więc proponuję, by nasze rozliczenia zacząć od początku nowego, pod jednym wszakże warunkiem: od poniedziałku zaczyna pan ćwiczyć.

Nogi się pode mną ugięły; śniłem na jawie i nie mogłem uwierzyć, że altówka – po tylu latach – i Eston – po paru dniach zaledwie – przynieśli mi szczęście...

Oględziny pokoju wypadły pomyślnie, zresztą ani przez chwilę nie miałem wątpliwości, że spadła mi manna z nieba. A gdy jeszcze okazało się, że mogę bezboleśnie (czytaj: bezpłatnie) podłączyć się do szerokopasmowego internetu, pomyślałem, że właśnie na długi czas wyczerpuje mi się limit pomyślnych zdarzeń.

Jak ukrzydleni wracaliśmy do domu, jeszcze domu, a właściwie dachu nad głową. Chciałem już dziś zacząć pakowanie skromnego dobytku; nadchodząca niedziela i tak zapowiadała się pracowicie. Na osiedlowej ławeczce siedziało kilku chłopaków w kapturach.

– Siemasz, muzyk! – zagadnęli.

Byli w porządku. Rzucali te swoje: „Siemasz, muzyk!” albo: „Jak leci, artysta?” – i było w tym trochę ironii, ale i odrobina szacunku. Sami chyba próbowali trochę hiphopować w ramach odreagowywania blokowskiego wirusa.

– Chłopaki, browarek? – miałem nadzieję, że nie obrażą się za chłopaków, a browarek znaczy w ich języku to samo, co w moim. A może trzeba było powiedzieć: „ziomalki, browca?”. Ale akceptujące skinienia głowami rozwiały moje wątpliwości. Tak czy inaczej – byli jedynymi, z którymi mogłem uczcić moją zieloną noc. Miałem nadzieję, że są pełnoletni. Wysuplałem dwudziestozłotowy banknot, z którym jeden z nich – łysinę przykrywała mu czapka włożona daszkiem na bok – wykonał szybki kurs do całodobowego, by po chwili wrócić z czterema puszkami dumy lokalnego browaru. Eston był spokojny, ale nie spuszczał wzroku z chłopaków.

– Spoko, ziomal – stwierdził najwyższy i najbardziej łysy z nich, wskazując na psa czubkiem sportowego buta. Eston warknął cicho i na ułamek sekundy obnażył kły, ale – z wyjątkiem mnie – nikt tego nie zauważył. Wymieniliśmy parę uwag natury ogólnej, których nie ma potrzeby tu przytaczać, pomilczeliśmy jeszcze przez chwilę, po czym wspinając się na slangowe wyżyny, rzuciłem:

– Jutro wymiękam z kwadratu.

Nie zrobiło to na nich większego wrażenia, zaczęli przybijać ze mną pożegnalne piątki. Jedynie najstarszy, zakapturzony, w zielonej bluzie Nike, jakby doceniając mój lingwistyczny wysiłek, powiedział:

– Te, artysta, może strząśniesz na odfruwie jakiś wzór?

Strząśniesz. Na odfruwie. Wzór. Próbowałem połączyć wyrazy w sensowną całość. Trud myślenia musiał wykwitnąć mi na twarzy, bo Nike powiedział:

– Co tak ćlamasz, jakbyś łykał sajfiszola?

Nagle zrozumiałem wszystko: „strząsać wzór” – podrzucić tekst; „odfruw” – wyjazd lub wyprowadzka. Pojąłem nawet „łykanie sajfiszola” – czytanie książki science fiction. Ale „ćlamasz” mnie przerażało...

– Jasne. Mam coś: Muzycy, melomani, wyznawcy i szamani... – Może być?

– Super, cool, czło-wieku, ale ja-zda! – odpowiedzieli rytmicznie.

Zakłęcie chwyciło.

W poczuciu, że najwyższa pora zakończyć dzień tak bogaty w kontakty towarzyskie, ruszyliśmy do mieszkania, a zmęczenie i perspektywa jutrzejszego rozstania się z tym miejscem kazały mi przyjąć bez emocji wysmarowanie mojej klamki musztardą.

Pakowanie postanowiłem odłożyć na jutro.

Zасыpaniu towarzyszyła zwykła porcja awantur, bluzgów, głośnej muzyki, ochrzczonej kiedyś dwoma budzącymi cierpienie co wrażliwszej skóry słowami: disco polo... Ale ten jeden, jedyny raz nic nie mogło mnie wytrącić z błogostanu, w którym znalazłem się dzięki wydarzeniom mijającego dnia.

Witryna antykwariatu przytulnie i tajemniczo prezentowała się w wieczorno-nocnym podświetleniu. Kilka starych książek i rycin – dość regularnie zresztą przez właściciela zmienianych – zapraszało do sekretnego świata, niedostępnego teraz, a przez to jeszcze bardziej pociągającego. Wiedziałem, że mimo dość późnej pory – katedralne zegary dawno odegrały jedenastą – pan Sebastian studiuje jeszcze kilka najnowszych nabytków, a pani

Sabina odwiedza pewnie starszą panią, w której mieszkaniu, bez względu na porę dnia, paliło się światło.

Otworzyłem sąsiadujące z wejściem do antykwarium drzwi, by stromymi schodami wspiąć się do mojego królestwa. Przekręcany w zamku klucz obudził Estona, a pies paroma ziewnięciami i przeciągnięciami zasygnalizował natychmiastową gotowość do wyjścia.

Mogliśmy pójść w dwóch kierunkach, ale spacer ku rzece nie pociągał mnie przy panującej pogodzie ani trochę. Wybraliśmy więc powrót do cywilizacji i sąsiadującego z nią parku; to było miejsce idealne na przechadzki wczesnoporanne i późnowieczorne. Z rzadka tylko spotykaliśmy wtedy innych spacerowiczów, przeważnie też pary mieszane: ludzko-zwierzęce lub ludzko-ludzkie, gdy czas był bardziej sprzyjający. Byłem pewien, że dzisiejszego wieczoru nie natkniemy się na nikogo; pogoda i późna godzina mogły zniechęcić nawet najzagorzalszych amatorów wieczornych przechadzek. Tylko Eston miał za nic chłód i porę – prawdziwy pies północy.

Gdy przechodziliśmy przez centralny skwer, gmach filharmonii ciągle tonął w światłach. Wprawdzie pojedynczy muzycy opuszczali już przyjęcie, ale wiedziałem, że szybko się ono nie skończy. Nadchodzący tydzień był dla orkiestry wolny. Zasłużony odpoczynek po beethovenowskim maratonie. Nie szukałem kontaktu z wychodzącymi kolegami; przecież nie po to zrezygnowałem z bankietu, żeby teraz wdawać się w pogawędkę na zimnie.

Znaleźliśmy się w parku, mało przytulnym o tej porze roku i dnia. Miejskie władze, widząc wychodząc z założenia, że w zimowe wieczory i tak nikt tu nie przychodzi, zrezygnowały z oświetlania go. A może to wandalę w swoich tradycyjnych, mało wyszukanych rozrywkach porozbijali po raz enty gazowe latarnie? Na szczęście mokry śnieg przestał padać; temperatura oscylowała w okolicach zera, choć daleko było jeszcze do mrozu z ubiegłego tygodnia.

Topografię znaleźliśmy z Estonem na pamięć. A jednak z wdzięcznością witałem księżyc, który od czasu do czasu ukazywał się dzisiaj zza chmur w dostojnej pełni. To był dobry moment, aby dać psu trochę wolności. Tak jak przewidywałem, w parku nie było nikogo. Dałbym za to głowę, ale... czy życie nie uczy, aby zbyt pochopnie nie wystawiać na szwank tak istotnej części ciała?

Uwolniony ze smyczy Eston wcale nie kwapił się do odejścia. Zazwyczaj po sekundzie znikał, wiedziałem jednak, że jest w pobliżu i wróci, gdy go zwołam. Ale dzisiaj było inaczej. Gdybym nie znał potężnej konstrukcji psychicznej zwierzęcia, powiedziałbym, że coś go zaniepokoiło. Jego uszy zaczęły wykonywać dziwne ruchy, jakby nie mogły się zdecydować, czy sytuacja wymaga ich położenia czy raczej postawienia.

Posuwaliśmy się alejką w niemalże doskonałej ciszy. Ze zdziwieniem przyjmowałem fakt, że Eston towarzyszy mi bez smyczy, utrzymując bark tuż koło mojego lewego kolana; do tej pory nie udało mi się nauczyć go tej sztuki lub – jak nieraz podejrzewałem – po prostu nie potrafiłem jej wyegzekwować.

Nagle przysłaniające niebo chmury przesunęły się i srebrzysta poświata po raz kolejny wypełniła przestrzeń dokoła nas. Moim oczom ukazała się scenka jak z teatryku cieni.

W samym środku parku znajdowało się niewielkie jezioro, którego brzegi łagodnym łukiem spinał most. Jego wierzchołek przypadał mniej więcej na środek częściowo teraz zamrożonego akwenu. W tym właśnie miejscu spostrzegłem trzy sylwetki. Trzy ludzkie sylwetki dość gwałtownie gestykulujące. Odległość skutecznie tłumiła głosy, ale byłem

powien, że to coś więcej niż pantomima. Dystans i otoczona zaroślami alejka, po której szliśmy, musiały skutecznie chronić nas przed ich wzrokiem. Zresztą, sylwetki były zupełnie pochłonięte dyskusją i – podobnie jak my – nie spodziewały się obecności osób trzecich. Cóż, wszyscy byliśmy w błędzie. Na szczęście nikt nie żądał mojej głowy. Na razie.

Stanęliśmy. Rozgrywająca się na moście scena urzekła tajemniczością, choć poczułem coś w rodzaju niepokoju, a sierść Estona, którego dla uspokojenia pogładziłem po grzbiecie, zjeżyła się pod moimi palcami. Aktorzy chińskiego teatryku cieni zmierzali jednak do kulminacji.

W pewnej chwili sylwetki znieruchomiały, potem środkowa z nich niespodziewanym i gwałtownym ruchem rzuciła coś w kierunku wody. Od tego momentu wydarzenia rozgrywały się już błyskawicznie. Eston – zupełnie nie przyszło mi do głowy, aby ponownie wziąć go na smycz – ruszył z miejsca jak torpeda. Pewnie instynkt tak mu kazał. Kiedy długimi susami gnał w kierunku jeziora – nie próbowałem go nawet wołać, wiedząc, że w tej sytuacji to na nic – sylwetki na moście kontynuowały przedstawienie. Z daleka wyglądało to tak, jakby padły sobie w ramiona. Po chwili jednak dwie z nich odskoczyły w przeciwnych kierunkach; w tym momencie musiały usłyszeć – a może już zobaczyć – Estona. Trzecia, ta, która przedtem tkwiła między nimi i wrzuciła coś do wody, pozostała na środku mostu. Stała tak przez moment w pełnym spokoju, by po chwili osunąć się na ziemię.

W tym samym czasie pies dobiegał już do jeziora. Bez wahania wskoczył na cienki lód, który zaczął pękać pod naporem masywnych łap. Dwie sylwetki, choć musiały być zaskoczone nieprzewidywanym rozwojem sytuacji, również się nie wahały. Momentalnie kalkulując, że zjawiający się jak spod ziemi pies Baskerville'ów może stać się ich nieoczekiwanym sprzymierzeńcem rozbiegły się w obie strony mostu. Zaczęły patrolować brzeg, starając się zgadnąć, w którym miejscu pies spróbuje się na niego wydostać.

No cóż, to prawda, że wypadki toczyły się z oszałamiającą szybkością, ale ja stałem jak zamurowany. Nie wiedziałem, co robić: czy wołać Estona, czy biec w kierunku leżącej sylwetki?

Gdybym był w stanie, być może po prostu bym uciekł. Ale i to chwilowo przerastało moje możliwości. Czas pokazał, że była to najlepsza reakcja, niebędąca jednak wynikiem chłodnej kalkulacji, lecz paraliżu sytuacyjnego lub, jeśli ktoś woli, paralizującego strachu.

Wydawało mi się, że pies pochwycił coś w pysk, bo z prychnieniem zaczął płynąć w kierunku brzegu. Nadchodził moment krytyczny. Eston tracił czas i siły, starając się wydostać na kruchy, łamiący się pod nim lód. To dało sylwetkom czas, aby znaleźć się w miejscu, w którym pies próbował wyjść. W końcu udało mu się stanąć czterema łapami na płyciźnie. Sylwetki czekały na brzegu, w odległości metra. Nie wiedziałem, jak chcą odzyskać przedmiot, ale bałem się, że zaraz stanie się coś strasznego. Miałem wrażenie, że w ich dłoniach błysnęła stal, odbijająca blask świecącego z całą mocą księżycy. Wtem Eston zrobił coś, co zrobiłoby chyba sto procent psów w jego sytuacji: zaczął się otrzępywać. Sylwetki gwałtownie odskoczyły, próbując wycofać się poza zasięg lodowatych biczów. Niespodziewany przyszcik zaskoczył je i zdekoncentrował. A Eston tylko na to czekał: jak potężny jeep na pierwszym biegu wyrwał z miejsca, wznecając dodatkowe fontanny zimnej wody. Sylwetki były na parę sekund wyłączone z akcji. Po chwili pies znalazł się koło mnie. Podał mi trzymany w pysku przedmiot; nie miałem czasu mu się przyglądać. Mimo że był mokry i zimny, schowałem go do wewnętrznej kieszeni kurtki. Szeptem, lecz z całą mocą determinacji

wydałem psu polecenie: do domu! Wkrótce miałem się przekonać, czy wielokrotne tłumaczenie, gdzie jest jego dom, przyniosło skutek.

Wszystko to trwało sekundy, akurat tyle, ile sylwetki potrzebowały, aby dojść do siebie. Eston popędził w kierunku bramy. Dwie mroczne postacie biegiem podążyły za nim.

Jeszcze przez chwilę stałem, a mówiąc precyzyjnie – kuciałem bez najmniejszego ruchu. Kiedy odgłosy cwałującego psa i goniących go ludzi ucichły, pewien już, że pozostałem niezauważony, ruszyłem biegiem – no, w końcu! w kierunku mostka. Po chwili pochylałem się nad leżącą bez ruchu postacią.

Muszę przyznać, że było to pierwsze bezwładne ludzkie ciało, z jakim miałem w życiu do czynienia. Owszem, zdarzało mi się widzieć sztywnych kolegów, ale ich bezwład miał charakter tymczasowy i był ściśle powiązany z tak zwanym nadużyciem.

Sądziłem, że leżący na kładce człowiek okaże się włóczęgą, który w nieoświetlonym parku padł ofiarą bandytów. Ale już pobieżny rzut oka na postać leżącą w nienaturalnej pozie, twarzą do ziemi, wykluczał jej przynależność do świata bezdomnych. Długi, czarny płaszcz wydawał się niepospolitego gatunku, a wokół szyi okręcony był wytorny, jedwabny szalik. Po chwili wahania delikatnie przewróciłem ciało na wznak. Rozsuwające się poły płaszcza odsłoniły śnieżną biel koszuli. Mimo że kilka chmur znowu pojawiło się na niebie, prześwitujące przez nie światło księżyca pozwoliło mi bez cienia wątpliwości stwierdzić, że jest to koszula frakowa.

Teraz dopiero – choć wszystkie działania trwały tak naprawdę sekundy – odważyłem się spojrzeć na twarz leżącego mężczyzny. Tych parę szczegółów powinno mnie już było przygotować; skoczyłem jednak jak oparzony.

U moich stóp leżał, najprawdopodobniej martwy, maestro Damian Rucacelli.

Ile czasu upłynęło od momentu, gdy osunął się na ziemię? Minuta? Może dwie? To ciągle było ciało jeszcze przed chwilą żywego – a może wciąż żywego – człowieka. Miałem przy sobie telefon; w moim przypadku jednostkę bardziej odbiorczą niż nadawczą, ale nareszcie przydała mi się wiedza, że numery alarmowe są dostępne nawet, gdy ma się puste konto. Zadzwoiłem pod sto dwanaście i – na szczęście – dość szybko zapewniono mnie, że pogotowie i policja zaraz będą na miejscu. Odruchowo zdjąłem z siebie ciepłą, puchową kurtkę, aby przykryć nią nieprzytomnego – bo ciągle miałem nadzieję, że nie martwego – maestra.

Tajemniczy przedmiot włożyłem za pas spodni, kieszenie okazały się za małe. Nie próbowałem żadnej domorosłej reanimacji – bałem się, że w moim nieprofesjonalnym wydaniu może mu raczej zaszkodzić, niż pomóc. Ciągle nie chciałem pozbyć się, niestety, słabnącej nadziei, że Damianowi Rucacellemu jeszcze można pomóc. Bo nachyliwszy się ponownie nad ciałem, zrozumiałem wreszcie, że ciemna, powiększająca się plama po lewej stronie gorsu, to krew. Na razie działałem odruchowo, czekając na niezbędne: przyjazd ambulansu, a w drugiej kolejności policji. Martwiłem się o Estona, chociaż pierwszą rundę z nożownikami rozegrał w sposób zgoła popisowy.

Migające światła karetki pojawiły się cztery minuty później. Po kolejnej minucie dojechał policyjny radiowóz. Po krótkiej wymianie zdań z policjantami sanitariusze zabrali bezwładne ciało do ambulansu, a ja wiedziałem, że to mimo wszystko dobry znak. Gdy zapytałem, czy dyrygent będzie żył, jeden z nich jedynie machnął ręką. Karetka odjechała na

sygnale. Teraz zaczęła się uciążliwa dla mnie część, uciążliwa tym bardziej, że jak to sobie szybko uświadomiłem, musiałem stać się pierwszym podejrzanym...

Mimo późnej pory oficer śledczy nie wyglądał na zmęczonego. Nie robił w ogóle żadnego wrażenia. Ot, wieloletnia rutyna służby. Co go jeszcze mogło zaskoczyć? Z ekspresją katatonika przyglądał się dowodowi osobistemu, leżącemu na policyjnym biurku. Dokument należał do mnie, a jego ważność upłynęła prawie rok temu.

Oficer zaczął bujać się na krześle, stukając jednocześnie w blat biurka trzymanym w rękę ołówkiem. Wyglądało to jak początek niezrozumiałego i niepokojącego rytuału.

– Pan Bartosz Czarnoleski – wymówił z niezrozumiałym dla mnie wysiłkiem. – To pewnie ma pan ksywkę Kochanowski? – Jego głos zmienił się w okamgnieniu; nagle pojawiła się w nim żywotność i dość wyraźnie zarysowana skłonność do fraszek.

No proszę, jak miło.

Ale bezpośrednim skojarzeniem policjant trafił w dziesiątkę: jeszcze w szkole tak mnie nazywano. A na internetowych forach używałem nicka będącego nazwiskiem mistrza z Czarnolasu. Kto wie, może pochodziłem z tamtych okolic? Wyraziłem uznanie dla błyskotliwości pana oficera. Przyszła jednak pora na podsumowanie rozmów, które odbyliśmy na miejscu przestępstwa i w drodze do komendy.

– To zaczniemy jeszcze raz: co pan robił o tej dziwnej porze w parku?

– Byłem z psem na spacerze. – Nie miałem lepszej i prawdziwszej odpowiedzi.

– Czy to jest normalna pora pańskich spacerów z psem? – Oficer po raz kolejny nie powstrzymał się od tego pytania.

– Zbliżona do normalnej, bo czy można powiedzieć, że nienormalna? – Ostatecznie czasy godziny milicyjnej należały do zamierzchłej historii.

– Panie Bartoszu, powiedzmy sobie, że wszystko na tym świecie jest mniej lub bardziej normalne, aż do chwili, gdy nie styka się bezpośrednio z przestępstwem, w tym przypadku – próbą zabójstwa. W dodatku mówi pan ciągle o psie. Gdzie jest ten pies?

To martwiło mnie najbardziej. Nie wiedziałem, gdzie jest Eston, nie miałem pewności, czy go jeszcze zobaczę. Żywiłem nadzieję, że rzeczywiście pobiegł do domu, ale co dalej: otworzył sobie drzwi? A może księżycowe sylwetki go dopadły? Chciałem zadzwonić z policyjnego telefonu do antykwariatu, ale na razie nie mogłem. Widocznie jakieś wymogi śledztwa na to nie pozwalały.

– Mój pies spłoszył się i uciekł. Czy w międzyczasie nie było zgłoszenia o dużym, wilkowatym psie biegającym po mieście?

– Nie, na razie nie. Ale jeśli ten pies rzeczywiście istnieje, złapiemy go.

– Nie byłbym taki pewien – burknąłem cicho.

– Słucham? – Oficer miał dobry słuch i chciał kontrolować przebieg rozmowy.

– Nie, nic takiego. – Ja zaś nie miałem zamiaru wdawać się w zbędną polemikę.

Zadzwonił telefon stojący na biurku. Śledczy podniósł słuchawkę, przez chwilę wsłuchiwał się w płynący z niej głos, po czym powiedział:

– Dobra, zrozumiałem, dajcie znać, jak cokolwiek się zmieni.

Z napięciem przyglądałem się nieodgadnionej twarzy, przeczuwając, że ważą się losy życia i śmierci Damiana Rucaclego. Wiedziałem też, że jeśli telefon rzeczywiście dotyczył dyrygenta, to oficer podzieli się ze mną wiadomością.

Śledczy nie byłby jednak śledczym, gdyby zrobił to od razu. Zawodowy kanon narzuca widać określony typ zachowania: poddanie przesłuchiwanego półminutowej torturze milczenia, w trakcie której – a nuż – cała prawda wypełni mu na lico? A może to jest pół minuty upajania się wiedzą: ja wiem, a on nie? Albo maniera niewynikająca z żadnej głębszej konieczności, a zbyt często oglądana w filmach kryminalnych?

W końcu zapalił papierosa; powietrze w pokoju było ciężkie od dymu, ale wiedziałem, że obowiązujący zakaz palenia w pomieszczeniach nieprędko tu dotrze. Zaciągnął się, jak to obrazowo określa Witkacy: do jaj (a co, jak klasyka, to klasyka), po czym niespiesznie wypuścił z płuc resztki dymu niewchłonięte jeszcze przez krwiobiegi. Nie zostało ich dużo.

– Żyje, choć zakrawa to na cud. Nóż, którym został ugodzony, to nie był jakiś tam scyzoryk. Powinien był wykrwawić się na miejscu. Ale gruby płaszcz zamortyzował nieco siłę i głębokość ciosu, a ostrze przeszło milimetry od głównych narządów.

Nie przerywałem w nadziei, że dowiem się czegoś jeszcze.

– Panie Bartku – zdrobienie mojego imienia przyjąłem jako dobry znak: może jednak uda mi się jeszcze dzisiaj znaleźć we własnym łóżku? – powiem panu szczerze, że dla mnie nie jest pan podejrzanym, ale pozostaje na razie jedyną osobą związaną bezpośrednio ze sprawą. I, prawdę mówiąc, potrafiłbym sobie wyobrazić, że to pan z jakichś powodów zadaje cios mający zgładzić dyrygenta, po czym wrzuca nóż do wody, a nam serwuje bajeczkę o teatryku chińskich cieni. Jeziorko trzeba będzie przeszukać, tak czy inaczej.

– Nie ma potrzeby – powiedziałem zgodnie z prawdą. Śledczy przyjrzał mi się ze zdziwieniem.

– Panie Bartku, niech pan nam zostawi tę robotę. Idąc jednak dalej: jeśli przyjmiemy, że pańska wersja zdarzeń jest prawdziwa, to znaczy, że uratował pan ofiarę. Gdyby go pan nie znalazł, prawdopodobnie już by nie żył, choć jego życie dalej wisi na włosku. Na razie jest w śpiączce, a rokowania są, powiedzmy, pół na pół. Ale, ale... muszę prosić o kontakt, gdyby przypomniał się panu jakikolwiek szczegół, bo – spojrzał na mnie bystro i znieca – rozumiem, że generalnie wszystko nam już pan powiedział?

Przez chwilę miałem nieprzyjemne wrażenie, jakby spojrzenie policjanta niczym wiązka promieni rentgenowskich prześwietlało tajemnicę przedmiotu ukrytego pod bluzą. Wytrzymałem to jednak i potakująco skinąłem głową.

– Powiedziałem panu wszystko: byliśmy na spacerze, zauważyłem na moście trzy dyskutujące postacie. Nagle jedna z nich upadła, spłoszony szamotaniną pies zaczął uciekać, a dwie pozostałe, sądząc, że ktoś był świadkiem wydarzeń na moście, zaczęły biec za nim. Mnie nie zauważyły, dzięki czemu szybko udało mi się zawiadomić policję i pogotowie, bo po oględzinach ciała leżącego na moście uznałem to za konieczne.

I tym razem przemilczałem informację o tajemniczym przedmiocie ciśniętym przez dyrygenta do wody, a wyłowionym i przekazanym mi przez Estona. Nie potrafiłbym wtedy – i później zresztą też – jednoznacznie powiedzieć dlaczego. Jedynym wytłumaczeniem był... instynkt łowcy kryminalnych zagadek. Ludzkie odruchy nie mogą równać się siłą i intensywnością ze zwierzęcymi – moje doświadczenie w tym zakresie gwałtownie wzrosło od czasu posiadania Estona – ale i one mają swoją moc, a czasami objawiają się w nietypowej dziedzinie i formie, czego byłem najlepszym przykładem.

– Dobrze, mimo wszystko jednak wolałbym, żeby nie opuszczał pan w najbliższych dniach miasta.

– I tak się nigdzie nie wybieram. Za tydzień mam przesłuchanie do filharmonii.

– Widzi pan, i to jest jedna z tych rzeczy, których nie rozumiem: współpracuje pan dwa tygodnie z jakimś zespołem, a potem musi pan brać udział w konkursie, żeby znowu z nimi grać? – Policjant był już co nieco zorientowany. O filharmonii, i Festiwalu Symfonii Beethovena, maestro Damianie Rucacellim oraz mojej specjalności zdążyliśmy w trakcie długiego wieczoru trochę porozmawiać.

– Ja też tego nie rozumiem, ale takie są reguły gry i obawiam się, że nikt ich dla mnie nie zmieni. – Wstałem w przekonaniu, że spotkanie dobiegło końca. Oficer wręczył mi wizytówkę i znacząco spojrzął na nieważny dokument tożsamości.

– Niech pan to lepiej wymieni – wymruczał, jakby go bolały zęby. Widać wracał mu nastrój z początku przesłuchania. Po chwili wydał telefoniczną dyspozycję wypuszczenia mnie z budynku. Na zakończenie zaś rzucił: – Będziemy próbowali znaleźć pańskiego psa...

Z wdzięcznością przyjąłem deklarację.

Wracając do domu, nie mogłem powstrzymać – pewnie wywołanego zmęczeniem – uczucia fatalizmu: ledwo odzyskuję swobodę dysponowania czasem, pragnąc poświęcić go wyłącznie ćwiczeniu, a już pojawia się sprawa angażująca moją energię. Jak ćma lecąca do ognia pakuję się w dziwną historię, bo przecież już w momencie – nazwijmy je – przemilczenia w komisariacie przeczuwałem, że dopiero się ona zaczyna.

Policjny radiowóz dowiózł mnie w pobliże domu. Na samą ulicę wjazdu nie było, nawet dla pojazdów uprzywilejowanych; uniemożliwiały to metalowe bariery demontowane tylko na specjalne okazje, a skuteczniejsze od najbardziej nawet wymownych znaków drogowych.

Przemierzając kilkadziesiąt metrów dzielących mnie od kamienicy, wiedziałem, że z każdym krokiem zbliżam się do pierwszego rozstrzygnięcia wieczoru.

Pomimo bardzo późnej pory Sebastian – w myślach nazywałem antykwariusza po imieniu – czekał na mnie. Cekał nie sam. Był w towarzystwie Estona. Olbrzymi kamień niepokoju spadł mi z serca.

Antykwariusz pokrótce opowiedział, co się wydarzyło.

Kręcił się jeszcze po zapleczu, gdy nagle usłyszał szczekanie psa. Ze zdumieniem zobaczył, że to Eston hałasuje na ulicy. Zdumienie miało dwojakie źródło: po pierwsze zwierzak nigdy nie chodził samopas, a po drugie rzadko kiedy szczekał. Tym razem musiał mieć powód. Zdziwienie Sebastiana wzrosło, gdy pies, nie czekając na zapraszające gesty, wpakował się do antykwariatu. Zaniepokojony antykwariusz wydzwaniał do mnie, jednak telefon nie odpowiadał. Nie mógł, znajdował się wówczas w policyjnym depozycie. Postanowił więc czekać do skutku.

Zanim ja zacząłem swoją opowieść, upewniłem się, czy Sebastian nie zauważył na ulicy kogoś zainteresowanego psem. Ponieważ nikogo takiego nie widział, z ulgą uznałem, że Estonowi udało się zgubić prześladowców. Historia, którą w rewanżu uraczyłem mojego rozmówcę, była zbliżona do wersji przedstawionej policji i – rzecz jasna – wzbogacona epizodem dotyczącym pobytu na komisariacie.

Antykwariusz słuchał w milczeniu. Nawet jeśli był poruszony, nie dawał tego po sobie poznać. Wahałem się, czy wyjawić ciągle uwierającą mnie w bok tajemnicę, ale nie miałem pewności, czy jej prozaiczność nie będzie kompromitująca. Lepiej było samemu się z nią

zapoznać i dopiero potem zdecydować, co dalej. Podziękowałem antykwariuszowi za opiekę nad psem i pożegnałem się.

Kiedy znaleźliśmy się na górze, w przytulnym schronieniu poddasza, poczułem w końcu, jak opada ze mnie napięcie ostatnich godzin. Próby zrozumienia, co się właściwie wydarzyło, nie przynosiły skutku. Jako zaledwie przypadkowy świadek sceny na moście, nie mogłem wiedzieć, o co chodzi. Przy braku danych trudno pokusić się o wnioski.

Dzisiejszego wieczoru mogłem wyjaśnić jeszcze tylko jedno. Zacząłem jednak od kąpieli. Kiedy rozgrzany usiadłem z lampką koniaku w jednej dłoni i garścią ciasteczek – nie, nie dla mnie – w drugiej, pomyślałem, a była to myśl stojąca w kontrze do poprzedniej, fatalistycznej, że być może staję u progu zdarzeń groźnych, ale ekscytujących...

Na stole leżało drewniane, prostokątne pudełko. To dzięki materiałowi, z którego je wykonano, utrzymało się na powierzchni. Otworzyłem je. Sam nie wiem, czego się spodziewałem, najpewniej niczego konkretnego. A jednak zaskoczenie było pełne. A może nie powinno być? Osobą ciskającą przedmiot do wody był przecież dyrygent...

W wyświecającym zamszem wgłębieniu spoczywała dyrygencka batuta. Chyba już ją wcześniej widziałem. Tak, byłem prawie pewien, że maestro Rucacelli jeszcze tego wieczoru prowadził nią *IX symfonię* Beethovena.

Zасыpiając, przyglądałem się dziwnemu przedmiotowi, który w ciągu jednego wieczoru przebył zaiste niezwykłą podróż. Był różdżką wyczarowującą krainę dźwięków. Potem stał się kością niezgody w sporze między trzema mężczyznami, by po chwili jak najzwyczajniejszy kawałek drewna wylądować w lodowatej wodzie. Psie zęby w ostatniej chwili odebrały go czarnej, nieprzyjaznej toni. Dwie kolejne godziny spędził ukryty pod bluzą.

A teraz, osuszony, odpoczywał na stoliku, pod spojrzeniem moich zamykających się oczu.

Gdy ostatkiem sił próbowałem przeniknąć jego tajemnicę, czułem, że Eston wciąż wpatruje się we mnie spod na wpół przymkniętych powiek.



ROZDZIAŁ II

PONIEDZIAŁEK

Jeden szedł, drugi biegł. Jeden szedł, drugi biegł, a poruszali się równolegle, może dlatego, że bieg w myślach jest jak chód w rzeczywistości albo odwrotnie. Jeden szedł, drugi biegł, a trzeci stał i mimo to poruszali się równolegle, bo bieg w myślach jest jak chód w rzeczywistości albo stanie we śnie.

Spacery z psem się nie układały. Zbyt luźno trzymana smycz naprężyła się nagle, wyrwijąc rękę z barku. Skrócona do niezbędnej długości, pozbawiała zwierzę komfortu. Niby każdy chciał dobrze, ale zawsze było coś nie tak. Puszczanie psa luzem nie wchodziło w grę. Siła instynktów pociągnęłaby go w siną dal.

Ażeby jeden szedł, drugi biegł, a mimo to poruszali się równolegle, należałoby uregulować smycz do długości odpowiadającej dwóm krokom przebiegniętym, do dwóch i pół ustanych, pomnożonych przez czynnik oporu powietrza i psa, w stosunku do naprężenia obroży...

Nie wiem, czy to przesyt męczących wizji, czy kościelne dzwony, które właśnie wybiły siódmą rano; coś mnie obudziło. Było bardzo wcześnie, absurdalnie wcześnie, zwłaszcza w stosunku do pory, o której się położyłem, ale nie chciałem już zasypiać. Przydarzył mi się kolejny ze styków snu i jawy, w których mózg bez ograniczeń oddaje się męczącym spekulacjom. Mimo niewyspania uznałem, że lepiej zrobi mi świeże powietrze, a na drzemkę uzupełniającą znajdę czas w ciągu dnia, po pierwszej porcji ćwiczeń na przykład.

Ale... czy wydarzenia wczorajszego wieczoru przyśniły mi się tylko? Zapaliłem lampkę przy łóżku.

To nie był sen. Nieporuszenie leżąc na stoliku batuta zdawała się mówić: „Dzień dobry, wstawaj! Możesz poświęcić mi trochę czasu?”.

O nie, co to, to nie. Zgadza się: coś się wczoraj istotnie wydarzyło, w coś trochę przypadkowo, trochę z własnego wyboru się wplątałem. Ale nie pozwolę od rana dezorganizować sobie życia. Będę się trzymał planu.

– Dobrze, batuto, będę wyjaśniał, ale w swoim rytmie, jeśli pozwolisz.

Taka poranna rozmowa z przedmiotem utwierdza człowieka w przekonaniu, że kontroluje i panuje. Siebie i nad całokształtem. Lub na odwrót. W dodatku nie jest... bezprzedmiotowa.

Na szczęście poruszona nagle okienna zasłona przywróciła mnie rzeczywistości. Gdy zerwanie jej zdawało się już tylko kwestią chwili, spod spodu wyłoniły się uszy, łapy i ziewający pysk. Okienka poddasza były niewielkie, za to uzupełnione imponującymi, opadającymi aż do podłogi kotarami. Przestrzeń między nimi a ścianą Eston wykorzystywał często jako miejsce do spania. Odnajdywał tam pewnie równowagę temperatur: chłodu starych murów, ale i będącego w zasięgu ręki (łapy) ciepła skrywającego się za warstwą materiału. Tam było też jego schronienie przed dźwiękami altówki zbyt długo panoszącymi się na poddaszu, choć mógł przecież trafić gorzej; wyższe częstotliwości skrzypiec drażnią psi słuch w o wiele większym stopniu. Po uszach, łapach i pysku pojawiła się reszta rozspanego jeszcze, a już gotowego do życia psa.

I cztery opcje do wyboru: prysznic, gorąca kawa, spacer lub gama.

Jeszcze tydzień. Tylko tydzień. A więc jednak gama. Rozespane palce zmuszone do posłuszeństwa impulsem mózgowym zaczęły przebieżkę po gryfie. Prawa ręka wprowadzana w rytm życia początkowym legato, zechciała nagle dorównać śmigającym już palcom swojej siostry i sama zerwała się do perlistego spiccato. Mój Boże, gdyby któryś z kolegów to usłyszał: altówka i perliste spiccato... Nawet mnie to rozśmieszyło. Ale palce chodziły wcale niczego. Uspokojony mogłem przystąpić do realizacji pozostałych opcji, bez żadnych złudzeń rzecz jasna; na ćwiczenie właściwe przyjdzie dopiero czas.

Na spacerze było trochę jak we śnie. Eston jednoznacznie wybrał ten sam kierunek co poprzedniego wieczoru. Wiedziony tajemną magią zapachów nie pamiętał, że jest na smyczy i ciągnął jak opętany. Byłem do tego przyzwyczajony, a moja odporność na psie narowy zależała od aktualnego nastroju. Tego ranka mimo za krótkiej nocy był nie najgorszy – to chyba zasługa perlistego spiccato – więc mogłem zaprzętnąć myśli innymi sprawami. A konkretnie jedną, która proporcjonalnie do zbliżania się eliminowała wszystkie inne z pola widzenia.

Audycja: słowo, które u każdego muzyka wywołuje skok adrenaliny. Dlaczego? Ano dlatego, że tych kilka minut przeznaczonych na prezentację swoich umiejętności może dać stałe zatrudnienie albo... rozbić nadzieje w proch i pył, przynosząc rozczarowanie i frustrację (statystycznie ten drugi wariant jest o wiele bardziej prawdopodobny). Dlatego, że te parę chwil publicznego egzaminu okupione jest stresem nieporównywalnie większym od towarzyszącego normalnym koncertom. Bo też rzadko kiedy od koncertu zależy tak wiele.

Ale jest też niewątpliwy – i niezależny od rezultatu – pozytyw omawianego wydarzenia; posiada ono potężną moc porządkującą: grę, sposób myślenia o sobie i świecie, po prostu życie. Ile razy jednak można wystawiać się na publiczny osąd, sprowadzać zagadnienia artystyczne do poziomu sportowego, podkopywać własne ego, które wystawione na zbyt częste i intensywne próby każe w końcu zadać pytanie: czy to aby mnie nie przerasta? Czy ja się do tego rzeczywiście nadaję?

To nie miała być pierwsza audycja w moim życiu. Z wszystkich powyższych powodów z całego serca pragnąłem, żeby była ostatnia.

W miarę zbliżania się do miejsca wczorajszych, dramatycznych wydarzeń, czułem jednak, jak wbrew mojej woli myśli przeskakują na inny tor. Oczywiście, chęć trzymania ich na wodzy była z góry skazana na niepowodzenie. Nie co dzień jest się świadkiem morderstwa. Nie co dzień...

Popełniłem błąd. Powtarzalność staje się nawykiem. Nie należało tutaj przychodzić. Przecież park i pies to były jedyne punkty zaczepienia dla księżycowych sylwetek. Chciałem szybko zawrócić, ale w tym momencie Eston usiadł i z podniesioną wysoko głową zaczął analizować każdy centymetr sześcienne powietrza. W końcu dał się uprosić i w miarę szybko udało nam się opuścić park. Nie spotkaliśmy po drodze nikogo. Miałem nadzieję, że również my pozostaliśmy niezauważeni i niezidentyfikowani. Na najbliższe dni postanowiłem jednak zmienić trasę spacerów.

Wkrótce znaleźliśmy się w okolicach domu. W pełnej oszałamiających zapachów piekarni Pod Nietoperzem kupiłem parę bułek, w tym kilka nietoperzy. A co, ma Kazimierz swoje koguciki, mogą mieć Krakowice nietoperzyki.

Po spacerze Eston się uspokoił. Wydarzenia wczorajszego wieczoru w znacznie większym stopniu poruszyły mnie niż nim. Gdy wdrapaliśmy się na poddasze, chlapaną tylko trochę wody, po czym wyciągnął się jak struna na dywaniku i zasnął. Struna... A gdzie moje ćwiczenie? – pomyślałem nostalgicznie. Powoli stawało się jasne, że dotrzymanie deklaracji składanych batucie, a odnoszących się do kolejności i wagi spraw, nie będzie łatwe. Wiedziałem, że dopiero mając choć trochę uporządkowaną rzeczywistość, będę w stanie powrócić do *Don Juana*¹.

Zacząłem jednak od parzącego prysznicy, gorącej kawy i jeszcze ciepłych bułek. Gdy je kroilem, Eston na chwilę otworzył oko, sprawdzając, czy przypadkiem nie zapomniałem o nietoperzyku dla niego.

Rozgrzany i pokrzepiony spróbowałem w końcu pomyśleć, co właściwie wydarzyło się minionego wieczoru i czy dramat ten – a jeśli tak, to w jaki sposób – łączył się z wydarzeniami ostatnich dni.

Zaledwie trzy dni temu, w piątkowy poranek, maestro Rucacelli po raz pierwszy stanął przed naszą orkiestrą. Poprzedniego dnia odbył się czwarty już koncert cyklu beethovenowskiego.

Wymagające mnóstwo energii *VII symfonia A-dur* op. 92 i precyzji *VIII symfonia F-dur* op. 93 zabrzmiały okazale pod dyktando kapelmistrza, któremu również poświęcę kilka słów. Mimo zmęczenia z wielkim zainteresowaniem oczekiwano na pojawienie się Damiana Rucacellego. Gdy wiele lat temu wyjeżdżał z Krakowic, nikt pewnie nie przypuszczał, że powróci tu jako dyrygent światowej sławy. Nikogo nie dziwiło, że do tej pory nie znalazł czasu dla miasta swoich studiów, wszak wiele większych ośrodków muzycznych wciąż czekało na jego występ. Należy to powiedzieć: ze wszystkich gwiazd batuty, które przybyły na festiwal, to – Damiana Rucacellego – świeciła najjaśniej.

Dwie minuty po dziesiątej, niczym majestatyczny krążownik, maestro wsunął się na podium przed orkiestrą. Nie wszedł, tylko wsunął się; od razu było widać, że ciężar gatunkowy własnej osoby jest mu dobrze znany. Był w towarzystwie dyrektora administracyjnego filharmonii, który ze znaczącym uśmiechem powiedział tylko:

– Proszę państwa, maestro Damian Rucacelli!

Rozległ się odgłos smyczków uderzających w pulpity; muzycy witają w ten sposób dyrygentów i solistów lub nagradzają ich za występ. Wiek mistrza usytuowałbym gdzieś w przedziale między pięćdziesiątką a sześćdziesiątką. Był bez wątpienia przystojnym mężczyzną. Szczupły, wysoki, o poważnej twarzy okolonej długimi, ciemnymi włosami, wśród których tu i ówdzie wiły się srebrne nitki, miał w spojrzeniu ten rodzaj magnetyzmu, który zwłaszcza wśród płci przeciwnej może wywoływać emocje. Ubranie jego stanowił rodzaj artystycznego munduru lub sutanny: czarny, aksamitny żakiet do pół uda, z niewidocznymi, zakrytymi materiałem guzikami i kołnierzem-stójką. Ten rodzaj wdianka nazywałem karajanką, od nazwiska słynnego Herberta von Karajana oczywiście. Ma czytelną wymowę: jestem generałem sztuki, wy stanowicie moją armię, bądźcie gotowi do poświęceń, lub: jestem muzycznym kapłanem, potrzebuję was do odprawienia rytuału, może się nie obejść bez ofiar. Nie wiedziałem, jak wiele różnic dzieliło von Karajana i Rucacellego, ale jedna była od razu widoczna: pierwszy z nich przedzierał się w wyżej wymienionego generała czy kapłana dopiero na koncercie, drugi pojawił się w rytualnym stroju już na pierwszej próbie.

Mistrz niespiesznie przyglądał się muzykom, z namaszczeniem otwierał partyturę i najwyraźniej zastanawiał się – lub udawał, że to czyni – jakich słów użyć, by powitać orkiestrę. Najogólniej są dwa rodzaje słów wstępnych: pierwszy z gatunku warto powiedzieć coś życzliwego, bo dzięki temu będzie się lepiej pracowało, lub drugi, przesycony takim oto przesłaniem: nieważne, kto był przede mną i czy jesteście zmęczeni, teraz jestem ja i tylko to się liczy.

W końcu przemówił:

– Koledzy, stoi przed nami niełatwe zadanie.

Uhu, pomyślałem, a przez orkiestrę przeleciał jakby podmuch prarozczarowania. Jedno zdanie i dwa błędy. Nie językowe oczywiście. Najwyższa pora powiedzieć, że wbrew swojemu włosko brzmiącemu nazwisku maestro Rucacelli był naszym rodakiem. Bez sprawdzania drzewa genealogicznego nietrudno było wskazać kierunek, z którego przybyli do nas jego protoplaści. Pierwszy błąd dyrygenta polegał na użyciu formy „koledzy”, będącej sztuczną próbą skrócenia dystansu z muzykami, a drugi – na sugestii, że nie będzie łatwo, o czym i tak wszyscy wiedzieli, ale tego poranka woleliby usłyszeć raczej słowa otuchy.

Muzyk nie potrzebuje fałszywych znaków równości. Gdzież o niej może być mowa, gdy z jednej strony stoi człowiek mogący – prawie – wszystko, mówiący, jak należy grać i posiadający władzę – prawie – nieograniczoną, z drugiej zaś siedzi ten, który jest wykonawcą tych życzeń i żądań, nawet jeśli w jego głębokim przeświadczeniu są to wymagania bezsensowne lub niemożliwe do zrealizowania? Gdy dodać do tego dysproporcję wynagrodzeń jednego i drugiego, staje się jasne, że sformułowanie „koledzy” jest czysto taktyczne. Dlaczego natomiast – według dyrygenta – stało przed nami trudne zadanie? Cykl koncertowy zamyka się zazwyczaj w tygodniu – próby plus koncerty – choć, rzecz jasna, każda orkiestra ma w tym względzie własne tradycje. Tym razem mieliśmy średnio po dwa dni na przygotowanie nowego programu, ale fakt, że symfonie Ludwiga van Beethovena należą do żelaznego repertuaru, czynił zadanie wykonalnym, choć wymagającym od muzyków wzmoczonego wysiłku.

Niefortunne wrażenia z początku próby zostały nieco zatarte w jej trakcie. Nikt nie wątpił, że mamy do czynienia z dyrygentem wysokiej klasy. I kiedy wydawało się, że właściwy rytm współpracy został uchwycony – a działo się to tuż przed końcem pierwszej części – maestro Rucacelli popełnił kolejny błąd. Zwrócił się bowiem do orkiestry tymi oto słowy:

– Moi państwo – koleżeństwo szybko mu wywietrzało z głowy – zgodziłem się poprowadzić ten koncert, mając nadzieję, że zastanę orkiestrę przygotowaną, ale widzę, że dobre światowe zwyczaje nie są jeszcze u nas normą. Bardzo proszę, by zechcieli państwo włożyć trochę indywidualnego wysiłku w lepsze zapoznanie się z materiałem. W przeciwnym razie będę zmuszony poprosić dyrekcję o zorganizowanie dodatkowych prób sekcyjnych. Dziękuję. Przerwa.

Przez chwilę panowała nieprzyjemna cisza. Rucacelli zniknął za kulisami, a muzycy z wolna wstawali ze swoich miejsc i coraz głośniejsze komentowali skandaliczne w opinii wielu zachowanie dyrygenta. Najbardziej ubodło wszystkich sformułowanie: „zgodziłem się poprowadzić ten koncert...”.

On się łaskawie zgodził, zechciał do nas zstąpić na ziemię, a my, maluczcy, nie doceniliśmy tego i... właściwie, co mieliśmy zrobić? Według powszechnej opinii orkiestra grała dobrze, może wyczuwało się lekkie zmęczenie, ale na litość boską, nie było powodów do takich przemówień.

Po wypełnionej nerwowymi rozmowami przerwie muzycy ponownie zasiedli przed pulpitemi, z niepokojem oczekując na dalszy rozwój wypadków. Maestro pojawił się z nieprzeniknioną miną. Na niektórych twarzach widziałem bezwzględna gotowość do spijania z ust jeszcze dobrze niewypowiedzianych, a może i niepomysłanych uwag i życzeń mistrza (tak zwany nadprofesjonalizm). Inni schowali się za neutralnym naburmuszeniem, pozostali zaś grali obojętnością na zasadzie: „Niejednego już przeczekaliśmy, to i tego przetrzymamy”.

Jedno trzeba Rucacellemu przyznać – zmęczenie ustąpiło miejsca czujnemu napięciu. I nie wiadomo, czy nie taki właśnie był cel doświadczonego dyrygenta, który nagle stał się miłszy i skoncentrowany na pracy, a nie kontestowaniu poziomu orkiestry. Twarze muzyków powoli się odprężyły, czasami wymieniali między sobą spojrzenia typu: „No widzisz, mówiłem, że jakoś się ułoży”.

Kiedy mistrz pozwolił sobie na parę uśmiechów, z czego co najmniej dwa skierowane były do wyróżniającej się atrakcyjnością wiolonczelistki, zapanowała pogodna już prawie atmosfera wyczekiwania końca próby.

Ale ja nie dałem się zwieść. Wiedziałem, że po człowieku, który najwyraźniej gra nastrojami, można się spodziewać wszystkiego. I nie pomyliłem się. Najpierw tak długo ćwiczył trudną frazę z waltornią, że w końcu muzykowi zaczął drżeć dźwięk, potem poprosił o indywidualne wykonanie fragmentu scherzo (druga część *IX symfonii*) przez muzyka z piątego pulpitu drugich skrzypiec.

To jest koszmar, przed którym drżą prawie wszyscy smyczkowcy – prawie, bo koncertmistrzowie grup przyzwyczajeni są do grania partii solowych – całe życie ukryci w masie dźwięków, nagle postawieni samotnie przed orkiestrą, jak przed plutonem egzekucyjnym. Mało kto jest w stanie znieść taką presję. Kończy się zazwyczaj kompromitacją, wynikłą nie z braku umiejętności lub nieprzygotowania materiału, lecz z niemożliwości opanowania nerwów.

Dyrygenci stosujący opisaną metodę muszą o tym wiedzieć, wiedzą również, że efekt pedagogiczny lub artystyczny takiego posunięcia jest żaden. Używają jej niekiedy jako broni przeciwko muzykowi, który czymś się naraził. Czym na gniew maestra zasłużył Bogu ducha winien pan Zbyszek? Nikt nie miał pojęcia. Może został przyłapany na jakimś wyrażającym brak zachwyty wyrazie twarzy? Skończyło się tak, jak można było przewidzieć: po wykonaniu

serii nie bardzo przypominających scherzo dźwięków nieszczęśliwy muzyk wstał i wyszedł z sali.

A maestro Rucacelli spokojnie zakończył próbę, mówiąc:

– Dziękuję państwu. Widzimy się jutro i proszę nie zapomnieć o mojej prośbie.

Rozpętała się burza. Jako niestały muzyk zespołu, nie chciałem, a nawet nie bardzo miałem prawa w niej uczestniczyć. Mogę jedynie przypuszczać, że doszło do szeregu spotkań, rozmów i negocjacji. Dyrekcja filharmonii znalazła się w trudnej sytuacji. Z jednej strony rozumiała skargi i oburzenie muzyków, z drugiej – nie chciała ryzykować otwartego konfliktu, grożącego zerwaniem kontraktu z bądź co bądź sławnym dyrygentem. O wartościowe zastępstwo byłoby w tak krótkim czasie bardzo trudno, a cały, z trudem budowany dorobek I Festiwalu Symfonii Beethovena można było łatwo roztrwonić finałowym skandalem. Powtarzam więc raz jeszcze: nie wiem, co wydarzyło się w piątkowy wieczór.

Ale w sobotę rano przed orkiestrą stanął jakby inny człowiek. Ani słowem nie wracał do wydarzeń poprzedniego dnia, był sympatyczny, ba, momentami czarujący i – trzeba to przyznać – wysoce profesjonalny. Jedynymi ludźmi, na których pozwolił sobie trochę pojeździć, byli chórzyscy; popołudniową próbę w całości wypełniła monumentalna, czwarta część *IX symfonii*, skomponowana do słów Fryderyka Schillera *Oda do radości*. Uczył też śpiewać solistów, całą rzekomą życzliwość artystyczną przelewając na posągowo zbudowaną sopranistkę z Oslo. Gdy jednak ta pozostawała zimna i niedostępna jak norweski fiord, zaczął się coraz częściej popisywać elokwencją, dowcipem i detaliczną znajomością partytury przed wewnętrzną stroną drugiego pulpitu wiolonczel, czyli oczywiście uroczą wiolonczelistką.

Koniec końców, z dużej chmury spadł jednak nie tak wielki deszcz. Piątkowe incydenty już się nie powtórzyły, a orkiestra była dobrze przygotowana. Najbardziej poszkodowany wydawał się pan Zbyszek z drugich skrzypiec, który od pamiętnej awantury nie pojawił się już w filharmonii; oficjalnie był na zwolnieniu lekarskim.

Niedzielną próba generalna ugruntowała poprawność odniesień orkiestra – dyrygent oraz zacieśniła relację dyrygent – wiolonczelistka (nie zwracałbym na to uwagi, gdybym sam nie strzelał oczami w jej kierunku), która tak jak i cały festiwal zbliżała się do wielkiego finału. Przed rozpoczęciem *Ody do radości* maestro po napoleońsku skrzyżował ramiona, potoczył wzrokiem po chórze i orkiestrze, i zatrzymując spojrzenie na wiolonczelistce, powiedział:

– Muzyka jest jak życie – pełna zagadek i znaków zapytania. Trzeba bardzo uważać, aby nie zgubić właściwego kierunku. Ale mamy wszelkie dane na wspólny sukces. Niech państwo wyobrażą sobie, że zamiast batutą, będę dziś dyrygował kluczem: do ludzkich serc, uczuć i pamięci. Otwórzmy je wspólnie.

„Kluczem francuskim se podyryguj” – mruknął ktoś z boku, a z tyłu dobiegł mnie szept: „Żeby mu tylko nie zardzewiał...”.

Ot, takie orkiestrowe dogadywanki... Muszę przyznać, że i mnie zniesmaczył kabotyński występ mistrza. Ale osoba, której był dedykowany, robiła wrażenie zachwyconej. Po chwili dyrygent zdjął wzrok z zarumienionej i patrzącej na niego błyszczącymi oczami wiolonczelistki i z namaszczeniem rozpoczął finał symfonii.

Koncert okazał się wielkim sukcesem, a jego nadzwyczajność dawała się wytłumaczyć w wieloraki sposób: ostatnia symfonia Beethovena, finał festiwalu, galowość, uroczystość, odświętność... Wszyscy wspięli się na wyżyny własnych możliwości, mnie zaś muzyka

całkowicie porwała swoim żywiołem, czemu z przyjemnością się poddałem, bo to właśnie kochałem najbardziej.

I oto miałem pierwsze wnioski: pojawiła się grupka kandydatów mogących mieć mniej lub bardziej wyraźny powód, mówiąc delikatnie, niechęci do dyrygenta. Czy któryś z nich byłby skłonny posunąć się do zabójstwa? To akurat wydawało się mało prawdopodobne, niemniej ktoś wczoraj pchnął nożem maestra Rucacleggio i miał to być cios śmiertelny.

Pan Zbyszek – upokorzony muzyk z grupy drugich skrzypiec – był kandydatem numer jeden; numer dwa przypadał w udziale znanemu z krewkiego temperamentu waltornście. Kolejny na liście mógł być ktoś, kto dostrzegł, co się dzieje między nieobojętną mu wiolonczelistką a dyrygentem. Jak mówiłem, grono jej wielbicieli wydawało się liczne – jak obrazowo wyraził się jeden z kolegów: był na nią spory popyt – ktoś jednak mógł być zaangażowany bardziej od innych. A może cios został zadany w imieniu klubu zauroczonych? Przecież napastników było dwóch. Tyle tylko, że...

No właśnie, co z tą batutą? Może była to po prostu próba rabunku? Jak cenny musiał być przedmiot, który skłonił do morderstwa? Czy gest rzucającego nią w wodę maestra był irracjonalny? Ale przecież sylwetki najwyraźniej chciały ją odzyskać. Czy wiedziały, co znajduje się w pudełku? Rozmawiali na moście. O czym? Jeśli to pan Zbyszek był jedną z księżycowych sylwetek... Nie, absurd. Nie mogłem wyobrazić sobie pocziwego skrzypka z niczym innym niż smyczek w ręce. A waltornista? Jemu też maestro zalaż za skórę. Mimo wszystko nie słyszało się powszechnie o muzykach mordujących dyrygentów. Nie żeby nie miewali na to od czasu do czasu ochoty, jednak konsekwencje podobnego czynu okazałyby się dla obu stron zbyt daleko idące. A może to zmowa pokrzywdzonych muzyków? Takie popełnione do spółki z kimś zabójstwo nie jest już zabójstwem. Oczywiście bzdura, ale jej absurdalność może uderzyć dopiero po fakcie... Lub koalicja tychże z zazdrosnym kochankiem, lub potencjalnymi – a już zazdrosnymi – kochankami.

Pociągały mnie kryminalne zagadki. Lubiłem je, traktując przestępstwa i trupy wyłącznie jako materiał kompozycyjny, rekwizyty układanki. Należałem do gatunku wielbicieli kryminalistów, zapaleńców prowadzących śledztwo, że się tak wyrażę, na własną rękę. I oto nieoczekiwanie znalazłem się w obliczu prawdziwego przestępstwa, w dodatku, jak na zachętę, obdarowany bonusem, którego nie miał nikt inny – tajemnicą w dramatycznych okolicznościach zdobytej batuty.

To jednak nie była książka. Krew okazała się prawdziwa, próba zabójstwa stała się faktem, a ofiara nie opuściła tego padołu tylko dzięki szczęśliwemu przypadkowi. Może dlatego było jeszcze ciekawiej...

Oto dlaczego zachowałem informację dla siebie. Uruchomienie instynktu łowy zagadek kryminalnych nastąpiło automatycznie! I dlatego, zamiast ćwiczyć! – siedziałem teraz na kanapie, próbując kojarzyć w całość znane mi fakty. Czułem jednak, że powoli gubię się w ich gąszczu.

Dźwięk komórki przywrócił mnie rzeczywistości. W słuchawce usłyszałem głos inspektora. Nie policji, orkiestry radiowej.

Inspektorzy w orkiestrach to tacy ludzie od wszystkiego. Muszą odznaczać się niepoślednim talentem organizacyjnym. Marzeniem każdego wolnego strzelca jest znaleźć się na liście inspektora orkiestry; to oni proponują pracę, wiedząc, jakie są potrzeby personalne zespołu w poszczególnych tygodniach².

Inspektor Radiówki zajmował się jeszcze czymś, co czyniło go prawdziwą żyłą złota: organizował pozaorkiestrowe obsady do szczególnie dobrze płatnych nagrań muzyki filmowej. I z taką właśnie propozycją zadzwonił:

– Panie Bartku, sytuacja podbramkowa, potrzebuję altowiolisty, dwa dni – wtorek, środa – dobrze płatne i od razu po nagraniu. – Z precyzją profesjonalisty zawarł w jednym zdaniu wszystkie kluczowe informacje.

No tak, tylko tego mi trzeba, pomyślałem, ze zdziwieniem słysząc swój głos, który jakby niezależnie i bez zająknięcia wypowiedział dwa słowa:

– Ależ oczywiście!

Czyżby początki schizofrenii? Po całej argumentacji, jaką przedstawiłem wcześniej, moja odpowiedź powinna być jasna i krótka: „Nie ma mowy!”.

Jednak z trzech kwestii: przesłuchania, morderstwa i nagrania, tylko ta ostatnia miała pewne, szczęśliwe zakończenie: wypłatę gotówki. Przyszło mi do głowy, że od wczoraj już drugi raz reaguję automatycznie – najpierw jako łowca zagadek kryminalnych, a teraz jako łowca chałtur. Zdecydowanie musiałem wzmocnić w sobie instynkt łowcy stałej pracy.

Gdy myśli moje zaczęły krążyć wokół psa Pawłowa, mój pies zaczął krążyć wokół mnie.

Miałem wrażenie, że patrzy na mnie z lekką przyganą (pewnie chodziło o to nagranie), ale pod warunkiem natychmiastowego spaceru był skłonny mi wybaczyć.

Powinienem też wstąpić do filharmonii i umówić się na próbę z pianistką. Co prawda każdemu konkursowiczowi przysługiwała kilkuminutowa rozgrzewka z fortepianem w dniu przesłuchania, ale wolałem spotkać się wcześniej i bez limitu czasowego. Miałem również nadzieję, że na miejscu dowiem się czegoś nowego o próbie zabójstwa Damiana Rucacellogo i jego aktualnym stanie.

Przed wyjściem z domu postanowiłem sprawdzić samopoczucie Don Juana. Hm, gdyby ten z mojej wersji był prawdziwy, nigdy w życiu nie udałoby mu się uwieść żadnej kobiety. I dlatego złożyłem uroczyste ślubowanie: choćby dyrygencki trup padał gęsto, popołudnie poświęcę na ćwiczenie.

Po krótkim spacerze z psem wyruszyłem w kierunku filharmonii, tym razem na rowerze. W niespełna pięć minut znalazłem się koło gmachu, który żył bytem instytucji kulturalnej na nieco zwolnionych obrotach. Portier, bez którego wiedzy i zgody nie chciałem wchodzić na piętro, zajęty był rozmową telefoniczną. Czekając, aż skończy, dostrzegłem leżącą na kontuarze poranną gazetę, otwartą na stronie poświęconej zakończonemu festiwalowi. O dramatycznych wydarzeniach minionego wieczoru nie mogło być jeszcze mowy. Powinienem być raczej sprawdzić wiadomości, jakie do tej pory pojawiły się w internecie. Obiecałem sobie solidną sesję informacyjną, ale dopiero po ćwiczeniu.

Jeden z artykułów w leżącym przede mną dzienniku mówił o pełnym rozmachu wykonaniu *IX symfonii* Beethovena, które stało się „ostatnim, mocnym akordem, godnie zamykającym muzyczne święto”. Drugi podsumowywał festiwal jako całość. Zawierał też informację, która wcześniej krążyła już wśród muzyków: dokładnie na poniedziałkowe południe maestro Rucacelli zapowiedział konferencję prasową w filharmonii. Nieoficjalnie mówiło się, że dotyczyć będzie nagrania płytowego, które orkiestra miałaby realizować pod jego batutą. Ale szczegółów nikt nie znał, nawet dyrekcja nie pozwalała sobie na aluzje mogące rzucić trochę światła na domysły.

Taki był pewnie element umowy: Damian Rucacelli rezerwował sobie prawo osobistego ogłoszenia projektu. Oczywiście konferencja nie mogła się odbyć. Byłem jednak ciekaw, czy zostanie ogłoszony jakiś oficjalny komunikat. Wiszący nad portiernią ścienny zegar pokazywał za kwadrans dwunastą. W hallu głównym, który widziałem poprzez oszklone drzwi, powoli przybywało reporterów z kamerami i mikrofonami gotowymi do akcji.

– I widzi pan, co się porobiło? – wyrwał mnie z zadumy głos portiera, który właśnie zakończył telefoniczną rozmowę. – A taki był spokojny człowiek, kto by się spodziewał? – zakończył retorycznie.

– Kto spokojny człowiek? – Nie zrozumiałem. Te słowa nie bardzo mi pasowały do Damiana Rucacellego.

– Jak to kto? – zdziwił się portier. – Pan Zbyszek – wyjaśnił.

– Ale co pan Zbyszek? – Moje szeroko otwarte oczy musiały wyrażać niezrozumienie.

– No, co pan Zbyszek – dziwił się z kolei mojej niedomyślności portier – dźgnął go nożem, tego dyrygenta.

– A pan skąd o tym wie? – spytałem niedowierzająco.

– Jak to skąd? Wszyscy o tym mówią. – Myślę, że był mizernego zdania o mojej zdolności kojarzenia faktów.

– Wszyscy, to znaczy kto? – nie ustępowałem.

– No, pan Michał i pani Melpomena. – Była w orkiestrze pani o tym imieniu, fakt, że niezupełnie zgodnie z powołaniem. – I policja już o niego pytała.

No tak. Jednostki opiniotwórcze, ale mało wiarygodne.

Skoro jednak portier tyle wiedział, to może znał również adres pięknej wiolonczelistki? Przyszło mi do głowy, żeby z nią porozmawiać, ale nie przez telefon; nie wiedziałyby nawet, kim jestem.

– Pani Wanda? A gdzie miałyby mieszkać? Z ojcem. To jednak coś pan słyszał?

Znowu nie zrozumiałem, ale sens słów powoli zaczął do mnie docierać:

– To znaczy, że pani Wanda jest...

– ...córką pana Zbyszka – dokończył, przyglądając mi się ze zdumieniem. – Myślałem, że wszyscy o tym wiedzą.

Znowu ci wszyscy. Chociaż jeśli tak się sprawy miały, to „wszyscy” mogli mieć rację...

Nie chciałem dłużej rozmawiać, przynajmniej na razie, bo logika poznanych faktów miała dużą moc. Podwojony motyw zdawał się wyraźnie wskazywać na sprawcę, choć pozostawało całe mnóstwo pytań. Czyżby więc zagadka już się wyjaśniła? Miałoby to pozytywy – mógłbym skoncentrować się na swoich sprawach, ale...

Coś, jakby cień, rozczarowania, że już po wszystkim, i smutku, że oto życie co najmniej dwojga ludzi ulegnie radykalnej zmianie, przemknął mi przez myśl. Bo pojawił się w nim ktoś, kto rościł sobie prawo do bezkarnego igrania z emocjami bliźnich.

A tajemnicza batuta? W tej sytuacji traciła na znaczeniu. Może maestro w ostatniej chwili poczuł skruchę i chciał ją wyrazić jakimś retorycznym, dramatyczno-symbolicznym gestem? Ot, prawdziwy dyrygent, do końca posługujący się atrybutem swojej niezwykłości.

„Przeklinam chwilę, gdy wziąłem cię do ręki...” lub: „I zobacz, dokąd mnie zawiodłaś, a więc zgiń w otchłaniach...”

Hm, trochę to naciągane. Co jednak zrobić, jeśli w układance wszystko z wyjątkiem jednego elementu trafia na swoje miejsce? Można próbować go na siłę gdzieś wcisnąć lub

uznać, że... cała układanka jest do bani.

Podziękowałem portierowi, który okazał się źródłem cennych informacji. Poinformowałem go, jaki jest konkretny cel mojej wizyty, i ruszyłem na pierwsze piętro, aby wysondować możliwość próby z pianistką. Miałem szczęście, sekretarka skierowała mnie bezpośrednio do jednej z ćwiczeniówek. Znałem akompaniatorkę, więc umówienie się, i to – po sprawdzeniu w sekretariacie grafiku zajęć – w sali koncertowej, przebiegło bez problemów. Mieliśmy spotkać się w czwartek o dwudziestą. Oprócz mnie było już umówionych kilku innych kandydatów.

Zbiegłem na dół akurat w momencie, gdy do mikrofonu w hallu głównym podchodził dyrektor administracyjny. Postać nieszczególnie przez muzyków lubiana, ale trudno było mu odmówić zawodowych kompetencji. Rozległ się szum dziennikarskiego sprzętu. Pozostałe odgłosy ucichły. Wszyscy w napięciu oczekiwali na wiadomości.

– Szanowni państwo, jak wszyscy zapewne wiedzą, o godzinie dwunastej miała rozpocząć się konferencja prasowa znakomitego dyrygenta maestro Damiana Rucacellego, którego sztuka tak wspaniale uświetniła nasz festiwal. Zapewne jednak słyszeli już państwo o tragicznych wydarzeniach wczorajszego wieczoru.

Kątem oka zauważyłem, że mój znajomy oficer śledczy jest wśród zgromadzonych.

– Otóż krótko po opuszczeniu bankietu zorganizowanego na zakończenie festiwalu maestro Rucacelli padł ofiarą bandyckiego napadu. Pozwolą państwo, że oddam głos panu nadkomisarzowi Bielskiemu, który z ramienia Komendy Wojewódzkiej zajmuje się tą sprawą.

Nadkomisarz – nareszcie wiedziałem, jak go tytułować – podszedł do mikrofonu i bez zbędnych ceregieli zaczął:

– Wczoraj, krótko przed północą otrzymaliśmy informację o znalezieniu w parku nieprzytomnego mężczyzny. Na miejsce dotarliśmy po siedmiu minutach. Znajdował się tam już ambulans, który niezwłocznie przetransportował poszkodowanego do szpitala. Wedle wstępnych ustaleń dyrygent Damian Rucacelli, bo to on okazał się rannym mężczyzną, padł ofiarą napadu rabunkowego. Pan Rucacelli przeszedł wielogodzinną i skomplikowaną operację. Według ostatniego komunikatu lekarskiego jego stan jest ciężki, ale stabilny. To wszystko, co mam na razie państwu do powiedzenia. O postępach w śledztwie będziemy informować.

Nadkomisarz Bielski błyskawicznie opuścił punkt przy mikrofonie, nie dając nikomu żadnych szans na zadanie pytań. Do głosu powrócił dyrektor administracyjny, ale tylko po to, aby podziękować za udział w konferencji.

W jednej chwili zrobiło się niezwykle gwarno. Dyrektor przez chwilę stał w milczeniu, po czym z lekkim jakby uśmiechem – zawodowym, bo sytuacja wszak zabawna nie była – powiedział:

– Proszę państwa, proszę mi wierzyć, że dla dobra postępowania zdecydowaliśmy się na razie nie udzielać żadnych dodatkowych informacji. Postanowiłem zrobić malutki wyłom i odpowiedzieć na jedno pytanie, które tutaj przed chwilą usłyszałem. Nie był, podkreślam, nie był nam znany temat konferencji zaplanowanej przez maestro Damiana Rucacellego na dzisiejsze południe. Ponieważ pojawiały się w tej sprawie liczne spekulacje, raz jeszcze dementuję: temat konferencji był owiany tajemnicą. To wszystko, dziękuję państwu za przybycie. Do widzenia.

Huragan pytań, który się rozpętał, trwał czas jakiś, ale ponieważ jedyni poinformowani zniknęli, również dziennikarze zaczęli się pakować i opuszczać gmach filharmonii. I ja chciałem odejść, ale nieoczekiwanie usłyszałem znajomy głos:

– Panie Bartoszu, możemy chwilę porozmawiać?

Nie mogłem odmówić nadkomisarzowi. Zresztą byłem ciekaw, czy jego wiedza jest w istocie tak anemiczna, jak próbował wmówić dziennikarzom. Przeszliśmy do bardziej ustronnego korytarza przy portierni.

– Panie Bartku, czy jest pan pewien, że wszystko mi pan wczoraj opowiedział? Może coś się panu jednak przypomniało. Był pan w szoku, zmęczony...

– Czy to naprawdę nie pan Zbyszek? – odpowiedziałem pytaniem. – Bo zdaje się, że były jakieś obciążające go poszlaki.

– Nawet jeśli były, to już ich nie ma. – Nadkomisarz natychmiast zrozumiał, o co mi chodzi. – Skrzypek, o którym pan mówi, od czwartkowego wieczoru znajduje się w szpitalu i bez trudu sprawdziliśmy, że go w tym czasie nie opuszczał. Ale ja też pana o coś pytałem.

Poczułem coś w rodzaju potrójnej ulgi: za pana Zbyszka, Wandę i za siebie – bo pozostawałem w grze. A zarazem uznania dla Bielskiego, który nie dał się łatwo zbić z tropu.

– Nie, nic nowego sobie nie przypomniałem.

Choć przez sekundę czułem pokusę, aby uwolnić się od brzemienia tajemnicy, to odrzuciłem ją, pozostając wierny raz przyjętej wersji.

– Proszę mi powiedzieć, jeśli pan może, czy naprawdę podejrzewacie napad rabunkowy.

Inspektor nie odpowiedział od razu. Zapalił papierosa, znowu zaczynał te swoje cyrki.

– Nie mamy innych poszlak. Przeszukaliśmy miejsce przestępstwa, pokój hotelowy Rucacellego, jego gabinet w filharmonii. Nigdzie nic, co mogłoby nam podsunąć inny trop. Było więc pewnie tak, że mistrz wyszedł do parku przewietrzyć się po koncercie i bankiecie, a jakichś dwóch obwiesiów wzięło go na celownik i postanowiło sprawdzić zasobność jego kieszeni.

– A czy znaleziono coś przy nim?

– No, właśnie niewiele, a portfel z niezłą sumą i wszelkimi możliwymi kartami debetowymi i kredytowymi był w hotelu. Ale rabusie mogli sądzić, że ma go przy sobie.

– No a inne tropy... muzyczne?

– Mówi pan o waltorniście? – Bielski wiedział wszystko. – On w tym czasie był jeszcze na bankiecie. A jeśli chodzi panu o tę Wenus z wiolonczelą – ba, nawet o niej słyszał – to ona, owszem, ma chłopaka, tylko że chwilowo za granicą.

Krąg podejrzanych i motywów dramatycznie się zmniejszał.

– Pozostaje jeszcze ta konferencja prasowa...

– No, i co z nią?

– Pan się mnie pyta?

– Tak, pytam, bo mnie o niej nic nie wiadomo.

Krążące wśród muzyków pogłoski brzmiały jednak prawdopodobnie. Mistrz chciał zaproponować orkiestrze nagrania płytowe, a dla większego efektu pragnął to zrobić w blasku kamer. Podobno na próbie generalnej obecni byli przedstawiciele firmy nagraniowej, z którą związany jest kontraktem. Po południu lecieli dalej, ponoć na Festiwal Czajkowskiego do Petersburga. Czy te plany mogły komuś przeszkadzać? Komu: konkurencji, która postanowiła

się go pozbyć? Raczej bez sensu. Znowu odczułem pokusę, aby powiedzieć o batucie. Ale czy to coś mogło zmienić? Wyglądało na to, że sylwetki na moście zażądały portfela, zegarka i takich tam kieszonkowych drogocenności. Nie otrzymawszy nic, chciały wziąć cokolwiek, na przykład ciekawie wyglądające pudełko, które mistrz wyjął z kieszeni, opróżniając je na żądanie oprychów. Ale etyka zawodowa nie pozwoliła mu skalać magicznego sprzętu dotknięciem profana, wolał go wrzucić do wody. A to się mogło nie spodobać bandytom i zareagowali po swojemu, czyli nożem. Jeśli tak było, to Bielski miał rację i nie musiałem go w tym utwierdzać. Wyobraziłem sobie za to zdumienie i radość maestra, któremu wręczę jego cenną własność, gdy już odzyska przytomność...

– Mam jeszcze ostatnie pytanie. – Z zadumy wyrwał mnie głos nadkomisarza, który, uświadomiłem to sobie, nie spuszczał ze mnie wzroku. – Czy rozpoznaby pan któregoś z bandytów przy ponownym spotkaniu?

– Panie komisarzu, to mógł być każdy człowiek przeciętnego wzrostu, ubrany w długi płaszcz. Z pewną dozą ryzyka mogę jedynie wykluczyć, by któraś z sylwetek była kobietą. Tylko tyle.

– A, to jednak jest coś. – Bielski robił wrażenie zadowolonego, że rozmowa zakończyła się konstruktywnym wnioskiem.

Na pożegnanie obiecałem zatelefonować, gdyby mimo wszystko coś mi się przypomniało.

Zostawiałem sobie taką malutką furtkę...

Komórka Bielskiego zadzwoniła. Nadkomisarz, nie zwracając już na mnie uwagi, szybko wyszedł z budynku. Świat przestępstw nie ograniczał się do próby zabicia jednego, nawet tak znamienitego dyrygenta. I ja chciałem już wyjść, gdy tknięty nagłym impulsem i chwilową nieobecnością portiera, postanowiłem wspiąć się dwa piętra wyżej. Tam znajdowały się pokoje solistów oraz – szczególnie interesujący mnie w tej chwili – gabinet dyrygenta. Korzystając z faktu, że filharmonia była pusta – muzycy mieli wolne, a dziennikarze już ją opuścili – miałem nadzieję przeprowadzić malutkie śledztwo.

W zupełnej ciszy nacisnąłem klamkę. Niestety, drzwi były zamknięte.



ROZDZIAŁ III

PONIEDZIAŁEK PÓŹNIEJ

W nowej sytuacji postanowiłem za wszelką cenę odnaleźć piękną Wandę. Wydawała się jedną z niewielu osób, które mogły rzucić światło na tło wydarzeń związanych z maestro Rucacellim. Domyślałem się bardziej, niż wiedziałem, że w ostatnich dniach miała z nim kontakty częstsze i intensywniejsze, niż wynikałoby to z grafiku prób. Teraz gdy okazało się, że pan Zbyszek jest poza podejrzeniem, poczułem, że tym bardziej powinienem z nią porozmawiać.

Mieszkała z ojcem, co świadczyło, że nie mieszka ze wspomnianym przez Bielskiego chłopakiem. Nie zmartwiło mnie to. Adresu pana Zbyszka jednak również nie znałem.

Tym razem to ja zaskoczyłem portiera:

– No i co pan naopowiadał – nie dałem mu dojść do słowa – pan Zbyszek leży w szpitalu, a pan za łatwo daje wiarę plotkom.

Portier rozejrzał się wokół, po czym nachylił nieco, jednocześnie ręką dając znak, abym nadstawił ucha:

– Panie, mi się tu od początku coś nie zgadzało, ale jak pan Michał, a zwłaszcza pani Melpomena, zaczęli nadawać, jak to ten maestro najpierw pana Zbyszka załatwił przed orkiestrą i co potem z jego córką wyrabiał, to oni, mówili, sami by na jego miejscu to zrobili. I tak mnie skołowali... Ale ja czułem, że to nie on. – Portier jeszcze bardziej ściszył głos. – A ten dyrygent to się mnie wczoraj po koncercie pytał, czy ja zostaję na noc, bo on musi wrócić do swojego gabinetu jeszcze popracować, co mi się dziwne wydało, co on tam jeszcze chciał robić po koncercie, ale to nie moja sprawa, a za artystą pan czasem nie nadążysz, a ja mu na to, że nie, że na nocnej będzie kolega, a on, żebym ja jednak tego kolegę uprzedził, że on na pewno przyjdzie, może nawet bardzo późno, ale na pewno, bo to będzie straszna bomba, ale jak zmieniałem kolegę rano, to mi powiedział, że go nie było, ale jak mógł być, kiedy on tam już wieczorem półmartwy leżał...

Tę nieprawdopodobną frazę wypowiedział na krótkich oddechach, ale gdy musiał zaczerpnąć więcej powietrza, wpadłem mu w słowo:

– Tak powiedział, że to będzie straszna bomba? – spytałem.

– Dokładnie tak, ale, panie, ja nie mam pojęcia, o czym on mówił. Że pracował nad czymś u siebie, w gabinecie, to fakt, był tam przed próbami i po próbach, jakiś projekt szkował, pewnie coś z tym nagraniem, czy jak, bo tam go nawet ci agenci z wytwórni płytowej odwiedzali...

– Zaraz, zaraz, niech pan troszkę zwolni. A policji pan o tym wszystkim mówił?

– A co, policja tego nie wie? Ja nie mówiłem, bo jak przesłuchiwali kolegę, to mnie tu nie było, a kolega nie wiem, czy mówił. Może i nie, bo nie miał o czym. Jakby dyrygent w nocy przyszedł, to co innego, a tak? A myśli pan, że powinienem? – zaniepokoił się.

– Ależ nie, skądże – odpowiedziałem w najgłębszej niezgodzie z absolutnym przekonaniem, że powinien (znowu ten instykt). – Nie ma co im zawracać głowy głupstwami – dokończyłem, myśląc po cichu, że w wyścigu do rozwiązania zagadkowej próby morderstwa znowu zyskuję parę metrów przewagi. Ale co tam, w końcu policja dysponuje całą machiną, całym aparatem śledczym, a ja? Szczałkami informacji i mózgiem... altowiolisty. Nierówne siły, nie ma co gadać. Ostatecznie jednak to nie policja była moim wrogiem i nie miałem nic przeciw temu, żeby odkryli prawdę jak najszybciej. To znaczy... zaraz po mnie.

– Niech mi pan powie, tak między nami – próbowałem wytworzyć nastrój pewnej zażyłości – czy pokoje na drugim piętrze są zawsze zamknięte? – Portier spojrzał na mnie uważniej, więc natychmiast dodałem: – Za tydzień gram tu przesłuchanie i tak myślałem, czy gdzieś będę mógł się rozegrać.

Chyba udało mi się wybrnąć, bo w odpowiedzi usłyszałem:

– Normalnie są zamknięte, ale codziennie o dziesiątej przychodzi sprzątaczką i czy są artyści, czy ich nie ma, sprząta wszystkie pokoje na górze.

Rozumiałem, że słowa „artyści” użył w stosunku do bywalców drugiego piętra, dla reszty rezerwując określenie „muzycy”. Niech i tak będzie.

– Wie pan co, tak się panu przyglądam. Przydałby nam się w orkiestrze taki bystry chłopak. Powiem panu, że jak ja bym był w komisji, to już by pan miał u nas miejsce.

Nie wiedząc, czym zasłużyłem sobie na tak pochlebną opinię, uśmiechnąłem się z wdzięcznością i na odchodnym wyděbiłem jeszcze adres wiołonczelistki.

Pojechałem od razu. Nie miałem pojęcia, jak zabrać się do tej rozmowy i czym w ogóle wytłumaczyć moją wizytę. Trzy kilometry na rowerze, dystans w sam raz, aby coś wymyślić. Ale zanim mi się to udało, byłem już na Morelowej, ulicy jednorodzinnych domków z ogródkami. Bez trudu odnalazłem biały budynek z numerem pięć. Miałem właśnie zadzwonić, gdy furka w ogrodzeniu otworzyła się z impetem.

Młody mężczyzna, który z niej wyszedł, był zbyt wzburzony, by mnie zauważyć. Po chwili z posesji wybiegła – tak, tak! – Wanda we własnej osobie, krzycząc za nim:

– Jędreku, poczekaj!

Ale Jędreku nie chciał czekać; gwałtownie otworzył drzwi zaparkowanego przy jezdni nowiutkiego bmw cabrio i kontynuując serię gwałtownych czynności, odjechał z piskiem opon. Miałem wrażenie, że widziałem go już kiedyś. Nie wydawał mi się jednak muzykiem, choć nie

potrafiłbym od razu wytłumaczyć dlaczego. Nawet gdybym miał co do tego wątpliwości, bmw serii 1 cabrio je rozwiewało: w naszym kraju muzycy nie jeżdżą takimi samochodami, w innych chyba też nie należy to do reguły.

Dziewczyna chwilę postąpiła na ulicy, w końcu obróciła się, by wejść do domu. I wtedy mnie dostrzegła.

– O, to ty – powiedziała głosem osoby, której nic już nie jest w stanie zaskoczyć. Byłem zdumiony, że mnie od razu poznała, i wdzięczny, że odrzuciła ceremonialną formę pan/pani, bo to od razu skróciło dystans.

– Tak, to ja – zacząłem nie nazbyt błyskotliwie. – Pewnie ci przeszkadzam, ale bardzo chciałbym zamienić z tobą parę słów.

– Wiesz co, ja już sama nie wiem, co mi przeszkadza, a co nie, ale skoro taki kawał przyjechałeś, to wejdź do środka, napijemy się herbaty.

Wanda dokładnie zamknęła furtkę, a potem drzwi od domu. Koło naszych nóg zaczęły łączyć się dwa bure koty imponujących rozmiarów. Znalazłem się w salonie, skromnie umeblowanym, lecz pełnym bliskich sercu drobiazgów, świadczących, że w tym domu mieszkają muzycy.

Po chwili w pokoju zapachniało jaśminową herbatą, której dwa kubki dziewczyna wniosła na tacy.

– No, powiedz, co cię sprowadza – zaczęła.

Jak na ilość przeżyć, które los jej w ostatnich godzinach zgotował, była zadziwiająco spokojna. Pierwszy raz miałem okazję przyrzeć jej się z bliska. Bładość pozbawionej dziś makijażu twarzy kontrastowała z czernią prostych, ujętych dwiema sztykretowymi spinkami włosów i lekko podkrążonych, pozbawionych blasku oczu. Przeżycia i zmęczenie sprawiały, że wyglądała prawdziwiej niż zazwyczaj. Zdawała się ukrywać przed nieżyczliwym światem, opatulona zbyt dużym, poroziąganym swetrem. Sięgał jej prawie do kolan i skutecznie zasłaniał kształtną sylwetkę, której obraz zdążył odcisnąć się w mej głowie. Porwane dzinsy i ciepłe, zimowe kaptcie dopełniały obrazu domowej zbroi, w której chciała przetrwać ciężkie chwile. Nawet dłonie, jak gdyby w odruchu obrony, skryły się w powyciąganych rękawach wełnianej kołczugi. Nie była to Wanda, którą widywałem do tej pory: pewna siebie, zadbana do ostatniego szczegółu i świadoma swoich walorów, a jednak...

Ta podobała mi się jeszcze bardziej. Dziwiłem się, że niejaki Jędrzek nie uległ przed chwilą jej urokowi. Ja byłem bliski, aby znaleźć się pod jego działaniem, gdyż najbardziej pociągały mnie zawsze kobiety nieświadome swojego czaru. Ale zastanawiało mnie jeszcze coś – miałem wrażenie, że ona istniała już w mojej pamięci na długo przedtem, zanim jej się tak dokładnie przyjrzałem. I nagle wiedziałem już: ta z bliska i na nowo odczytana Wanda stanowiła ucieleśnienie moich wyobrażeń o... Annie Kareninie.

Oby tylko nie zacząć rozmowy po rosyjsku...

– Pewnie się domyślasz, o co chodzi... – zacząłem ostrożnie, ale Wanda mi przerwała:

– Wiesz co? Nie traćmy czasu. Facet, który przed chwilą stąd wybiegł, to jest mój chłopak, ojciec trafił do szpitala, tak samo jak człowiek, który pośrednio go tam wysłał. Widzisz więc, że mam o kim i o czym myśleć. Czy sądzisz, że to dla mnie najlepsza chwila na rozmowę?

Nie byłem zbyt pożądanym gościem. Zresztą, dlaczego miałbym być?

– Nie wiedziałem, że pan Zbyszek jest pani... twoim ojcem, naprawdę bardzo mi przykro, że znalazł się w szpitalu.

– Mówiąc precyzyjniej, to mój ojczym, a w szpitalu znalazł się trochę na własne życzenie.

– Jak to? Na własne życzenie zdenerwował się sytuacją na próbie?

– Nie, skąd. Chociaż ja akurat nie bardzo rozumiem, co takiego się właściwie wydarzyło: miał zagrać parę nut i to był taki problem? Chodzi mi o to, że mógł równie dobrze odpoczywać w domu, a wybrał szpital. Widocznie chciał mieć dwieście procent pewności, że już nie zobaczy Damiana...

Dziewczyna się zarumieniła. Niejeden malarz chciałby ją teraz sportretować, ale ja poczułem ukłucie zazdrości; moje wcześniejsze domniemania znajdowały potwierdzenie. Mało tego, w konflikcie między dyrygentem a skrzypkiem zdawała się przyznawać rację temu pierwszemu.

– To ja znalazłem wczoraj Rucacellego w parku – spojrzała na mnie z żywszą uwagą – a wręcz byłem świadkiem napadu na niego. Pomyślałem, że może będziesz tym zainteresowana, a może sama powiesz coś, co pozwoli mi więcej zrozumieć.

I zaczęliśmy rozmawiać. Z oczywistych powodów to nie Jędrzek mógł stać się adresatem jej wynurzeń, a ja znalazłem się pod ręką w odpowiedniej chwili.

Rucacelli – który z muzyków nie znał jego zdjęć i nagrań – zawsze się jej podobał. Kiedy pojawił się przed orkiestrą, poczuła, że podświadomie czekała na ten moment. Gdy zaczął jej okazywać zainteresowanie, przyjęła to jako zapowiedź niezwykłej przygody. Kiedy zaś doszło do konfliktu, dość jednostronnie powiedziałbym, między dyrygentem a jej ojczymem – dziwiła się przede wszystkim gwałtowności reakcji tego drugiego. Ona sama była na tyle młoda, że solowe odpytywania stanowiły część jej wyobrażeń o sposobach pracy co większych mistrzów batuty. Po feralnej próbie podeszła jednak do Rucacellego, który strasznie się zmieszał, dowiedziawszy się, że nieszczęsny skrzypek jest jej ojcem. Gdy trafił do szpitala, maestro zadzwonił do dziewczyny, proponując wspólne odwiedziny u chorego, do czego oczywiście nie doszło, bo Rucacelli był ostatnim człowiekiem, którego pan Zbyszek miałby ochotę widzieć. Dziewczyna była jednak poruszona troskliwością Damiana – tak przynajmniej mówiła – i zgodziła się na spotkanie, które miało nastąpić nazajutrz, po próbie z chórem.

Pamiętałem ten wieczór. Wracając do domu, zaobserwowałem scenkę, która z jednej strony mnie zmartwiła, z drugiej natomiast potwierdziła trafną interpretację ledwo zauważalnych gestów.

W pewnym momencie z filharmonicznego hallu wyszło kilkoro muzyków, wśród których rozpoznałem wiolonczelistkę. Przystanęli, jakby naradzając się, co dalej. Z gestykulacji można było wywnioskować, że dziewczyna nie pójdzie z nimi, gdyż czeka na kogoś. Pożegnali się, a kiedy grupka rozgadanych kolegów zniknęła za rogiem, Wanda rozejrzała się i ruszyła w kierunku hotelu Luxor. Obrotowe drzwi pochłonęły ją żarłocznie. Domyślałem się, co to oznacza. Poszła do hotelu, w którym mieszkał Rucacelli, z oczywistych powodów nie czekając na niego i nie afiszując się z tą nagłą, a wykraczającą poza zawodowe ramy znajomością.

Być może nie połączyłbym ze sobą tych zdarzeń, gdyby nie fakt, że ukradkiem obserwując dziewczynę, zauważyłem jej maskowane, ale dalece nieobojętne spojrzenia kierowane do dyrygenta. Stary wyga musiał rozumieć ich znaczenie i postanowił nie

przepuścić okazji. Parę scen było zagranych najwyraźniej pod adresem zauroczonej piękności. Nie opuszczała mnie nadzieja, że zarzewie tego romansu istnieje tylko w mojej wyobraźni, ale coś mówiło mi, że się nie mylę.

Nie dziwiła mnie fascynacja młodej, wrażliwej dziewczyny słynnym dyrygentem, niepozabawionym przy tym pewnych walorów mogących uchodzić w kobiecych oczach za atrakcyjne. Ale on, na którego w podobny sposób musiało patrzeć już mnóstwo zachwyconych niewieścich oczu? Kim był? Kolekcjonerem? Niewyżytym samcem? Czy płonąącym żywym ogniem artystą, szukającym chwilowych ukojeń wszędzie tam, gdzie dawały się znaleźć?

Gdy nazajutrz wspomniałem o tym zjawisku – nie konkretnym przypadku – Sebastianowi, odpowiedział mi:

– No cóż, mężczyźni około pięćdziesiątki zaczynają bać się śmierci, bardziej eufemistycznie zwanej też przemijaniem. Najlepszym lekarstwem na te lęki są silne, gwałtowne wręcz wrażenia, których słabością jest jednak krótkotrwałość i ciągła potrzeba szukania następnych.

Następczyni raczej, pomyślałem.

– No dobrze, a gdzie uczucia?

– Uczuć tam pełno, tyle że swoiście pojmowanych. Niektórzy sądzą, że więcej dając, więcej mogą brać. Przyznają sobie większe prawa. Ich moralność jest jak guma, daje się rozciągać.

Nie przekonał mnie do końca, ale jego doświadczenie życiowe było w oczywisty sposób większe i taką właśnie odpowiedź mu podsunęło. Miłosne podboje jako antidotum na lęk przed śmiercią. Byłżeby to naczelny motyw działań samego Don Juana? Niestety, w mojej głowie ten amant budził zupełnie inne asocjacje.

– Panie Sebastianie, czyli pan nie boi się śmierci? – prowokacyjnie uprościłem zagadnienie.

– No cóż – po chwili zastanowienia zaczął antykwariusz – po pierwsze, nie jestem artystą, a po drugie, odpowiedzi na nurtujące mnie problemy poszukuję tutaj. – Zatoczył ręką koło, wskazując setki, a raczej tysiące tomów wypełniających półki na wszystkich ścianach. – Nie uwierzyłbyś, ile emocji i adrenaliny można w nich odnaleźć – zakończył, uśmiechając się żartobliwie.

Jaki miał być – lub był – wieczoru ciąg dalszy, nietrudno się było domyślić. Wanda twierdziła jednak, że spotkanie nie trwało długo i wkrótce wróciła do domu. Rucacelli zaczął bowiem odbierać telefony, które zupełnie odmieniły jego nastrój. Zamówił dla niej taksówkę, a sam zamierzał przeprowadzić jeszcze parę rozmów telefonicznych w sprawie ważnego kontraktu płytowego. Pożegnał się z nią czule, pytając, czy zgodzi się na spotkanie następnego dnia, i obiecując niezapomniany wieczór. Wanda nie odmówiła. W trakcie pokoncertowego bankietu Rucacelli poprosił dziewczynę, by cierpliwie na niego czekała. Prędzej czy później będą mieć czas tylko dla siebie, maestro zaś zamierzał dotrzymać złożonych wcześniej obietnic.

Można powiedzieć, że mu się udało, choć niekoniecznie w zaplanowanej formie, pomyślałem nie bez odrobiny ponurej satysfakcji; niedzielny wieczór miał się okazać niezapomniany dla wielu osób.

Nie miałem pojęcia, ile w tej opowieści jest niedomówień i nieścisłości, ale sam fakt, że dziewczyna tyle mi powiedziała, był zastanawiający. A najbardziej zaskakujący był sposób,

w jaki mówiła o Rucacellim. Każdą intencję, nawet z daleka wyglądającą niejednoznacznie, tłumaczyła na jego korzyść. Oto skrajny przykład zauroczenia; ciekaw byłem, kiedy Wanda się z niego otrząśnie. Zastanawiałem się też, czy perfidia Rucacellego mogła sięgać tak daleko, że postanowił pognać ojca dziewczyny, byle tylko usunąć go z drogi ewentualnego podboju? Jednak niepodyktowana faktyczną potrzebą ucieczka skrzypka do szpitala wyglądała jak klasyczna próba zapewnienia sobie alibi. Wiedziałem, że ponosi mnie wyobraźnia; jedno i drugie było prawdopodobnie nonsensem, ale takie myśli przebiegały mi przez głowę. Widać mój instykt łowcy kryminalnych zagadek zaczął przerastać rzeczywistość.

W rewanżu opowiedziałem Wandzie o swoim wieczornym spacerze, o teatrze księżycowych sylwetek oraz szoku, który przeżyłem, odkrywając tożsamość ofiary. W kwestii batuty postanowiłem być bardzo oględny. Nie ujawniając epizodu policji tym mniejszy miałem powód, aby wyjawiać go komukolwiek.

– Wydawało mi się, że Rucacelli wrzucił coś do wody – powiedziałem tylko, kładąc nacisk na słowo „wydawało” i fakt, że nic nie zostało znalezione. Ku mojemu zdziwieniu ten drobiazg zainteresował Wandę. Próbowwała nawet dowiedzieć się czegoś więcej, ale nie miałem nic do dodania.

Zastanawiałem się też, skąd na ulicy Morelowej wziął się chłopak wiolonczelistki. Ze słów nadkomisarza Bielskiego wynikało, że jest za granicą. Czyżby życzliwi już zdążyli mu donieść o ponadprzeciętnej sympatii, którą jego dziewczyna obdarzyła dyrygenta?

– Czy miałaś duże... problemy ze swoim chłopakiem? – Nie wiedziałem, czy mogę sobie pozwolić na to pytanie, ale widocznie musiało przemknąć przez moją głowę echo przysłowia: „Gdzie dwóch się bije...”. Wanda znów spojrzała na mnie wzrokiem, którego nie rozumiałem.

– Nie, to nic takiego, on przyleciał rano z Brukseli i kiedy mnie nie zastał w domu, przyjechał tutaj.

– To nie jest twój dom? – Wiedza portiera była niekompletna.

– I tak, i nie. Od pewnego czasu mieszkamy razem z Jędrzejem, ale jego nie było, a skoro ojciec wyładował w szpitalu, ktoś musiał zaopiekować się kotami. Jędrzej i mój ojciec, no cóż, nie przepadają za sobą.

To jeszcze nie powód do awantury, pomyślałem.

– Nie zdążyłam Jędrzejowi wytłumaczyć, co się stało, on jest dość porywczy.

– Takie odniosłem wrażenie...

– Jak go znam, zaraz tu wróci, żeby mnie przeprosić.

Była pora na mnie. Czy to naprawdę Jędrzej powinien przeproszać – miałem wątpliwości, ale nagle poczułem nieodpartą potrzebę wyjścia. I nie chodziło tylko o chęć uniknięcia porywczego Jędrusia, choć niewykluczone, że zanim zdążyłbym mu wytłumaczyć charakter mojej wizyty na ulicy Morelowej, doszłoby do kolejnej próby morderstwa. Zrezygnowałem z pytania o charakter zajęć chłopaka/narzeczonego Wandy, jak również o to, dlaczego jego twarz wydała mi się znajoma. Z tym charakterkiem byłby murowanym podejrzanym, gdyby nie to, że dopiero co przyleciał z Brukseli. Zaraz, zaraz: z Brukseli? Coś mi zaczęło świtać... Wymieniliśmy się numerami telefonów i pożegnaliśmy jak dość dobrzy znajomi. Jeszcze dwa dni wcześniej ten rodzaj zażyłości z piękną wiolonczelistką wydawał mi się zarezerwowany tylko dla wybranych. Cóż z tego, skoro lista oczekujących wydłużała się z każdą chwilą.

W drodze do domu starałem się powiązać pewne fakty. Ruch na świeżym powietrzu zawsze sprzyjał u mnie procesom myślowym. Ale nie tym razem. Wziąłem na siebie, nie wiedzieć czemu, trud rozsąplania zagadkowych węzłów. Dobrze, posiadałem ten nieszczęsny instynkt, ale do tej pory ograniczał się on do prób rozwikłania intryg istniejących jedynie na kartkach powieści kryminalnych. Teraz było inaczej – był prawdziwy nóż i nieomal prawdziwy trup.

Zacząłem przepytywać ludzi jak jakiś domorosły, samozwańczy detektyw, pewnie bez sensu i w niewłaściwej kolejności. Zdobytymi informacjami mogłem... No właśnie, co ja z nimi mogłem? Raczej niewiele. W jaką sensowną całość połączyć prawie martwego dyrygenta ze znerwicowanym, leżącym w szpitalu skrzypkim i jego córką, piękną nimfomanką, której nie wystarczył przystojny i zakochany w niej chłopak oraz wianuszek orkiestrowych wielbicieli? Wzięła lub pozwoliła się wziąć na celownik przybyszowi, któremu do pełni obrazu brakowało tylko białego konia.

Miałem też batutę, najwyraźniejszy, lecz zarazem najbardziej tajemniczy element w sprawie.

Były pogłoski mówiące o kontrakcie płytowym, domniemanie, że dyrygent zamierzał wrócić w koncertowy wieczór, nawet późną nocą, do filharmonii i, jeśli wierzyć portierowi, miała z tego wyniknąć prawdziwa bomba. I jeszcze to niezrozumiałe zainteresowanie Wandy przedmiotem wrzuconym przez dyrygenta do wody.

W sumie niewiele... A może i nie ma, tylko jak w tym doszukać się sensu?

Niewiele miałem też w swojej lodówce. To był dobry moment, aby przekąsić coś w quasi-hinduskiej restauracyjce. Mówię – quasi, bo nie mogłem stwierdzić, czy serwowane dania są w istocie hinduskie. Okazały się jednak bardzo smaczne i wegetariańskie, a to nie było dla mnie bez znaczenia.

Wracałem do domu pokrzepiony. W innej sytuacji wpadłbym pewnie na krótką rozmowę do pana Sebastiana, ale dziś nie miałem czasu. Wiedziałem, że jeśli za chwilę nie zabiorę się do solidnego ćwiczenia, perspektywa rezygnacji z udziału w przesłuchaniu niebezpiecznie się przybliży, a do tego nie chciałem w żadnym razie dopuścić. Eston wymógł na mnie spacer, ale zdecydowałem, że był to spacer krótki. Gdy zaczynałem swoje sam na sam z instrumentem, mój zegarek pokazywał godzinę szesnastą. Powiedziałem sobie, że do wpół do ósmej świat zewnętrzny dla mnie nie istnieje...

Dokładnie o tej porze rozkręciłem smyczek, odłożyłem do futerału altówkę i zmęczony, ale zadowolony, usiadłem w fotelu. Mięśnie obu rąk, rozgrzane wielogodzinnym ćwiczeniem, przyjemnie pulsowały. Czułem się jak człowiek spacerujący po linie, który mimo silnego podmuchu wiatru nie dał się z niej zepchnąć. Uczucie satysfakcji towarzyszy pewnie każdej dobrze wykonanej pracy. Świadomość, że zrobiło się to, co najważniejsze, posiada funkcję silnie terapeutyczną, pozwala w końcu rozluźnić się i pomyśleć o wszystkim bez nerwowego napięcia, od którego inaczej uwolnić się nie sposób.

Nadeszła pora coś zjeść, włączyć muzykę inną od dopiero co granej. Jak wtedy smakuje najprostsze nawet spaghetti z łykiem czerwonego wytrawnego, dosmaczone jeszcze frazą Pata Metheny'ego...

Wreszcie mogłem z czystym sumieniem włączyć internet. Wiodące portale informowały o wydarzeniach dość lakonicznie: „Wczoraj wieczorem w parku nieopodal filharmonii znaleziono nieprzytomnego dyrygenta Damiana R., który krótko przedtem

poprowadził koncert zamykający I Festiwal Symfonii Ludwiga van Beethovena. Według policji artysta padł ofiarą napadu rabunkowego. Jego stan lekarze określają jako ciężki, ale stabilny”.

Informacja ukazała się o ósmej trzydzięci. Kolejna pochodziła z godziny piętnastej: „Lekarze nadal walczą o życie słynnego dyrygenta, który wczoraj wieczorem...” – i tak dalej. Krótko mówiąc, informowano o powszechnie znanych już faktach. Mogła to być kolejna ze spraw, która zaistniawszy na czołówkach mediów szybko z nich wyparuje. Z powodu braku dalszego ciągu.

Wyszukiwarka, w którą wpisałem imię i nazwisko dyrygenta, odpowiedziała plikiem stron przytaczających krótkie lub bardziej rozbudowane życiorysy maestra (był w jednej z czołowych europejskich agencji impresaryjnych), zapowiedzi odbytych lub mających dopiero nastąpić koncertów; zamieszczono też recenzje z nagrań (naliczyłem szesnaście krążków – pokaźny dorobek, choć z pewnością nie było to kompendium dyskografii mistrza), zrealizowanych głównie dla znanej włoskiej wytwórni fonograficznej.

W części dotyczącej koncertów uderzyła mnie spora ich liczba we Włoszech i w Szwecji; widać związki mistrza z Włochami były więcej niż symboliczne. A może brzmienie nazwiska ułatwiało mu karierę na Półwyspie Apenińskim? Przedstawiciele agencji artystycznych i menedżerowie niejednokrotnie sugerują drobne korekty w nazwiskach lub imionach artystów, którzy mają ochotę zaistnieć na różnorodnych rynkach. Trzeba przyznać, że Damian Rucacelli brzmiało jak pseudonim artystyczny i to niekoniecznie muzyka, raczej jakiegoś prestidigitatora. Wszystko wskazywało jednak, że nie ingerowano w kształt imienia i nazwiska mistrza, to było ich autentyczne brzmienie.

Jeśli chodziło zaś o Szwecję, to – jak przeczytałem w jednym z wywiadów – była ona jego drugim miejscem zamieszkania.

Cudowna równowaga Północy i Południa, chłodu i żaru, dystansu i pasji. Pozazdrościć.

Materiały znalezione w internecie dawały jasną wizję: maestro był w świecie muzycznym postacią dużego formatu. Nigdy zresztą w to nie wątpiłem. Nazwisko Damian Rucacelli wywoływało natychmiastowe skojarzenia i podobnie jak na przykład Luciano Pavarotti, musiało być znane szerokiej publiczności. Konsekwencja była prosta: dyrygent należał do ludzi zamożnych, bardzo zamożnych. Takich, którzy w każdej chwili mogą mieć przy sobie coś cennego. Tak po prostu, w kieszeni, w portfelu, w skarpecie czy gdzie tam jeszcze... Już naprawdę niewiele schowków zostało – powiedziałyby mój angielski kolega. Czy policja naprawdę nic nie wie, czy też informacja o rabunkowym podłożu napadu ma jakieś podstawy?

Rabunek, zazdrość, zemsta, nagrania, batuta... Czy to się da połączyć w jakąś logiczną całość? Dobre pytanie. Nie posunąłem się ani o krok. Zresztą miałem już na dzisiaj dość. Cieszyła mnie perspektywa wieczornego spaceru z Estonem. Marzyłem o świeżej porcji tlenu, która będzie jak łyk nasennego eliksiru.

Tym razem ruszyliśmy w kierunku rzeki. Naszła mnie refleksja, że wszystkim rządzi przypadek. Przecież wczoraj mogliśmy też tu przyjść. Świat toczyłby się jednak trochę inaczej. Damian Rucacelli byłby pewnie martwy, o tajemniczej batucie nie wiedziałby nikt z wyjątkiem księżycowych sylwetek. Może więc to jednak nie przypadek? Może wypełniamy rolę w dawno zaplanowanym scenariuszu?

Na dobranoc postanowiłem jeszcze raz, na spokojnie przyjrzeć się batucie. Może w zmęczeniu przeoczyłem jakiś element, coś, co rzuciłoby więcej światła na jej związek

z dramatycznymi wydarzeniami?

Była masywna, niezbyt długa i znacznie grubsza od współczesnych pałeczek. Owszem, piękna i jak wiele przedmiotów z przeszłości zachwycała swoim wyglądem. Do jej wykonania nie pożałowano szlachetnych materiałów, połączonych rzemiosłem wysokiej próby.

Pałeczkę zrobiono z drewna palisandrowego, gustownie inkrustowanego szylkretem i w trzech dość równomiernie rozłożonych miejscach ozdobionego złotymi pierścieniami. Dostojne cechy wskazywały, że może pochodzić nawet z dziewiętnastego wieku. Być może w przeszłości należała do jakiegoś wybitnego dyrygenta, nie wiem: von Bülowa, Toscaniniego, Bernsteina czy von Karajana? To z kolei mogło stanowić o jej niezwyklej wartości, nie tylko materialnej, ale historycznej i kolekcjonerskiej³.

Osobiście miałem przyjemność grać z dyrygentami używającymi: ołówka, chińskiej pałeczki do ryżu lub posługującymi się tylko dłońmi; niektórzy potrafili niezwykle sugestywnie kształtować nimi dźwięk. Maestro Rucacelli był w tym względzie wyznawcą (praktykującym) starej szkoły, a podpieranie się autorytetem wszystkich poprzednich użytkowników pałeczki (jeśli tacy byli) świadczyć mogło o wadze, jaką przykładał do naszego wspólnego koncertu.

Magia. Częstki osobowości mistrzów, w których rękach kiedyś się znajdowała, wzbogacały siłę przekazu, nadając jej moc nieomalże czarnoksiężką. To dlatego maestro wolał, by przepadła, niż dostała się w niepowołane ręce? Przyglądałem się batucie aż do bólu głowy, ale nie dostrzegałem nic oprócz już wymienionych cech. Należało sądzić, że pałeczka jest po prostu cenna, bardzo cenna, a dla kogoś, kto należycie potrafi ocenić jej wartość – wręcz bezcenna. O jaki rodzaj wartości chodziło, pozostawało tajemnicą. Batuta, będąc sama zagadką, stanowiła też najprawdopodobniej klucz do jej rozwiązania. Ale wraz z tym wnioskiem nasunął mi się inny: być może Rucacelli pragnął odwrócić uwagę księżycowych sylwetek od czegoś jeszcze cenniejszego? No jasne, tak można w nieskończoność. Poczułem, że kręci mi się w głowie.

Fakt, że dyrygent ma przy sobie batutę, jest tak samo naturalny jak kwiat w ręku kwiaciarza lub skalpel w dłoni chirurga – mówiła jedna półkula mego mózgu.

A druga odpowiadała: Zgadza się, ale w sali koncertowej, kwiaciarni lub w szpitalu, a nie zawsze i wszędzie. Zresztą i kwiat, i batuta, i skalpel nabiorą innego kontekstu, kiedy staną się elementem kryminalnych zdarzeń – dodawała.

Postanowiłem zakończyć rozważania, bo nierozwiązane za dnia problemy nabierają przed nocą gargantuicznych rozmiarów.

Jeden wniosek nasuwał się sam: ustalenie rodowodu batuty mogło dać pojęcie o jej wartości zabytkowej. Tu liczyłem na pomoc antykwariusza, którego rozległe znajomości dawały szansę na zgłębienie sprawy. Aby tak się stało, musiałem jednak wtajemniczyć Sebastiana w całokształt wypadków.

Gdy przemożnej chęci snu towarzyszyły chaotyczne migawki minionego dnia, jedna z myśli wydała mi się nagle ważniejsza od innych. Już prawie ją miałem, gdy zaczęła przede mną uciekać, jak motyl, który na odlotnym przekształcił się w małą znikającą ćmę.



ROZDZIAŁ IV

WTOREK

Pierwsze smużki zapachu świeżo parzonej kawy obiecująco podrażniły moje nozdrza. Choć noc upłynęła na daremnych próbach połączenia nieprzystających do siebie faktów, dzisiejszy dzień musiał być dobrze zaprogramowany. Miałem przed sobą parę godzin radiowego nagrania. Resztę czasu i sił zamierzałem poświęcić na ćwiczenie, a pozostałe chwile na moje detektywistyczne, pożałuj Boże, wysiłki.

Czuźne ucho wyłowiło skrzypienie łóżka; czarny, wilgotny nos błysnął światłem odbitym od ulicznej latarni. Za nim, już na całego, runął w wesołych przymerdach pies właściwy wraz z obłokiem aromatu zaparzonej kawy. Noc była ciężka, ale poczułem nowy zapas energii.

Otworzyłem szeroko okno, spojrzałem na ulicę i nagle ujrzałem... siebie sprzed pół roku.

Była niedziela, dzień przeprowadzki. Sąsiedzi, zamiast cieszyć się, że ich opuszczam, robili wrażenie zmartwionych. Czułem się jak ktoś, kto wyjeżdża w daleką, atrakcyjną podróż, dla nich niedostępną. Na szczęście – w tym przypadku należało mówić o szczęściu – dobytek miałem niewielki. O meblach żadnych nie było mowy, jedynym quasi-stałym elementem wyposażenia był sporych rozmiarów materac. Wszystkie moje nuty, książki, ubrania i drobiazgi zmieściły się do wnętrza niewielkiego renault, którym stary przyjaciel postanowił wspomóc mnie w przenosinach, a łóżko zostało przymocowane – w dość chałupniczy zresztą sposób – do dachu samochodu. A propos niewielkich aut – koledzy badali kiedyś granice pojemności małego fiata: do chluby krajowej motoryzacji udało im się wepchnąć w sześciu plus kontrabas.

Nie wiedziałem, co zrobić z Estonem. Nie chciałem zostawiać go w opustoszałym mieszkaniu, by nie budzić złych skojarzeń, z kolei w samochodzie nie było już miejsca na nic, nie mówiąc o całkiem sporym psie (ambicji ustanawiania nowych rekordów nie mieliśmy tego ranka).

Poprosiłem przyjaciela, żeby pojechał beze mnie – dzięki temu dopchaliśmy autko ostatnimi drobiazgami – ja zaś postanowiłem pokonać drogę pieszo razem z moim czworonogiem, ale dopiero po uprzątnięciu starego mieszkania i oddaniu kluczy właścicielowi. Raz opuściwszy to miejsce, nie chciałem już wracać. Właściciel kawalerki za wszelką cenę starał się znaleźć ślady naszej dewastacyjnej działalności, ale w końcu dał za wygraną i machnął tylko ręką. Był to dla nas znak do wymarszu.

Gdy zmordowany, ale szczęśliwy, zbliżałem się z psem w okolice nowego mieszkania, z przeciwnej strony ulicy nadjechał renault. W tym momencie – dobrze, że nie wcześniej – puściły nieudolne wiązania materaca. Sprężysta gąbka wylądowała przed nami niczym czarodziejski dywan zapraszający do podróży. Eston nie wahał się ani chwili – wskoczył nań i rozłożył się w najlepsze.

Wnoszenie kartonów przebiegło jednak sprawnie i po małej godzinie byliśmy już z całością mojego inwentarza – żywego i nieożywionego – na górze. Oglądałem przez okno nową okolicę; jakżeż różniła się od dopiero co opuszczonej.

Z tego samego okna patrzyłem teraz na ulicę, która powoli budziła się do życia.

Zaopatrzeniowcy lokalnych sklepików robili hałas trzaskając skrzynkami pełnymi dóbr. Czasami stukot obcasów zdradzał płęć wyłaniających się z mgły i ginących w niej, szczelnie opatulonych postaci. Niekiedy chmura dymu sygnalizowała spieszących – może już do pracy, a może dopiero do domu – pałaczy.

Sprawdziłem internet; żadnych nowości. Sprawa zatrzymała się w miejscu – skonstatowałem nie bez przyjemnego dreszczyku emocji, bo to znaczyło, że na zamykanie kryminalnej wyobraźni jeszcze za wcześnie. Pijąc gorącą kawę, zastanawiałem się, jaki kierunek spaceru wybrać tego ranka.

Park był chwilowo spalony. Czy jednak naprawdę należało sądzić, że księżycowe sylwetki od dwóch dni nie robią nic innego, tylko czatują przy bramie na dziwnego psa, który wyłonił się jak spod ziemi i zgarnął im sprzed nosa cenny łup? Eston był ich jedynym łącznikiem ze sprawą. Zdążyli mu się przyjrzeć w pełnym księżycu z odległości zaledwie metra. A idę o zakład, że ktokolwiek raz zobaczył Estona, nie mógł mieć nigdy problemów z jego rozpoznaniem. Wniosek nasuwał się sam: sylwetki będą próbowały odszukać psa, a przez psa – jego właściciela, czyli mnie, i porwany przedmiot. Park był jedynym miejscem, dającym im na to cień szansy.

Logiczne wydawało się więc, że pójście do parku stanowi ryzyko. Niewykluczone jednak, że sytuacja zmieniła się. Powody, dla których szukali batuty przestały istnieć. Teoria, że złoczyńcy zawsze wracają na miejsce przestępstwa, wydawała mi się bardziej literacka niż racjonalna.

Czynią tak, jeśli mają powód, w przeciwnym razie nie będą sami pchać się do saka. Innymi słowy: moje obawy przed spacerami do parku mogły nie mieć podstaw. A jeśli miały? Wówczas powinienem odpowiedzieć sobie na pytanie, czy chodzi mi o znalezienie niedoszłych zabójców dyrygenta, czy o rozwikłanie zagadki batuty. Wszystko wskazywało na to, że nie da się ich rozdzielić. Być może trzeba trochę sprowokować los?

Poszliśmy więc do parku. Ale czekała nas niespodzianka: był zamknięty. Nie pamiętałem takiej sytuacji. Na metalowej bramie wisiał potężny łańcuch, spięty nowiutką, mosiężną kłódką.

Widocznie na wniosek policji władze miasta podjęły decyzję o czasowym wyłączeniu niebezpiecznego miejsca z ogólnego dostępu.

Park był ogrodzony, ale czy istnieje gdzie publiczny płot bez choć jednej dziury? I ja taką znałem, dzięki Estonowi oczywiście, choć okoliczności jej odkrycia – pościg za kotem, uwięziony udaną, z punktu widzenia kota, ucieczką na drzewo – były dość nerwowe. Kłódka na bramie oznaczała, że park będzie tego ranka do naszej wyłącznej dyspozycji. Ale i tym razem się myliłem. Pies niespuszczony jeszcze ze smyczy zachowaniem dał mi znać, że dziś również nie jesteśmy tu sami. Z wody bezszelestnie wyłonił się płetwonurek. Zaczął coś tłumaczyć mężczyźnie, który właśnie wysiadł z czarnego jeepa. Po chwili ubrana w gumowy kombinezon postać ponownie wśliznęła się pod wodę, zaś mężczyzna zniknął wewnątrz samochodu.

Chciałem nowego tropu, to go miałem. Niestety, niewiele wyjaśniał, a raczej dorzucał kolejny kamyczek do hałdy niezrozumienia. Ale przecież któregoś dnia wszystko poukłada się w czytelną mozaikę, pocieszałem się.

Kim byli mężczyźni w parku? Policja? Czy raczej księżycowe sylwetki? A może wariant trzeci: przypadek, czyli zbieg okoliczności. Jeśli policja, to spóźniona, jeśli sylwetki – to znaczyło, że Rucacelli wrzucił do wody więcej niż jedną rzecz. Jedyne wariant trzeci zwalniałby mnie z obowiązku analizy. Tyle, że to by było za proste... Mimo wszystko postawiłem na policję. Czy jednak w takiej sytuacji nie powinienem bezwarunkowo podzielić się z nimi swoją wiedzą? Z płataniną myśli wracałem do domu. I nie wiedziałem już, czy to sprawa się komplikuje, czy też moja rola staje się coraz bardziej zawikłana.

Na poddaszu nie zabawiłem długo. Co prawda nagranie zaczynało się o jedenastej, ale korciło mnie, żeby po drodze wpaść do filharmonii, zamienić słowo z gadatliwym portierem i pod byle pretekstem udać się na drugie piętro. O tej porze sprzątaczką powinna właśnie porządkować pokoje. Tym razem trafiłem na zmiennika mojego recepcjonisty, tego, do którego Rucacelli miał się zgłosić nawet późno w nocy. Zgodnie z zasadą jakiejś kosmicznej równowagi był on małowówny, mało kontaktowy i miałem wrażenie, że niczego się od niego nie dowiem. Trzeba było posunąć się do małego fortelu.

– Muszę pójść do sekretariatu, żeby dostarczyć brakujące dokumenty – zełgałem. – W przeciwnym razie nie będę mógł wziąć udziału w poniedziałkowym przesłuchaniu – dodałem zrezygnowanym głosem.

Portier spojrział na mnie bez słowa i podniósł słuchawkę. No cóż, kłamstwo ma krótkie nogi. W napięciu czekałem na demaskację, jednak portier zniecierpliwionym ruchem odłożył słuchawkę na widełki, mrużąc pod nosem:

– Te to zawsze gadają... – Głośno zaś dodał: – Niech pan idzie, tylko szybko, i przy okazji powie im, żeby nie blokowały służbowej linii.

Mrugnąłem porozumiewawczo i z ulgą pognałem po schodach.

Wbiegłem od razu na drugie piętro. Pokoje rozlokowane były po lewej stronie korytarza. U jego końca, na prawo, znajdowało się specjalne wejście do sali koncertowej, zastrzeżone do wyłącznego użytku solistów i dyrygentów. Z oddali dochodziło buczenie odkurzacza. Drzwi od pokoi solistów i gabinetu dyrygenckiego – celu mojej wizyty – były szeroko pootwierane. Sprzątaczką miała widocznie swój system pracy: zaczynała od

pomieszczenia najdalszego, by sukcesywnie zbliżać się w kierunku schodów. Pokój dyrygencki był więc ostatni na jej szlaku, a pierwszy na moim. Rzut oka przekonał mnie, że wewnątrz nie ma nikogo.

Wszedłem do środka. Pomieszczenie, przestrzenne i kameralne zarazem, nie ofitowało w nadmiar sprzętów, wyposażone było jednak we wszystko, co niezbędne do pracy i odpoczynku mistrza batuty. Na środku podłogi z dwukolorowego drewna leżał puszysty dywan w kolorze starego burgunda. Ogarniając wnętrze wzrokiem zgodnie z ruchem wskazówek zegara, widziałem, co następuje: lewy róg zajmował fortepian, domowa wersja marki Bösendorfer. Na środku ściany wisiał obraz znany mi do tej pory wyłącznie z reprodukcji. Było to płótno autorstwa znakomitego impresjonisty Piotra Siemielnianego, namalowany w tysiąc dziewięćset szóstym roku obraz *Filharmonia*. Na pierwszy rzut oka wśród setek kolorowych plam trudno było odnaleźć znajome kształty. Dopiero dobrze ustabilizowany wzrok pozwalał nie tylko je odszukać, ale i zachwycić się niezwykłą, jakby z naturalnego źródła pochodzącą, światłością obrazu.

Przypomniało mi się inne płótno, również przedstawiające budynek filharmonii, choć namalowane w zupełnie innej manierze. Wiszące w miejscowym muzeum dzieło składało się z geometrycznych figur – do czego, przyznajmy, prostota filharmonicznej bryły nieco prowokowała – nasączonych intensywnymi kolorami, o bogactwie i rozpiętości tęczy. Moja eksdziewczyna zareagowała kiedyś na jego widok słowami:

– Kubizm. A nawet puchatyzm.

Widząc tu obraz Siemielnianego, byłem jednak zaskoczony, że tak po prostu wisi sobie w dyrygenckim gabinecie. Z pewnością zasługiwał na większe środki bezpieczeństwa.

W kolejnym rogu znajdował się stolik, z wazonem całkiem jeszcze świeżych kwiatów.

Rozpoznałem w nim bukiet wręczony Rucacellemu po koncercie. Byłem prawie pewien, że jeszcze na scenie przekaże go Wandzie, ale widać postanowił być ostrożny lub czekał na bardziej intymną sytuację. Tuż za nim stał postument z popiersiem Mieczysława Karłowicza, któremu filharmonia zawdzięczała swoje imię. Podobizna kompozytora wykonana była w skali mniej więcej jeden do dwóch; wizerunek uzupełniony był nieczytelnym podpisem i rokiem wykonania: tysiąc dziewięćset trzydziesty siódmy.

Ściana naprzeciwko drzwi wejściowych po swojej lewej stronie zastawiona była półkami pełnymi książek i partytur, po prawej stało biurko z lampką, telefonem i artykułami piśmienniczymi. Jej środek wypełniało rozetowe okno z rozchodzącymi się promieniście szprosami. Po prawej ręce, pod ścianą, stał fotel-kozetka. To na nim, niczym w trakcie wizyty u psychoanalityka, dyrygenci mogli odrağowywać trudy prób i koncertów. W rogu znajdowały się otwarte na oścież drzwi wiodące do łazienki.

Ta lustracja trwała sekundy, szum odkurzacza zaczął się bowiem przybliżać. W tym momencie, unosząc nieco głowę, ujrzałem najbardziej niezwykły element pokoju.

Sufit.

Jak go opisać? Widziałem szachownicę, której pola oddzielały od siebie misternie ornamentowane listwy. Wykonana była, tak jak podłoga, ze szlachetnego, na przemian jasnego i ciemnego drewna. Ale zamiast wizerunków szachowych figur, znajdowały się na niej podobizny – trochę na podobieństwo głów wawelskich – kompozytorów. Szybko policzyłem – było ich szesnaście. Umieszczone na dwóch przekątnych osiach, zaczynały się w czterech rogach i dochodziły do pól środkowych, w których bezpośrednio sąsiadowały ze sobą.

Sufit był nie tylko niezwykły, ale i wyjątkowo piękny, lecz nie mogłem mu poświęcić więcej czasu. Z żalem oderwałem wzrok.

Czego tu właściwie szukałem? Ba, żebym to ja wiedział. Inspiracji, przypadku, który otworzy mi oczy na jakiś istotny szczegół? Tego czegoś, po co Rucacelli był tu gotów przyjść nawet w nocy?

Miałem czas na jeden, jedyny ruch. Wybór padł na fortepian. Podniosłem wieko klawiatury, ale oprócz filcowej szmatki nic na niej nie było. Uniosłem więc masywną, górną płytę, podtrzymując jej ciężar lewą ręką. Zdawało mi się, że za plecami wyczuwam obecność drugiej osoby.

Jedynym elementem nieprzystającym do pudła rezonansowego była papierowa kulka. Wrzucona i zapomniana. Gdyby trafiła do kosza, jej los byłby już dawno rozstrzygnięty.

Ekwilibrystycznym ruchem wydobyłem papier z płataniny strun. Szybko, omal nie przytrzaszkując palców, opuściłem ciężką klapę. Dźwięk odkurzacza gwałtownie uciął. W powstałej nagle ciszy dał się słyszeć wybrzmiewający klaster strun bösendorfera, poruszonych do żywego gwałtownym zamknięciem. Moja dłoń mocno zacisnęła się na znalezisku.

– A pan co tutaj robi? – Spodziewałem się tego pytania. – Przecież tu nie wolno nikomu wchodzić. – Sprzątaczką była tak zdziwiona, że nie zdążyła jeszcze nadać głosowi zag niewanej barwy.

– Przepraszam bardzo. – Próbowałem być zakłopotany i zagubiony. – Ja, hm, szukam biura, bo mam tu grać przesłuchanie... – mówiłem trochę bez składu i nieco głośniej, niż było trzeba, by zagłuszyć wibrujące jeszcze w powietrzu fale dźwiękowe. Miały moc kościelnych dzwonów, ale chyba tylko dla mnie, bowiem sprzątaczką złagodniała nieco.

– Biura są na pierwszym piętrze, a tu nikomu nie wolno wchodzić, niech pan sobie zapamięta!

Nikommu prócz dyrygentów i sprzątaczkę, dodałem w myśli. Uśmiechnąłem się jednak z wdzięcznością i raz jeszcze przepraszając, ruszyłem w kierunku schodów. Wyszedłem na gapowatego młodego człowieka – i bardzo dobrze, dzięki temu udało mi się wybrnąć z opresji.

Zapomniałem natomiast wpaść pod byle pretekstem do biura. Przy wyjściu portier zapytał mnie:

– I co, powiedział im pan? – Mój Boże, co ja im miałem powiedzieć?

– Nie, bo wie pan, one ciągle jeszcze rozmawiają, a ja już nie mogę dłużej czekać, dziękuję panu, do widzenia – rzuciłem pospiesznie i czym prędzej opuściłem przybytek sztuki.

Sesja nagraniowa dłużyła mi się. Nie była to praca stresująca, odbywała się w dość luźnej atmosferze, ale nie mogłem pozbyć się uczucia, że w tym momencie jest dla mnie stratą czasu. Nagrywaliśmy muzykę do filmu rysunkowego. Przyjemną dla ucha i wcale niełatwą do grania. Kto uważnie posłucha ścieżek dźwiękowych do, powiedzmy, disneyowskich superprodukcji, zrozumie, co mam na myśli. Zespół był nieduży, oprócz pojedynczej obsady instrumentów dętych i nieco bardziej rozbudowanej perkusji tworzyły go jeszcze: harfa, skrzypce, altówka (czyli ja), wiolonczela i kontrabas. Większość muzyków znałem, choć młodego wiolonczelistę i jasnowłosą harfistkę widziałem po raz pierwszy.

Starałem się nie niecierpliwić, ale momentami było to trudne. Po pierwsze, śpieszyłem się do ćwiczenia, po drugie, bardzo chciałem porozmawiać z Sebastianem. Informacje, którymi

uraczyłem starszego pana w niedzielę, były dziurawe jak szwajcarski ser. Chcąc liczyć na jego pomoc – a rzeczywiście potrzebowałem jej – byłem mu winien absolutną szczerość.

W przerwie nagrania udało mi się zjeść przyzwoity posiłek w radiowej kantine.

Dokładnie o piętnastej prowadzący nagranie kompozytor powiedział:

– Dziękuję państwu na dzisiaj, nagraliśmy ponad połowę materiału. Widzimy się ponownie o dziesiątej rano.

Spieszyłem się do domu. Czekał na mnie Eston, czekało mnie ćwiczenie. Po wczorajszej sesji ręce i palce były niezłe rozruszane. Tego miłego każdemu smyczkowcowi uczucia nie mogłem zaprzepaścić, wręcz przeciwnie – należało je podgrzewać. Przed antykwariatem natknąłem się na Sebastiana.

– Bartek, co u ciebie, wszystko w porządku? – zapytał życzliwie.

– Tak, wszystko OK, chociaż trochę się dzieje... Wspaniale, że pana widzę, bo chciałbym zamienić kilka słów.

– Wiesz co, może wpadłbyś do nas dziś wieczorem na kolację, z Estonem oczywiście.

– Bardzo chętnie.

Ucieszyłem się. Sprawy układały się po mojej myśli. Sprawy, bo oto rozwiązywał się też problem wieczornego posiłku. Kuchnia pani Sabiny miała walory niepoślednie, pan Sebastian zaś zwykł był przy takich okazjach otwierać butelkę niezłego wina.

– No, to bądźcie u nas o dwudziestej.

Sebastian Mars zniknął w drzwiach antykwariatu, a ja podążyłem na górę.

Nadeszła pora, aby coś sprawdzić. Nie, ani na chwilę nie zapomniałem o kulce papieru. Nosiłem ją jak nosi się los na loterie: nieotwarty, czynił mnie potencjalnym milionerem. Stąd odwołanie statystycznieomalże pewnego momentu rozczarowania. Delikatnie rozprostowałem i wygładziłem papiera.

W centralnej części kartki, znajdowały się rozmazane pozostałości jakiegoś napisu. Starego napisu na starej kartce, jak wydawało się na pierwszy rzut oka. Słów, na które spadły krople wody lub czegoś, co rozmazało atrament.

Na stronie drugiej, którą kataklizm oszczędził, znajdowały się trzy zapisane w jednej linii wyrazy:

Opus – Opas – Opos

Charakter pisma wydawał się niedzisiejszy. To było wszystko, co udało mi się odczytać.

Wstrząsające odkrycie... Ale czego się mogłem spodziewać? Zdania w rodzaju: „Uprzejmie informuję, że dzisiaj wieczorem zostaną napadnięty przez dwóch bandytów (nazwiska i rysopisy), którzy będą chcieli mi ukraść batutę wypełnioną diamentami. Z poważaniem D.R.”?

Skąd w ogóle wzięła się myśl, że papiera może mieć jakikolwiek związek ze sprawą? Z prostego skojarzenia. Przecież Rucacelli był ostatnim użytkownikiem pokoju. Może nie od razu: dyrygent + pokój = papiera, ale...

Ale istniało jakieś pięćdziesiąt procent szans, że kartka rzeczywiście należała do Rucacellego. Z tych pięćdziesięciu kolejne pięćdziesiąt, że mogła mieć związek ze sprawą.

Prawdopodobieństwo, że istotnie jest częścią zagadki, było więc wcale wysokie.

W trakcie spaceru zadzwijała komórka. Ku mojemu zaskoczeniu dzwoniła Wanda.

– Cześć, Bartek, nie przeszkadzam?

– Nie, skądże – odpowiedziałem niezgodnie z prawdą, gdyż w tym właśnie momencie Eston uległ jednej ze swoich chwil zapomnienia i pobudzony intrygującym zapachem lub czyjąś obecnością, ruszył ostro do przodu. By utrzymać się na nogach, musiałem zrobić to samo: krótko mówiąc, rozmawiałem w biegu, lecz mimo to nie chciałem spłoszyć mojej rozmówczynie.

– Posłuchaj, Bartku, ty jesteś freelancer, to masz pewnie dojścia do różnych nagrań? Wiesz, ja najchętniej bym się teraz czymś zajęła, mam za dużo czasu i za dużo myśli, więc jakbyś coś wiedział...

A Jędrzej? Pokłócili się definitywnie?

No tak, filharmonia w tym tygodniu nie pracowała. Nie chciałem jej mówić, że dalece preczenia moje wpływy w intratnym świecie chałtur oraz że nie pojawiają się one jak za dotknięciem czarodziejskiej różdżki... Zaraz! A może wypróbować batutę Rucacellogo?!

– Tak, oczywiście, doskonale cię rozumiem, jak tylko coś będę wiedział, odezwę się.

Jakoś trudno mi było wykrztusić, że przecież możemy kontynuować naszą znajomość również bez instrumentów w dłoniach. Ostatecznie dzwoniła do mnie z konkretną sprawą, a nie towarzysko, choć i tak czułem się mile wyróżniony.

Ciągle nie znałem dobrze tej dziewczyny, ba, właściwie nie znałem jej wcale, ale – może na skutek jej uroku, któremu nie potrafiłem się oprzeć – było mi jej trochę żal.

Wracając do domu, zastanawiałem się, co dalej. Jakie miejsca, w których mógł przybywać dyrygent, powinienem odwiedzić? Na wizytę w pokoju hotelowym nie miałem szans. Mogłem najwyżej wybrać się do hotelowego baru, w którym Wanda z Rucacellim byli – według jej relacji – w piątek wieczorem. Powinienem skontaktować się też z Bielskim, by się upewnić, że policja dziś rano poszukiwała w stawie... nie wiadomo czego. Gdyby potwierdził, że to oni, należałoby się zastanowić, jak dyskretnie odwrócić kota ogonem, to znaczy zaoszczędzić im wysiłku z góry skazanego na niepowodzenie. No i batuta. Ze względu na jej domniemaną wartość coraz częściej przychodziło mi do głowy pytanie, czy jest bezpieczna w moich rękach. Dojrzewiała we mnie myśl, by przekazać ją w depozyt antykwariuszowi.

Po spacerze wziąłem się do grania.

Ale szło mi tego popołudnia nietęgo. Automatyczne powtarzanie, choćby w nieskończoność, pewnych fraz, nie przynosi efektu. Dopiero zaangażowanie mózgu pozwala uzyskiwać realny postęp. Bo granie na instrumencie jest, w gruncie rzeczy, rozwiązywaniem większych i mniejszych problemów; w przypadku altówki: intonacji, palcowania, smyczkowania, frazowania... Praca ta zdaje się nie mieć końca, bo zawsze można znaleźć warianty, które będą lepsze od poprzednich.

W tym aspekcie ćwiczenie jest bez wątplenia pracą twórczą, czyli taką, która nie ma z góry określonego limitu doskonałości. O ile artyści tworzący dzieło skończone, poeci, pisarze, kompozytorzy, plastycy, w pewnym momencie mogą, czy wręcz muszą, się od niego odciąć, skazując owoc pracy na samodzielny byt, o tyle muzyk wykonawca, ale też i aktor, nie mogą wyzwolić się ze swojej kreacji; bez ich bezpośredniego udziału ona po prostu nie istnieje. Tak jak sportowcom jest im potrzebny trening. I tak jak w sporcie, istnieje pewna liczba ćwiczeń utrzymujących poszczególne mięśnie w odpowiedniej dyspozycji.

Widząc, że mój mózg jest dziś zbyt pochłonięty innymi sprawami, zdecydowałem się na mechaniczne trenowanie rąk za pomocą gam, dwudźwięków, wprawek technicznych.

Zacząłem monotonne rozciąganie i wzmacnianie palców na strunach, jednocześnie pozwalając odlecieć myślom tam, gdzie je ciągnęło.

A ciągnęło je do parku, w którym dzisiejszy poranek przyniósł kolejne niezrozumiałe wydarzenie. Pytanie „kto przeszukiwał jeziorko?” nie dawało mi spokoju.

Potem myśli moje zmieniły kierunek na przyjemniejszy, choć też niepokojący. Pobiegly w stronę wiolonczelistki. Przez co najmniej kilka miesięcy, od czasu gdy ujrzałem ją po raz pierwszy, nie miałem odwagi zamienić z nią choćby kilku słów, a tu nagle w ciągu dwóch dni stajemy się dobrymi znajomymi. Najpierw jestem prawie jej powiernikiem, potem dzwoni do mnie z pytaniem o chałturę. Gdyby tylko nie te Jędrzeje i Damiany... Odnosiłem wrażenie, że reszta potencjalnej konkurencji – wianuszek zachwyconych, tak ich chyba kiedyś nazwałem? – nagle została w tyle.

Moje palce uparcie i wściekle waliły w gryf. Tym mocniej, im dalszy byłem od przeniknięcia otaczającej mnie mgły. Zdesperowany, odłożyłem w końcu instrument. Jego miejsce w moich dłoniach – po raz kolejny – zajęła tajemnicza batuta.

I wtedy odezwała się komórka. Dzwonił inspektor Radiówki:

– Panie Bartku, dzień dobry, mam problem – zaczął bez wstępów.

Przez chwilę pomyślałem, że nagranie odwołano lub przełożono, i poczułem nawet coś w rodzaju ulgi. Ale chodziło o coś innego.

– Rozchorował się nagle wiolonczelista. Dzwoniłem już w parę miejsc, ale nikogo nie mogę złapać. Co oni wszyscy, powyjeżdżali czy jak?

Rzeczywiście, mogli powyjeżdżać. Filharmonia odpoczywała, inne orkiestry... A zresztą, co mnie obchodzi inne orkiestry?

– Nie zna pan kogoś, kto mógłby jutro zagrać?

W duszy rozbrzmiała mi pieśń dziękczynna. Przy akompaniamencie małego lęku. Batuta Rucacellego objawiła swoją moc.

– Tak, znam kogoś, kto byłby chętny, zaraz podam panu numer.

Ucieszyłem się, że tak szybko mogę zadośćuczynić prośbie Wandy, sam zyskując możliwość paru chwil spokojnej rozmowy z nią i jej... wdzięczności. Mój rozmówca podziękował za pomoc i szybko się pożegnał. Ja natomiast postanowiłem choć na godzinkę przełączyć swój mózg. Dalsze łomotanie palcami po altówce mijało się z celem, zbliżała się próba z fortepianem, zbliżała się audycja, a ja ciągle miałem przed sobą mnóstwo pracy.

Zaparzyłem zieloną herbatę i zacząłem ponownie. Grając, natykałem się co chwila na rafa technicznych trudności, własnych ograniczeń, roztargnienia...

Zazwyczaj na pewnym etapie pracy używałem magnetofonu. Nie wiem, czym wytłumaczyć, że słuchanie własnego nagrania pozwala wysłyszeć więcej. Błędy stają się wyraźne, wiadomo, co wymaga natychmiastowej poprawy. Może dlatego tak łatwo jest krytykować innych? Słuchając nagrania stawałem się krwiożerczo obiektywny i bezdusznie niewyrozumiały. Takie seanse prawdy są konieczne, tędy wiedzie bolesna droga do postępów. Ale dzisiaj nie potrzebowałem się nagrywać. Wyostrzonymi zmysłami słyszałem wszystko takim, jakim było naprawdę, a więc tak naprawdę – byle jakim. Zacząłem dostrzegać trudności przy najprostszych nawet wejściach w pozycję czy zmianach kierunku smyczka. Czyżby w końcu udało mi się... wyjść ze skóry?

I gdy tak grałem, przyszedł mi na myśl maestro Lewler Terwal. To z nim, dyrygentem o skandynawsko brzmiącym nazwisku, przyszło nam kilka dni wcześniej grać VII i VIII

symfonie Beethovena⁴.

Postanowiłem skorzystać z metody, którą z takim powodzeniem stosował w pracy z nami, czemu dodatkowego sensu przydawał fakt, że maestro był również znakomitym skrzypkiem.

– Panie Bartku – usłyszałem wymaginowany głos – zdradzę panu pewien sekret: te kilka taktów należy zagrać na strunie A.

Pomogło! Szybko zapisałem w nutach zmiany i zająłem się kolejnym miejscem.

– Tutaj radziłbym panu skoncentrować się na pierwszej grupie szesnastek; reszta już zagra się sama, rozpędzoną ręką.

I znowu dobrze!

– Teraz niech pan spróbuje zmienić kierunek smyczka całym ramieniem, a nie tylko kiścią.

Nareszcie osiągnąłem legato!

Liczyło się tylko to, że znalazłem nowy sposób na ćwiczenie. W swej nieortodoksyjności metoda godna altowiolisty⁵.



ROZDZIAŁ V

WTOREK PÓZNIJ

Ostatnia godzina ćwiczenia podreperowała moje altowiolistyczne ego. Stwierdziłem, że mimo zamieszania, które wciąga mnie w swoje wiry, powoli zbliżam się do optymalnej formy. Nieraz już przekonywałem się, że natłok zajęć wymusza racjonalne gospodarowanie czasem, podczas gdy jego nadmiar może mieć wpływ destrukcyjny.

Tym milej było pomyśleć o czekających na mnie życzliwych ludziach, przysmakach, które – byłem pewien – przygotowali. Stałem na moment przed oświetloną witryną, pełną pociągających starodruków. Były niemymi świadkami wydarzeń, powiernikami dotyku rąk, wielu dłoni, którym przez lata przekazywały trochę ze swojej mądrości, w zamian chłonąc ich niewidzialne i niepowtarzalne wibracje.

Antykwariusz mnie nie rozczarował: począwszy od czarnych lakierków, poprzez sztuczkowe spodnie i kamizelkę, aż do kraciastej koszuli ozdobionej czarną muchą i – *last but not least* – aury wytwornej wody toaletowej, był to ten sam Sebastian Mars, którego pamiętałem z wszystkich naszych wcześniejszych spotkań. Jeśli chodzi o wizerunek względem bliźnich – nie pozwalał sobie na kompromisy. Prezentował ten rodzaj niewymuszonej elegancji, która musiała w nim po prostu być od zawsze – niewyuczona, a przekazana w genach i tradycji.

– Witaj, Bartku – powiedział, wyciągając do mnie rękę. Estona przywitał pogłaskaniem po szyi, co pies skwitował pełnym aprobaty zmrużeniem oczu.

Weszliśmy do salonu, który zawsze przemawiał do mnie – tak jak jego gospodarz – nienarzucającą się klasą; nawet jeśli trudno było się oprzeć wrażeniu pewnego chaosu, był to chaos pełen finezji. Nadmiar, który w tysiącu innych przypadków przygnębiałby, tutaj – dzięki jakości tworzących go elementów – przeobrażał się w coś, co różne języki określają: spirit, esprit lub po prostu czar.

Żona antykwariusza, pani Sabina, inaczej niż mąż, nigdy nie pozwalała sobie zwracać się do mnie bezpośrednio po imieniu. Wciąż była piękną i elegancką kobietą. O ile Sebastian Mars sam się nieco postarzał tą swoją antykwaryczną powierzchownością, o tyle jego lepsza połowa reprezentowała typ kogoś z bohemy, ale bohemy dopracowanej, zadbanej w każdym detalu.

Kiedyś moje przypuszczenia miały znaleźć potwierdzenie; aktorska uroda była rzeczywiście znakiem zawodu, który uprawiała. Z jakich powodów wycofała się ze sceny – nie wiedziałem.

Kolacja, którą pani Sabina wyczarowała na modłę śródziemnomorską, okraszona jeszcze wybornym włoskim winem, minęła w rytmie właściwym, to znaczy jedzenie i picie nie było zakłócanie tematami mogącymi umniejszać kulinarne doznania. Eston zajmował się podarowaną mu przez gospodarzy kością, aż w końcu ukontentowany zasnął pod stołem. Po kolacji pani Sabina poszła na górę odwiedzić starszą panią, matkę Sebastiana Marsa, której obecność w kamienicy znałem tylko z opowiadań. Na ich podstawie wyobrażałem sobie, że jest pełną ciepła, uroku i humoru leciwą damą, która z powodów zdrowotnych nie opuszcza nigdy swojego pokoju.

My natomiast przenieśliśmy się na kanapę. Z przyjemnością chwyciłem w dłonie kielich z pełną aromatu grecką brandy, którą antykwariusz zaproponował mi na dalszą część wieczoru.

Odmówiłem natomiast cygara. Mój gospodarz zapalił, by po chwili zadać pytanie:

– Bartku, opowiedz, proszę, co się naprawdę wydarzyło. Wiesz, ludzie na mieście cię tam gadają, ale dobrze byłoby usłyszeć wszystko po kolei.

W gruncie rzeczy czułem ogromną potrzebę, aby się z kimś podzielić wypadkami ostatnich dni, raz – w nadziei, że świeże spojrzenie pozwoli dostrzec coś, co mi do tej pory umykało, dwa – że relacjonując zdarzenia, sam wpadnę na pominięty trop. Antykwariusz był jedną z niewielu osób, którym mogłem powierzyć tajemnicę, ot, z powodu czysto elementarnego zaufania i wiary w jego wiedzę i przenikliwość. Nie zdziwiłbym się, gdyby wniósł do sprawy twórczą interpretację.

Opowiedziałem więc o całym Festiwalu Beethovenowskim, o plejadzie mistrzów batuty, prowadzących pięć festiwalowych koncertów, a zwłaszcza o ostatnim, maestro Damianie Rucacellim, jego pierwszym pojawieniu się przed orkiestrą, kontrowersyjnych próbach z mniej lub bardziej celowym ośmieszeniem jednego z muzyków orkiestry, ojca przepięknej wiolonczelistki, której to uroki zresztą maestro dostrzegł był. Nie bez wzajemności. Mówiłem o recepcji, na którą się nie wybrałem, by w spokoju zająć się istotnymi sprawami, i o wieczornym spacerze, w którego trakcie byłem świadkiem pantomimy w świetle księżycy.

Powiedziałem – tym razem zgodnie z prawdą – o Estonie, który z jakichś powodów wskoczył do wody i przechrztywszy złoczyńców, przyniósł mi przedmiot wrzucony do jeziora przez dyrygenta. Potem o wizycie na policji, zupełnie nedorzecznie rozpowszechnianych plotkach o domniemanej winie pana Zbyszka, obalonych później przez fakt jego pobytu w szpitalu.

Mówiłem o Wandzie, o jej zazdrosnym narzeczonym. I o stróżach prawa, którzy prawdopodobnie wiedzą niewiele, choć czynią usilne starania, by ów stan rzeczy zmienić – tu wspomniałem o porannym przeszukiwaniu stawu.

Gdy skończyłem, pan Sebastian milczał; najwyraźniej czekał na coś jeszcze. Opowiedziałem więc – bo i tak to chciałem zrobić – o batucie, która znajdowała się w pudełku, i o wizycie w pokoju dyrygenckim, która jednak – poza zamazanym kawałkiem papieru – nic nie przyniosła.

Eston nie spał już. Przyglądał się nam, jakby czekając na opinię pana Sebastiana. W końcu, gdy obłoki cygarowego dymu wypełniły już wystarczającą przestrzeń salonu, antykwariusz westchnął głęboko i powiedział:

– Czy mógłbyś pokazać mi tę batutę?

Na moje krótkie „zostań” Eston zareagował podniesieniem się i stanowczą wolą dotrzymania mi kompanii. Ten pies sam decydował, kiedy mnie posłuchać, a kiedy słuchać samego siebie. Z punktu widzenia relacji przewodnik – zwierzę była to sytuacja trudna do zaakceptowania.

Niekiedy sprawiał wrażenie, że lepiej ode mnie wie, jak należy postąpić. Koronnym przykładem była nocna akcja w parku zakończona wyłowieniem pudełka z batutą i skutecznym wyprowadzeniem w pole ścigających. A co by było, gdyby nie podjął wówczas inicjatywy? No właśnie, nic by nie było... Nawiasem mówiąc, po tym postępkę zacząłem przypuszczać, że Eston był wykorzystywany do wyławiania podejrzanych pakunków. Tak długo jednak, jak jego logika nie stawała na drodze mojej – a to się właściwie nie zdarzało – akceptowałem, bo i prawdę mówiąc, niewielki miałem wybór, jego niezależność. Uczyliśmy się siebie wzajemnie.

Na ulicy pies spał się nagle. Nie mogłem tego widzieć, ale czułem, że sierść mu się zjeżyła. Wrodzona niechęć do kotów była chyba zjawiskiem nieuleczalnym, choć zazwyczaj reagował na nie znacznie gwałtowniej.

Wahałem się, czy wziąć też świstek papieru odnaleziony w fortepianie. Mimo wątpliwości chwyciłem nuty koncertu altówkowego Bartóka, w którym paperek poddawany był procesowi rozprostowywania.

Pani Sabina pojawiła się jeszcze na chwilę, ale po to tylko, aby w imieniu starszej pani i swoim życzyć nam dobrej nocy. Przekazałem futerał wraz z zawartością w ręce antykwariusza. Przyjął pudełko z namaszczeniem i z nie mniejszym zabrał się do jego otwierania. Sebastian obejrzał palisandrową pałeczkę i zamyślił się. Milczałem i ja. W końcu jednak zadałem pytanie nurtujące mnie od pewnego czasu:

– Czy, pana zdaniem, jest to, sam nie wiem, antyk, zabytek muzealny lub coś z innych powodów szczególnie cennego? Tak cennego, że mogłoby popchnąć kogoś do próby zabójstwa?

Antykwariusz przyjrzał mi się z powagą i rzekł:

– Bartku, nie bądź naiwny, człowieka można zabić dla dziesięciu złotych.

Już przedtem zastanawiałem się, jak wygląda u nas rynek dzieł sztuki. Czy znajdują się na nim przedmioty mogące budzić emocje światowych kolekcjonerów lub muzeów? I czy może do nich należeć dyrygencka batuta?

Antykwariusz odniósł się do pierwszej części moich rozważań.

– Jeśli chodzi ci o to, czy są u nas eksponaty o wyjątkowej wartości historycznej, muzealnej, a przez to bezcenne, to odpowiedź brzmi: tak, oczywiście, że są...

Poczułem się nieco zaskoczony. Z jednej strony trudno się dziwić, że w kraju o tak bogatej historii i terytorialnie rozległym znajdują się rozliczne dobra kultury materialnej. Z drugiej – zawsze żyłem w przeświadczeniu, że właśnie ten rozbuchany, a w większości

niekorzystny bieg dziejów pozbawił nas ogromnych zbiorów o wartości trudnej do oszacowania.

– ...tylko, że nie zawsze wiemy gdzie – dokończył pan Sebastian.

Aha, więc tu była puenta. Rzeczywiście, czasami słyszało się o trafieniu na ślad dawnych kolekcji lub poszczególnych ich egzemplarzy, które potem wpływały na światło dzienne... wystawiane na licytację przez znane domy aukcyjne, swoją renomą gwarantujące autentyczność eksponatów. Jedyną możliwością ich odzyskania pozostawało... kupno, często niestety przekraczające możliwości finansowe naszych instytucji kulturalnych.

Sebastian znów zaczął w milczeniu przyglądać się batucie. W końcu odłożył ją i zdecydowanym krokiem podszedł do biurka pełnego antykwarycznych bibelotów. Bez wahania wzięł w rękę szkło powiększające.

– Ten przyrząd nazywam czasami swoim trzecim okiem – wyjaśnił.

Widząc, że coś go zainteresowało, powstrzymałem cisnące się na usta pytania.

A antykwariusz dokładnie lustrował pałeczkę, kiwając przy tym głową – jakby potwierdzały się jego przypuszczenia. W końcu odłożył oba przedmioty, mrucząc pod nosem:

– No tak, miałem rację...

Nieśmiałym chrząknięciem, które obudziło Estona, przypomniałem o swojej obecności. Ale gospodarz wcale o mnie nie zapomniał.

– Bartku, proszę, podejdź tu.

Zbliżyłem się do kanapy. Gospodarz wręczył mi batutę i szkło (powiększające ma się rozumieć, to z bursztynową zawartością odstawiłem na biurko).

– Przyjrzyj się dokładnie wszystkim pierścieniom i powiedz mi, czy widzisz między nimi jakąś różnicę.

Przez lupę dostrzegało się nagle mnóstwo szczegółów, słabo lub wcale niezauważalnych gołym okiem. Szlachetnym rysunkiem – jakby nowoczesnej grafiki – objawiały się słoje palisandrowego drewna. Sieć drobniotkich zadrapań mogłaby wiele powiedzieć o dyrygowanych utworach. Ale miałem się przyrzeć pierścieniom.

Rzeczywiście, coś je różniło. Mówiąc dokładniej – coś różniło fragment środkowy, wchodzący w bezpośredni kontakt z drogocennym kruszcem. O ile dwa zewnętrzne wyglądały jak wrośnięte w palisander, o tyle wokół centralnego znajdowało się kilka, ledwo zauważalnych, ale jednak wyraźnie jaśniejszych punkcików. Odnosiło się wrażenie, jakby drewno – o nieutlenionym kolorze – wydostało się spod metalu na światło dzienne. A to mogło się stać w jednej tylko sytuacji: ktoś musiał manipulować złotym kółkiem. Być może próbował je zdjąć i założyć bez zostawiania śladów. Nie mógł przewidzieć, że batuta wpadnie w ręce wyczulonego na takie sprawy antykwariusza i jego trzeciego oka.

Odłożyłem szkło powiększające, czując jednocześnie, jak moje serce zaczyna bić w szybszym rytmie. Bo nagle przypomniałem sobie myśl, która błysnęła mi poprzedniego wieczoru, tuż przed zaśnięciem, lecz zaraz uciekła.

Przechowywana w futerale batuta sama mogła być schowkiem. Spojrzałem pytająco na moje mentora; mrugnął w geście zachęty.

Kilkakrotnie poruszyłem pierścieniem. Po chwili poczułem, że moje wysiłki przynoszą rezultat, a złote kółko nie jest przymocowane do drewna na stałe. Chwyliłem batutę po jego obu stronach, próbując delikatnie ją rozkręcić, tak jak czyni się to z długopisem przy wymianie wkładu. To było właściwe posunięcie – bez większych problemów udało mi się osiągnąć cel,

jednak ze środka nic nie wypadło. Poczułem zawód. Ani drogie kamienie, ani nic innego, w ogóle nic nie wysypało się na zewnątrz batuty...

– No i co? Tak ładnie się zapowiadało... – nie kryłem rozczarowania.

– Nie wyciągaj pochopnych wniosków. – Antykwariusz przyglądał się wnętrzu batuty przez szkło powiększające. – Czego ty się spodziewałeś: brylantów?

Trochę głupio było mi przyznać, że właśnie tak.

– Zresztą, poczekaj... tu coś było. Resztkę tego ciągle jeszcze jest.

Delikatnie wyjął szczypcami małe skrawki.

– Wygląda jak papier. Stary papier.

Spomiędzy stron koncertu Bartóka wysunąłem zwitek papieru, mój łup z pokoju dyrygenckiego.

– Panie Sebastianie, czy w wolnej chwili zechciałby się pan przyrzeć również temu?

– Oczywiście, a dlaczego właśnie teraz o to pytasz?

– Bo przyszło mi do głowy, choć może to naiwne, że oba skrawki pochodzą z jednego kawałka. Czy dałoby się to ustalić?

– Ale skąd ten pomysł? – Spojrzał na mnie zaskoczony.

– Nie wiem. To tylko luźne przypuszczenie.

Raz jeszcze, tym razem bardziej szczegółowo, opowiedziałem antykwariuszowi o wizycie w gabinecie dyrygenckim i wyłuskaniu zwitka papieru z płataniny strun fortepianowego pudła.

Widziałem, że budzi się w nim zawodowa ciekawość. Wygladził zwitek, by w końcu przyrzeć mu się trzecim okiem.

– Napis, bo to był napis, został uszkodzony, ale coś z niego da się jeszcze odtworzyć. To, o co pytałeś, można potwierdzić lub wykluczyć ze stuprocentową pewnością podczas badań laboratoryjnych. Ale ja już teraz uważam, że chyba miałaś nosa. Wygląda na to – raz jeszcze lustrował coś, patrząc przez lupę – tak... skrawek papieru z batuty jest prawdopodobnie częścią karteczki, którą przyniosłeś. Wniosek – to ona znajdowała się w środku.

Srebrne dzwoneczki zagrały mi w głowie. Dwa elementy łamigłówek zostały połączone. Batuta była obiektem czyjegoś pożądanego, a nam udało się odkryć jej pierwszą – i być może jedyną – tajemnicę. Problem polegał tylko na tym, że nieczytelna.

Dokonana z pomocą trzeciego oka analiza – z natury swojej na pewno pobieżna i wrywkowa – upewniła jednak pana Sebastiana, że pokryty kilkoma słowami papier nie jest współczesny.

Według niego był to papier, strukturą przypominający wysokiej klasy papeterię, choć jego kształt i wielkość około pięciu na pięć centymetrów wskazywały raczej na kartkę przeznaczoną do robienia drobnych notatek. Był złożony na pół i zwinięty w rulonik. Tym sposobem swobodnie mieścił się w komorze batuty. Wyrazy zostały napisane atramentem; nie wiadomo, co było przyczyną zawilgocenia go i rozmycia napisu z jednej strony. Gdyby papier znajdował się w batucie, w chwili gdy wpadła do wody, treść zapisku przepadałaby zapewne raz na zawsze. A tak, owszem, był niewyraźny, ale teraz i ja widziałem, że nie stanowi wyłącznie nieczytelnej plamy.

Papier był stary. Tylko jak stary? Określenie wieku mogło potwierdzić lub wykluczyć udział dyrygenta w zrobieniu notatki, chyba że... napis został zrobiony współcześnie na

starym papierze.

Sugestia antykwariusza była jednak klarowna: papierek został wciśnięty pod pierścień dawno i bardzo niedawno spod niego wyjęty. To „dawno” sugerowało na pierwszy rzut uzbrojonego w lupę oka co najmniej kilkadziesiąt lat, co raczej wykluczało maestra jako autora napisu.

Palisandrowa pałeczka nabierała jednak nowego znaczenia. Jeśli była cenna, to prawdopodobnie nie z powodu własnej wartości, ale informacji, którą ukrywała. Gest dyrygenta rzucającego pudełko w otchłań lodowatej wody nie był więc teatralny. Miał zapobiec dostaniu się batuty w niepowołane ręce, choć obawiam się, że do podobnego wniosku mogłoby dojść średnio rozbawione dziecko. Coś się jednak nie zgadzało: przecież zwitka papieru wówczas już w niej nie było. Czyżby Rucacelli o tym nie wiedział?

Pozostawała rzecz nie najbłahsza: treść napisu. Zakładając nawet, że w wyniku prac restauratorskich uda się odtworzyć notatki, to co dalej? Czy będzie to tylko odprysk trudnego do przesłedenia wątku myślowego, czy też zakodowana informacja? A jeśli tak, to jaka i czego dotycząca? Za dużo pytań. Bez zachowania odpowiedniej kolejności nie da się ruszyć z miejsca.

Antykwariusz był ciągle zajęty kartką. Poddawał ją jakimś tajemniczym zabiegom. Z mojego ignoranckiego punktu widzenia wyglądało to jak podsuszanie, podprasowanie i posypywanie proszkiem; nie wiem, jak inaczej określić te czynności, dość, że w końcu pan Sebastian, z umiarkowaniem zadowoloną miną, oznajmił:

– Nie jest za dobrze, ale też nie jest tragicznie. Moim zdaniem mamy tu cztery wyrazy, po dwa w rzędzie. Pierwszy i drugi kończą się na literę a, trzeci to coś jak ba i – być może – symbol dolara \$, czwarty natomiast kończy się najwyraźniej literkami ok. Nie wykluczam więc, że cały napis jest w języku angielskim, ale to tylko domniemanie.

– A czy można określić liczbę liter w poszczególnych wyrazach? – Spoglądałem zza pleców notariusza na kawałek papieru, pragnąc się przekonać, czy w wyrazistości napisu zaszła dostrzegalna gołym okiem zmiana.

– Pierwszy składa się z trzech lub czterech liter, drugi z czterech lub pięciu, trzeci z trzech, a czwarty, powiedziałbym, że z czterech. Aha, rozmazane punkciki nad dwiema literami w wyrazie drugim mogły być kropkami, a więc mielibyśmy dwukrotnie literkę i.

Antykwariusz sięgnął po pióro i czystą kartkę papieru i napisał:

B a \$ (.) . . a
(.) i . i a . . o k

Hm... Angielski? No tak, bo te dolary i ok. Choć, może to przedwczesny wniosek. Tak czy inaczej – spróbujmy...

Trzeci wyraz nieodparcie kojarzył mi się z filią.

Z jaką filią? Może... moją?

... moja
filia ...

A wyraz pierwszy? Jeśli to rzeczywiście literka B, wówczas mógłby brzmieć:

B a \$ (czyli: ba, dolarów)

I ostatni: Ile? Dużo! Czyli:
t ł o k.

Ba \$ moja
filia łtok

Co na nasze można by przełożyć: „ba, dolarów moja filia łtok”, czyli idąc dalej: „moja filia ma dolarów łtok”, czyli: „nawet filia mojej firmy ma pieniędzy w bród...”. I tak dalej.

No tak, nie za mądre, głupie wręcz – by nie rzec skrajnie idiotyczne – i z księżycą wzięte.

Wiedziałem, że to nie będzie takie proste. Postanowiłem chwilowo nie wysilać i tak już nadszarpniętego umysłu altowiolisty.

Zainteresowała mnie natomiast łatwość, z jaką pan Sebastian oszacował wiek i rodzaj papieru. Zdając sobie sprawę, że tego rodzaju wiedza stanowi dla niego zawodowy elementarz, postanowiłem przy okazji dowiedzieć się czegoś więcej. Nie wiedziałem, co czynię; temat musiał należeć do niewątpliwych koników antykwariusza. Na szczęście zaczął od dolania kilku, no, może kilkudziesięciu kropli szlachetnego trunku do olbrzymich kielichów i zaczął swoją opowieść.

– No dobrze – wykorzystałem moment, w którym pan Sebastian głęboko przechylił swój kielich, by nie zmarnowały się ostatnie, cenne krople znajdującego się w nim trunku – możemy papier odmładzać, a czy możemy go też postarzać?

Antykwariusz odstawił puste szkło na stoliczek i pokiwał głową, mówiąc:

– Naturalnie, to żaden problem. Istnieją metody przemysłowe i chałupnicze, ale – spojrzal na mnie spod oka – czy jesteś pewien, że chcesz o nich słuchać?

W istocie sam proces mnie nie interesował, chciałem tylko zamknąć nieoczekiwany pakiet informacji o pocziwym papierze, który, ni stąd, ni zowąd, stał się bohaterem naszego spotkania. Ale coś jeszcze nie dawało mi spokoju.

– Panie Sebastianie, czy laboratoryjne badania są w stanie wykryć, że dany kawałek papieru odmładzono lub postarzano?

Antykwariusz spojrzal na mnie z zaciekawieniem.

– Oczywiście, zawsze istnieje stara, sprawdzona metoda C14, która pozwala dokładnie określić wiek przedmiotu – odrzekł. – Ale... co ci chodzi po głowie?

– E, nic, zastanawiałem się tylko, na jakiej podstawie pan tak szybko zakwalifikował papierek spod pierścienia jako niewspółczesny – odpowiedziałem z dość swobodnie potraktowaną logiką.

Tak naprawdę, w typowy dla siebie sposób nadmuchiwałem balon możliwości do granic absurdu, aby potem z ulgą wypuszczać z niego co bardziej nieprawdopodobne koncepcje.

– To prostsze, niż ci się wydaje. Przecież papier o takiej strukturze – jak papierek lakmusowy – barwą zaświadcza o swoim wieku. Ten papier był kiedyś biały. Można więc bez większego ryzyka założyć, że do jego wybielania użyto chloru, a więc solidnie go zakwaszono. Dopóki ten rodzaj papieru znajduje się w zamknięciu, procesy starzenia są powolne. Ale po

otwarciu? Nawet jeśli papier z gatunku listowego – dobrego gatunku – ma przedłużoną żywotność, to nie może się oprzeć działaniu czasu. Dlatego mogę posunąć się jeszcze dalej: ten papier przeleżał w zamknięciu wiele lat, ale całkiem niedawno został wyjęty i rozwinięty. Stwierdzam to na podstawie... ale, zdaje się, że już rozumiesz?

Gospodarz musiał dostrzec u mnie oznaki zmęczenia. Istotnie, powoli przestawałem nadążyć. Ten długi dzień, zwierczony próbą dotrzymania kroku historii i metodom wytwarzania papieru, powinien być już się skończyć. Czekał mnie jeszcze spacer z Estonem, a także próba odszukania czegoś w internecie.

Pożegnałem się ze starszym panem, serdecznie dziękując za pouczający wieczór. Na koniec poprosiłem jeszcze o przechowanie batuty. Czując się odpowiedzialny za cudzą własność, chciałem mieć gwarancję, że nic złego jej się nie przytrafi. Antykwaryusz zgodził się bez wahania. Obiecał, że zaraz po moim wyjściu zdeponuje futerałik w domowym sejfie, w którym – zgodnie z moimi przypuszczeniami – przechowywał najcenniejsze eksponaty. Postanowiliśmy, że odnaleziona karteczka zostanie również umieszczona w schowku.

Pogoda była iście angielska jak w opowieściach o Sherlocku Holmesie. Eston wesoło wywijał ogonem, co chwila niecierpliwie napinając smycz. I jemu należało się trochę swobody, a najwyraźniej wyczuwał, w jakim kierunku idziemy.

Bo zdecydowałem się powrócić do parku. Policja zamknęła go prawdopodobnie tylko na czas poszukiwań, a te na pewno nie były kontynuowane po zmierzchu. Wedle moich przypuszczeń brama powinna więc być otwarta i korciło mnie, aby się o tym przekonać.

Istotnie była gościnnie uchylona. Gdy ją przekroczyliśmy, a spojrzeniem wokół upewniłem się, że jesteście prawdopodobnie – tryb warunkowy zaczynał wchodzić mi w krew – jedynymi spacerowiczami, odpiąłem smycz od obroży. Eston bezszelestnie zniknął w zaroślach, których istnienie raz ujawniał, kiedy indziej znów skrywał igrający z chmurami księżyc.

Zwolniłem, nie musząc już dotrzymywać kroku mojemu towarzyszowi. Z przyjemnością wdychałem późnojesienne powietrze, mające w sobie jeden z tych nieokreślonych zapachów, które lubiłem; musiał dotykać jakiegoś wspomnienia, którego kontekst zapisał się w mózgu przyjaznym kolorem. Wydychane – w okamgnieniu zamieniało się w kłęby pary i znikało w mrokach nocy.

Zbliżałem się do mostka, proscenium dramatycznych wydarzeń sprzed czterdziestu ośmiu godzin. Trudno było dostrzec jakiegokolwiek ich ślady. Stałem na środku kładki, próbując raz jeszcze odtworzyć niektóre szczegóły. Falująca lekko woda odbijała księżycowe refleksy, które przywoływały w mojej głowie delikatne dźwięki preludium Debussy'ego.

Światło księżyca.

W pewnej chwili uświadomiłem sobie, że zaczynam dostrzegać w stawie niewyraźne zarysy jakiegoś kształtu, ilustrowanego również znajomymi dźwiękami... To *Zatopiona katedra* przywoływała obrazy katedry w Rouen, wielokrotnie i tak różnorodnie sportretowanej przez Claude'a Moneta. Czy ją właśnie próbował oddać Debussy w swoim utworze fortepianowym?

Muzyka towarzyszyła mi zwiewnym pianissimo, kontury drgających w wodzie srebrzystych plam zaś poczęły się zmieniać. Po chwili miałem przed sobą nigdy nienamalowany, ale właśnie wyobrażony obraz, *Zatopiona filharmonia*. Dźwięki zamarły

w końcu, odprowadzone w niebyt ostatnim diminuendo, a miraż wszedł w fazę przebarwień; po chwili, z lekko marszczącą się tafli jeziora zaczęła ogrzewać mnie ciepły blask *Filharmonii* Piotra Siemielnianego. Ale księżyc schował się za chmurami, wizja zaczęła się rozmywać i zacierać, w końcu rozplynęła się w ciemnej teraz wodzie...

Czułem jednak, że jeszcze coś szuka ujścia z mojej pamięci; coś, co wbiło się w nią głęboko, choć nie znalazło natychmiastowego odzewu. Właściwy moment przygotowany wcześniejszymi skojarzeniami nastąpił właśnie teraz.

W nieprzeniknionej tafli wody – jak w lustrze – ujrzałem sufit pokoju dyrygenckiego. Od pierwszej chwili uderzyła mnie jego uroda, ale szybkość następujących po sobie zdarzeń, czytaj: brak czasu na refleksję, ją opóźniły. Za to teraz zaatakowała mnie z całą siłą. Przekonanie, że przez chwilę obcowałem z czymś niezwykłym, wróciło do mnie z pełną mocą. Przedziwny sufit kusił mnie i wabił. Wiedziałem, że nie zaznam spokoju, póki nie obejrzę go ponownie.

Bezwiednie zacząłem przechylać się przez barierkę mostu, jakby falująca w wodzie wizja chciała wessać mnie w swoje otchłanie...

Eston zjawił się nagle, niewołany. Zdarzało się to niezmiernie rzadko, prawdę mówiąc nie przypominałem sobie, żeby tak było już kiedyś. Zachowywał się dziwnie. Znałem skądś ten taniec uszu, teraz jednak zakończony jednoznacznym postawieniem ich na sztorc. Szedł tuż koło mojej lewej nogi, nie musiałem nawet przypinać smyczy. Miałem wrażenie, że wyczuwa w ciemności coś, co go niepokoi. W pewnym momencie stanął i przysiągłbym, że nastroszył sierść. Potem usiadł i zamarł w oczekiwaniu. Chmury odsłoniły ciągle jeszcze okrągłą tarczę księżycy. Zwierzę zadarło głowę do góry i wydało z siebie przejmujący i przeciągły odgłos.

Poczułem mrowienie. Było to najprawdziwsze zawołanie wilka, przynajmniej tak je sobie wyobrażałem. Po chwili księżyc schował się, a pies spojrział na mnie pytająco. Mądrała, chciał, abym przypięciem smyczy dał sygnał do powrotu. Gdy mijaliśmy bramę, jedno z jej skrzydeł drżało i piszczalo, jakby wprowadzone w wibracje gwałtownym podmuchem wiatru lub...

No tak, niczego nie mogłem wykluczyć. Miałem duszę na ramieniu, ale słowo o kuszeniu losu się rzekło. Zresztą w takiej scenerii nie było trudno o galop wyobraźni.

Zadaniem, którym chciałem zająć się na dobranoc, było odszukanie w internecie zdjęć maestro Rucacellego. Powróciłem na strony oglądane zaledwie dwadzieścia cztery godziny temu.

Większość dokumentów okazała się jednak czysto tekstowa. Kilka recenzji okraszono fotkami, może nawet zrobionymi w trakcie koncertu, ale nieczytelnymi. Portret na stronie impresariatu, z którym był związany maestro, należał do kategorii fotografii artystycznych. Inspiracja *Myslicielem* Rodina była oczywista, ale na dyrygencką batutę zabrakło miejsca. Szkoda, bo to jej szukałem, a nie wystudiowanych póz mistrza.

Pomysł był prosty. Odnalezienie batuty na zdjęciu mogłoby dać przybliżone pojęcie, od jak dawna należała do Rucacellego. Czasami jej używał – prawdopodobnie przy specjalnych okazjach – tego byłem pewien po niedzielnym koncercie. I choć wydawała się idealnym atrybutem do zdjęcia, to niestety, żadne z nich nie udzieliło mi odpowiedzi. Ale też niczego nie wykluczyło. Miałem w zanadrzu jeszcze jeden pomysł, ze zrealizowaniem go musiałem jednak wstrzymać się do jutra.

By nie kończyć dnia z pustymi rękami, postanowiłem poświęcić jeszcze trochę czasu na poszukiwanie ukrytych sensów trzech słów zapisanych na jednej ze stron tajemniczej kartki. Sebastian Mars się nimi nie zainteresował. Nie dziwiło mnie to. Ich potencjał wydawał się niewielki. A jednak i one ukryte były w batucie, w całym bezwstydzie swojej niezrozumiałości.

Jeśli w miarę logicznie rozumowałem, to nikt inny, tylko Damian Rucacelli wyjął z niej starą kartkę. Po odczytaniu informacji zmiął ją i machinalnym gestem rzucił przed siebie. A może pozbywał się jej, tak jak pałeczki, pod presją?

Opus – z tym wyrazem żaden muzyk nie ma problemu. W sensie ogólnym oznacza dzieło, ale powszechnie używa się go do numeracji utworów muzycznych. W słowniku wyrazów obcych znalazłem jednak nieznanne mi dotąd znaczenie: układ warstw kamienia przy budowie muru, układ mozaik, posadzek, rodzaje tynku, występuje wtedy zawsze w połączeniu z przymiotnikiem łacińskim. Przypomniałem sobie jeszcze jeden opus: Opus Dei. Religijna organizacja Dzieło Boże, niejednokrotnie pojawiająca się w literaturze i filmie. Ale, na litość boską, czy my jesteśmy na kartach powieści sensacyjnej?!

Opas – wszystkie znane mi konteksty tego słowa były jednoznaczne i odległe od pojęcia tajemnicy. Zgodnie z filozofią sprawdzania i eliminowania nie należało jednak kolokwialnego opasa lekceważyć. I chyba słusznie, bo po wpisaniu hasła do wyszukiwarki otrzymałem przynajmniej jedną odpowiedź, która wydała mi się bardzo interesująca.

Nazwa kryła skrót amerykańskiego programu komputerowego określonego mianem światowego, informatycznego lidera w dziedzinie orkiestrowego zarządzania: *Orchestra Planning and Administration System*. Brzmiało ciekawie, tylko... jaki mogło mieć związek z naszą rzeczywistością?

Pozostawał opos. Jakkolwiek by na niego patrzeć, sympatyczny zwierzak i tyle, choć dla niektórych jest dostarczycielem materiału na futra, czapki lub kołnierze. To, że jest torbaczem, było dla mnie zaskakujące, ale nie wносиło nic do sprawy. Przez chwilę serce zabiło mi mocniej, bo odesłano mnie do intrygującego hasła „dydelf”. Okazało się jednak, że dydelf, który brzmiał trochę jak Gandalf, to po prostu opos – inaczej.

Słowa z drugiej strony kartki w swoim aktualnym ułomnym brzmieniu nie wydawały mi się warte zachodu. Dla świętego spokoju wpisałem jedno, mające jakiś związek z muzyką, i to przy założeniu, że symbol dolara \$ był poczciwą literką S. Oprócz standardowych stron i tłumaczeń otrzymałem jedną ciekawą, ba, bardzo ciekawą – *British Antarctic Survey*, ale dowieść jej związku z wydarzeniami, których byłem świadkiem, a po trosze już uczestnikiem – ograniczyło z niemożliwością lub obłędem.

I tyle. Mętlik w mojej głowie sięgnął stanów górnych. Mimo to nie żałowałem włożonego wysiłku. W końcu sam często powtarzałem sobie, że życie to sztuka eliminacji. Skotłowane myśli nie pozwalały mi zasnąć. W pewnej chwili ujrzałem małą ćmę. Tę wczorajszą. Krążyła wysoko bez widocznej intencji zniżenia lotu. Pozostawała w bezpiecznej odległości, zazdrośnie strzegąc tajemnicy swojego wyglądu. Przyglądałem się jej z uwagą, zacząłem chyba nawet liczyć kółka, które kręciła nad moją głową. I to tak skutecznie, że zasnąłem.



ROZDZIAŁ VI

ŚRODA

Nagranie nie przebiegało tak sprawnie, jak można się było spodziewać. Na początek spóźnił się oboista, potem okazało się, że nuty są źle odbite, w końcu nieprzewidziane odgłosy ekipy remontowej pracującej za ścianą przerwały sesję. O ile martwiło mnie to w kontekście uciekającego czasu, coraz cenniejszego, o tyle zyskałem dodatkową sposobność do rozmowy z Wandą, która ku mojej skrytej radości stawiała się tego poranka na nagraniu. Radości przytłumionej wszakże pojawieniem się u jej boku wysportowanego Jędrka. Widać kryzys mieli już za sobą.

A było tak: rano przed wejściem do studia nagrań spotkałem kolegów – skrzypka i kontrabasistę.

Przywitaliśmy się, jak to muzycy, narzekaniem. W tym przypadku chodziło o to, że przecież mogliśmy jeszcze smacznie spać, a tu nie, zachciało się nagrywać... Sensu w tym nie było żadnego, ale była tradycja. A tradycja, tak jak chałtura zresztą, rzecz święta.

Czasami tylko przychodzi mi do głowy, że złe lub głupie tradycje należałoby zmieniać.

W tym momencie, dokładnie naprzeciw drzwi wejściowych z piskiem opon zatrzymało się stalowosrebrne bmw serii 1 cabrio. Auto w sam raz na zimę. Wsiadła z niego przepiękna wiolonczelistka.

– O, pan posioł jeszcze nie w Brukseli – z fałszywą troską stwierdził Jacek, koncertmistrz Orkiestry Kameralnej Johannes. Znaliśmy się od dawna, jeszcze sprzed studiów; nie musieliśmy widywać się codziennie, aby rozumieć się bez przeszkód. To się chyba nazywa nadawaniem na tych samych falach? Ale tym razem zaskoczył mnie zupełnie.

– Jak to, pan posioł? – zdziwiłem się.

Jacek przyjrzał mi się z niedowierzaniem.

– Nie mów mi, że go nie znasz. Pan Jędrzej Jędrzejczyński, poseł do europarlamentu z ramienia, tych, no jak im tam... A zresztą, czy to nie wszystko jedno?

Przypomniałem go sobie. Przypomniałem, bo twarz pozostała ta sama, tylko strój i fryzura się zmieniły. Włoski odrosły, a dresik został przenicowany w szykowny garniturek od Hugo Bossa. Ciekawe, że od razu uderzył w Brukselę. A zresztą, miał rację – co się będzie szczypał, tam diety są na pewno dużo wyższe...

Dziwne, w filharmonii nikt nie wiedział, że szacowny deputowany zgarnął konkurencji Wandę sprzed nosa. Może ona sama na razie nie chciała się nim chwalić. Jedno trzeba mu przyznać, chłopak był z niego przystojny i prezentował się okazale. W zasadzie taki supermenek, tyle że bez pelerynki. Z kolei wybór bogdanki stawiał jego gust w jak najlepszym świetle.

Stalowsrebrne bmw serii 1 cabrio ruszyło z piskiem opon spod budynku. Widać Jędrzej startował z piskiem bez względu na aktualny humor; chłopak po prostu lubił wysokie częstotliwości.

Kiedy zdenerwowany reżyser nagrania ogłosił przerwę do godziny dwunastej, podszedłem do Wandy i zaprosiłem ją na kawę z ciastkiem. Trochę ryzykowałem. Gdyby Jędrzej, tak na wszelki wypadek, postanowił sprawdzić, jak przebiega praca, mógłby nie być zadowolony, że dotrzymuję towarzystwa jego dziewczynie. Wanda w naturalny sposób przyjęła moje zaproszenie. Była w o wiele lepszej formie niż poprzednio, ale nie dziwiło mnie to. Jej ojciec wrócił ze szpitala i czuł się całkiem dobrze. Na wiadomość o wypadku swojego gnębiiciela zareagował bez większych emocji, powstrzymał się nawet od często wygłaszanego sądu, że na każdego przychodzi sprawiedliwość.

Dziewczyna pogodziła się z Jędrzejem. Przekonała go, że między nią a Rucacellim w istocie nic się nie wydarzyło. Sprawiała zresztą wrażenie, jakby urok, któremu poddawała się w towarzystwie maestra, przestał działać. Skrajny przypadek fascynacji rzeczywiście szybko minął, ale nie zapominajmy, że powrócił Jędrzej; przy nim każdy musiał zblaknąć. Owszem, pełna była współczucia i niepokoju o dyrygenta, ale przypominało mi to teraz troskę o wujka lub znaną i lubianą postać z życia publicznego, innymi słowy – całkowicie wyzute było z nie tak dawno jeszcze wyczuwalnego, uczuciowo-erotycznego kontekstu. Nie wiem, czy Damian byłby zachwycony...

Gdy po paru chwilach rozmowy zamilkliśmy, wyczerpując – zdawało się – powierzchniowy zakres tematów, Wanda otworzyła torebkę. Byłem pewien, że zręcznym ruchem wyłowi z niej któryś z damskich imponderabiliów. Myliłem się jednak. To, co wyciągnęła, nie było ani szminką, ani różem, ani tuszem do rzęs. Popatrzyła z wahaniem i powiedziała:

– Zastanawiałam się, czy ci to pokazać. Pamiętasz, ostatnio pytałeś mnie, czy w trakcie tego wieczoru z Rucacellim – jednak zarumieniła się trochę – nie uderzyło mnie coś w jego zachowaniu. Otóż, tego wieczoru nie, ale poprzedniego...

Aha! Jesteśmy w domu. Spotkali się już pierwszego wieczoru! Chyba po to, aby na gorąco omówić casus pana Zbyszka... Wanda musiała zobaczyć, że oczy powiększają mi się ze zdumienia.

– Po prostu zaprosił mnie do karczmy na barszcz i pierogi...

Mój Boże, jak romantycznie!

– A więc poprzedniego wieczoru było coś, o czym chcę ci powiedzieć. Czemu tak na mnie patrzysz? Chyba tobie nie muszę się tłumaczyć ze swoich wieczorów? Mam mówić dalej?

Miała rację. Nie musiała mi w ogóle nic mówić, a fakt, że to robiła, świadczył... Właśnie, o czym świadczył? Chyba tylko o chęci podzielenia się ze mną jakąś informacją. Spojrzałem obojętnie, by zbyt wiele wyrażającym wzrokiem nie zniechęcić jej do dalszych wynurzeń.

– Damian zwierzył mi się, że będąc w kraju, jada wyłącznie dania naszej kuchni.

I jeszcze patriota, popatrz pan, cnót wzór wszelkich albo cnót wzór w szelkach!

Nie wiem, skąd brały się we mnie te pokłady, oczywiście niewypowiedzianych głośno, złośliwości. Zazdrość? Tylko o co właściwie: przecież nie o barszcz z pierogami czy tęsknotę za rodzimą kuchnią – ja, jeśli za jakąś tęskniłem, to za dobrym Włochem, bo smakowy triumwirat makaronu, pomidorów i sera, no, może jeszcze wina, wydawał mi się bliski doskonałości. Cóż, nieskomplikowane podniebienie altowiolisty. Chodziło oczywiście o względy wiolonczelistki, a właściwie o ich zakres. Za dużo we mnie zgryźliwości, pomyślałem, i to zarówno wobec Damiana, jak i Jędrzeja, że tak familiarnie pozwoliłem sobie ich nazwać.

– Bartek, popatrz, w czasie gdy wyszłam na chwilę do łazienki, on zrobił dla mnie to. – W końcu otworzyła dłonie, delikatnie, jakby chciała z nich wypuścić uwięzionego kolibra. Ujrzałem... serwetkę z podobizną bliżej nieokreślonego zwierzęcia.

– Zobacz, Damian barszczem namalował dla mnie kotka... – Wanda była wzruszona. Im bardziej stawał się Damianem, tym bardziej przestawał być wujkiem.

Ja natomiast z trudem powstrzymałem wybuch śmiechu.

Rucacelli był wirtuozem zasługującym na najwyższy szacunek: żeby w tak nieszablony i prawdopodobnie skuteczny sposób wykorzystać zupeł! No naprawdę, *chapeau bas!* Ciekaw tylko byłem, czy miał ten numer opracowany...

Oczami wyobraźni ujrzałem galerię zwierząt wyczarowanych, a to ogórkową (krokodyl), a to gazpacho (małpa) albo minestrone (wielbłąd), to znowu chłodniczkim litewskim (niedźwiedź); szczawiowa też mogła dać ładny efekt (żaba) – gdyby jeszcze dla uzyskania impresjonistycznego efektu maznąć jajeczkiem (żyrafa). I te rozognione oczy, wpatrzone z zachwytem w twórcę i jego dzieło. A na domowe podrywy zupa z torebki?

– Damian powiedział coś dziwnego, że niektóre koty mają ludzką twarz albo odwrotnie, trzeba tylko dobrze się przyglądać, czy jakoś tak...

– Tak powiedział? A powiedział coś jeszcze? – Czułem, że wzbiera we mnie złość na całą tę idiotyczną sytuację.

– No, właściwie nie...

Ostrożnie podała mi rysunek. Z należną czcią ująłem go w dłonie. W wyniku plastycznych manipulacji mistrza serwetka straciła swój kulinarny charakter. Była dowodem jego brawurowej improwizacji. Chyba że złośliwo-cyniczne podejrzenia co do seryjnego sposobu działania dyrygenta nie były bezpodstawne. No dobrze, ale co znowu z tym podobieństwem ludzi i kotów? Czy Rucacelli ani na chwilę nie mógł wyjść ze świata metafor, nazywania wyszukany słowem prozaicznych nawet rzeczy? Zresztą miał rację; ludzkie twarze często upodabniają się do fizjonomii zwierząt, ale raczej poprzez jakiś grymas, uśmiech, spojrzenie. Logiczne byłoby, gdyby kot na serwetce był karykaturą jakiejś znanej postaci, ale może z racji niedostatków warsztatowych nikt mi się nie kojarzył. Kot był po prostu sympatyczny, a gdybym miał doszukać się jakiejś cechy charakterystycznej, stwierdziłbym, że właściwie jest to kotka.

Na szczęście Wanda przerwała moje rozważania.

– I pomyślałam sobie, że może tobie się to do czegoś przyda... – mówiła bez przekonania, a ja wiedziałem już, że chciała się pozbyć dowodu wskazującego na związek z Rucacellim. Nawet tak wątplę. Wolała nie tłumaczyć się wybuchowemu Jędrzejowi, w razie gdyby odnalazł dziełko, ale nie potrafiła go, tak po prostu wyrzucić. Do mojej kolekcji materiałów śledczych przybył kolejny.

Niemniej fenomenalny niż poprzednie. Ale może lepsze takie niż żadne?

W głośnikach odezwał się głos reżysera wzywającego nas do studia. Podobno dogadali się: ekipa miała zaprzestać hałasów, nasz czas został natomiast ograniczony do godziny czternastej trzydzieści. Ruszyliśmy więc z impetem i jednym ciągiem nagraliśmy resztę materiału. Kiedy reżyser nam podziękował, zegar w studio pokazywał cztery minuty po drugiej. Ku mojemu zaskoczeniu Wanda podeszła do mnie i zaproponowała jeszcze chwilę pogawędki w barku. Wzięliśmy po szklance soku i usiedliśmy w wygodnych fotelach; trzeba przyznać, że warunki socjalne mają w Radiówce godziwe. Dziewczyna popatrzyła na mnie i powiedziała:

– Bartek, proszę, powiedz mi coś więcej. Ja ci się prawie zwierzam, a ty tylko wspomniełeś, że Damian wrzucił coś do wody. Naprawdę nie wiesz, co to było? Bo to wszystko wydaje mi się takie dziwne. Miałam wrażenie, że Damian chciał mi coś przekazać, trochę jakby igrał ze mną.

No i się doigrał.

– Nie wiem, o co chodziło, ale coś go szalenie ekscytowało.

– Czy coś mogło go ekscytować bardziej niż... ty?

Uśmiechnęła się, ale tylko na chwilę.

– Wydaje mi się, że tak właśnie było.

No jasne, tego nie lubimy. Musimy być numerem jeden.

– Damian ze mną rozmawiał i flirtował, ale momentami odpływał jakby i zapominał, że przy nim jestem. Raczył mnie jakimiś idiotycznymi obrazkami i wierszykami.

Wierszykami? To było coś nowego. Ciekaw byłem, czy liryka Rucacellego godna jest jego prób plastycznych.

Wahałem się. Dziewczyna była ze mną szczerą. Czy nie byłem jej winien tego samego? Poza tym, jeśli liczyłem na próbkę poezji Rucacellego, musiałem dać coś w zamian.

– No dobrze, Wanda, posłuchaj. Według wszelkiego prawdopodobieństwa przedmiotem, który Rucacelli wrzucił wtedy do wody, była batuta...

– Batuta?! – Nie spodziewałem się, że zrobi to na niej takie wrażenie.

– Tak, ta sama, którą prowadził koncert.

– A co się z nią stało? – zapytała, tonując trochę gwałtowne zainteresowanie.

– Powiedzmy, że jest w... bezpiecznym miejscu.

– A ty wiesz, co to za miejsce? – W jej głosie pojawiły się inne, jakby syrenie nuty.

Postanowiłem mieć się na baczności.

– Nie wiem. Ale może będę wiedział. – Klasyczna pół-, a może i ćwierćprawda.

Chyba rozczarowałem Wandę jakością posiadanych informacji. Zresztą powoli wracała do świata realnego. Wyjęła telefon.

– Jędrus, kochanie, skończyłam, możesz po mnie przyjechać? – Prawie widziałem, z jaką gwałtownością odpalał już silnik stalowosrebrnego bmw serii 1 cabrio. Ale Wanda nie

schowała jeszcze telefonu. Manipulując przy klawiaturze, powiedziała:

– Chciałabym, abyś tego posłuchał. Uparł się, że coś dla mnie nagra.

Telefon leciutko zaskrzeczał, lecz po chwili popłynęły z niego słowa wymawiane przez... Damiana Rucacellego. Głośniczek zniekształcał nagranie, a mimo to głos brzmiał przyjemnie. Inaczej niż w trakcie prób, bardziej intymnie:

*Stałem pod niebem, patrzyłem w gwiazdy,
odkryć musiałem cztery spojrzenia,
dopiero twoje oczy mnie natchnęły,
jutro zabiorę cię tam ze sobą.*

Zapanowała cisza, nie taka prawdziwa – o nią trudno w jakimkolwiek publicznym miejscu. Ale cisza myśli.

Powstrzymałem złośliwe komentarze, które już, już cisnęły się na usta. Nawet jeśli czterowersz nie był arcydziełem, to jednak coś w nim było, jakiś nastrój, który powstrzymał mnie od wypowiedzenia zbędnych słów. Wandzie zaszkliły się oczy.

Mimo wszystko byłem zdziwiony. Jaki miała cel, odtwarzając nagranie? Ostatecznie jednak dzieliła się swoimi skarbami na moją własną prośbę. Trudno, żebym teraz miał jej to za złe.

Byłem zresztą chyba jedynym oprócz niej słuchaczem nagrania – i tak już miało pozostać – bo dziewczyna powiedziała:

– Kasuję.

I dobrze. Lepiej, aby Jędrzej nigdy tego nie usłyszał. Wanda, najwyraźniej wzruszona, wstała i wyszła poprawić makijaż. Też byłem zdania, że Jędrus nie powinien jej widzieć w takim stanie.

Nawiasem mówiąc: kobieta. Dla Rucacellego roni łzę, do mnie mówi głosem, od którego ciarki chodzą po grzbiecie, a Jędrusia tytułuje Kochaniem i wszystko w tym samym czasie.

Ale myślałem o czymś jeszcze. Być może nikt z nas nie docenił Rucacellego. A na pewno nie doceniłem go ja. Facet miał wiele sposobów oddziaływania na kobiety, ale nie tylko. Zacząłem podejrzewać, że w tym, co mówił i robił, było więcej sensu, niż mogłoby się na pierwszy rzut oka wydawać. Tak jakby chciał się czymś podzielić, czymś, co z niejasnych powodów musiało pozostać tajemnicą. Przynajmniej do czasu. Dlatego mówił zagadkami. Nie wyjawiając, o co chodzi, bawił się, dając upust swojej skłonności do kalamburów. Pozostawało pytanie zasadnicze: co i dlaczego musiało być utajone? Gdyby chodziło tylko o kontrakt płytowy, nie widziałem powodów, dla których Rucacelli nie mógłby o tym wspomnieć Wandzie w sposób bardziej czytelny. Chyba że...

No tak, już mi to wcześniej przychodziło do głowy. Filharmonia Krakowska pozbawiona była aktualnie dyrektora artystycznego, czyli dyrygenta-szefa. Poprzedni odszedł przed upływem podpisanego kontraktu – nie wiedziałem, z jakiego powodu – a znalezienie odpowiedniego następcy nie było prostym zadaniem. Spekulowano nawet, że Festiwal Beethovenowski będzie nieoficjalnym konkursem na nowego szefa, ale tak naprawdę nikt nie brał tego na poważnie.

Wydawało się, że wszyscy zaproszeni mistrzowie batuty byli daleko poza – przede wszystkim finansowym – zasięgiem filharmonii. Jeden Rucacelli miał sentymentalne powody, aby przynajmniej tytułarnie, honorowo stanąć na czele zespołu.

Przypomniał mi się fragment rozmowy z portierem:

„On na pewno przyjdzie, może nawet bardzo późno, ale na pewno, bo to będzie straszna bomba”.

„Tak powiedział, że to będzie straszna bomba?”

„Dokładnie tak, ale, panie, ja nie mam pojęcia, o czym on mówił. Że pracował nad czymś u siebie w gabinecie, to fakt, był tam przed próbami i po próbach, jakiś projekt szkował, pewnie coś z tym nagraniem, czy jak, bo tam go nawet ci agenci z wytwórni płytowej odwiedzali”.

A może to byli ludzie z Ministerstwa Kultury i Dziedzictwa Narodowego? Portier – przy całym szacunku – mógł ich pomylić. Dogadywali szczegóły kontraktu, a w poniedziałek rano na konferencji prasowej bomba miała wybuchnąć. Bo rzeczywiście, gdyby dyrygent formatu Rucacellego miał zostać w Krakowicach szefem, oznaczałoby to wywindowanie artystycznej rangi naszej filharmonii.

„Stałem pod niebem, patrzyłem w gwiazdy...”

Pewnie wahał się, czy przyjmą nieoczekiwaną propozycję.

„Musiałem odkryć cztery spojrzenia...”

Chciał dobrze poznać intencje swoich rozmówców? Dlaczego czterech? Może dwóch z ministerstwa i dwóch z filharmonii?

„Dopiero twoje oczy mnie natchnęły...”

To ona przeważała szalę?

„Jutro zabiorę cię tam ze sobą”.

Chciał, żeby była u jego boku, gdy będzie ogłaszał sensacyjną decyzję?

No dobrze, załóżmy że Wanda jest kotką, tą miłą z rysunku. Kim są inne koty, te, które upodabniają się do ludzi: osobami mu niechętnymi? Czy ktoś dźgnął go nożem, aby stanąć na przeszkodzie projektowi? I dlaczego? Czy Rucacelli stanowił dla kogoś zagrożenie?

Pod nieobecność dziewczyny do stolika dosiedli się Jacek i Andrzej (kontrabasista), którzy najwyraźniej nie wiedzieli, co począć z tak pięknie rozpoczętym dniem. Świeża gotówka paliła im kieszenie, ale tym razem nie mogli na mnie liczyć. Czułem się jak zaprogramowany robot z czasowo usuniętą funkcją „rozrywka”.

Wanda nie wracała, za to w drzwiach barku pojawił się pan europoseł we własnej osobie. Musiał kojarzyć kogoś z nas, bo bezceremonialnie dosiadł się do stolika, z miejsca atakując wyszukany poczuciem humoru.

– Panowie, wiecie, co to jest? – Rozczepierzył nam przed nosem cztery palce lewej ręki, zewnętrzną częścią, tak że kciuk pozostał niewidoczny.

– Ręka? Dłoń? Cztery? Aha, palce... – nieśmiało próbowali Jacek z Andrzejem.

Jędrzej spojrzął ze zniecierpliwieniem.

– To jest symbol dupy.

– Du... py? – Dobrze, że poseł poszedł na myślowe skróty, bo długo musielibyśmy zgadywać, ale nie przesadzajmy z intelektualnymi wymaganiami wobec muzyków.

– A co, nie nasuwa się?

Jakoś nie chciało, no chyba żeby przyjąć optykę pewnego szeregowca, którego skojarzenia dotyczyły wyłącznie tej, szlachetnej skądinąd, części ciała.

Biorąc nasze milczenie za dobrą monetę, europoseł kontynuował:

– Dobrze, a to? – Tym razem ułożył dwa palce prawej ręki w powszechnie znany i w oczywisty sposób odczytywany symbol litery V.

Milczeliśmy w przekonaniu, że i tak nie zgadniemy. I mieliśmy rację, choć tym razem Jędrzej wspaniałomyślnie próbował nas usprawiedliwić.

– Tego też nie możecie wiedzieć, bo to nowości z Brukseli, owoce naszych długich obrad w gronie kolegów. To symbol członka. – Powiódł po nas wzrokiem niepozobawionym pewnej twórczej dumy.

– Członka europarlamentu? Ale jakiegoś konkretnego ugrupowania? – spytał Jacek.

– Członek z ramienia? – zaczętnie dorzucił Andrzej.

Jędrzej cierpliwie przeczekał niedorzeczne komentarze.

– Męski członek, mówi wam to coś? – pytał jak w rozmowie z nierozgarniętymi dziećmi.

W zasadzie mówiło, choć w swojej prostackiej wyobraźni sądziliśmy, że chodzi o skojarzenia bardziej polityczne. A zresztą, co tu się czepiać szczegółów: jeśli W to dupa, to dlaczego V nie może być członkiem? To się nawet jakoś nazywa: *licentia poetica*, czy nie tak? Ale najlepsze dopiero było przed nami.

– Panowie, teraz się skupcie – wręcz słycać było, jak nasze mizerne intelektu trzeszcza z przegrzania – z czym wam się to kojarzy?

Przyszła pora na zsumowanie liter. Używając obu dłoni, pan poseł połączył symbole w formę jednoznacznie kojarzącą się z logo znanej firmy motoryzacyjnej. Popatrzył tryumfalnie; chyba czekał na oklaski.

– Dobrze, co? Finezyjne, a czytelne zarazem.

Siedzieliśmy z kolegami jak trzy mumie, którym opadły szczęki. Faktycznie. Finezyjne jak popękany i pożółkły kieł niedorozwiniętego mamuta w schyłkowej fazie demencji, tuż przed wyginięciem, z całym szacunkiem dla mamuta, rzecz jasna. A czytelne jak fanga w nos. Żeby tak misternie i subtelnie zarazem uchwycić drażliwą tematykę, tak ślicznie wyczelować i twórczo rozwinąć ponadnarodową poetykę środkowego palca. Ja tam bym od razu przyznał za to jakąś paneuropejską nagrodę.

Pierwszy otrząsnął się Jacek:

– A to znacie?

Widziałem, że podjął desperacką próbę udowodnienia, że nie śnimy, a rzeczywistość nie oszalała. Spojrzał na mnie i już wiedziałem, że będzie o altowiolistach. No cóż, świat bez nas nie byłby taki sam.

Nie myliłem się. Ależ obniżył poziom...

– Jaka jest różnica między dwoma altowiolistami siedzącymi przy jednym pulpicie?

Mój Boże, znałem wiele takich różnic, ale byłem pewien, że nie tę najsmieszniejszą.

– Pół tonu – brzmiała właściwa odpowiedź. – A pomiędzy pierwszym a ostatnim pulpitem altówek? Dobra, od razu mówię: pół taktu.

Znając konwencję, mogłem się szczerze zaśmiać. Inna sprawa, że dowcip też znałem. Jakże mógłbym nie znać? Ale Jędrzej patrzył na nas ze zdziwieniem. Prawdopodobnie nie znał takich pojęć, jak pół tonu czy pół taktu; mało tego, pojęcie taktu było mu w ogóle obce, a „pół”

kojarzyło się prawdopodobnie z czymś całkiem innym, płynnym dodajmy. Andrzejowi wystąpienie deputowanego nie dawało jednak spokoju, bo zapytał:

– A ten VW kawał, to miał być taki bardziej wymierzony w jakąś konkretną firmę? – Grubymi – dla mnie – nićmi zastawiał pułapkę.

– No pewnie. Panowie, te ich samochody to przereklamowany szajs, nigdy bym czymś takim nie jeździł.

– ???

– Przepraszam, że spytam, ale wydawało mi się, że widziałem pa... znaczy ciebie za kierownicą bmw? – niewinnie dokręcał Andrzej.

– No pewnie: bi em dablju, dobry, amerykański samochód – z pełnym przekonaniem odpowiedział Jędrzej. Był idiotą lub świetnie grał taką rolę. Dyskusja okazała się bezprzedmiotowa, czuliśmy, jak – już nie opadają, ale – odpadają nam ręce.

– A co u was nowego, panowie? – nieoczekiwanie wszedł na nutę zatroskanego wybrańca narodu. – Pensej dalej takie kiepskie?

Nikt jakoś nie kwapił się do narzekania. Na pewno nie przed takim typem.

– Nie musicie mówić, ja tam swoje wiem, ale przecież w Londynie czy tam innej Irlandii to można na zmywaku chyba nieźle zarobić, nie myśleliście o tym?

Popatrzył na nas niczym dobry władca, który właśnie udzielił bezcennej rady.

Pierwszy nie wytrzymał Andrzej. Wstał, zwracając się w kierunku europośła, najwyraźniej z zamiarem naruszenia jego immunitetu. To mogło mieć przykre konsekwencje: najpierw dla Jędrzeja, potem dla całej naszej trójki. Na szczęście w tym momencie pojawiła się Wanda. Na jej widok poseł poderwał się gibko, zupełnie nieświadomie unikając gniewu wyprowadzonego z równowagi Andrzeja. W pośpiechu wstaliśmy z miejsc, chcąc ogólnym zamieszaniem uśmierzyć burzę przez chwilę wiszącą na włosku. Widok Wandy podziałał jednak na wszystkich uspokajająco. Pożegnaliśmy się z nimi, zachowując pozory poprawności.

Kontrabasta, z wolna dochodząc do siebie, wysapał w końcu:

– Przynajmniej jasne, dlaczego jest jego dziewczyną.

Spojrzeliliśmy z zainteresowaniem. Czy oprócz wstrząsającej urody wiolonczelistki pan poseł kierował się innymi przesłankami? Względy reprezentacyjne?

– Wiesz coś więcej?

– Oczywiście. A wy się nie domyślacie? – Popatrzył na nas z błyskiem w oku.

– Nie, nic a nic, powiedz w końcu.

– Wiele, wiele lat temu, Wanda w dramatyczny sposób odrzuciła starania pewnego Niemca. Wołała w rzekę niż za rzekę... – zaszlochał Andrzej.

Wybuch śmiechu, który nami wstrząsnął, miał działanie oczyszczające. Moi towarzysze mieli trochę czasu, aby odreagować, ja niestety nie mogłem sobie na to pozwolić. Jednego natomiast byłem pewien: rozegrany w czasoprzestrzeni pojedynku literackiego maestro Damiana Rucacellego z europosem Jędrzejem Jędrzejczyńskim zdecydowanie wygrał ten pierwszy.

Wracając do domu, pomyślałem, że wydarzenia i zajęcia ostatnich dni odbijają się niekorzystnie na Estonie. Niby ma swoje spacerki, jednak przez większą część dnia siedzi sam. Postanowiłem mu to zrekomensować. Ponieważ od rana korzystałem z usług komunikacji publicznej, sam myślałem z przyjemnością o rowerowej wyprawie wzdłuż rzeki.

Pies czekał na mnie. Robił wrażenie troszkę obrażonego, czemu tak do końca się nie dziwiłem. Jednak wraz z przygotowaniem do wycieczki jego nastrój zaczął ulegać poprawie.

Kiedy postanowiłem zaopiekować się Estonem, moja decyzja miała silnie emocjonalny charakter.

Trudności wynikające z faktu posiadania dużego, wymagającego ruchu psa przez singla bez własnego mieszkania (o ogrodzie nie mówiąc), o nieregularnym i nieunormowanym trybie życia zaczęły z upływem czasu wyraźnie do mnie docierać. Rozwiązania dramatyczne nie wchodziły jednak w grę. Przy całym nagromadzeniu moich wad wiedziałem jedno: wziąłem na siebie odpowiedzialność za los żywej istoty i wytrwam w tym, wierności dochowam.

Wszystko zaczęło się w maju. Powzięcie decyzji o przystąpieniu do właśnie ogłoszonego przesłuchania w Filharmonii Krakowskiej rozpoczynało nowy etap w moim życiu. Wiedziałem, że od teraz aż do trzeciego grudnia wszystko zostanie podporządkowane jednemu celowi. Piękna, wiosenna przyroda miała dać mi solidnego kopa do pracy. Postanowiłem odwiedzić Krainę Wodospadów. Mam taki niepisany system polegający na sukcesywnym odwiedzaniu nieznanymi mi zakątków kraju. Ich liczba i różnorodność ciągle wprawia mnie w zdumienie. Coraz wyraźniej słychać było głosy o konieczności przecięcia Doliny Wodospadów drogą szybkiego ruchu. Nie miałem w tej kwestii wyrobionej opinii; chciałem zobaczyć znane z urody miejsce, póki człowiek go nie zeszpecił.

Zabrałem ze sobą rower. Zanosilo się na pełną niezależność. Jak zazwyczaj, pewne sprawy pozostawiłem przypadkowi, traktując je jako element wakacyjnej przygody. Jeśli ktoś zaznał słodczy skrzypiącego łóżka w starej chacie, gdy już, już szykował się do spędzenia nocy pod gołym niebem – ten wie, o czym mówię. Turystów było jak na lekarstwo, a w jednej z wioserek trafiłem na życzliwych miejscowych, którzy za symboliczną opłatą dali mi dach nad głową i udostępnili kajak.

I właśnie w trakcie skąpanej w majowym słońcu kajakowej wycieczki zobaczyłem psa. Był przywiązany do drzewa, a sznur umożliwiał mu poruszanie się w promieniu góra jednego metra. Zatrzymałem się i wyciągnąłem kajak na brzeg. W naturalnym odruchu zacząłem rozglądać się za właścicielem, ale okolica robiła wrażenie bezludnej. Nic nie mąciło ciszy panującej wokół. Podeszedłem do zwierzęcia, na bezpieczną odległość rzecz jasna. Jego reakcja była bardzo słaba, natychmiast zrozumiałem, że siedział tu już od pewnego czasu. Pies położył się, robił wrażenie najzupełniej obojętnego, gdy jednak zbliżyłem się jeszcze trochę, usłyszałem dochodzące z jego gardła ostrzegawcze dźwięki. Nie wiedziałem, jak długo tak siedział, ale musiał być spragniony. Na szczęście lina umożliwiała mu przechodzenie w cień, gdy słońce stawało w zenicie. Trawa wokół psa była wydeptana; osiadające na niej poranne krople rosy, musiały stanowić dla niego jedyne źródło wody. Żwawym krokiem ruszyłem w poszukiwaniu najbliższych zabudowań. Po kilkunastu minutach udało mi się znaleźć coś w rodzaju sioła, a w nim – jednego z mieszkańców. Stopniowo dołączali do nas inni.

Okazało się, że tubylcy wiedzieli o psie przywiązany do drzewa.

– Panie, tu przyjeżdżały jakieś Ruskie – zaczął rozgarnięty gospodarz.

– Nie Ruskie, nie Ruskie, tylko Łotyszcze czy Estońce jakieś. – Chłopak o wyglądzie Piaста Kołodzieja dał wyraz swojej geograficznej edukacji.

– Tak, tak – tłumek zaczął wtórować – to mafia jakaś, oni tu coś z samochodami chyba kombinowali, bo my znaleźlim kiedyś parę tablic z różnych krajów. – Korpulentna jejmość wyrastała na rzeczniczkę miejscowych.

– Tak, panie, my tu ich nieraz widzielim i tego sobakę też, ale kto by tam się wtrącał, to gangstery jakieś, lepiej od nich z daleka...

– No dobrze, ale co z tym psem? – przerwałem niewątpliwie interesujące wywody.

– Co z psem, panie, one tak wczoraj spie... złyły, że mało butów nie pogubiły i psa albo zapomniały, albo nie miały czasu zabrać. – Te słowa wygłosił sympatyczny właściciel aż dwóch zębów.

– To już po psie, panie, ile on tam wytrzyma?

Tak postawione, retoryczne pytanie uświadomiło mi, że mentalność mieszkańców wioski nie dopuszcza możliwości ingerencji w los nieszczęsnego zwierzaka.

– Panie, to gangsterski pies, szkoda go, ale to gadzina jakaś, strach się do niego zbliżyć...

– Ale może oni wrócą po niego? – zapytałem bez większego przekonania.

– Jak wróco, gdzie wróco? Jak za rok wróco, to dobrze, tu im ktoś mocno kota popędził... Czy to nie lepiej by go od razu ukatrupić? A tak się będzie męczył...

Czym pies naraził się swoim poprzednim właścicielom? Na pewno nie zdradą, bo w odróżnieniu od ludzi, psy nie zdradzają. Niemożliwością było odtworzenie łańcucha zdarzeń, który zmusił łotewskich czy estońskich gangsterów do salwowania się ucieczką. Albo policja deptała im po piętach, albo weszli w paradę konkurencji. Na pewno stał się dla nich niewygodnym balastem. To było teraz nieważne.

Jedyny istotny dla mnie element sprawy siedział przywiązany do drzewa, skazany na śmierć w męczarniach, bo i ci, którzy go zostawili, i ci, z którymi rozmawiałem, wydali już na niego wyrok, choć ci pierwsi mogli mieć nadzieję, że ktoś się jednak nad nim zlituje, i to pewnie powstrzymało ich przed wpakowaniem kulki między oczy starego druha... A może mieli nadzieję odnaleźć go kiedyś?

I właśnie mnie niepojęty los rzucił w to miejsce, w tym momencie, abym spróbował powstrzymać, już, już zaciskające się na szyi zwierzaka kleszcze. Bierność ludzi, z którymi rozmawiałem, była groźna. Od niej już tylko krok do przyzwolenia, chociaż nie – ona już jest przyzwoleniem.

Bali się, i to podwójnie. To akurat byłem w stanie zrozumieć. Ja też się bałem.

Jeszcze nie wiedziałem, co chcę zrobić, ale jedno było dla mnie jasne: tę sytuację należało jakoś rozwiązać.

Nieraz zastanawiało mnie jak to się dzieje, że tłum czy chociażby tłumek wyzwała w zgromadzonych niebezpieczne instynkty. Tak jakby każdy, nawet zbrodniczy zamiar wspólnie pomyślany i wyrażony znajdował natychmiastowe uzasadnienie i usprawiedliwienie, rozlany na wszystkich po równo. A przecież wiedziałem, że wśród otaczających mnie ludzi – może nie u wszystkich – znalazłbym zrozumienie i współczucie, gdybym tylko mógł porozmawiać z każdym z osobna.

Teraz jednak sytuacja była groźna. Żeby uciąć od razu wszelkie nieporozumienia, powiedziałem głośno:

– Ja tego psa biorę. Od teraz to jest mój pies, czy wyrażam się jasno?

Musiałem chyba zaimponować miejscowym, bo ucichli, popatrzyli na mnie z przestrachem, a ja zrozumiałem, że wzięli mnie za któregoś z rywalizujących mafiosów z grupy, która przegnała konkurencję. Było mi wszystko jedno, a nawet było mi to na rękę. Wiedziałem, że powodowani strachem nie popełnią żadnego głupiego uczynku w ramach swoiście pojmowanego współczucia – współczucia inaczej – dla żywej istoty.

Jak tak, to tak: ludzie zaczęli się rozchodzić, czasami spoglądając na mnie ukradkiem. Ten i ów próbował jeszcze coś powiedzieć, jakieś:

– No tak, to przecież ładny pies. No pewnie, bo jak tak zwierzę można zostawić. – Szukali racjonalnych przesłanek dla mojej decyzji, ale w końcu dali spokój i machając rękami, zniknęli w swoich zagrodach.

Pozostał tylko chłópiec, tak podobny do wygadanego Piasta Kołodzieja, że musiał być jego młodszym bratem.

– Hej, mały, jak ci na imię?

Do tej pory stał ze spuszczoną głową, ale skoro został – nie mógł być taki nieśmiały.

– Wojtuś. – Spojrzał na mnie, ukazując sympatyczną twarz, pełną piegów i dwa dołeczki w uśmiechniętych policzkach.

– Posłuchaj, Wojtuś, czy potrafiłbyś zorganizować jakąś miskę albo wiadro?

Jeszcze nie skończyłem, a dzieciaki obrócił się na pięcie i tyle go widziałem. Zanim jednak zacząłem się zastanawiać, co go spłoszyło, był już z powrotem. Uśmiechnięty od ucha do ucha, trzymał w ręku talerz do zupy. Miałem nadzieję, że jego rodzina była już po obiedzie.

Podziękowałem i wziąłem naczynie, a potem ruszyłem w kierunku rzeczki, ale on ani myślał mnie zostawiać; potraktował talerz jako przepustkę do uczestnictwa w dalszych wydarzeniach. Nie miałem nic przeciwko temu. Na razie tylko jedno było jasne: trzeba było czym prędzej napić spragnione zwierzę.

Pies leżał, trzymając łeb na wyciągniętych przednich łapach. Podeszedłem do leniwego nurtu i mając nadzieję, że woda z rzeki nadaje się do picia, napełniłem talerz po brzegi. Z ulgą ujrzałem, że jest kryształowo czysta. Napiłem się trochę, stwierdzając, że i smak ma wyborny. Niosąc naczynie, uroniłem chyba z połowę jego zawartości, ale nie to mnie zaprzętało.

Zastanawiałem się, jak podejść do zwierzaka na tyle blisko, by mógł dosięgnąć do miski, nie budząc jednocześnie jego agresji. Przyjąłem następującą metodę: zbliżając się małymi, spokojnymi kroczkami, cały czas mruczałem pod nosem jakieś uspokajające słowa, unikając jednocześnie patrzenia na czworonoga. Gdy byłem już wystarczająco blisko, zacząłem się powoli zniżać. Zwierzę nie spuszczało ze mnie oczu, a z jego gardła zaczął się wydobywać raz już dzisiaj słyszany odgłos, który na chwilę przerwał ziajanie. Wycofałem się, zachowując podobną taktykę.

Dopiero wtedy pies wstał, podeszedł do wody, obwąchał ją i zaczął łapczywie pić. Po chwili talerz był pusty, lecz zwierzę dalej szorowało językiem po dnie. Tak jak poprzednio zbliżyłem się, zabrałem bez kłopotów talerz, by po chwili powtórzyć całą operację. Wojtuś przyglądał się temu w milczeniu. Dopiero czwarta dolewka zaspokoiła pragnienie psa – zostawił trochę wody na porcelanowym dnie.

Usiadł i zaczął mnie obserwować – nie wrogo, ani nie przyjaźnie, neutralnie. Jak na początek znajomości zawieranej w tak trudnych okolicznościach było to całkiem dużo. Najważniejsze, w tej chwili najważniejsze, zrobione, należało zastanowić się, co dalej. Na szczęście nie odplynąłem daleko od portu macierzystego, leniwy nurt rzeczki czynił też

właściwie obojętnym, czy płynie się zgodnie z nim, czy też pod prąd. Ale trudno mi było sobie wyobrazić, że ten wielki i poddany ciężkim stresom pies posłucha mojej zachęty, aby wejść do kajaka. Mało tego, obawiałem się, że uwolnienie go z pęt spowoduje natychmiastową ucieczkę w siną dal.

Pomijając już fakt, że w ogóle nie wiedziałem, jak zareaguje na manipulację przy szyi. Musiałem pomyśleć. A myśląc, mogłem mu się w końcu dokładnie przyjrzeć.

Pierwsze skojarzenie nie budziło wątpliwości: wilk. Dopiero kiedy stawał, widać było jego zawinięty ogon i zad, który w przeciwieństwie do dzikiego kuzyna nie był opuszczony. Niepowtarzalne były jego kolory. Tak przedziwnej mieszanki wszystkich odcieni szarości i burości, z żółcią na początku i czernią na końcu jeszcze nie widziałem. A deseni, które pokrywały jego ciało kropkami, paskami, maźnięciami, aż do wyraźnego rysunku zebry na psu, nie znalazłbym chyba nawet w Afryce. I migdałowe oczy.

Był to pies dziwny i piękny. Która to konstatacja nijak nie zbliżyła mnie do znalezienia odpowiedzi na pytanie, co teraz. W końcu jednak podjąłem decyzję.

– Wojtuś, czy możesz tu zostać i popilnować go, dopóki nie wrócę? Jakby ktoś z wioski przyszedł, to powiedz, że ten pan, który go zabiera, zaraz wróci i nikomu nie wolno się do psa zbliżać. A ja za godzinę będę z powrotem i przyniosę ze sobą dobre cukierki, zgoda?

Twarz Wojtusia zaświeciła się jak uradowane słońce. Wiedziałem, że mały rezolut dobrze wykona swoje zadanie, on jednak sam z siebie dodał:

– Ale niech pan chwilę poczeka, pójdę jeszcze po brata, bo jakby starsze chłopaki coś chcieli zrobić, to nie wiem, czy bym dał rady...

Brzmiało to rozsądnie. W czasie gdy Wojtuś zniknął za zagajnikiem, zbliżyłem się trochę do zwierzaka, przykucnąłem i patrząc na niego, zacząłem łagodnie przemawiać:

– No i skąd ty się tutaj wzięłeś? Kto cię zostawił? Jak się nazywałeś?

Nie, nie spodziewałem się odpowiedzi, ale próbowałem oswoić psa ze swoim głosem. Patrzył na mnie, śmiesznie strzygąc uszami i przekręcając głowę na boki. Po chwili Wojtuś wrócił z Piastem Kołodziejem.

– Pan spokojnie sobie załatwi sprawy, a my tu już zwierzka popilnujemy...

Ruszyłem więc czym prędzej, na pożegnanie wydając psu pierwszą komendę: czekaj! Gdy odpływałem, przyglądał mi się, stojąc, a gdy zniknąłem za zakrętem rzeki, usłyszałem nawołujące szczeknięcie...

W niecałą godzinę byłem z powrotem, zmieniłem tylko środek lokomocji. Na szczęście wzdłuż wijącej się rzeki wiodła wydeptana ścieżynka; na szczęście, bo wiele było tu terenów bagnistych.

Chłopcy siedzieli po turecku, długimi trawami odganiając się od much. Według ich relacji nic ciekawego się nie wydarzyło. I dzięki Bogu, pomyślałem. Od pewnego rodzaju ciekawych zdarzeń wolałem być z daleka. Pies zareagował na mój widok. Wstał i dwa razy ruszył ogonem. Bardzo dodało mi to otuchy, bo zbliżał się najtrudniejszy moment. Zanim nastąpił, podziękowałem jednak chłopcom i wręczyłem im torbę pysznych geesowskich raczków i malutkie tranzystorowe radio z dwiema parami słuchawek – tani jak barszcz jednorazowy zestaw turystyczny, ale widziałem, że obaj byli wniebowzięci.

Wolno zbliżyłem się do psa. Sznurek, którym przywiązany był do drzewa, z drugiej strony zapętlął się wokół psiej szyi. Na szczęście moi gospodarze znaleźli w domu starą obrozę i smycz, pozostawało tylko, bagatela, użyć ich zgodnie z przeznaczeniem. Musiałem

zaryzykować. W momencie gdy moje ręce zbliżyły się do głowy psa, zaczął mrużyć oczy, tak jakby spodziewał się ciosu. Na samo założenie obroży zareagował jednak spokojnie. Po chwili, już wyzwolony od sznurka, niecierpliwie zaczął dreptać w miejscu, nie wiedząc, w którym kierunku pójdziemy.

Był jednak najwyraźniej zadowolony, że niewola wokół drzewa dobiegła końca. Reszta poszła łatwiej, niż mogłem się spodziewać. Wsiadłem na rower, w prawej ręce trzymając smycz dość krótko, ale luźno, i ruszyłem. Pies szybko zrozumiał, na czym polega zabawa, i starał się biec równoległe do roweru, dostosowując szybkość. Od czasu do czasu próbował na mnie łypnąć oczami. Po półgodzinie byliśmy na miejscu. Ponownie napoiłem go i poczęstowałem suchą karmą z pobliskiego geesu. Nie musiałem przywiązywać; po zagrodzie mógł biegać luzem, bo była ogrodzona, nie było tam też innych zwierząt. Smycz i obroża należały do ulubionego psa moich gospodarzy, którzy po jego śmierci nie zdecydowali się już na nowego pupila.

Wieczorem siedzieliśmy pod kwitnącą gruszą, rozmawiając i jedząc pyszny, domowy nabiół ze świeżo wyjętym z pieca chlebem. Popijaliśmy nalewkę orzechową, również domowej produkcji. Pies cały czas trzymał się przy mnie. Ale nie kładłem tego na karb nadzwyczajnej wdzięczności za wybawienie z opresji. Wyczuwał chyba, że w jego interesie jest być blisko mnie – co może w sumie na jedno wychodziło.

Wiedziałem już, że wakacje się skończyły. Wiedziałem też, że zaczyna się nowy etap w moim życiu, i chociaż byłem gotów podjąć wyzwanie, to nie byłem pewien, czy słusznie czynię. Nie chodziło rzecz jasna o uratowanie zwierzęcia od głodu, pragnienia, opuszczenia i ludzkiej złości, a o to, czy nie powinienem poszukać kogoś, kto mógłby mu zaoferować lepsze warunki. Ale dramatyczny początek naszej znajomości znaczył wiele. Pies zadziwiająco szybko zaczynał okazywać mi elementarne zaufanie. Nie mogłem go zawieść, bo po prostu bardzo lubiłem psy. Zawsze chciałem mieć czworonoga i wiedziałem, że to kiedyś nastąpi, ale nie przypuszczałem, że tak, że teraz, bez przygotowania, że takie wielkie pysisko...

Z drugiej strony powtarzałem sobie, że odwlekane w nieskończoność decyzje nigdy nie zostaną zrealizowane, budząc po latach żal, że przecież można i warto było spróbować... Przypadek pomaga w ich podjęciu, w osiągnięciu dojrzałości do ich podjęcia w przeciągu paru chwil niekiedy.

– To jak ty się będziesz nazywał? – zapytałem, wiedząc, że nigdy się nie dowiem, jakie było jego imię w poprzednim życiu. – Gangster? Łotysz? Estończyk?

Pies kręcił głową.

– A może Eston?

Szczeknął metalicznie.

– Eston?

Szczeknął dwa razy.

– Eston? Podoba ci się?

Podobało mu się...

*Zaszczekał dwa razy,
zamachał ogonem,
popatrzył mi w oczy
i został Estonem.*

Taki wierszyk ułożyłem tamtego cudownego majowego wieczoru w Krainie Wodospadów, gdy kwiecie gruszy sypało się nam na głowy, owoc orzecha wypełniał nasze trzewia, a na ziemi, koło moich nóg, ufnie leżał nowo pozyskany przyjaciel.



ROZDZIAŁ VII

ŚRODA PÓŹNIEJ

Przez trzy jeszcze dni zostaliśmy z Estonem w gościnie. Pies zdawał się do mnie przyzwyczajać, nie budziło też wątpliwości, że był wyszkolony, ale w sposób specyficzny, zgodny z interesem jego poprzednich właścicieli. Nieraz reagował na moje słowa lub gesty w sposób zgoła nieoczekiwany. Problem polegał na tym, że nie wiedziałem tego, co wiedział on, on zaś nie zawsze wiedział, czego ja od niego oczekuję. Ale te trzy dni pozwoliły mi poznać go na tyle, że zacząłem realnie myśleć o wspólnej podróży pociągiem. W przedziale rowerowym ma się rozumieć, ale jednak. Z żalem żegnałem uroczą Krainę Wodospadów.

Gdy szczęśliwie, choć nie bez przygód – z mrozącym krew w żyłach poszukiwaniem Estona między peronami, wśród tłumu kłębiących się pasażerów – dotarliśmy do domu, wkrótce miało się okazać, że mój nowy współlokator nie wszystkim przypadł do gustu. Ale o tym i o zakończonych sukcesem poszukiwaniach nowego lokum już mówiłem.

Mieszkaliśmy w centrum miasta i choć nasz ulubiony park – świadek ostatnich dramatycznych wydarzeń – znajdował się blisko, jednak nie zaspokajał wszystkich potrzeb ruchowych Estona. Wykorzystywałem więc jego naturalną umiejętność towarzyszenia rowerowi, którą z takim wdziękiem zademonstrował już pierwszego dnia naszej znajomości. I teraz zamierzałem wziąć Estona na rowerową przejażdżkę. Jego radość nie miała granic.

Na trasie naszej rowerowej wyprawy znajdował się pewien szczególny sklep z płytami. Kultowy, dlatego że przeważającą część jego oferty stanowiły płyty analogowe. Szperanie w zakurzonych kartonach stanowiło swoistą podróż sentymentalną; niektóre z czarnych krążków pamiętałem jeszcze z kolekcji moich rodziców. Płyty z muzyką poważną nie stanowiły większości – jak zresztą w rzadko którym sklepie tej branży – śmiało mogę jednak stwierdzić, że ich asortyment prezentował się całkiem okazale. Trudnością, ale i urokiem zarazem była konieczność szperania między płytami. O alfabetycznym lub tematycznym ich

uporządkowaniu nie było mowy. Przy zawsze sporej liczbie kupujących miejsce to przypominało wielki mikser nieustannie obracający swoją zawartość.

Eston otrzymał zadanie pilnowania roweru. Wiedziałem, że wywiąże się z niego bez zarzutu. Wszedłem do środka i wziąłem się do przeszukiwania kartonów rozlokowanych po różnych zakamarkach. Przy przerzucaniu płyt w siódmym chyba pudle mój trud został nagrodzony. Pomiędzy okładkami *Króla Rogera* Szymanowskiego i *Daphnis i Chloé* Ravela mignęła mi nagle znajoma sylwetka. Tylna strona nagranej dla włoskiej wytwórni płyty z utworami francuskiego impresjonizmu, opatrzona była wyraźnym zdjęciem Damiana Rucacellego w akcji. Wiele lat młodszy i ładnych parę kilo szczuplejszy, był to jednak niewątpliwie on. Co prawda zdjęcie nijak miało się do delikatnego uroku muzyki Debussy'ego, ale w tym przypadku było to dla mnie bez znaczenia. Dyrygent został uchwycony w pozie atakującego szermierza; wyraz twarzy świadczył, że szykuje się do zadania decydującego ciosu. To nie fechmistrz jednak znalazł się na pierwszym planie, tylko jego szpada, przepraszam, batuta. I nie miałem najmniejszych nawet wątpliwości – to nie była ta batuta. Mogłem więc przyjąć ostrożne założenie, że pałeczka będąca zarzewiem dramatycznych wydarzeń nie znajdowała się przed rokiem tysiąc dziewięćset osiemdziesiątym dziewiątym w rękach Rucacellego. Ta na zdjęciu zdecydowanie ustępowała jej urodą.

Postanowiłem płytę odkupić. Słabe znalezisko, właściwie żadne, mogło służyć jedynie do wzmocnienia jednej hipotezy kosztem innej, ale uczyłem się cierpliwości. Życie jest drogą, a nawet najdłuższa podróż rozpoczyna się od pierwszego kroku, kroczonego nawet, po którym następuje całe mnóstwo kolejnych – to swobodna interpretacja japońskiej bodajże mądrości. Na własny użytek uzupełniałem ją stwierdzeniem, że ani ten pierwszy, ani pozostałe wcale nie muszą być wykonane we właściwym kierunku.

W drodze powrotnej opracowywałem strategię na resztę dnia. Punkt pierwszy był niezmienny: poćwiczyć! Chciałem też ponownie przyjrzeć się batucie, bo miałem wrażenie, że podekscytowani pierwotnym odkryciem, zbyt łatwo odstąpiliśmy od dalszych oględzin. Przecież pierścienie były trzy! Przy okazji mógłbym poinformować Sebastiana o dzisiejszych tropach. Może znów dostrzeże coś, co przeoczyłem. Zamierzałem też zadzwonić do nadkomisarza Bielskiego. Istniała możliwość, że wie coś nowego i a nuż to od niego wyciągnę. Jeśli chodzi o moje postępy w śledztwie, nie zamierzałem się nimi dzielić, bo w końcu czym: wymalowanym zupą kotkiem czy czterowierszem mistrza, który zresztą w sensie materialnego zapisu – nagrania – przestał już istnieć? Po głowie chodził mi jeszcze jeden pomysł: wizyta w hotelu Luxor i niezobowiązująca pogawędka z barmanem.

A potem burza (w) mózgu.

Kolejność działań została jednak wymuszona przez czynniki zewnętrzne.

Gdy odstawiałem rower, z antykwariatu szybkim krokiem wyszedł Sebastian Mars.

– Bartku, czekałem na ciebie, możesz zaraz do mnie przyjść? – Był najwyraźniej bardzo poruszony, nigdy nie widziałem go w takim stanie. Już sam fakt, że zrezygnował z grzecznościowego wstępu, był niezwykły.

– Oczywiście, zaraz przyjdę, tylko...

Pokazałem wymownie na ziewającego psa. Antykwariusz kiwnął głową i wszedł do środka. Wiszący na szybie napis głosił: zamknięte. A Eston zachowywał się dziwnie. Nie czekając na mnie, pobiegł na górę i runął na drzwi, które ustąpiły pod jego naporem. Jeden rzut oka dał odpowiedź: ktoś odwiedził mieszkanie pod naszą nieobecność. Ktoś mało

sympatyczny. Narobił bałaganu. Szukał czegoś, ale pewnie się spieszył i nie zdążył posprzątać. Eston znowu zachowywał się jak oficer śledczy.

Pobieżna lustracja pozwalała sądzić, że prawdopodobnie nic nie zginęło. Altówka była na swoim miejscu, choć futerał nosił ślady przeszukiwania. Wniosek nie był miły, ale nie należało od niego uciekać. Według wszelkiego prawdopodobieństwa księżycowe sylwetki nas odnalazły.

Sebastian Mars zamknął drzwi na dwa największe spośród sporej liczby zamków. Przeszliśmy w głąb antykwarycznych pomieszczeń. Najwyraźniej nie wiedział, jak zacząć, w końcu wskazał bez słowa leżący na ziemi sejf.

– Panie Sebastianie, niech pan powie, co się stało. – Fakt, że metalowa skrzynka dotąd wypełniająca wnękę w ścianie leżała na ziemi, niczego jeszcze nie wyjaśniał.

– Dobrze, Bartku, posłuchaj: niecałą godzinę temu do antykwariatu weszło dwóch mężczyzn. Eleganckich, dobrze ubranych; na pierwszy rzut oka wyglądali na cudzoziemców. Rozglądali się po sklepie, oglądali książki, wymowali je i z powrotem wkładali na półki. Po chwili, wystarczająco dłużej, by nie musieli czuć się indagowani, spytałem, czy mogę im jakoś pomóc. Robili wrażenie, że nie rozumieją, więc powtórzyłem pytanie po francusku. I wtedy – antykwariusz otrząsnął się – jeden z nich podszedł do gabloty, w której za szkłem trzymam kilka atrakcyjnych wizualnie książek i kilkoma uderzeniami ją rozbił. Po czym chwycił parę książek, wybiegł na ulicę i zaczął uciekać. Stałem jak sparaliżowany, ale po chwili zacząłem gonić złodzieja. Albo ja nie jestem jeszcze taki wolny, albo on przeliczył się z siłami, dość że po kilkudziesięciu metrach dystans między nami zaczął się zmniejszać. Bandyta obrócił się jeszcze dwukrotnie w moim kierunku i widząc, że go dochodzę, cisnął książkami o ścianę kamienicy. I dobrze się stało, bo po pierwsze, nie miałem już siły biec, a po drugie, nawet jeśli bym go doścignął, to co dalej; negocjowałem? Zacząłem zbierać sponiewierane książki, gdy nagle uświadomiłem sobie, że drugi z bandytów został sam w antykwariacie. Tak szybko, jak byłem w stanie – czyli nie za szybko – ruszyłem w drogę powrotną. Pojedyncze kartki wysuwały mi się z rąk i fruwały w powietrzu. Gdy dobiegałem, w drzwiach antykwariatu pojawił się drugi z opryszków. Widząc mnie, rzucił się do ucieczki w przeciwną stronę. Chyba się mnie przestraszył! – Sebastian uśmiechnął się nie bez dumy.

– Pierwszą rzeczą, która rzuciła mi się w oczy, był leżący na ziemi sejf. Złodziej próbował otworzyć go łomem przemyconym pod eleganckim płaszczem. Gdy to się nie powiodło, z wściekłości zrzucił sejf na ziemię, w nadziei, że niepozorna skrzynka nie wytrzyma upadku. Naiwny – antykwariusz uśmiechnął się ponownie. – Jestem pewien, że rozważał zabranie całego sejfu, ale ta szafka waży ładnych parę kilo.

Sebastian zrobił przerwę.

– Mówi pan – zacząłem wolno – że dwóch obcokrajowców próbowało dostać się do sejfu, w którym – na moją prośbę – schował pan batutę Rucacellego? Czy dobrze zrozumiałem?

– Teraz, jak mówisz, mnie również wydaje się to oczywiste. Można by naturalnie założyć, że chodziło o zawartość sejfu w ogóle, ale za dużo tu zbiegów okoliczności.

– Panie Sebastianie, ale przecież sejfu nie otwiera się łomem!

– Wiesz co, Bartku, są różne sejfy, niektóre mają charakter takiej nieco poważniejszej zabawki, która nie wytrzyma konfrontacji z fizyczną siłą. I myślę, że ci dwaj na taki właśnie model mieli nadzieję się natknąć, ale się przeliczyli. Wybrali metodę prymitywną, lecz

najłatwiejszą. Martwi mnie co innego. Nie osiągnęli celu, więc pewnie spróbują ponownie. Jedyną drogą do jego osiągnięcia jest poznanie kodu. A ten znam tylko ja.

Była pora na moją opowieść.

– Pod naszą nieobecność ta dwójka wdarła się na poddasze. Nietrudno się domyślić, czego szukali. I że nie mogli tego znaleźć. Przypuszczam, że od wczoraj byliśmy pod obserwacją. Złodzieje czekali na właściwy moment, a ten nadszedł, gdy nie tylko mnie, ale przede wszystkim Estona nie było w pobliżu. Co innego mnie zastanawia. Skąd wiedzieli, gdzie pan trzyma sejf?

Sebastian uśmiechnął się niewyraźnie.

– Nie byłem pewien, czy to może mieć związek – zaczął – ale zaczynam rozumieć. Dziś rano odwiedził mnie pewien jegomość. Powiedział, że ma do zaoferowania unikatowe, gdańskie wydanie astronomicznego dzieła *Selenographia* Jana Heweliusza z tysiąc sześćset siedemdziesiątego trzeciego roku, czym wprawił mnie w prawdziwe zdumienie. Nie chciał jednak pokazać rarytasu, wizytę zaś tłumaczył chęcią sprawdzenia środków bezpieczeństwa, którymi dysponuje antykwariat, zanim zdecyduje się powierzyć mi starodruk. Powiedziałem mu o systemie alarmowym i niewielkim, lecz solidnym sejfie znajdującym się poza zasięgiem wzroku klientów, ale pod moją kontrolą, czyli na zapleczu. Aby go przekonać, napomknąłem, że nie dalej jak wczoraj znajomy prosił mnie o przechowanie w nim czegoś cennego. – Spojrzał na mnie, jakby wychytując niepokojącą myśl. – Nie, nie, broń Boże, nie mówiłem, że chodzi o batutę Rucacellogo. Upierał się, żeby zobaczyć sejf, ale powiedziałem, że wolę najpierw zobaczyć jego białego kruka, który może być przecież falsyfikatem. Trochę się obraził, choć w sumie wydawał się zadowolony. Miał przyjść po południu, ale jeszcze go nie było, zresztą jest zamknięte...

Pocziwy Sebastian. W pewnych sprawach genialny, w innych naiwny jak dziecko. Czy naprawdę sądził, że tajemniczy klient się zjawi? Nie ulegało wątpliwości, że rzekomy koneser badał system bezpieczeństwa antykwariatu. Kim był? Fakt, że wykonał zadanie zlecone mu przez późniejszych agresorów, wydawał się bezsprzeczny. Przynajmniej dla mnie. Jeśli więc nie chodziło o żadne białe kruki ani też nie działał na własną rękę, mogło to oznaczać, że księżycowe sylwetki – bo nie mogłem się oprzeć wrażeniu, że to one zaatakowały antykwariat – zyskały jakiegoś lokalnego sprzymierzeńca lub choćby tylko pomagiera. Dlaczego jednak włamali się do mojego mieszkania? Prawdopodobnie chcieli się upewnić, że batuty już u mnie nie ma. Zaatakowanie antykwariusza wiązało się z większym ryzykiem, niż przeszukanie pustego i bezbronno poddasza.

Czułem się podwójnie nieswojo. Z powodu mojej zabawy w detektywa ten łagodny i uroczy człowiek znalazł się w realnym niebezpieczeństwie. W dodatku poniósł straty w wyniku zdewastowania kilku starodruków. Ale ostatnią z moich trosk antykwariusz skwitował uśmiechem.

– Nie bez powodu użyłem sformułowania „książki atrakcyjne wizualnie”. W rzeczywistości stanowią raczej element dekoracji. Przypuszczam, że ubezpieczenie pokryje zniszczenia z nawiązką, z punktu widzenia kolekcjonerskiego zaś strata jest niewielka.

Odetchnąłem. Przynajmniej jedna sprawa przestała mnie martwić.

Wspólnymi siłami umieściliśmy sejf we wnęce. Był to domowy model z zamkiem zabezpieczonym czterocyfrową kombinacją. Właściwie rodzaj skrytki, jakie znajdują dworce i lotniska. Na pierwszy rzut oka nie wyglądał jak niedostępna kasa pancerna. I to pewnie

zmyliło złodziei. Niemniej ryzyko istniało nadal, a nawet rosło. Antykwariusz zdawał sobie z tego sprawę.

– Bartku, wiesz, że zawiadomienie policji będzie równoznaczne z koniecznością opowiedzenia im paru szczegółów?

Tak, wiedziałem o tym, ale nagle taka ewentualność przestała mnie martwić. Wydawała się jedyną realną możliwością, aby oddalić niebezpieczeństwo, które zawisło nad antykwariuszem i jego rodziną. Wiązało się to z pewną propozycją, ale miałem nadzieję, że Sebastian ją zaakceptuje. Stało się nawet więcej; koncepcja została przez niego twórczo rozwinięta.

Antykwariusz udał się na piętro, do mieszkalnej części budynku. Po chwili wrócił, niosąc coś ze sobą. W swojej prostocie nasz pomysł mógł się okazać skuteczny.

Przedtem jednak postanowiliśmy jeszcze raz pozbierać wszystkie elementy sprawy, których właściwie z każdą chwilą przybywało.

Upewniwszy się, że drzwi są dobrze zamknięte, alarm włączony – obecność alarmu tłumaczyła, dlaczego złodzieje nie próbowali włamania – zaczęliśmy zbierać fakty i dowody.

Położyłem na stole płytę ze zdjęciem Rucacellego. Antykwariusz przyjrzał się, skinął głową i otworzył sejf. Po chwili koło czarnego krążka znalazła się dyrygencka pałeczka. To był moment na sprawdzenie pierścieni zewnętrznych. Przez chwilę łudziłem się, że być może je również można po prostu odkręcić lub ściągnąć, ale ani drgnęły.

Spomiędzy nut koncertu Bartóka wyjąłem dzieło maestra, namalowanego dla Wandy kota. Pan Sebastian przyjrzał mu się zaskoczony, ale nic nie powiedział, i sam wykonał kolejny ruch, delikatnie wyłuskując z sejfu kawałek papieru z rozmazanym napisem:

B a \$ (.) . . a
(.) i . i a . . o k

z jednej strony, a dobrze zachowanym z drugiej:

Opus – Opas – Opos

To, co robiliśmy, przypominało jakąś dziwną grę. Poprosiłem pana Sebastiana o czysty arkusik papieru.

*Stałem pod niebem, patrzyłem w gwiazdy,
odkryć musiałem cztery spojrzenia,
dopiero twoje oczy mnie natchnęły,
jutro zabiorę cię tam ze sobą.*

Nie bez wahania położyłem karteczkę na stole, tłumacząc, skąd pochodzi czterowiersz. Ku mojej uldze antykwariusz nie wybuchnął śmiechem. Robił wrażenie zamyślonego.

To były materialne lub zmaturalizowane elementy naszej układanki. Siedzieliśmy w milczeniu po obu stronach stołu. Wątpliwości było więcej niż danych.

Zastanawiałem się, czy ktokolwiek, na przykład nadkomisarz Bielski, dysponując: batutą, zapisaną kartką papieru, z częściowo nieczytelnym napisem, pochodzącą

prawdopodobnie ze schowka w batucie, portretem kota wykonanym techniką barszczową, próbką poetycką autorstwa dyrygenta, jego zdjęciem z roku 1989, byłby w stanie uchwycić przędzę wydarzeń i powiązać je w sensowny motek?

Nie bez powodu pomyślałem o nadkomisarzu. Mój plan zakładał poinformowania policji o ostatnich wydarzeniach, ale wspólnie z antykwariuszem doszliśmy do wniosku, że niejako tradycyjnie już pewne szczegóły zachowamy dla siebie. Wydawało mi się, że powiadomienie organów ścigania o ataku na antykwariat, a zwłaszcza puszczenie w medialny obieg informacji, że policja przejęła opiekę nad zawartością sejfu antykwariusza stanowi szansę na odwrócenie niebezpieczeństwa, które zawisło nad jego głową.

Nadkomisarz zgłosił się natychmiast i obiecał zaraz przyjechać. Nie bez pewnej satysfakcji odniosłem wrażenie, że to raczej on ma nadzieję usłyszeć coś nowego. Antykwariusz zwięźle poinformował, co się wydarzyło. Z kolei ja rozpocząłem barwną opowieść, jak to w dzień po feralnym dniu odwiedziłem filharmonię, aby umówić się na próbę z fortepianem, jak sekretarka skierowała mnie do pokoju dyrygenckiego, w którym miała właśnie ćwiczyć pianistka akompaniatorka i jak – pod jej chwilową nieobecność – ujrzałem w otwartym fortepianie pałeczkę dyrygencką, tę samą, którą maestro poprzedniego dnia prowadził symfonię Beethovena.

Powodowany troską o cenną własność wybitnego dyrygenta postanowiłem się nią zaopiekować, w najlepszy z możliwych sposobów – przekazując ją w depozyt wielce szanowanemu panu antykwariuszowi, który, jak wiedziałem, dysponuje bezpiecznym schowkiem, czyli sejfem. Gdy jednak okazało się, że ktoś nadmiernie interesuje się dyrygencką pałeczką, postanowiłem natychmiast poinformować o tym nadkomisarza.

– No cóż – łgałem dalej – miałem nadzieję, że sam wręczę drogocenną batutę mistrzowi Rucacellemu, gdy ten w końcu odzyska przytomność – a jak on się w tej chwili czuje? – ale głos sumienia i poczucie obowiązku każą mi zwrócić się do policji z prośbą o pomoc.

Oficer przyglądał mi się beznamiętnie. Gdy skończyłem, popatrzył na ścianę, przygryzając wargę. Zachodziła obawa, że się porani.

– Czy wymienił pan już dowód osobisty, panie Bartku? – Nie takiego pytania się spodziewałem.

– Nie, nie miałem kiedy się tym zająć. – Pytanie nadkomisarza zbiło mnie z tropu. Ale było to z jego strony tylko złośliwe ukąszenie. Sam chyba za bardzo nie wiedział, co powiedzieć.

– Niech pan mi da tę pałeczkę. – Spod groźnie zmarszczonych brwi przyjrzał się podanemu przedmiotowi.

– I toto jest takie cenne? Żeby ludzi dla tego czegoś zabijać, napadać, i rabować, no, no... – Krytycznie lustrował batutę, poświęcając nagle więcej uwagi jej metalicznym inkrustacjom.

– No tak, złoto...

Pan Sebastian ze zgrozą – rzekomą – przyglądał się – rzekomej – ignorancji śledczego.

– Pozwoli pan zauważyć, że w grę wchodzić może wartość zgoła inna od materialnej.

Policjant z błyskiem oka spojrział na mówiącego. Przejrzałem jego gierkę. Próbowałem sprowokować fachowca do kilku wnikliwych sądów. Nie przeszkadzał antykwariuszowi, który wygłosił krótką rozprawkę na temat: co i z jakich powodów może okazać się wartościowe.

Mnie również odpowiadał taki rozwój rozmowy. Gdy pan Sebastian skończył, a nadkomisarz dopiero otwierał usta, aby zareagować, wstrzeliłem się z taką oto kwestią:

– A więc mamy odpowiedź. W świetle tego, co powiedział pan Mars, nie dziwi, że ludzie gotowi są do ciężkich występków, byle tylko wejść w posiadanie czegoś tak cennego. Rozumiem, że panowie zabezpieczyli wszystko, co było własnością dyrygenta. Tam mogły być jeszcze inne cenne przedmioty.

Nie byłem pewien, co oficer o mnie myśli. Ze sposobu, w jaki na mnie patrzył, wnioskowałem, że uważa mnie za idiotę lub spryciarza, ewentualnie ich kombinację, z trudnym do uchwycenia stosunkiem procentowym. Nie musiałem mu ułatwiać rozstrzygnięcia tej kwestii, a on nie musiał mi odpowiadać. Ale uczynił to.

Każdy z nas rozgrywał swoją partyjkę.

– Tak, przeszukaliśmy pokój ofiary w hotelu Luxor i zabezpieczyliśmy wszystko, co się w nim znajdowało.

Dla nas maestro, dla niego ofiara.

– Pomieszczenie nosiło ślady przeszukiwania. Nie stwierdziliśmy włamania, ale najwyraźniej ktoś czegoś tam szukał. Być może chodziło o ten przedmiot – niedbałym ruchem wskazał batutę – którego, przyznając, nie odnaleźliśmy także w trakcie oględzin pokoju dyrygenckiego w filharmonii. Chyba nikomu nie przyszło do głowy, aby szukać we wnętrznościach fortepianu.

„Wnętrzności fortepianu” zabrzmiały w jego ustach tak, że wcale nie zdziwiło mnie ich pominięcie.

– Oczywiście sprawdzimy to, co pan mówił, porozmawiamy z sekretarką i z tą – jak jej tam – pianistką animatorką, czy faktycznie było tak, jak pan mówi i dlaczego właściwie to nie ona znalazła batutę.

Tego właśnie się obawiałem...

– Pewnie był pan nieraz na grzybach. Przecież często się zdarza, że tam, gdzie my nic nie widzimy, ktoś inny znajduje dorodne borowiki.

Miałem wrażenie, że lewa powieka Bielskiego zaczęła lekko drżeć. Nie należało przesadzać.

– Szukajcie, a znajdziecie: zauważyłem, zaopiekowałem się, a gdy okazuje się, że niewystarczająco, to zwracam się do pana. To chyba wystarczający dowód obywatelskiej postawy? – próbowałem zakończyć zbyt długą i coraz mniej przekonującą tyradę. Tym bardziej że i ja miałem pytanie.

– Panie komisarzu, wydawało mi się, że widziałem wczoraj waszych ludzi w okolicach jeziora. Czy słusznie podejrzewam, że je przeszukiwaliście? Czy sądzi pan, że dyrygent mógł tam coś wrzucić?

Bielski robił wrażenie zupełnie zaskoczonego.

– My, jezioro? A dlaczego niby mielibyśmy to robić?

– Ba, jakbym to wiedział, pewnie bym pracował w policji.

Nadkomisarzowi nie spodobał się ten żart, więc czym prędzej dodałem:

– Wydawało mi się, że pan sam o tym mówił...

Zrobił dziwną minę. Nie wiedziałem, czy mnie kocha, czy nienawidzi.

– Nie, zrezygnowaliśmy z tego pomysłu, zresztą, według pańskich słów nie wydarzyło się nic, co kazałoby nam to uczynić. – Spoglądał na mnie wzrokiem, którego nie lubiłem.

– Oczywiście, oczywiście, ale przecież panowie mają swoje informacje...

Tego już naprawdę nie rozumiałem. Jedno moje słowo miało dla policji moc sprawczą? A może Bielski po prostu potrafił słuchać i dzięki inteligencji lub intuicji wyciągał właściwe wnioski? Nie trwonił sił i środków na bezcelowe działania.

– Nie, to nie my, ale sprawa wygląda interesująco. Może pan powiedzieć, co pan właściwie widział?

Wyglądało na to, że nieopatrznie sprzedałem policji nieznaną jej informację. To co oni właściwie wiedzieli?!

– Tak, teraz jestem prawie pewien, że na samochodzie było logo klubu pletwonurków... – Mój Boże, nigdy nie widziałem na oczy logo klubu pletwonurków, nie wiedziałem, czy taki klub w ogóle u nas istnieje, ale w gatunku literackim zwanym mataczeniem dochodziłem do coraz większej wprawy.

– Dobrze, mniejsza z tym, sprawdzimy. – Bielski zdawał się bagatelizować nowy wątek. – Panie Czarnoleski, najważniejsze, że udało się ustalić, o co chodzi przestępcom. Bo z tym mieliśmy dotąd największy problem. Brakowało nam właśnie tego czegoś, motywu ich działania.

Wiedziałem o tym, nie da się ukryć.

– To źle, że na własną rękę bawił się pan w strażnika batuty, ale paradoksalnie, pomógł nam pan. Ten dzisiejszy napad na antykwariat wydaje się rozstrzygać sprawę. Sprawcom zależy właśnie na tym przedmiocie. Przejmuję go więc i natychmiast skontaktuję się z naszymi specjalistami. Oni dokładnie powiedzą, co aż tak cennego jest w tym pięknym, przyznaję, kawałku drewna. Ale pan niech już nie bawi się w konserwatora zabytków; u nas pracuje paru niezłych fachowców z tej branży.

Nie kwestionowałem ani słowa z wystąpienia Bielskiego. Pewnym dreszczem przejmowała mnie świadomość, że jestem w stosunku do niego znacznie mniej szczerzy, niż mógł przypuszczać. Na koniec wystąpiłem z gorącym apelem o nagłośnienie przejęcia przez policję zawartości sejfów. Otrzymał mi zapewnienie, że jeszcze dziś radio, telewizja i portale internetowe, a jutro także gazety doniosą o napadzie na antykwariat i przedsięwziętych z tego powodu krokach i środkach ostrożności.

Po spisaniu protokołu ekipa śledcza wraz ze swoim szefem opuściła antykwariat. A nam wypadało zastanowić się, co dalej. Z mieszanymi uczuciami przyglądaliśmy się... batucie Rucacellego, która znowu leżała na stole.

No tak, pora się przyznać. Z zestawu, którym uraczyliśmy inspektora Bielskiego, jedynie futerał był oryginalny. Do środka włożyliśmy dyrygencką pałeczkę, przyniesioną przez Sebastiana z góry. Była jednym z wielu bibelotów stanowiących kolekcję rzeczy nieprzydatnych a niewyrzucalnych, jak zwykł to określać. Teraz przyszło jej zagrać rolę życia.

Oddanie batuty Rucacellego wyeliminowałoby nas z gry, nawet nie wiedziałem wtedy jak bardzo. Rozpowszechnienie informacji, jakoby pałeczki nie było już w naszych rękach, dawało szansę na zmylenie coraz bardziej zdeterminowanych przestępców.

Czy mogłem jednak liczyć, że bandyci śledzą na bieżąco internet, słuchają radia i oglądają telewizję? A jeśli rzeczywiście są obcokrajowcami i nie rozumieją naszego języka? Nadkomisarz obiecał, że patrole będą częściej zaglądać w ten zazwyczaj spokojny zaułek, zostawił też dwa numery telefonów, w razie gdyby cokolwiek wzbudziło niepokój antykwariusza. To wszystko wydawało mi się jednak niewystarczające.

Zaproponowałem więc, że najbliższą noc spędzę na kanapie w antykwariacie, z Estonem u boku. Pomimo alarmu zainstalowanego w drzwiach i oknach przyda się jeszcze tak imponujący strażnik – nie ja, tylko pies oczywiście. Pan Sebastian opierał się trochę, w gruncie rzeczy ucieszyła go jednak moja propozycja. Musiał być mocno zaniepokojony, choć starał się tego nie okazywać.

Nagle poczułem, że muszę wyjść i pospacerować. Wydarzenia nabrały takiego tempa, że nie wiedziałem, w którą stronę obrócić głowę. Brakowało mi dystansu.

Przeprosiłem pana Sebastiana, który zresztą chciał uporządkować antykwariat, i wyszedłem na ulicę. Zrezygnowałem z wizyty w hotelu Luxor. Nie byłem sobie w stanie poradzić z już posiadanymi informacjami, chwilowo nie potrzebowałem następnych. Efektowne wolty, piorunujące odkrycia i momenty olśnienia są zapewne jedynie przysłowiową wisienką na olbrzymim torcie dociekań i błędnych wniosków. Nogi same zaniosły mnie nad rzekę. Monotonny przepływ wody uspokajał nerwy, przywracając poczucie niespieszności i konsekwencji świata, który bez względu na wszystko i tak zdąży w swoim, sobie tylko znanym kierunku. Zamknąłem oczy.

I kiedy udało mi się wszystko odrzucić, gdy byłem tylko ja, chłód jesiennego wieczoru i szum rzeki, wyobraziłem sobie, że moja głowa jest pudełkiem z pomieszaną zawartością. Wziąłem je w ręce, odwróciłem do góry dnem i wysypałem na ziemię. Teraz, po kolei podnosiłem wszystko, co z niego wypadło, i w odpowiednim porządku na powrót wkładałem do pudełka, a w końcu osadziłem je na właściwym miejscu – mojej głowie.

Ciekawa terapia, nigdy wcześniej jej nie próbowałem, ale poczułem nagle, że dwie rzeczy, jedna po drugiej, stają się bezwzględnie oczywiste. Po pierwsze: nie mogę odpuścić ćwiczenia i zrezygnować z udziału w przesłuchaniu – jest to absolutny warunek mojej psychicznej higieny. Tylko wtedy będę mógł być twórczy w innych dziedzinach, nawet kryminalnych. I jakby fakt potwierdzenia lojalności wobec samego siebie miał moc sprawczą, pojawił się wniosek drugi. Dziwiło mnie, że do tej pory nie byłem w stanie zdefiniować go.

Otóż batuta stanowiła klucz do zagadki, ale klucz zaledwie otwiera drzwi tajemnicy.

Przypomniały mi się słowa Rucacellego, wypowiedziane podczas próby generalnej: „Muzyka jest jak życie, pełna zagadek i znaków zapytania. Trzeba bardzo uważać, aby nie zgubić właściwego kierunku. Ale mamy wszelkie dane, aby nam się to wspólnie udało. Niech państwo wyobrażą sobie, że zamiast batutą będę dziś wieczorem dyrygował kluczem: do ludzkich serc, uczuć i pamięci. Otwórzmy je wspólnie”.

Wówczas brałem je za popisową scenkę odegraną dla pięknej wiolonczelistki, bo w istocie na nią patrzył w trakcie wygłaszania przemowy. Były tam muzyka i życie, ale też zagadki i znaki zapytania. Była batuta, ale też klucz. Czy wszystkie te słowa miały jedynie symboliczny charakter? Wiolonczelistka była adresatką rysunków i wierszy. W zawaolowanej formie Rucacelli coś jej przekazywał. Aż do czasu, gdy mogłby mówić bardziej zrozumiale. Czyli kiedy? Po konferencji prasowej? Czy wcześniej, gdy obiecywał dziewczynie niezapomniany wieczór, do którego z wiadomych powodów nie doszło?

Było oczywiście, że moją rolę w opowieści napisał przypadek. Ale znalazłszy się w środku, wcale nie miałem zamiaru jej opuszczać. Byłem zbyt ciekawy dalszego ciągu.

Zatrzymałem się w inwentaryzacji pudełka, bowiem klocki, które zaczynały się teraz, nie tworzyły klarownego obrazu. Nie po to je porządkowałem, aby znów pogubić się w chaosie niespójnych domysłów.

Pływające po wodzie śmieci wpadały co chwila w mniejsze lub większe wiry zakłócające spokojny nurt. Kręciły się bezradnie w kółko, w lewo albo w prawo, lewoskrętnie albo prawoskrętnie...

Znad nurtów posępnej o tej porze roku rzeki wzbijała się mała ćma, ta sama, która od dwóch dni towarzyszyła mojemu zasypianiu. Obawiałem się, że już na zawsze pozostanie wyłącznie niezrozumiałym, przedsennym mirażem. Teraz jednak widziałem ją znowu, odległą na razie, niepodobną do barwnego motyla, którym wydawała mi się przez moment, ale realną.

Miałem nadzieję, że ten mały przybysz z krainy przeczuć od tej chwili będzie mi wiernie towarzyszyć.



ROZDZIAŁ VIII

ŚRODA CZWARTEK

Wracałem do domu z determinacją i niecierpliwością. Nie mogłem się doczekać, aby otworzyć futerał i z miejsca rzucić się na najtrudniejsze fragmenty utworów. Przecież byłem przede wszystkim muzykiem. Rozumiałem specyfikę swojego instrumentu, znałem – z dobrej i złej strony – psychikę poszczególnych grup instrumentalnych orkiestry, pojmowałem funkcjonowanie tego paradoksalnego, niemożliwego zdawałoby się tworu, który w heroicznym wysiłku próbował łączyć ogień z wodą: skrajny indywidualizm muzyków, ich przeświadczenie o swojej wyjątkowości z potrzebą – ba, koniecznością – dyscypliny, bolesnego nieraz podporządkowywania się dobru nadrzędnemu, jakim jest fenomen koncertu. Jakby dopiero suma wszystkich roztopionych we wspólnym tyglu kruszców mogła dać ten jeden niepowtarzalny, o najwyższej próbie i niemożliwej do podrobienia szlachetności⁷.

Należało wziąć się do pracy, bez której najwznioślejsze nawet słowa nie przybiorą realnego kształtu. Najpierw musiałem uprzątnąć nieład spowodowany wizytą nieproszonych gości. Na szczęście przeszukanie mojego mieszkania było powierzchowne i pozbawione cech niszczycielskich.

Potem przyszła pora na etiudy, muzyczne miniatury, które ogniskują swoją uwagę na rozmaitych zagadnieniach technicznych. Często są to żmudne ćwiczenia o zróżnicowanym stopniu trudności i poprawnej jedynie, drugorzędnie potraktowanej wartości artystycznej. Ale znane są przypadki etud – muzycznych perełek; piekielnie trudne 24 kaprysy op. 1 Niccolò Paganiniego dla skrzypków, a przede wszystkim genialnych 12 etud na fortepian op. 10 i drugie tyle z opusu 25 Fryderyka Chopina.

Nie muszę dodawać, że na altówkę takich arcydzieł nie ma, choć *Kaprysy* Paganiniego można na niej grać, tyle tylko, że z uwagi na wielkość instrumentu stają się jeszcze

trudniejsze. Tego wieczoru rozciągałem rękę na wszystkie strony, mierząc się z co najmniej pół tuzinem najtrudniejszych.

A gdy przyszła pora na Stamitzę i Bartóka, odłożyłem instrument, wziąłem do ręki nuty i zacząłem grać w wyobraźni. Znałem te utwory nie od dzisiaj, a porcję altówkowego fitness miałem już za sobą.

Gra na instrumencie jest projekcją wewnętrzną koncepcji. Wytrenowane ręce są jej wykonawcami, ale wynika z wiedzy i wrażliwości muzyka i rozgrywa się w jego wyobraźni.

W końcu sięgnąłem po wymagane na nadchodzącym egzaminie fragmenty partii orkiestrowych. Włożyłem do odtwarzacza płytę z kompilacją odpowiednich nagrań i włączyłem się w nurt orkiestrowego grania. Za cel postawiłem sobie jak najwierniejsze realizowanie tekstu partytury. Tu kończyła się licencja na interpretację.

Gdy katedralne dzwony wybiły godzinę dwudziestą pierwszą, byłem solidnie zmęczony. Za to mentalnie gotowy, aby powrócić do wątku kryminalnego.

Zacząłem od internetu i sprawdzenia, czy pojawiły się w nim oczekiwane wieści. Na szczęście tak; nie tylko lokalne, ale wszystkie ważniejsze portale informacyjne przynosiły wiadomość o nieudanej próbie kradzieży starodruków z antykwariatu przy ulicy Kanonicznej oraz przekazaniu eksponatów z sejfów w depozyt policji, aż do wyjaśnienia sprawy – czytaj: złapania sprawców. Od antykwariusza dowiedziałem się później, że podobnej treści newsy były w programach informacyjnych radia i telewizji. Nic lepszego nie można było na razie zrobić, choć oczywiście ze spędzenia wraz z Estonem nocy w antykwariacie nie zamierzałem rezygnować.

Pan Sebastian znów był w doskonałej formie, sklep został uporządkowany i tylko ziewające brakiem szyb półki ozdobnej gabloty przypominały o wydarzeniach popołudnia. Antykwariusz zajęty był reperacją uszkodzonych książek. Aż miło było patrzeć, jak w sprawnych dłoniach odzyskują swój dawny wygląd.

– Wchodźcie, wchodźcie, już zaraz kończę. – W powietrzu unosił się chemiczno-żywniczny zapach. Pewnie jakiś klej ekologiczny.

– Rozgośćcie się, zaraz napijemy się herbaty.

Eston kichnął kilkakrotnie.

– Bartku, chciałem ci coś pokazać. Przyjrzyj się uważnie.

Obok siebie na stole leżały dwie kartki: z kotem, autorstwa Rucacellego, i ta obustronnie zapisana, wyjęta z fortepianu marki Bösendorfer, a wcześniej z batuty.

– Przyglądam się, ale nic nie widzę...

– Pod twoją nieobecność przeprowadziłem porównawczą analizę grafologiczną obu charakterów pisma. – Teraz dopiero zauważyłem, że portret kota był podpisany autografem maestra. – Na dziewięćdziesiąt dziewięć procent mogę powiedzieć, że ten, kto podpisał się pod kotem, nie jest autorem słów na drugiej kartce, co oznaczałaby...

– ...co znaczyłoby ostatecznie – wpadłem mu w słowo – że ich autorem nie jest Rucacelli. Hm, to właściwie nic nowego. Przecież jeśli kartka, na której wykonano napis, pochodzi sprzed pięćdziesięciu do stu lat, to dyrygent nie mógł go wykonać.

– Teoretycznie mógł napisać coś na starym kawałku papieru.

– To prawda, ma pan rację, dobrze jest porządkować fakty. Panie Sebastianie, chciałybym raz jeszcze przyjrzeć się batucie.

Lewoskrętnie albo prawoskrętnie... Jak nie można w lewo, to spróbuj w prawo, podpowiadała mi ćma znad rzeki. Szansa nie wydawała się duża, ale czy nie należało spróbować?

Początkowo napotykałem opór, ale coś mi mówiło, żebym nie poddawał się za łatwo. I rzeczywiście, po chwili pierwszy z pierścieni drgnął...

Prawoskrętny gwint. Proste, a jak skuteczne zabezpieczenie.

Po chwili oba pierścienie były odkręcone. Drżącymi rękami, jakbym miał do czynienia z wiekową chińską porcelaną, położyłem rozłożoną batutę na stole. Obie jej części zakończone były podobnym, nieoczywistym dla mnie kształtem. Antykwariusz nie wahał się ani przez chwilę.

– Klucze.

Poczułem lekki dreszcz. W uszach ponownie zadźwięczały mi słowa Rucacellego: „Zamiast batutą będę dziś dyrygował kluczem: do ludzkich serc, uczuć i pamięci”.

Teraz było już pewne, że nie chodziło mu wyłącznie o figurę retoryczną. To musiało być coś więcej. Tylko co i o ile więcej? Batutę i klucz już mieliśmy, pozostawały więc: serca, uczucia i pamięć...

– Panie Sebastianie, jak pan myśli: dlaczego są dwa klucze?

Antykwariusz spojrział na mnie pobłażliwie.

– Bo są dwa zamki albo...

Rzeczywiście chyba zmęczenie odbierało mi zdolność wyciągania najprostszych wniosków.

– Albo?

– Albo jeden, ale podwójny – klasyczny rodzaj zabezpieczenia... kasy pancernej.

Nagle, po kilku dniach poszukiwania wniosków, które przed uformowaniem rozwiewały się jak przepędzane wiatrem chmury, padło słowo obleczone bardzo konkretnym znaczeniem. Moja szyja, jakby ściśnięta dwoma palcami, na moment zdrętwiała.

Podeksytowani, próbowaliśmy zrozumieć sens odkrycia. Ale tego dnia nie posunęliśmy się już do przodu. Po kilku kwadransach łamania głów zaniechaliśmy wysiłków.

Noc przebiegała bez niespodzianek. Bez problemu zasnąłem na całkiem wygodnej kanapie, a gdy czasami otwierałem oko, widziałem, że Eston czuwa, więc uspokojony zasypiałem ponownie.

Szedłem korytarzem filharmonicznym, gdy naprzeciw mnie pojawiło się dwóch dobrze ubranych ciemnowłosych mężczyzn. Z ich ruchów wnioskowałem, że niosą jakiś niewidoczny przedmiot, na przykład taflę szkła. Nie zamierzali jednak zwolnić, więc pomyślałem, że to tylko złudzenie. Ich nienaturalne pozycje mogły wynikać z chęci zrobienia mi miejsca w dość wąskim przejściu. Wszedłem więc śmiało między nich. I to był błąd. Odgłos pękającej szyby i – jak w zwolnionym tempie – opadającego na ziemię szklanego deszczu, oszołomił mnie i przeraził. Poczułem, że się przewracam, rękami próbując osłonić głowę przed gradem ostrych, szklanych drzazg.

Wtem wśród szczątków rozprysniętej szyby dostrzegłem jakiś przedmiot. Nie zważając na odłamki, zanurzyłem rękę w połyskującym szkłe. Już, już prawie miałem go w rękę, gdy jeden z mężczyzn wycelował we mnie batutę dyrygencką z trzema pierścieniami i jak

czarnoksiężnik spetryfikował mnie. Drugi podniósł z ziemi tajemniczy przedmiot i obaj oddalili się z szyderczym śmiechem.

Jak w koszmarnym śnie – nic nie mogłem zrobić, byłem unieruchomiony.

Zaległa cisza – i to ona mnie obudziła. To był naprawdę sen, w antykwariacie nie działo się nic podejrzanego, jedynie Eston zmienił pozycję z leżącej na siedzącą i przyglądał mi się bacznie.

Do rana jednak nie wydarzyło się nic niepokojącego, a żadna senna fantazja nie zmąciła już mojego odpoczynku.



ROZDZIAŁ IX

CZWARTEK

Po przebudzeniu z nowym zapasem sił wziąłem się do sprawdzania dzienników. Dziś już wszędzie można było znaleźć informacje dotyczące wczorajszego napadu i otoczenia policyjną opieką zawartości sejfów, a także antykwariatu i okolic. Nadkomisarz Bielski twórczo rozwinął moją koncepcję. Wierzyłem, że metoda „usuń powód, a zniknie skutek” okaże się skuteczna, jeśli tylko powód został prawidłowo zdefiniowany, a informacja dotrze do tych, do których powinna. Postanowiłem żywić niezłomną nadzieję, że problem bezpieczeństwa antykwariusza i jego rodziny jest przynajmniej czasowo rozwiązany, chyba w myśl kolejnej metody, „żywej niezłomnej nadziei, a ziści się ona”.

Zgodnie jednak z wczorajszym postanowieniem zacząłem od Bacha.

Po godzinie odezwał się telefon. To była Wanda.

– Cześć, Bartosz, czy w związku z naszą wczorajszą rozmową przyszło ci coś do głowy?

– Nie, właściwie nie – zacząłem ostrożnie – a... dlaczego pytasz?

– Bartek, przecież ty sam szukałeś kontaktu ze mną, przecież to ty wypytywałeś mnie o Damiana. Podzieliłam się z tobą nawet bardzo osobistymi pamiątkami. W zamian, oprócz kilku słów o batucie, nie powiedziałaś właściwie nic. A przecież zauważyłeś chyba, że Damian był... jest mi nieobojętny...

Przez chwilę poczułem się zaskoczony. Sądziłem, że dziewczyna po to pozbywała się dowodów swej zażyłości z dyrygentem, aby ostatecznie się od niego uwolnić. Kiepski ze mnie psycholog kobiet. Za to awansowałem do roli etatowego powiernika pięknej wiolonczelistki. Dziewczyna miała rację. Traktowałem ją jak źródło potencjalnych informacji o Rucacellim. Czy nie było to z mojej strony nieco... instrumentalne?

– Wando, posłuchaj, chętnie z tobą porozmawiam, ale nie przez telefon. Może spotkamy się, tylko...

– Jędrzek? Nie przejmuj się nim, jest zajęty sprawami na mieście.

Jeszcze kilka dni temu perspektywa ujrzenia dziewczyny wprawiłaby mnie w euforię. Dziś już nie, choć możliwość zobaczenia jej ciągle nie była mi obojętna. Co natomiast robił „na mieście” Jędrzej? Miejsce eurodeputowanego – w środku tygodnia pracy – było w Brukseli. Do tej pory sądziłem, że na miejscu trzyma go zażęgniwanie nieporozumień z narzeczoną, ale okazywało się, że miał też sprawy „na mieście”. No dobrze, trudno, żebym i tym się przejmował...

Ciągle nie wiedziałem, co powiedzieć Wandzie. A może to ona miała w zanadru jakąś informację – znów zaskoczy mnie, nie wiem: uplecionym ze sznurka kwiatem albo etiudą, też autorstwa Rucacellego, zagraną na liściach brzozy i utrwaloną telefonem (przesadziłem: liście brzozy w grudniu...)?

Umówiliśmy się na popołudnie. Ranek chciałem poświęcić graniu i wizycie w hotelu, wieczorem zaś czekała mnie próba z fortepianem. Ponownie zabrałem się do pracy.

Około południa moja komórka się odezwała. Dzwonił Jacek – skrzypek, z którym wspólnie nagrywaliśmy muzykę do filmu. Był wzburzony.

– Bartek, słyszałeś już, co przytrafiło się Konradowi? – mówił o wiolonczeliście, którego zastąpiła Wanda. Poczulem niepokój.

– Słyszałem, że zachorował. Inspektor sam do mnie dzwonił z pytaniem, czy nie znam kogoś, kto mógłby go zastąpić.

– Nie zachorował, tylko został pobity! Przez kilku łysych. Napadli go w biały dzień, gdy wracał do domu po nagraniu. Jeden z nich rzucił jakiś chamski tekst, coś w rodzaju: tylko cioty grają na ciotowatych instrumentach, a jak Konrad im coś odpowiedział, to go przewrócili i skopali, jego i wiolonczelę. Chłopak ma złamaną rękę i jest cały potłuczony, a z instrumentu zostały drzazgi, nie wiadomo, czy w ogóle da się go odrestaurować.

Jakbym dostał obuchem w głowę. Wyobraziłem sobie rozpacz wiolonczelisty. I ciężkie, podkute głany łysoli, pastwiące się nad kilkusetletnim drewnem szlachetnego instrumentu.

– Ale jak to? To jaki on miał futerał?

– Futerał miał dobry, ale nie zamykał go na klucz. Wystarczyło otworzyć dwa zatrzaski...

No tak, reszty nie musiał dopowiadać... Biedny chłopak, w parę sekund przeszedł bolesną lekcję dojrzałości. Czyżby takim nonsensem miała zakończyć się jego przygoda z wiolonczelą?

– Czy Konrad jest w szpitalu?

– Nie, już w domu. Po napadzie miał jeszcze tyle przytomności i zimnej krwi, że zadzwonił do inspektora Radiówki i nie wdając się w szczegóły, poinformował go o chorobie. Dziś złapałem go na czacie, wszystko mi opowiedział.

Sytuacja zdawała się krzyczyć o jakiś rodzaj ludzkiej i zawodowej solidarności. Wiedziałem, że Jacek jest z wiolonczelistą zaprzyjaźniony.

– Czy masz zamiar go odwiedzić? Dzisiaj nie bardzo mogę, ale jutro chętnie bym się z tobą wybrał.

– Hm, chciałem pójść dzisiaj, ale jutro też może być. Jak chcesz, wpadnę po ciebie koło południa.

– Super, dzięki za telefon i do jutra.

– I tobie dzięki, do zobaczenia. – Jacek się rozłączył.

Teraz dopiero zaczęło do mnie docierać, co się właściwie wydarzyło. Paru kolesiów skatowało człowieka, niszcząc mu przy okazji instrument – być może jedyną wartościową rzecz, jaką posiadał – tylko dlatego, że nie spodobała im się jego wiolonczela. Ciarki przeszły mi po plecach. Szkoda, że zapomniałem spytać, czy ich złapali.

Nie było już mowy o powrocie do ćwiczenia. Telefon Jacka zupełnie wybił mnie z nastroju do grania. Pomyśleć, że wkładasz w coś całe swoje siły, a paru bandziorem nie podoba się na przykład kolor twoich skarpetek i rujną ci życie.

A jeszcze jak ich złapią, to zaraz wypuszczą, twierdząc, że szkodliwość społeczną czynu jest niewielka. No pewnie. Wiolonczela? Kogo obchodzi wiolonczela?!

Osobiście nic mi nie dolegało, przerwałem więc swoje łzawe rozważania. Nie mnie potrzebne było współczucie. Postanowiłem zmienić kolejność spotkań. Moja komórka trwała, niestety, w stadium odbiorczym. Na szczęście na rogu pobliskiej ulicy znajdował się automat telefoniczny. Jakimś cudem się uchwalił.

Bez problemu dodzwoniłem się do Wandy i Jacka. O ile dziewczyna robiła wrażenie niezadowolonej – moja próżność poczuła się mile połączona, choć pewnie bez powodu – o tyle Jacek był bardzo rad. Widocznie i on odczuwał dyskomfort z powodu opóźnienia wizyty u Konrada. Postanowiliśmy udać się do niego niezwłocznie; chwilowo było to jedyne, co mogliśmy zrobić.

– Aha, zabierz tego swojego cudaka, Konrad przepada za psami – rzucił na koniec Jacek, który sam należał do ich miłośników.

Zawsze narzekał, że nie ma warunków i możliwości do posiadania czworonoga, a ja mu niezmiennie odpowiadałem, żeby wziął przykład ze mnie: znajdź psa, a znajdą się warunki. Był jednak bardziej ode mnie pragmatyczny czy może praktyczny, a prawda – jak zwykle – leżała gdzieś pośrodku.

Zabranie Estona było dobrym pomysłem. Pies ostatnio dużo przebywał sam, a do Konrada można się było dostać na piechotę, pokonując większość dystansu wzdłuż rzeki.

Skrzypek dołączył do nas po kwadransie, a reszta drogi zajęła nam niecałe pół godziny. Konrad mieszkał na trzecim piętrze w bloku, chyba z dziewczyną, o tej porze nieobecną. Autentycznie ucieszył się na nasz widok. Poruszanie się sprawiało mu lekką trudność, twarz miał posiniaczoną, a lewa ręka otulona była sztywną, gipsową rękawicą. Mimo tego był pogodny, a na widok Estona uśmiechnął się szeroko.

Na naszą prośbę raz jeszcze opowiedział o całym zdarzeniu.

Kiedy po wtorkowym nagraniu wracał do domu, po obu stronach wąskiej uliczki między osiedlowymi blokami pojawiło się nagle po dwóch facetów w czarnych kurtkach, wojskowych spodniach i ciężkich, podkutych buciorach. Chciał ich bezkonfliktowo wyminąć, ale wtedy tamci zaczęli słowną agresję. Gdy Konrad powiedział: „Odczepcie się ode mnie” – tylko tyle – dwóch zaczęło pilnować wejść na ulicę, a pozostali bez dodatkowych słów przewrócili go i skopali.

Potem podeszła jeszcze ubezpieczająca dwójka i każdy dodał po kopniaku, a jeden z nich skoczył chłopakowi na rękę, łamiąc ją. Któryś zapytał: „Ryży, a ciotowata wiolonczela?” – pytanie było skierowane do skoczka łamacza. Ryży bez słowa otworzył futerał i wytrząsnął jego zawartość na ziemię. Spojrzała na swoich kompanów, a ci paroma kopniakami głańów zniszczyli trzysta lat historii.

Milczeliśmy, oczami wyobraźni widząc rozgrywającą się scenę.

– Skurwysyny – to był krótki, ale jakże adekwatny komentarz Jacka.

Mnie zastanawiało coś innego: czy ofiarą miała paść przypadkowa osoba?

– Czarnokurtkowcy oddalili się bez większego pośpiechu. Pozbierałem się jakoś, a przechodzący ludzie pomogli mi pozbierać to, co zostało z instrumentu, i zadzwonili po pogotowie i policję. To chyba tyle...

Wiolonczelę, a właściwie jej szczątki, odwiózł Konrad dnia następnego do najlepszego lutnika w mieście, który na ten widok o mało się nie rozpłakał. Przyrzekał zrobić, co w jego mocy, ale żadnych gwarancji nie dawał. Nawet jeśli udałoby się instrument ponownie scalić, mówił, to nigdy już nie będzie taki sam jak wcześniej.

– Nic bardziej oczywistego – skomentowałem – choć znam człowieka, którego skrzypce po wypadku i remoncie zaczęły brzmieć lepiej niż przedtem.

W oczach obu muzyków zapaliły się iskierki, a raczej ogniska niedowierzania, ale moje dobre intencje były dla nich czytelne.

Szczęście w nieszczęściu – złamanie przedramienia było dość klasycznym przypadkiem ortopedycznym i wszystko wskazywało na to, że Konrad po parotygodniowej przerwie powinien znowu przebierać palcami po gryfie. Podziwiałem – a Jacek chyba też – spokój i opanowanie, z jakim Konrad nam o wszystkim opowiadał. Był strasznie sympatycznym gościem, tym bardziej było nam żal, że właśnie jego spotkała taka fatalna historia.

Posiedzieliśmy jeszcze trochę, rozmawiając o sprawach zawodowych. Niedawno zakończony festiwal dał nam rzadką okazję współpracy z plejadą dyrygentów. Jacek i Konrad ciekawi byli moich opowieści o ich sposobie pracy i komunikowania się z orkiestrą. Interesował ich zwłaszcza gwiazdor pierwszego wieczoru – Heerp Phipher-Legwie, bo żaden z nich nie mógł być na koncercie z jego udziałem. Jak każdy z zaproszonych na festiwal mistrzów batuty, był przecież postacią nietuzinkową, natomiast kontrowersje, które wzbudził, zdążyły już roznieść się po mieście⁸.

Na pożegnanie uścisnęliśmy Konradowi zdrową rękę. Eston zadziwił wszystkich, sam z siebie, z życzliwą godnością wyciągając łapę do wiolonczelisty. Znakomicie sprawdzał się w roli terapeuty.

Nie będę przytaczać rozmowy, jaką odbyliśmy z Jackiem w drodze powrotnej. Nawet Eston kręcił głową, zdziwiony dużą liczbą nieczęsto słyszanych słów. Ale tych ze słownika poprawnej polszczyzny po prostu nam brakowało.

Odprowadziłem Estona do domu, a Jacka zaprosiłem na kawę do hotelu Luxor. Ta odkładana wizyta dawno już powinna była się odbyć. Miałem wrażenie, że jeśli pojawię się w czyimś towarzystwie, wypadnie bardziej naturalnie.

Siedliśmy przy barze.

To niewątpliwie strategiczne miejsce kawiarnianych wnętrz. Stojący za kontuarem barman jest jak dowódca gwiazdnego statku za konsolą pełną przyrządów nawigacyjnych. Podobnie jak on, powinien mieć je pod ciągłą kontrolą, a nic z tego, co się dzieje na pokładzie, nie może umykać jego uwagi. Jak dobry kapitan – widzi i wie najwięcej. Ale czy skłonny jest do dzielenia się tą wiedzą – to już zupełnie inna sprawa. Na niejednym filmie widziałem, jak wypytywany barman najpierw długo zaprzeczał, że cokolwiek wie o sprawie, by dopiero

mniejsze lub większe nominały – przeważnie zielonych – papierków skłaniały go do nieco większej wylewności.

Czasami miejsce zielonych papierków zajmowały pogroźki lub szantaż.

Nie dysponowałem banknotami w jakimkolwiek kolorze, karta kredytowa – z różnych przyczyn – też nie wchodziła w grę, a gdy wyobraziłem sobie, jak grozę barmanowi lub go szantażuję, ogarnął mnie pusty śmiech.

Czasami zdarzało mi się, że gdy już, już zabierałem się do dawno zaplanowanej czynności, nagle ogarniało mnie poczucie jej bezcelowości. Ale potem to się zmieniało. Przestałem więc hamletyzować i zamówiliśmy dwie kawy, dwie szklanki wody i dwa wybitnie wyglądające ciastka. To posunięcie musiało odbić się na moim portfelu, ale z punktu widzenia strategii śledczej – przynajmniej tak, jak ją sobie wyobrażałem – było niezbędne.

Zaczęliśmy z Jackiem rozmowę. Wszystkie jej wątki powracały do tematu dnia, jakim była dla nas przygoda Konrada (Boże, strzeż nas od takich przygód).

A stąd był już tylko krok do przypadku maestra Rucacellego, także ofiary bezmyślnej przemocy, nadal leżącego w komie w miejskim szpitalu. Barman, który zdawał się do tej pory nie słyszeć ani słowa z naszej rozmowy, w momencie gdy padło po raz pierwszy nazwisko dyrygenta, spojrział na nas z wyraźnym zainteresowaniem. Czekałem na jego reakcję. Szybkie jak odbity refleks słoneczny spojrzenie nie uszło mojej uwagi. I o to właśnie chodziło. Kolejne słowa zacząłem kierować już nie bezpośrednio do Jacka, ale w międzyprzestrzeń pomiędzy nim a barmanem. Taktyka okazała się słuszna. Po chwili mężczyzna podszedł do nas i polerując szklankę, która lśniła już jak lód w bożonarodzeniowej rewii Disney On Ice, powiedział:

– Panowie mówią o tym dyrygencie, co to go prawie zasztyletowali?

– Tak, dokładnie tak, a ja – dla wzmocnienia efektu wskazałem na siebie palcem – znalazłem go w niedzielę wieczorem, prawie martwego.

Barman przyjrzał mi się z jeszcze większym zainteresowaniem, a ponieważ ruch w barze nie należał o tej porze do szczególnie ożywionych, przyjął pozycję znamionującą gotowość do pogawędki.

– Taaak... – z wdziękiem próbował wkomponować się w dyskusję – wie pan, ja go tutaj codziennie widywałem, ostatnim razem to na pewno było w sobotę, w sobotę wieczorem, bo w niedzielę już się nie pokazał, a potem okazało się dlaczego. Nawet coś tam do mnie żartował, że mamy podobne stroje robocze, i pytał, czybym się nie chciał z nim zamienić: ja miałbym dyrygować, a on roznosić drinki. W ogóle był w wybornym humorze, ale wie pan, z taką du... z taką dumną dziewczyną – zająknął się trochę nielogicznie – to miał prawo czuć się niezłe.

Nie mogłem wyjść ze zdumienia: bez słowa zachęty barman podawał jak na tacy interesujące mnie fakty.

– Powiem panu więcej – kontynuował – jak dowiedziałem się następnego dnia, co się stało, to pierwsze moje skojarzenie było jasne: to musiał zrobić zazdrosny kochanek. Bo, widzi pan – barman ściszył głos i nachylił się jeszcze bardziej, jakby przekraczał właśnie kolejny krąg konfidencji – ja tę dziewczynę już tu widywałem w towarzystwie zupełnie innego faceta. A przecież ten dyrygent nie jest stąd, więc to się musiało szybko dziać – oni ze sobą najnormalniej flirtowali.

Na twarzy naszego rozmówcy odmalowała się ulga. Wyobraziłem sobie, jak nieraz musiał ciężać mu posiadany nadmiar informacji.

– Nam też się tak na początku zdawało, ale ponoć policja wykluczyła motyw zazdrości.
– Nagle przestraszyłem się, że barmanowi minie nastrój do zwierzeń albo pojawi się nowy klient. – A pamięta pan coś jeszcze z tego wieczoru?

Chyba zadałem niewłaściwe pytanie, bo barman przyjrzał się nam uważniej i odchylił nieco, odzyskując zawodową rezerwę:

– Wszystko, co wiedziałem, powiedziałem policji...

– Nie chciałbym, żeby pan nas źle rozumiał, my nie jesteśmy z policji, tak po prostu rozmawiamy na bądź co bądź aktualne tematy. Jeśli pan nie ma ochoty mówić, to nie.

Ale uspokojony takim postawieniem sprawy barman miał ochotę. Ba, przechylił się tak, jakby ostatecznie chciał przekroczyć granicę dzielącego nas kontuaru.

– Widzi pan, siedzieli tam, przy tamtym stoliku – wskazał ręką miejsce w rogu sali, na lekkim podwyższeniu – i robili wrażenie bardzo zajętej sobą pary, ale potem coś się zmieniło. Dyrygent zaczął odbierać telefony, najpierw jeden, potem drugi, przy trzecim wstał i odszedł od stolika, jakby nie chciał rozmawiać przy dziewczynie.

– I myśli pan, że to mogło mieć związek z tym, co zdarzyło się później? – czułem, że dochodzimy do sedna sprawy.

– Nie wiem, tego nie wiem – pokręcił głową. – Wiem tylko, że jak odszedł od stolika po trzecim telefonie, to przeszedł blisko baru i – o ile się na tym znam – wydawało mi się, że mówi po włosku.

– W tym akurat nie ma nic dziwnego, Rucacelli mieszka we Włoszech.

– Naprawdę? – zdziwił się barman. – Tego nie wiedziałem.

Co go właściwie zastanowiło: to, że dyrygent ma dom we Włoszech, czy to, że on o tym nie wiedział?

– Podobno – strzelałem ślepą amunicją – jakaś włoska firma proponowała mu nagranie, przypuszcza się, że z naszą orkiestrą. Myśli pan, że telefony mogły tego dotyczyć?

– Tego to ja panu nie powiem. Mogło tak być, chociaż gdyby ktoś mi proponował kontrakt płytowy, to reagowałbym chyba inaczej, nie wzburzeniem. Pan dyrygent stracił spokój i dobry humor. W pewnej chwili, powiedziałbym nawet, że w pośpiechu, dał do zrozumienia dziewczynie, że muszą wyjść. Nie robili już wrażenia zafascynowanej sobą pary; ona była lekko zdezorientowana, a on najwyraźniej zdenerwowany. Wyszli z baru, nie musiał płacić, bo wszystkie rachunki szły na numer jego pokoju. Z tego, co dowiedziałem się później od kolegów z recepcji, zamówił taksówkę i osobiście odprowadził do niej dziewczynę. Nie było jeszcze tak późno, gdzieś około dwudziestej trzeciej; myślę, że mogli tu przesiedzieć jakieś dwie godziny.

– No tak, próba skończyła się przed dziewiątą – powiedziałem.

Czułem, że od pewnego czasu Jacek przygląda mi się z rosnącym zdziwieniem. Musiał być zaskoczony tak dociekliwym drążeniem tematu dyrygenta. Ale nawet jeśli moje motywy nie były dla niego jasne, to przynajmniej mi nie przeszkadzał.

– I to właściwie wszystko, co widziałem. – W głosie barmana pobrzmiwała nutka smutku. Chętnie ubarwiłby swoją opowieść jakąś sensacyjną pointą.

– A półtora dnia później dowiedziałem się, że go znaleźli ledwie żywego. Nie wiedziałem, że to pan – spojrział na mnie z czymś w rodzaju uznania. – Można powiedzieć, że

pan mu uratował życie.

– Ee, to lekka przesada, czysty przypadek i tyle, ale od tamtej chwili czuję się trochę związany z całą sprawą. To miło, że zechciał pan nas uraczyć tak ciekawą opowieścią. Ale teraz, niestety – spojrzalem na zegarek – na nas już pora, chociaż... O coś jeszcze pana zapytam, jeśli ma pan ochotę odpowiedzieć.

– Niech pan pyta, ale boję się, że to już wszystko, co wiedziałem...

– Czy kojarzy pan tego drugiego faceta, z którym widywał pan wcześniej dziewczynę?

– Tak, trudno go nie kojarzyć, od czasu do czasu widuję jego sympatyczną buźkę w telewizji, ale nie rozmawiałem z nim i nie mam w przyszłości takiego zamiaru.

Rozumiałem go w stu procentach.

Barman musiał w końcu wrócić do swoich obowiązków. Podziękowałem mu i pożegnaliśmy się.

Moje zainteresowanie tematyką dyrygenta było ponadprzeciętne, ale miałem nadzieję, że nie wyszło poza ramy zdrowego rozsądku faceta, który, chcąc nie chcąc, był w sprawę trochę uwikłany. Postanowiłem odprowadzić skrzypka, przy okazji wyjaśniając mu moje motywy. Okazało się to jednak zupełnie zbędne.

– Stary, nie musisz mi się tłumaczyć, przecież widziałem, jak ty na tę Wandę patrzysz. Myślisz pewnie tak: jak ona jest z tym tłumokiem europoseł, to pół biedy, jak była jeszcze z maestrem, to już cała bieda. Ale ja ci mówię: daj sobie spokój, ta dziewczyna to zarzewie tysiąca problemów...

Było mi na rękę, że Jacek tak zinterpretował moje barowe śledztwo. Nie miałem zamiaru wyprowadzać go z błędu. No cóż, Wanda mi się podobała, ale ona podobała się chyba wszystkim facetom. I o ile z dużą dawką niechęci mogłem zrozumieć jej zafascynowanie dyrygentem, o tyle związek z Jędrzejem przekraczał moje zdolności percepcyjne. Chyba że istniało coś, o czym nie wiedziałem; musiało coś takiego być. Wszystko razem wystarczyło jednak, aby zdmuchnąć jak świecę rodzące się we mnie zauroczenie. Ale Jacek nie musiał o tym wiedzieć.

Skrzypek życzył mi powodzenia na poniedziałkowej audycji. Bez względu na wynik obiecałem mu coś w rodzaju imprezy; o jej terminie mieliśmy powiadomić Konrada.

Wracałem do domu niewiele mądrzejszy. O tym, że Wanda była w barze z dyrygentem, wiedziałem już wcześniej. Potwierdził się też fakt, że wróciła wówczas do domu, a więc mówią prawdę.

Były też telefony, które niepokoiły Rucacellego. Dlaczego? Jeśli istotnie chodziłoby o kontrakt płytowy, nie byłby to powód do zdenerwowania. Inna sprawa, że Włosi nawet o spaghetti potrafią rozmawiać tak, jakby chodziło o grubszą aferę.

Należało jednak przypuszczać, że rozmowa nie dotyczyła ani spaghetti, ani risotto, ani nawet pizzy. Dyrygent był jeszcze wówczas w posiadaniu batuty, a to ona okazała się powodem dramatycznych wydarzeń. Czy wiedział już wówczas, że skrywała klucze, jak przypuszczał antykwariusz, klucze do sejfów?

Batuta okazała się kluczem do zagadki. I to w dosłownym tego słowa znaczeniu. Cóż jednak po posiadanym kluczu (nawet podwójnym) i hipotetycznym zamku (nawet podwójnym)? Przecież mógł on się znajdować w dowolnym miejscu świata...

A jednak moja ćma mówiła mi, że wiem już dużo. Towarzyszyła mi w bezpiecznej odległości i zachęcała do dalszych poszukiwań. Do zniwelowania różnicy między „wiedzieć

dużo” a „wiedzieć wystarczająco”. Czy była to przepaść, czy szczelina? – tego też na razie nie wiedziałem.



ROZDZIAŁ X

CZWARTEK PÓŹNIEJ

Antykwarium miał dość tajemniczą minę. Widziałem, że chce mi coś powiedzieć. Z niepokojem myślałem, czy ponownie nie wydarzyło się coś niepokojącego. Ale to nie było nic z tych rzeczy. Sebastian nawet nie wspominał o wczorajszych wydarzeniach. Zaczął natomiast od pytania:

– Bartosz, czy spotkałeś się kiedyś z pojęciem Kolekcja Gudelsteina? Czy mówi ci to cokolwiek?

Nie mówiło. Owszem, nazwisko Gudelstein już słyszałem, lub raczej o nim czytałem. Myślę, że we wszystkich, szanujących się leksykonach wybitnych skrzypków XX wieku można było je odnaleźć. Ale to tyle, bo już zestawienie nazwiska ze słowem „kolekcja” nie budziło we mnie żadnych skojarzeń.

– Widzisz – zaczął wyjaśniać – wydarzenia ostatnich dni, ale również fakt, że i ja znalazłem się w ich zasięgu, zmobilizowały mnie do przeprowadzenia pewnych, nazwijmy to, badań. Świat antykwariumu jest w posiadaniu wiedzy o wielu udokumentowanych zdarzeniach, o których nie śniło się innym śmiertelnikom. Lecz jest jeszcze jedna, szczególna ich kategoria: to historie, o których krążą pogłoski, legendy, nigdy niewydostające się poza dość hermetyczne grono. Ich cechą charakterystyczną jest brak jakiegokolwiek dokumentacji. W rozmowach z kilkoma spośród moich kolegów udało mi się – w szkieletowej formie – odtworzyć jedną z takich opowieści.

Zapowiadało się ciekawie. Przestałem skanować mózg w celu odnalezienia zagubionych szczątków informacji o panu Gudelsteinie; wiedziałem, że zaraz dowiem się więcej. Zamieniłem się w słuch.

– Aaron Gudelstein, jeden z najwybitniejszych, przedwojennych skrzypków starego kontynentu, był mieszkańcem naszego miasta. Tak, tak – powiedział, wyłapując moje

zdziwione spojrzenie.

Rzeczywiście to była dla mnie niespodzianka.

– W drugiej połowie lat trzydziestych założył kwartet smyczkowy: Gudelstein Quartet lub Kwartet Gudelsteina, jeśli wolisz. Bez wątplenia jeden z najlepszych, jeśli wręcz nie najlepszy zespół smyczkowy ówczesnej Europy. Kwartet zasłynął nie tylko ze swojego niewiarygodnego poziomu artystycznego. Grupa najbogatszych europejskich bankierów podchwyciła pomysł jednego z nich, znanego miłośnika muzyki, aby zakupić dla zespołu lutnicze arcydzieło: smyczkowy kwartet genueńskiego mistrza Lucci Silvariego, który w początkach dziewiętnastego wieku został wykonany na zamówienie Niccolò Paganiniego i Karola Lipińskiego. Dwóch największych wiolinistów tamtych czasów zamierzało oddać się wspólnemu, kameralnemu graniu. Nie wiem, czy do tego doszło, bo żaden z nich nie chciał być drugim skrzypkiem.

– Na pytanie, kto jest najlepszym wiolinistą Europy, Paganini zwykł odpowiadać: „Nie wiem, kto jest pierwszy, ale drugi jest na pewno Lipiński” – i ja mogłem dorzucić cegiełkę do coraz okazalszego gmachu opowieści antykwariusza.

– Pomińmy tutaj dalsze losy kolekcji. Dla nas ważne jest, że w tysiąc dziewięćset trzydziestym szóstym roku została wykupiona z rąk włoskiego księcia i подарowana Kwartetowi Gudelsteina. Od tamtej chwili do arcydzieł genueńskiego mistrza, nie całkiem w zgodzie z logiką, przylgnęła nazwa Kolekcja Gudelsteina. Pojedyncze instrumenty Silvariego niewiele ustępowały wówczas ceną mistrzowskim egzemplarzom Guarneriego czy Stradivariiego. Wartość wykonanego na tak szczególne zamówienie, pod każdym względem unikalnego Kwartetu Silvariego, musiała przerastać wszystko, co do tej pory świat lutniczy znał, choć szczegóły transakcji nigdy nie zostały ujawnione.

Sebastian przerwał i zapalił cygaretkę. To nie zdarzało się często, a dowodziło, że mój rozmówca był zadowolony z siebie i podekscytowany zarazem.

– Druga część opowieści związana jest z naszą filharmonią – zaczął po chwili odpoczynku. – Jest to, jak ci wiadomo, gmach stary, wybudowany na początku dwudziestego wieku. Podobno w pierwszych miesiącach wojny po mieście krążyły opowieści, że w jego murach znajdują się tajemne przejścia i skrytki. Tymi pierwszymi mieli przedostawać się i znikać poszukiwani przez Niemców bogaci Żydzi, w sekretnych schowkach pozostawiając najcenniejsze przedmioty ze swojego dobytku. Dyrekcja filharmonii sprzyjała takim praktykom, oczywiście aż do momentu, w którym hitlerowcy obsadzili wszystkie etaty swoimi ludźmi.

Antykwariusz przerwał na moment, przygotowując jakby kolejny rozdział opowieści. Nie myliłem się.

– I teraz dochodzimy do meritum sprawy: trzeciego grudnia tysiąc dziewięćset trzydziestego dziewiątego roku planowany jest w filharmonii występ Kwartetu Gudelsteina. W programie mają znaleźć się trzy kwartety Beethovena z różnych opusów. Po mieście rozchodzi się plotka, że bezpośrednio po występie muzycy mają być aresztowani, a instrumenty, rzecz jasna, skonfiskowane. Koncert dochodzi do skutku, jest wielkim wydarzeniem. Większość widowni nie ma pojęcia, jaki dramat ma się za chwilę rozegrać, a jednego nie można było tej publice odmówić: wielu spośród obecnych naprawdę znało się na muzyce.

– Gdy nie wybrzmiały jeszcze ostatnie dźwięki Beethovena, przed wejściem dla artystów ustawia się grupa facetów w czarnych skórzanych płaszczach. Czekają. Oczekiwanie przedłuża się. W końcu kilku z nich otrzymuje rozkaz udania się na piętro. Ale garderoby artystów są puste.

Sebastian Mars sam zdawał się wsłuchiwać w swoje słowa, delektując się treścią, które niosły, możliwościami, które otwierały, lub... kolejnym obłokiem cygaretonowego dymu.

– Zniknęli i nigdy nie zostali odnalezieni. Nie wiadomo, co stało się z instrumentami: czy zniknęły razem z muzykami, którzy wydostali się z gmachu i jakimś cudem zdołali opuścić teren Generalnej Guberni? Czy może zostały ukryte w bezpiecznym miejscu, zwiększając szanse: swoje – na przetrwanie wojennej zawieruchy, a artystów – na udaną ucieczkę? Kolejne i tak samo niepotwierdzone informacje mówią, że wszyscy członkowie Kwartetu Gudelsteina znajdowali się na liście pasażerów promu płynącego z Kłajpedy do Sztokholmu. Prom, trafiony torpedą odpaloną przez Kriegsmarine, zatonął; nikt nie ocalał. Morze, nie po raz pierwszy i nie ostatni pewnie, stało się ostatecznym powiernikiem tajemnic kilkuset osób, w tym także muzyków z Kwartetu Gudelsteina. Zaginął po nich ślad, zaginął ślad po czterech instrumentach Lucci Silvariego, które od tej pory stały się już nie legendą, a jej cieniem...

Niesamowita opowieść. Iście książkowa. Sensacyjna beletrystyka w wojennym sosie. I muzyką Beethovena w tle.

– Mało kto zna tę historię. Garstka pamiętających ją ludzi sama już nie wie, czy to prawda, czy tylko jeden z mitów obrastających kokonem coraz większej tajemniczości.

Antykwariusz skończył i przez chwilę słycać było tykanie starego zegara. Ciekawe, jak długo odmierzał już czas. Czy beznamiętnie wystukiwał sekundy również wtedy, kiedy opowiedziane zdarzenia właśnie się działy?

Po plecach przemaszerowało mi stado mrówek.

Sebastian Mars musiał wiedzieć, nad czym się zastanawiam, bo prawdopodobnie sam przechodził już ten etap rozważań.

– Ta historia sugeruje jedynie, bo przecież niczego nie przesądza, że pogłoski na temat ukrytych w gmachu filharmonii schowków i przejść być może nie są zupełnie wyssane z palca. Jeszcze inaczej: z filharmonią mogła być związana jakaś tajemnica.

Hm, jeśli tak było w istocie, to mieliśmy kolejne słowo z krzyżówki. Antykwariusz kontynuował:

– Wróćmy na chwilę do terażniejszości: zauważ, że sprawa wiedzie od dyrygenta do batuty, która okazuje się kluczem. Idźmy dalej. Dyrygent ryzykuje życie – dosłownie – aby tylko batuta-klucz nie wpadła w niepowołane ręce. Musi więc mieć świadomość, jaka jest jej prawdziwa wartość. Jacyś ludzie próbują zdobyć pałeczkę i nie rezygnują mimo niepowodzeń. Widocznie też wiedzą coś, co czyni ją w ich oczach cenną, może bezcenną.

– Mamy więc klucz – włączyłem się – który otwiera sejf ukryty być może w filharmonii, a zawierający – być może – Kolekcję Gudelsteina. Czy myśli pan, że to możliwe? – Mój głos z każdą chwilą cichł, by w końcu stać się szeptem, jakby pod wpływem irracjonalnego strachu, że ktoś jeszcze może mnie usłyszeć.

Antykwariusz nie spieszył się z odpowiedzią. W końcu odrzekł:

– Wydaje się mało prawdopodobne. Bo nawet jeśli założyć, że historia nosi w sobie ziarno prawdy, to jak mamy uwierzyć, że muzycy zostawili bezcenne instrumenty na pastwę losu? Po drugie, nawet przy założeniu, że tak się stało, to czy jest możliwe, by ich do tej pory

nie odnaleziono? A w ogóle, muszę to jeszcze raz wyraźnie powtórzyć: poruszamy się na gruncie legendy. Wyłącznie legendy.

– Dobrze, rozpalili pan moją wyobraźnię, spróbuję więc odpowiedzieć. Po pierwsze, legendy mają przeważnie za punkt wyjścia jakieś autentyczne zdarzenie. Po drugie, człowiek, który próbuje ratować własne życie, raczej jest skłonny do rozwiązań zwiększających jego szanse, chyba że coś ma dla niego wartość życia przewyższającą. Ale i wtedy, racjonalnie rzecz ujmując, lepiej jest skorzystać z dobrego schowka, niż narażać siebie i drogocenny przedmiot. I wreszcie, po trzecie, Bursztynowa Komnata jest nieco większa niż cztery instrumenty, w dodatku od lat poszukiwana przez armię doskonale wyposażonych badaczy, a nie znaleziono dotychczas nawet śladu po niej. Tymczasem Kwartet Silvariego nigdy chyba nie był, przynajmniej do tej pory, obiektem poszukiwań.

Pan Sebastian kiwał głową.

– Przeczytałeś wszystkie argumenty, które i mnie przychodzą do głowy. Może więc w tej zwiariowanej hipotezie jest ziarno prawdy?

Mimo wszystko trudno było w to uwierzyć, zwłaszcza że nasze klocki dały się poukładać nieoczekiwanie łatwo. Uznaliśmy, że nie tyle konkretny wniosek, ile kierunek rozumowania, a więc jakaś nieodkryta dotąd tajemnica związana z filharmonią, może okazać się słuszny.

Spojrzałem na zegarek: zrobiło się późno. Zasiedziałem się, a mój dzień ciągle jeszcze trwał. W lekkim oszołomieniu pożegnałem się z antykwariuszem, dziękując mu za fascynującą opowieść; miałem nadzieję, że jutro uda nam się zrobić następny krok.

W filharmonii zjawiłem się krótko przed umówioną godziną. W portierni dyżurował mój znajomy, ten sam sympatyczny gaduła, który był gotów przyjąć mnie do orkiestry bez egzaminu. Na mój widok zmarszczył brwi, jakby próbował sobie coś przypomnieć, ale albo mi się to nie udało, albo się rozmyślił, bo powiedział tylko:

– A, pan Bartek, niech pan idzie na górę, koledzy już trenują.

Spieszyłem się niepotrzebnie. Chętnych do grania z fortepianem przyszło dziś więcej i trudno było utrzymać rygorystyczne godziny rozpoczęcia prób. Nie zmartwiło mnie to jednak; postanowiłem posłuchać, jak grają miejscowi kontrkandydaci. Do tej pory pojęcia nie miałem pojęcia, kto będzie moim lokalnym rywalem w poniedziałkowym pojedynku.

Zbliżaniu się do sali koncertowej towarzyszyły pierwsze dźwięki koncertu Stamitza – zmory altowiolistów. Raźnie mi się do tej muzyki maszerowało niż ją grało, z rozpędu więc wspiąłem się jeszcze piętro wyżej. Gdy otwierałem drzwi od balkonu, fortepian kilkoma akordami obwieścił wejście altówki.

Ktoś grał historyczną manierą. Każda dłuższa nuta była rozwibrowana, jakby śpiewała ją nie do końca panująca nad swoim aparatem wykonawczym podstarzała diva. Trochę było w tym na pewno nerwów; po tygodniach ćwiczeń w czterech ścianach stajesz oto w dużej, choć pustej jeszcze sali, przedsmak konkursowych emocji spada na ciebie nagle jak bezlitosny jastrząb i... Okazuje się, że to, co wydawało się wyćwiczone, wcale takie nie jest. Ale przed ponownym zagranieniem myślisz sobie, że wszystkie błędy już zostały popełnione, że przecież godziny pracy nie mogły pozostać bez śladu. I rzeczywiście, jest lepiej.

Histeryczny altowiolista – precyzyjnie mówiąc: altowiolistka, którą okazała się moja koleżanka ze studiów, z racji specyficznych upodobań do koloru garderoby powszechnie zwana Marchewką – w powtórnym wykonaniu Stamitzta zaprezentowała się o niebo lepiej. Zniknęła nawet przesadzona wibracja. Przedtem musiała być wynikiem ciężkiego stresu. W opanowanej formie okazywała się romantyczną manierą interpretacji muzyki klasycznej. Do przyjęcia – w zależności od gustów i kryteriów.

Gdy zabrzmiały ostatnie akordy budzącego wszechstronne emocje utworu, pianistka dojrzała mnie na sali.

– Panie Bartku, ma pan jeszcze trochę czasu, jest małe opóźnienie.

– Nie ma problemu, nigdzie się nie spieszę, chętnie będę robił za publiczność.

Marchewka też mnie poznała, pomachała mi z dołu smyczkiem, ja zaś, podniesionym do góry kciukiem pokazałem, jak oceniam jej aktualną formę. Bez przekonania pokręciła głową, ale może dodałem jej choć trochę otuchy. Koncert Waltona, który wybrała do drugiej rundy, odpowiadał jej zdecydowanie bardziej. Ale tak to już jest, zazwyczaj najtrudniejsze są utwory klasyczne, w których mało jest miejsca na interpretację i brawurę, a wystarczy pokazać nienaganny warsztat. Pierwszy próg zazwyczaj okazuje się najtrudniejszy i nie do przeskoczenia dla większości kandydatów.

W sumie jednak Marchewka zaprezentowała się bardzo przyzwoicie i pomyślałem, że jeśli tylko zdoła opanować emocje w Stamitzu, w poniedziałek będzie groźną konkurentką. Po niej grał nieznany mi młody chłopak, pewnie świeżo po studiach. Był sprawny, ale dosyć surowy. Miała to być, jak sądziłem, jego pierwsza audycja. Zdarzają się szczęściarze, którzy trafiają główną wygraną za pierwszym podejściem, większość jednak musi przebyć swoją drogę przez mękę. A gwarancja końcowego sukcesu i tak nie jest w nią wpisana... Chłopak miał pewnie jakąś szansę, ale... jeszcze nie teraz.

W końcu przyszła kolej na mnie. W chwili gdy stroiłem instrument, do sali weszła kolejna grupka muzyków.

– Mam was dzisiaj całą siódemkę – powiedziała pianistka. – O ile się orientuję, więcej miejscowych nie będzie.

Bóg zapłać! Siódemka miejscowych? Nie można było utajnić informacji o przesłuchaniu?

– I pewnie dwa razy tyle przyjezdnych – dodałem. – Uzbiera się ze dwudziestu kandydatów.

– Też mi się tak zdaje. Z takiej grupy pewnie kogoś da się wybrać.

I ja miałem taką nadzieję. Tylko nie kogoś, a mnie. W myśl przepisów komisja nie była jednak zobligowana do rozstrzygnięcia konkursu. W przypadku braku wystarczająco dobrych kandydatów organizowało się po jakimś czasie kolejną audycję i tak aż do skutku. Moment nie sprzyjał jednak rozważaniu niepomyślnych scenariuszy. Kto przystępuje do rywalizacji, musi mieć nadzieję, że ją wygra, w przeciwnym razie stoi na z góry straconej pozycji.

Nagle, po raz pierwszy od paru dni, poczułem dreszcz odmiennych emocji; nie kryminalnych i zagadkowych, a zawodowych i realnych. Mój żołądek powędrował w górę, jakbym nieoczekiwanie znalazł się w szybkobieżnej windzie.

Pierwsze wykonanie poszło na straty. A to gdzieś się palec omsknął, a to pamięć zawiodła. Tu i ówdzie emocje negatywnie odbiły się na intonacji, a wyobrażenie sobie znacznie silniejszych emocji konkursowych wynaturzyło dźwięk. Pamiętając, co i gdzie się

przytrafiło, w powtórne granie obu koncertów starałem się włożyć dużo więcej kontroli. To był zresztą główny sens solidnej próby z fortepianem; do krótkiej, w samym dniu przesłuchań, miał prawo każdy uczestnik. Tylko że wówczas naprawdę nie ma już czasu na korekty. Liczna dzisiaj obecność lokalnych kandydatów świadczyła, jak poważnie traktują nadchodzący egzamin. Ale nic dziwnego; jak w każdej dziedzinie, wymagania były coraz bardziej wyśrubowane, a konkurencji przybywało. Nawet w przypadku tak specyficznego instrumentu.

Zupełnie niezdolny do obiektywnej samooceny postanowiłem wrócić na górę i posłuchać jeszcze jak grają inni. By nie dekoncentrować grających, wspiąłem się jeszcze wyżej, na tak zwaną jaskółkę.

Pamiętałem ją dobrze z czasów studenckich. To było jedyne miejsce osiągalne dla posiadaczy wejściówek, w naszym pojęciu kwiatu i ozdoby publiczności. Rzeczywiście: wysoko i daleko. Sylwetki muzyków wyglądały stąd jak mechaniczne lalki, a dźwięk dochodził w złagodzonej, zaokrąglonej formie.

Usiadłem wygodnie, z nogami wyciągniętymi przed siebie i dłońmi oplecionymi wokół szyi. Kiedy jeszcze mógłbym pozwolić sobie na podobnie nonszalancką pozę w tak nobliwym miejscu? Ciekawe, bywałem tu często, ale zauważyłem pewną zależność: im częściej odwiedzałem jakieś miejsce, tym mniej mu się przyglądałem, traktując jego istnienie i wygląd jako oczywistość. I na odwrót: wystarczyło, bym przejeżdżał przez jakąś średnio ciekawą miejscowość, by chłonąć jej rzekome uroki wszystkimi nieomal zmysłami, nie mówiąc już o robieniu dziesiątków zdjęć, z których potem może kilka okazywało się godnych uwagi.

Przeświadczenie, że jestem w jakimś miejscu po raz pierwszy i może ostatni, kazało mi traktować je w wyjątkowy sposób. Dlaczego jednak, przechodząc latami koło jakiegoś budynku, właściwie go nie widziałem? Dopiero gdy okazywało się, że mieści się tam, powiedzmy, urząd, w którym miałem sprawę do załatwienia, ze zdumieniem odkrywałem jego istnienie.

Filharmonia była gdzieś między tymi kategoriami. I znałem ją, jak zna się powietrze, które nas otacza, i nie znałem, jako że powietrzu rzadko kiedy się przyglądamy. Łatwiej było o klasyfikację emocjonalną: lubiłem ją, a gdy przebywałem w środku, z mocą przemawiały do mnie całe lata, dziesięciolecia jej historii⁹.

Filharmonia była budowlą, którą każdy muzyk powinien docenić. Secesyjny styl, w którym zbudowano ją na początku XX wieku, rozmach, szczegóły architektoniczne i wspaniałe wykończenia sali koncertowej – od drewnianych, mozaikowych podłóg, poprzez akantowe złoćenia ścian, opatrzonych dziesiątkami sypiących diamentowe refleksy kandelabrow, do dekorowanego wielkimi, kryształowymi żyrandolami, stiukowego, w części urozmaiconego aksamitnymi kasetonami sufitu – oraz jej zupełnie niepoślednie walory akustyczne powodowały, że odwiedzający nasze miasto artyści wypowiadali się na jej temat z podziwem i uznaniem.

Bezmiar rozbrzmiewającej w niej przez lata muzyki stworzył trudną do określenia, ale wyczuwalną atmosferę i klimat, które pozwalały czuć się w jej wnętrzach dobrze zarówno muzykom, jak i słuchaczom.

Z tego, co było mi wiadomo, budynek rzeczywiście nie uległ w czasie wojny poważnym zniszczeniom. W pierwszych latach okupacji odbywały się w nim nawet koncerty. Kiedyś do głowy mi nie przychodziło, że w trakcie wojny mogło istnieć życie koncertowe. Ale potem zrozumiałem. Ludzie, choć zajęci codzienną walką o przetrwanie, nie chcieli automatycznie

pozbywać się potrzeb wyższego rzędu. Czytali książki, łaknęli wiedzy, kochali się... Może muzyka, ta enklawa wolności, dawała im siłę i nadzieję? Nie z własnego wyboru przychodzi nam żyć tu i teraz. Czy nie do nas należy troska, aby to życie, nasze życie, było jak najlepsze – bez względu na okoliczności, a może nawet im na przekór?

Mój wzrok zatrzymał się na przykuwającym uwagę ciemnym szkarłacie aksamitu, którym wyłożone były kasetony nad jaskółką. Jakiś fragment, detal czy może cały sufit próbował do mnie przemówić, lecz mimo wysiłków nie rozumiałem tego języka. Ponownie spojrzałem na estradę, gdzie kolejny z kandydatów niemiłosiernie kaleczył koncert Hoffmeistera. Przeskoczyłem myślą do ciągle żywych wspomnień z festiwalu¹⁰.

Zamyślony, nie zauważyłem, że ostatni z altowiolistów zakończył próbę. Do rzeczywistości przywołała mnie dopiero ogarniająca wszystko ciemność. Należało się zbierać, i to szybko; nie mogłem mieć pewności, czy sala nie zamyka się automatycznie po wyłączeniu głównych świateł. Na szczęście dzięki lampkom ewakuacyjnym w podłodze i na korytarzu bez trudu odnalazłem drogę.

Portier robił wrażenie zaskoczonego.

– A ja byłem pewien, że już wszyscy wyszli...

– Po prostu się zamyśliłem – wyjaśniłem zgodnie z prawdą.

– A co, pan ciągle jeszcze myśli o tym dyrygencie? Mówili w radio, że dalej jest w śpiączce. Patrz pan, jak to niewiele potrzeba... Tak się tu kręcił, tak tu łąził, jakby był królem świata, a teraz... e, szkoda gadać...

Portier był wyraźnie zdegustowany marnością ludzkiej kondycji. Chętnie bym z nim porozmawiał, ale już nie dzisiaj. Przyświecał mi pewien plan.

– Panie Zenonie – zażyłość między nami rosła – czy jutro ma pan też nocny dyżur? Z przyjemnością bym z panem o tym wszystkim spokojnie porozmawiał.

– Będę, będę, jutro też mam nockę, niech pan wpadnie, wypijemy herbatkę albo coś do herbatki – Pan Zenon wyraźnie mnie kusił. Musiało mu się nudzić w czasie długich, ciągnących się niemiłosiernie godzin samotnej służby.

Nęcąca propozycja. „Noc w operze”. Raczej „Noc w filharmonii”. Albo „Upiór w filharmonii”, z panem Zenonem (lub ze mną) w roli upiora. Pan Zenon mnie lubił i to była dobra wiadomość. Otwierała drzwi budynku poza oficjalnymi przyczynami i godzinami. Te drzwi, które teraz portier pieczołowicie za mną zamknął.

Wlokłem się do domu z jednym tylko marzeniem: położyć się i zasnąć. Ale droga do tego była dłuższa, niż mogłem przypuszczać.

Gdy opuściłem oświetlony i ciągle tętniący życiem centralny skwer i wszedłem w ulicę prowadzącą bezpośrednio do Kanonicznej, z naprzeciwka zbliżyło się do mnie dwóch facetów w kapturach. Instynktownie obejrzałem się do tyłu. U wejścia w uliczkę pojawiła się podobna dwójka. Coś mi to cholernie przypominało.

– Słuchaj, koleś – zaczął jeden z naprzeciwka, zachodząc mi drogę – mamy mało czasu. Albo powiesz, co wiesz, albo dostaniesz natychmiastowy wpierdol.

No tak, kurwa, tylko mi tego brakowało, pomyślałem, dostrajając się leksykalnie do koleśków w kapturach. Głośno zaś dodałem:

– Dobra, ale co mam powiedzieć? – Czułem, że z lekka drżą mi łydki.

– Mów, kurwa, co wiesz o tej jebanej batucie, czy chuj wie czym, bo ci ryj rozwałę! – ryknął mój rozmówca przekonywającym barytonem. To musiał być ich szef. Reszta pilnowała

wejść na ulicę.

Byłem zdumiony. I przerażony. Nie wiem, co bardziej, pewnie i jedno, i drugie – co logicznie się wyklucza, ale tu już nie było logiki. Przez kilka dni robię podchody, uniki, nawet policji się nie zwierzam, a tu na ulicy podchodzi do mnie grupka zakapturzonych i mówi, żebym powiedział, co wiem o batucie, tak jakby chodziło o sto złotych. Ja chyba śnię!

Zastanawiałem się jak zareagować, gdy na moim splocie słonecznym wylądował cios o sile spadającego worka z mąką. Zatkąło mnie. Tym sposobem facet nie wyduśi ze mnie ani słowa. Ale rozumiałem, że to ostrzeżenie, a żartów nie będzie. Łapiąc po chwili nieco oddechu, postanowiłem zagrać w ciemno.

– No, co ty, Ryży, chcesz się bić czy rozmawiać?

Okazało się, że mój cios, choć nie fizyczny, był równie celny. Główny napastnik zerknął na mnie i nerwowo rozejrzał się dokoła. W tym momencie sprawy zaczęły się dziać bardzo szybko.

Dwóch ubezpieczających, tych zza moich pleców, znalazło się nagle tuż obok mnie. Za nimi pojawiły się trzy postacie, na pierwszy rzut oka nieszczególnie różniące się od grupy Ryżego. Ale miałem wrażenie, że już je kiedyś widziałem.

– Ty, zobacz, mówiłem ci, że to muzyk.

Jasny gwint, to chłopaki z mojego dawnego kwadratu. Co tu robili? Nieoczekiwani sprzymierzeńcy naparli na grupę Ryżego.

– Zostawcie go w spokoju, to nasz ziomal – wygłosił chłopak w bluzie Nike.

Konfrontacja wisiała na włosku. Ja jednak czułem się zdecydowanie lepiej niż jeszcze przed chwilą. Ryży musiał być wściekły, sytuacja nieoczekiwanie wymknęła mu się spod kontroli. Nie dość, że pojawiły się przeszkody, to jeszcze został rozpoznany. Dał znak, a wtedy obie grupy zwarły się w pojedynku, ale miałem wrażenie, że nie była to prawdziwa walka. W chwili gdy próbowałem się w nią włączyć, jeden z grupy Ryżego mocno pociągnął moją altówkę. Pasek się urwał, a instrument znalazł się w rękach kapturowca. Zanim zdążyłem go dopaść, otworzył futerał, którego zawartość wypadła na bruk. Wystarczył jeden cios buta...

Ryży dał znak swoim, żeby się wycofali.

Pół godziny później siedzieliśmy w jednym ze staromiejskich pubów. Całkowity zbieg okoliczności sprawił, że chłopaki wybrali się tego wieczoru na miasto. Mieli powód, aby coś uczcić. Dla lokalnej radiostacji nagrali swój pierwszy hipopowy kawałek pod nazwą Szczeżuja.

Po którymś z rzędu piwie wyrapowali go nawet specjalnie dla mnie. Nike skandował, a dwóch ziomali robiło tło, wszyscy gestykulowali przy tym szeroko i dynamicznie, a układanymi w wymyślne kompozycje palcami o mało nie powybijali mi oczu.

Początek nie był szczególnie obiecujący – bez uciekania się do misternych rymów, mówił kogo i ewentualnie za co może rzeczona szczeżuja złapać. Z czasem utwór nabierał jednak nieoczekiwanej głębi, by w finale eksplodować bezkompromisową puentą:

– Lecz szczeżuja, chociaż mięczak, przecież życie swe odczuwa, za to większość skórtwardzieli co najwyżej je przeżuwa...

Rehabilitacja szczeżui była pełna, a skórtwardzieliom dostało się za swoje.

Śmiało.

Aha, pisownię „skórtwardzieli” skonsultowałem z twórcami... Albo odwrotnie. Nie jestem pewien, bo działo się to po kilku piwach.

Zacząłem się zastanawiać, kim jestem bardziej: szczeżują czy skórtwardzielem. To był jeden z najtrudniejszych dylematów ostatnich dni. I w ogóle byłoby całkiem sympatycznie, gdyby nie wisielcze okoliczności, z których powodu się tu znalazłem.

Moi starzy znajomi dostrzegli mnie z daleka, a ponieważ tego dnia czuli się bardzo muzykami, postanowili mnie dogonić. W uliczkę wbiegli w momencie, gdy Ryży poczęstował mnie sierpowym w splot. Co było dalej, wiadomo. Nie wtajemniczałem ich w motywy napaści na mnie, bo sam nie mogłem się w tym połapać. Nieprawda, mogłem; powodem – jak ostatnio zawsze, wszędzie i wszystkiego – była batuta.

Faktem jest, że cudem uniknąłem znacznie poważniejszych opresji. Przypomniały mi się słowa ziomala w zielonej bluzie Nike, które rzucił mi swojego czasu na pożegnanie:

– Te, artysta, jakby co, to wiesz, gdzie nas szukać.

Wtedy nie wiedziałem, co to znaczy „jakby co”. Dzisiaj sprawa się wyjaśniła, a drobiazg, że w istocie to oni mnie znaleźli, był bez znaczenia. Może moja podświadomość wysłała im puls?

Zamówiliśmy kolejne piwo. Nie miałem gdzie się spieszyć. Koło mnie leżał rozpaczliwie nienaruszony futerał, ze smętnymi pozostałościami tego, co jeszcze nie tak dawno było altówką.



ROZDZIAŁ XI

PIĄTEK

Elektroniczny pulpityt łągodnie zapulsował. Na ekranie pojawiła się pierwsza strona poematu symfonicznego *Romeo i Julia* Czajkowskiego. Już wiedziałem, nad czym będziemy dziś pracować. Koncertmistrz dokonywał pierwszych poprawek artykulacyjnych. Zmiany natychmiast pojawiały się na naszych ekranach.

Damian Rucacelli z pasją prowadził orkiestrę; nie przypuszczałem, że w trakcie próby zechce wykrzesać z siebie tyle ognia. Słowne uwagi potwierdzał lekkimi pociągnięciami palców po monitorze pulpitu, w postaci muzycznych znaków wprowadzając je na ekrany naszych partii. Próbując przypomnieć sobie, jak zakończyła się historia słynnej batuty, zdekoncentrowałem się na moment. Wystarczyło, aby spóźnić się na jeden z szesnastkowych przebiegów. U dołu pulpitu pojawił mały, ale czytelny napis: „25 PLN zostało ściągniętych z Twojego konta”.

Próba dobiegała końca. Dyrygent opatrzył elektroniczną partyturę podtytułem *Wersja Rucacellego i dopiskiem: nie usuwać*.

Jego poczucie własnej wartości nic a nic się nie zmieniło. Większość dyrygentów po ostatnim koncercie resetowało program z konkretnym utworem, tak że wracał on do Centralnej Elektronicznej Biblioteki Nutowej w postaci niczym nieskażonego oryginału.

Byłem wściekły. Chwila nieuwagi i dwadzieścia pięć złotych poszło z... internetem.

Rozkojarzony, wstałem z krzesła odrobinę za wcześnie. Rucacelli oficjalnie nie zakończył jeszcze próby. Coś jak elektryczny impuls eksplodowało mi w głowie. No tak, trzeba się kontrolować, w tych czasach każdy fałszywy dźwięk lub ruch jest kosztowny...

Mały elektryczny szok miał jednak działanie zbawienne: wyrwał mnie z koszmarnego snu, z przerażającej wizji orkiestry przyszłości.

A zarazem zadbał o właściwy nastrój po otwarciu oczu.

Obudziłem się z poczuciem klęski. Wypełniała mnie i obłaziła. Byłem obolały po wążącym chyba ze sto kilogramów ciosie Ryżego. Głowa pulsowała z niewyspania i od

nadmiaru wypitego piwa. Czułem się jak człowiek, któremu przez pewien czas udawało się iść nad przepaścią po dwóch równoległych kładkach. Nie mogąc zdecydować się na żadną z nich, w końcu potknąłem się i spadłem. Przeżyłem, to fakt, ale owego ranka czułem się prawie tak, jakbym przybywał z zaświatów. A najgorsze było to, że zupełnie zatraciłem kierunek. Oto, czym skończyła się moja zabawa w śledztwo.

Fortepian Chopina. Wiolonczela Konrada. Altówka Bartosza. Ideał sięgnął bruku. Przynajmniej w dobrym towarzystwie.

Tego poranka, który wisiał nade mną ponurym znakiem zapytania, mogłem zdać się jedynie na automatyzm. Doprowadziłem się więc przysznicem do jako takiego stanu i wyszedłem z Estonem w lekko mroźne powietrze świata zewnętrznego. Ostatni dzień listopada zwiastował nieuchronnie nadciągającą zimę. Wraz z paroma haustami świeżego powietrza moja krew zaczęła krążyć nieco żwawiej. Ciągle jeszcze żyłem.

Eston był dość niesforny. I na nim rzeźkość poranka robiła wrażenie, bo nozdrza pracowały jak oszalałe, próbując wchłonąć maksimum zapachów. Jego aktywność nasiliła się, gdy przechodziliśmy koło miejsca wieczornych wydarzeń. Pies znowu zachowywał się jak śledczy, mało tego: przysiągłbym, że kilka razy spojrzął na mnie pytająco. Ale wiedziałem, że to ludzie dorabiają interpretację zachowaniom zwierząt; pewnie tak było i w tym przypadku.

Skierowaliśmy się do parku.

W zasadzie nie krył już żadnych tajemnic. Wydawał się znów miejscem bezpiecznym, zresztą, co to słowo znaczy w dzisiejszych czasach? Jeśli napadają cię pod własnym domem, to znaczy, że miejsc naprawdę bezpiecznych już nie ma.

Pies uwolniony ze smyczy rozpoczął szaleńczą pracę – zabawę w zaroślach. On też miał swoje sprawy, nie mógł żyć bez przerwy moimi problemami. Każdy więc zajął się sobą. Eston co pewien czas wyłaniał się to z jednej, to z drugiej strony. Najwyraźniej mnie pilnował, mogłem więc zastanowić się nad tym i owym. Po pierwsze – natchnął mnie do tego widok jeziora – wróciłem do rozmowy z nadkomisarzem Bielskim. Jeśli mówił prawdę, a zakładałem, że tak było, bo w jego przypadku niemówienie prawdy polegało raczej na przemilczeniach – to nie policja przeszukiwała akwen. Więc kto? Kto mógł przypuszczać, że w wodzie znajduje się coś interesującego? A może to rzeczywiście klub płetwonurków trenował przed, na przykład, wyprawą na Antarktydę? Teoretycznie niewykłuczone. Bielski mówił, że to sprawdzi. Miałem nadzieję, że zechce się podzielić swoją wiedzą.

Rozmyślanie o jeziorze było zaledwie rozgrzewką przed ułożeniem w jakiś sensowny obraz tego, co stało się poprzedniego wieczoru.

Gdybym został po prostu zaczepiony przez grupę bandytów, to nic nie ujmując grozie takiego wydarzenia, byłoby ono bardziej zrozumiałe. Ot, chodzą chłopaki, nudzą się, szukają okazji, żeby komuś przypaprać, żaden czarny, żółty ani tęczyowy nie chce się napatoczyć, no to biorą pierwszego z brzegu i dzielą się wartościami.

Tylko że im chodziło o coś konkretnego. O batutę (epitety pomijam).

Po drugie, w momencie, w którym mnie osaczali, jak żywa stanęła mi przed oczami opowieść Konrada. Działała według identycznego scenariusza, zgadzała się liczba napastników, podobnie jak wiolonczelista i ja miałem przy sobie instrument. Z tym Ryżym to był oczywiście strzał na ślepo, ale jak się okazało – w dziesiątkę. Tylko skąd tu się wziął Konrad? Można by sądzić, że w naszym mieście istotnie zaczęły się polowania na muzyków... gdyby nie to pytanie o batutę.

Ile osób jej szukało? Opis eleganckich facetów, którzy dokonali napadu na antykwariat, nijak się miał do wyglądu Ryżego i jego grupy.

A jak zakończyłoby się moje spotkanie z Ryżym i jego drużyną, gdyby nie Chłopcy z Placu przed Blokiem? Nie żartuję, ich hiphopowy zespół naprawdę tak się nazywał. Zjawili się niczym tajemniczy, dobry duch w baśni, w odpowiednim miejscu, w odpowiednim czasie i z odpowiednią intencją. Jaki czarodziejski flet ich przywołał? Wraz z ulatniającymi się z mojej głowy procentami traciłem wiarę w umiejętność wysyłania „im pulsów”.

Zdecydowanie najgorszą konsekwencją zdarzenia było zniszczenie mojej altówki. Nie miałem innej. W swoim czasie spędziłem pół roku w pewnej włoskiej orkiestrze, ale to temat na odrębną opowieść. Zarobione wówczas pieniądze prawie w całości przeznaczyłem na zakup przyzwoitego instrumentu, francuskiej kopii Guarneriego z początku XX wieku.

Instrument jest dla muzyka czymś więcej niż tylko narzędziem pracy. Może nie aż jego drugą połową, ale powiedzmy, że czymś pomiędzy (zwłaszcza altówka, ha, ha).

Muzycy orkiestrowi nie muszą się martwić: ich instrumenty ubezpiecza pracodawca. Wolni strzelcy zazwyczaj rezygnują z takiego luksusu. Jak było w moim przypadku, nie muszę chyba dodawać. Koszt odrestaurowania instrumentu musiał w całości obciążyć moją kieszeń. Bardziej prawdopodobne było jednak, że nikt nie podejmie się naprawy tak zniszczonej altówki, co oznaczało dla mnie jej utratę i – bardziej prozaicznie mówiąc – również pozbawienie narzędzia pracy.

O udziale w przesłuchaniu mogłem zapomnieć. Nawet jeśli jakimś cudem zdobyłbym zastępczy instrument, to przyzwyczajenie ręki do nowej menzury nie było możliwe w czasie, który pozostał do audycji. Cały mój wysiłek, godziny i dni wyczerpujących ćwiczeń, tygodnie i miesiące pracy, wszystkie moje plany i nadzieje związane ze zbliżającym się konkursem, jednym uderzeniem buta zostały rozbite w drzazgi. Teraz miałem duuuuzo czasu, żeby bawić się w detektywa¹¹.

Ale lutnika postanowiłem mimo wszystko odwiedzić, przynajmniej tyle należało się mojej altówce.

Eston od pewnego czasu trzymał się blisko. Najwyraźniej był gotów do powrotu (i śniadania). Mnie jednak pośpiech opuścił tego ranka. Sądziłem, że na długo. Ale znowu byłem w błędzie.

Gdy tak człapiąc – choć odnosi się to wyłącznie do mnie, bo trucht Estona był zaprzeczeniem człapania – wracaliśmy ze spaceru, przez szybę antykwariatu dojrzał nas Sebastian.

– Oj, Bartek, coś nieszczególnie wyglądasz. Co się stało?

Opowiedziałem mu o moich wieczornych przygodach, choć prawdę mówiąc, nie byłem w nastroju do towarzyskich kontaktów. Pan Sebastian bardzo się zmartwił. Jak każdy wrażliwy człowiek reagował przygnębieniem na przejawy brutalnej agresji, zwłaszcza gdy jej bezmyślne ostrze atakowało ludzi i... stare przedmioty. Chciał mnie wysłać do lekarza i dopytywał, czy może jakoś pomóc. Podziękowałem za troskę.

– Koniecznie do mnie potem wpadnij, bo zdaje się, że będę miał coś ciekawego. Wyobraź sobie, że jeden z moich znajomych, który niedawno wrócił z Włoch, zadzwonił do mnie dziś rano z ciekawą informacją: otóż właśnie we Włoszech wpadł mu w ręce artykuł traktujący – pan Sebastian zrobił uroczystą minę – o temacie naszych wczorajszych rozmów.

– O filharmonii? Wojnie? Kwartecie Gudelsteina?

– Dokładnie nie wiem o czym, bo znajomy widział ten materiał tylko pobieżnie. Był pewien, że bez problemu odnajdzie go w necie, ale nic podobnego. Artykuł pochodził z jakiejś tokańskiej gazety, która nie ma strony internetowej.

Widząc moje zdziwienie, antykwaryusz pospieszył z dalszymi informacjami:

– Mówiłem ci już, że moje dziecko jest we Włoszech, na stażu archeologicznym. Obiecało się zająć poszukiwaniem artykułu. Jeszcze dzisiaj spodziewam się odpowiedzi. Moje dziecko wie, że nie mam zwyczaju zwracania głowy sprawami nieistotnymi, a samo ma charakter dosyć, powiedziałabym, dociekliwy.

Jakieś fajne to dziecko.

Informacja powinna była wywołać szybsze bicie serca, ale dzisiaj wszystko było inaczej.

– Dobrze, panie Sebastianie. Teraz mam coś do załatwienia, ale potem wpadnę. Zobaczmy, kto będzie miał lepsze wieści.

Bez zwłoki postanowiłem udać się do lutnika. W drodze powrotnej miałem spotkać się z Wandą. Świadomość, że ją zobaczę, była jakimś tam estetycznym promieniem czekającego mnie dnia.

Pan Remigiusz Solniczka należał do liczego grona Podhalan, którzy w genach mieli zapisane tajniki sztuki lutniczej. Zналиśmy się nie od dzisiaj, a instrument, którego szczątki miałem ze sobą w futerał, nieraz już znajdował się w jego rękach. Z fachowej porady i ekspertyzy pana Remigiusza korzystałem zresztą, decydując się na jego zakup.

Bez zbędnych słów otworzyłem futerał. Mistrz Solniczka załamał ręce, złapał się za głowę, westchnął dramatycznie i byłem pełen obaw, że gotów się rozplakać. Ja, na szczęście, ten etap miałem już za sobą.

– Panie Bartku, co się dzieje, epidemia jakaś czy co? Trzy dni temu wiołonczeła, teraz altówka. O co tu chodzi?

– Niestety, panie Remigiuszu, obawiam się, że o to samo. Te same buty przejechały się po naszych instrumentach...

Lutnik tymczasem wyjmował już z uwagą fragmenty dolnej i górnej płyty, wiszącą na strunach główkę z podstrunnicą... Oglądał, przyglądał się, wzdychał... W końcu zatroskany powiedział:

– Panie Bartku, to będzie benedyktyńska praca. Pan miał ten instrument ubezpieczony?

Przecząco pokręciłem głową. Mistrz Solniczka zafrasował się jeszcze bardziej.

– Ludzie, musicie ubezpieczać instrumenty, inaczej albo wy, albo my umrzemy z głodu.

Wiedziałem, co chciał przez to powiedzieć. Jeśli podałyby mi szacunkową cenę naprawy, a właściwie odtworzenia altówki, prawdopodobnie musiałbym spakować jej resztki i wyjść. Ale lutnicy znają pojęcie etyki zawodowej, dlatego pan Remigiusz powiedział tylko:

– Niech ją pan u mnie zostawi. Przyjrę się dokładniej, ale to musi potrwać, a teraz właśnie kończę coś na konkurs.

Remigiusz Solniczka nie tylko leczył stare instrumenty, tworzył również nowe, i to na tyle udanie, że mógł się mienić laureatem kilku międzynarodowych konkursów. Widziałem, że

nad czymś się jeszcze zastanawia.

– Panie Bartku, czy ma pan w tej chwili na czym grać?

Ponownie zaprzeczyłem. Było mi trochę wstyd.

Jan bez Ziemi. Bartosz bez Altówki.

Tak przedstawiały się skromne fakty.

W lutniku dojrzewała jakaś decyzja.

– Dobrze, w takim razie zróbmy tak: niech pan weźmie ten instrument. – Wskazał leżącą na stole i połyskującą świeżym lakierem altówkę. – Właściwie jest skończony, zostało tylko trochę kosmetyki. W zamian powie mi pan, co można by poprawić od strony dźwiękowej.

Spojrzałem na mistrza z niedowierzaniem.

– Nie boi się pan powierzyć jej właśnie mnie?

– Wszystkie moje instrumenty są ubezpieczone. Tym niech pan się nie martwi.

Czy istnieje na tym świecie równowaga dobra i zła? Czy ktoś dba o to, abyśmy nie tracili wiary i nie załamywali się w sytuacjach jakby do tego stworzonych?

– Panie Remigiuszu, ogromnie dziękuję, nie wiem, co powiedzieć...

– Niech pan nic nie mówi, tylko coś zagra.

– Teraz? – zdziwiłem się.

– Nie, teraz może nie, niech pan ochłonie, weźmie instrument do domu, zapozna się z nim. Będę ciekaw pańskiej opinii. Ale, ale, niech pan jeszcze spojrzysz tutaj...

Pokazał mi wiolonczelę Konrada w nowym wcieleniu! Co prawda ciągle jeszcze w częściach, ale już oczyszczonych, mniej poranionych, jakby dobry duch położył na nich skrzydło.

Ucieszyłem się. Będę miał dla wiolonczelisty dobrą wiadomość. Z lekka odurzony zapachami lakierów i rozpuszczalników pożegnałem się z mistrzem.

Z Wandą byłem umówiony w kawiarni hotelu Luxor. Niby duże miasto, a jak przychodzi co do czego, to wybór ogranicza się do kilku sprawdzonych miejsc. Zwłaszcza w zimie.

Rozmowny barman nie bez zdumienia obserwował, jak siadaliśmy z Wandą przy stoliku. Tym samym, przy którym flirtowała z Rucacellim. Ale to ona go wybrała, a takiej kobiecie się nie odmawia. Wyglądała olśniewająco. Jej oczy, tak ciemne, że całe wydawały się źrenicami, patrzyły na mnie inaczej niż dotychczas. Z większą uwagą, większym zainteresowaniem. Nie wiedziałem, czemu to zawdzięczać. Z głośników wolno sączyła się jazzowa ballada.

– Czy wszystko u ciebie w porządku? Wyglądasz jakoś tak... interesująco.

Dobre sobie, czy naprawdę trzeba zostać pobitym, żeby wyglądać interesująco?

– Nie, nic u mnie nie jest w porządku. Wszystko się sypie. Nie żebym narzekał, ale pytasz, więc odpowiadam.

Dziewczyna patrzyła na mnie nie tak, jak powinna. Przecież to nie była randka, w sumie nawet nie wiem, co to było. Po co myśmy się spotykali?

– Bartku, posłuchaj, dawno już chciałam cię o to zapytać: czy ty masz dziewczynę?

A to już zupełnie bez sensu. Nie miałem najmniejszego zamiaru opowiadać jej o moich mniej lub bardziej nieudanych związkach. Jej, która ma narzeczonego, która tylko co, przy tym samym stoliku, uwodziła swoimi sarnimi oczyma starego kozła Rucacellego.

– Nie, nie mam, ale jeśli pozwolisz, ja też cię o coś spytam: czy wiesz, że wczoraj napadła mnie ta sama grupa, która trzy dni wcześniej pobiła Konrada i zniszczyła mu wiolonczelę? Gdyby nie to, nie grałabyś tej chałtury.

Już mi było głupio, że to mówię, ale brnąłem dalej:

– A może znasz kolesia, który nazywa się Ryży? Bo on w tym wszystkim maczał swoje brudne buciory...

Wanda robiła wrażenie totalnie zaskoczonej.

– Słuchaj, ja nie wiedziałam, że wiolonczelista wypadł z nagrania, bo go pobito, naprawdę strasznie mi przykro. O tobie też nie wiedziałam, skąd mogłam wiedzieć?... A żadnego Ryżego nie znam, nie wiem, skąd ci to w ogóle przyszło do głowy.

Teraz było mi już całkiem głupio. Dziewczyna mogła mieć takie czy inne wady – o zaletach, czytaj: cielesnych przymiotach, już wspominałem – ale po co wplątywałem ją w gry uliczne dużych chłopców?

– Nie mówiłbym o tym, ale te bandziory pytały mnie o batutę. Uwierzysz? Bo ja do tej chwili nie mogę.

Tym razem dziewczyna zareagowała gwałtowniej.

– Batuta, batuta, ciągle tylko jakaś pieprzona batuta. Proszę, powiedz mi w końcu, co o niej wiesz. Dlaczego oddałeś ją policji? Dlaczego nie mówiłeś, że była w twoich rękach? Miejmy to za sobą, a może w końcu – zawałała się – może w końcu uda nam się zająć sobą...

Coś mi tu nie grało.

– Wanda, muszę cię rozczarować. Nie namaluję ci barszczem kota, bo nie mam barszczu. Nie wyrecytuję ci wiersza, bo i tak go skasujesz. A o batucie nie powiem ci więcej niż Rucacelli, bo to on jest dyrygentem. Na wszystkie pozostałe pytania może odpowiedzieć Jędrus, przepraszam, pan poseł Jędrzej Jędrzejczyński.

– No tak, tak właśnie myślałam. Trochę szczeniackie to, co mówisz.

– Rzeczywiście, maestro Rucacelli mógłby być moim wujem. Jędrzeja zresztą też.

Argument był merytorycznie słaby, ale i Wanda mnie nie oszczędzała. W jej oczach pojawiły się łzy.

– No jasne, chłopczyk się obraził. Wiesz co, Bartosz? Idź już sobie. Tylko nie zdziw się, jak... – tu przerwała, jakby zaskoczyły ją własne słowa. Udałem, że ich dwuznaczny sens do mnie nie dotarł.

– Może mi nie uwierzysz, ale miło było cię widzieć. Pozwolisz, że zapłacę. I rzeczywiście pójdę już, pies na mnie czeka.

Rzuciłem barmanowi ostatnią dwudziestkę z portfela – miałem nadzieję, że wystarczy za dwa espresso. Uraczył mnie spojrzeniem pełnym zrozumienia. Ot, ekspert od ludzkich dusz.

Z ulgą zanurzyłem się w czystą mroźność popołudnia.

Nie mogłem zrozumieć zachowania Wandy. Pod nieobecność narzeczonego flirtuje z dyrygentem. Nie wiem, do jakiego momentu dochodzą, bo jakoś trudno mi uwierzyć, by skończyło się na... barszczu i twórczości poetyckiej. Dopiero teraz przyszło mi do głowy, że dyrygent mógł odwiedzić dziewczynę na Morelowej. Ją i jej koty, gdy pan Zbyszek przebywał w szpitalu. Przecież fakt, że po spotkaniu w barze odprowadził ją do taksówki, niczego nie przesądzał; nie była to jedyna taksówka w mieście. Wręcz przeciwnie, kontynuowanie randki

w hotelu mogło stać się dla obojga wysoce krępujące. Wanda mogła mówić prawdę i kłamać jednocześnie (kobiety pragmatyzm): wróciła do domu sama, ale potem ktoś ją odwiedził...

Tak, to nieco rozświetlałoby nieostry obraz ich wzajemnej relacji, zespolonej kocim elementem. No dobrze, ale co dalej? Pojawia się Jędrzej, na szczęście dyrygent poprzedniego wieczoru – jakby to ująć – wypada z gry. Nieporozumienie z narzeczonym nie trwa długo, choć – wnosząc z tego, co widziałem – jest burzliwe. Wkraczam na scenę przypadkiem, stając się dla niej kimś w rodzaju powiernika. Tak się jakoś składa, że widzujemy się od tej pory niemal codziennie.

W próbach rozwikłania zagadki Rucacellego natykam się na tropy podsuwane mi przez Wandę. Dziewczyna oczekuje ode mnie ich interpretacji. Nagle poraziła mnie dziwna myśl. Nie licząc Sebastiana, wiolonczelista była jedyną osobą, której wspomniałem, że dyrygent wrzucił coś do wody. Ktoś przeszukiwał później jezioro. Czy te dwa fakty mogły się ze sobą łączyć?

Wanda musiała dostrzegać czy też przynajmniej wyczuwać jakieś drugie dno w zachowaniu Rucacellego, przecież sama mi o tym mówiła. Prawdopodobnie nie wiedziała jednak wystarczająco dużo, bo przed finałem dyrygent zszedł – a właściwie zniesiono go – ze sceny. Za to pojawiłem się ja, najwyraźniej podążający jakimś paralelnym tropem. Może więc chciała, abyśmy podjęli współpracę w wyjaśnieniu niewiadomego? Może, uderzając w nieco bardziej czułe tony, próbowała mnie do tego zachęcić?

Postanowiłem później zadzwonić do niej i spróbować jeszcze raz.

Zastanawiałem się też nad telefonem do Bielskiego. Etap żartów miałem już za sobą. Atmosfera gęstniała. „Trup” zaczął padać gęsto, choć słowo „trup” ciągle miało charakter symboliczny. Ale jak długo jeszcze?

Taktyka mylenia śladów przyniosła efekt. Ryży, Wanda, a może i całe miasto wiedziało, że sejfem z ulicy Kanonicznej zaopiekowała się policja. Tylko dlaczego wszyscy wiedzieli, co się w nim znajdowało?

Zasiłem konto swojego telefonu. Połączony niewidzialną nitką ze światem poczułem się pewniej. Nadkomisarz odebrał natychmiast i zaprosił mnie na komendę.

Opowiedziałem Bielskiemu, co wydarzyło się wczoraj w pobliżu Kanonicznej. Opisałem – na ile byłem w stanie – napastników. Wspomniałem, że ich przywódca prawdopodobnie nazywa się Ryży i że być może ta sama grupa trzy dni wcześniej pobiła Konrada. Powiedziałem też, jaki los spotkał nasze instrumenty i – niejako przy okazji – że Ryży dopytywał się o batutę.

Bielski przyglądał mi się z zainteresowaniem.

– A co pan właściwie o niej wie? – zapytał.

Nie pozostało mi nic innego, jak trzymać się roli.

– Sądziłem, że to pan uchyli przede mną rąbka tajemnicy. Co wykazały ekspertyzy?

– Właśnie o to chodzi. Nic takiego, co wskazywałoby na jej nadzwyczajność. Nie znamy klucza do sprawy.

Omali nie zareagowałem na słowo: „klucz”. Czy Bielski użył go celowo?

– Jedno jest pewne, panie Czarnoleski: w coś żeś się pan wplątał. Ale jak pan sam nie wie w co, to jak możemy panu pomóc?

Logiczne. Przekaz był następujący: jak będziesz ukrywał fakty albo kręcił, to nie ręczymy za twoje bezpieczeństwo.

– Poza tym, czy wie pan, ilu jest w naszym mieście młodych ludzi odpowiadających pańskiemu opisowi? A jak jeszcze założą kaptury, to wszyscy wyglądają tak samo. Zakon kapturowców, psia ich mać. – Miał szczęście, że Eston go nie słyszał. – Zdaje pan sobie również sprawę, że Ryży to nie imię ani nazwisko? A może ci pańscy Chłopczy z Placu przed Blokiem ich znają?

Zaprzeczyłem.

– No dobrze – Bielski wstał – zaprotokołujemy pańskie zeznania i zobaczymy, co się da zrobić. Niech pan uważa na siebie. – Zamilkł, lecz po chwili dodał:

– A pies?

– Co, pies?

– Przecież to duży pies. Niech panu zawsze towarzyszy. To najlepszy goryl.

– Panie nadkomisarzu, to pies, a nie goryl.

– A czy pan myśli, że goryl nie ma swojego rozumu?

Nadkomisarz wstał, a żegnając się, spytał jeszcze:

– Panie Bartoszu, czy pan ma jakieś hobby?

– Jeśli ma pan na myśli zajęcie, za które mi nie płacą, a jednak dostarcza mi przyjemności, to owszem, jest coś takiego...

Policjant patrzył na mnie jak pająk, któremu w końcu udało się wciągnąć ofiarę w sieć.

– Lubię rozwiązywać zadania szachowe – zmyśliłem na poczekaniu.

Sieć pękła, choć pająk się trzymał. Ale i ja nie zamierzałem odpuszczać.

– A czy sprawdził już pan ten klub płetwonurków?

Nienaturalny grymas ostatecznie znikł z twarzy Bielskiego.

– Czy pan zawsze taki dociekliwy? – burknął. – Nie, to nie żaden klub płetwonurków.

Ktoś się bawił na własną rękę.

– I nie wie pan kto? – dobiłem go.

– Nie, nie wiem.

Faktycznie, jego wiedza nie była porażająca.

Siedziałem na swoim przytulnym poddaszu. Najchętniej zostałem tutaj przez kilka następnych dni. Czuję się zbity z tropu. I to nie batutowego, bo ten każdego dnia wzbogacał się o nowe elementy. Chodziło o audycję.

Ostatnia faza przygotowań zbiegła się z dziwnymi, a niepokojącymi wydarzeniami. No dobrze, sam pozwoliłem się w nie uwikłać, jeśli to jakaś różnica. Ale przesłuchanie było celem, do którego dążyłem zdeterminowany jak nigdy dotąd.

Jeszcze przez niecałe dwa lata pierwszą cyfrą mojego wieku miała być dwójka. Tymczasem moje życie było dalekie od ustabilizowania. Zaznałem uroków bycia wolnym, niezależnym i samowystarczalnym. Przyszła pora coś zmienić.

Uwielbiałem swoje poddasze. Ale po pierwsze, jakie ono moje? Jakie miałem szanse, żeby kiedyś kupić własne mieszkanie, nie mając stałej pracy? Jaki bank zechciałby udzielić mi kredytu? W wyobraźni błyskały mi czasem migawki z przyszłości. Niewielki domek pod miastem, z lasem i łąką w pobliżu, Eston buszujący po ogrodzie i... Inne postacie tej wizji nie były konkretne, ale czy fakt, że tam się znajdowały, nie świadczył, że tym razem naprawdę dorosłem?

W kierunku tej przyszłości właśnie miałem wykonać duży krok. Bez gwarancji sukcesu, zgoda. Ale kto komu daje takie gwarancje na wyrost?

I kiedy już, mówiąc symbolicznie, szykowałem się do zagrania końcowego akordu, ktoś, i to już całkiem niesymbolicznie, wyrwał mi z rąk narzędzie pracy. Dlatego byłem odrętwiały, zniechęcony i przybity. To wspaniale, że mistrz Remigiusz Solniczka zdobył się na szczodry gest. Przynajmniej mogłem utrzymać zawodowe status quo. Ale jakoś nie potrafiłem się z tego cieszyć.

Wyjąłem z futerału nowiuteńką altówkę. Była niewątpliwym dowodem kunsztu mistrza Solniczki. Dając się ponieść normalnej muzycznej ciekawości, postanowiłem sprawdzić jej walory brzmieniowe.

„Wczoraj pierwszy raz założyłem struny, zwykle dominanty. Będą się na razie rozstrajać, ale niech pan spróbuje, co panu szkodzi?” – pożegnał mnie mistrz Remigiusz.

Pewnie, co mi szkodziło...¹²

Zacząłem grać.

Po dłuższej chwili ze zdziwieniem odłożyłem instrument. Znowu coś mi się nie zgadzało. Ale tym razem byłem zaskoczony pozytywnie. Nie spieszyłem się z wyciąganiem wniosków. Nie chciałem przeproszyć nadziei, która już pogrzebana znów odrodziła się we mnie.

Bo jak wytłumaczyć fakt, że grało mi się dobrze? Grało mi się jak na własnym instrumencie, tylko brzmienie było inne, bardziej jaskrawe.

Wykręciłem numer pracowni lutniczej.

– Pan Remigiusz? Dobry wieczór, ja nic nie rozumiem. Jak to jest możliwe?

Lutnik musiał spodziewać się telefonu.

– Odpowiedź jest prosta: zarówno pana „Francuz”, jak i mój instrument są zrobione według tego samego modelu Guarneriego. Identyczne wymiary, bliźniacza menzura. Tylko efekt dźwiękowy zawsze się różni. I to jest cała tajemnica tego zawodu: niby wszystko zrobisz tak samo, a i tak będzie inaczej...

Ale nie słuchałem już zawodowych wynurzeń mistrza Solniczki.

To była dobra wiadomość. Dowodziła, że nie uległem chwilowej iluzji i że kolejne kontakty z instrumentem mnie nie rozczarują. Mogłem znów realnie myśleć o czymś, co jeszcze parę chwil wcześniej wydawało się zaprzepaszczone¹³.



ROZDZIAŁ XII

PIĄTEK PÓŹNIEJ

Ciekaw byłem, czy pan Zenon pamięta naszą wczorajszą rozmowę i mój widok go nie zaskoczy. Tym bardziej że uznając racje Bielskiego, postanowiłem zabrać ze sobą Estona. Pies robił wrażenie zachwyconego pomysłem. Zajrzeliśmy na chwilę do antykwariatu. Maila z Włoch jeszcze nie było, ale pan Sebastian był dość podekscytowany.

– Moje dziecko, nie mogąc nigdzie odnaleźć artykułu, zaczęło dzwonić po redakcjach tokańskich gazet. I udało się – siódmy z rzędu telefon okazał się trafiony, tyle tylko że redakcja nie zgodziła się na wysłanie tekstu. Można go przeczytać wyłącznie na miejscu. Dziecko podjęło więc szybką decyzję: spędzi weekend w Toskanii, przy okazji odwiedzając siedzibę dziennika.

– Raczej odwrotnie – powiedziałem z uśmiechem. Coraz bardziej mnie to dziecko fascynowało. Chętnie bym je poznał.

– Tak, ale to na jedno wychodzi. A dziecko jest dociekliwe, mówiłem ci. – Antykwariusz odwzajemnił uśmiech. – Myślę, że najpóźniej jutro rano artykuł powinien być w naszych rękach.

– A nie boi się pan, że tekstu nie można skopiować?

– Jestem pewien, że nie można, ale dziecko sobie poradzi...

Piekierne dziecko, może jednak lepiej go nie poznawać? Aż ciarki przeszły mi po plecach. Zwłaszcza że jego powrót musiałby oznaczać koniec dolce vita na błogim poddaszu.

– Panie Sebastianie, czy nie znajdzie pan w swoich zbiorach jakiś materiałów o filharmonii? Młode, stare, wszystko jedno, najchętniej ze zdjęciami.

– Hm, może by się i coś znalazło, ale spójrz: tu jest parę tysięcy książek i tylko część skatalogowana. Popróbuję, ale nie wcześniej niż na jutro.

W drodze do filharmonii odwiedziliśmy delikatesy. Nie chciałem pojawiać się przed obliczem cerbera bez haraczu. Kupiłem płaską buteleczkę stocka i czekoladę.

Pan Zenon nie tylko się nie zdziwił, ale wręcz ucieszył na nasz widok. Eston na powitanie dostojnie poruszył puszystym ogonem.

– Niech go pan puści. Tu nikogo nie ma o tej porze, może sobie spokojnie pobiegać.

Nie po raz pierwszy przekonywałem się, że ludzie dzielimy na dwa gatunki: tych, którzy lubią psy, i tych, którzy ich nie lubią (rzecz jasna, nie chodzi mi tu o azjatycki podział kulinarny). Pan Zenon należał do tych pierwszych.

Eston od razu wziął się do rączych przebieżek po obszernym hallu filharmonicznym. Pocięsznie ślizgał się na wypolerowanych marmurach posadzki, ale najwyraźniej sprawiał mu to frajdę.

– To ja nastawię wodę na herbatkę.

W niemym geście wyciągnąłem z kieszeni płaską buteleczkę. Oczy pana Zenona zaświeciły się. Rozumieliśmy się bez słów.

Herbata z kroplą brandy miała terapeutyczne działanie. W dyżurce filharmonii było nam jak u Pana Boga za piecem. Eston, zmęczony buszowaniem po śliskich korytarzach leżał teraz w pobliżu wejścia położywszy głowę na łapach. Widziałem, że chce mu się spać, jednak instynkt nie pozwalał na to w nowym, nieznanym miejscu. Pora jednak przyznać się, że moja wizyta nie miała wyłącznie towarzyskiego celu. Przyjąłem, a nawet wyszedłem naprzeciw zaproszeniu portiera, gdyż tym samym zyskiwałem niepowtarzalną okazję znalezienia się w pomieszczeniu, które od kilku dni nie dawało mi spokoju.

Miejszem tym był gabinet dyrygencki, zaś elementem, któremu chciałem się przyjrzeć z bliska i niespiesznie – jego niezwykły sufit. Przelotny rzut oka – na tyle tylko mogłem sobie pozwolić poprzednim razem – przekonał mnie, że mam do czynienia z intrygującym dziełem sztuki. Czy i w jaki sposób był związany z zagadką batuty? Zalecałem sobie wstrzeźliwość w snuciu domniemań. Jednak samo miejsce było na tyle intrygujące, że przyciągało mnie z magnetyczną niemalże siłą. Kiedy jeszcze mogłem liczyć na jego spokojne obejrzenie?

Tymczasem sytuacja dojrzewiała niczym tropikalny owoc. Kiedy uznałem, że już pora go zerwać – portier robił wrażenie, jak gdyby pragnął uciąć sobie krótką drzemkę – zapytałem:

– Panie Zenonie, czy wiadomo panu coś więcej na temat pokoju dyrygenckiego, a zwłaszcza tego niezwykłego sufitu?

– Wszyscy dyrygenci się nim zachwycają. Wiem tylko, że jak był remont po wojnie, to komisja z ministerstwa zabroniła go w ogóle ruszać.

– Czyli jest zachowany w oryginalnej formie?

– Tego do końca nie wiem, ale że sprzed wojny, to na pewno. Mój poprzednik, już nieżyjący, mówił, że przed wojną też był jakiś remont... – Pan Zenon pomyślał chwilę, po czym rzekł: – Panie Bartku, ja się stąd za bardzo nie mogę ruszyć, ale możemy zrobić tak: pan mi należy jeszcze parę kropel, a ja dam panu klucz i sam pan sobie wszystko spokojnie obejrzy. Ten wielki zwierz może zostać ze mną, będzie mi raźniej. Trochę się dzisiaj panoszymy, ale rzadko się zdarza, żeby ktoś mnie tu w nocy odwiedzał.

Chciał jeszcze coś dodać, ale go wyręczyłem:

– Niech pan będzie spokojny – pójdę, obejrzę i zaraz wrócę. Niczego nie będę dotykał. A rzeczywiście mi na tym zależy.

– No, to niech pan idzie. – Wręczył mi klucz. – Trafi pan z tymi bocznymi światłkami?

– Trafie, proszę nic więcej nie zapalać.

– W pokoju włącznik światła jest zaraz za drzwiami, po prawej stronie.

Powiedziałem Estonowi: zostań! Nie protestował, odprowadził mnie tylko spojrzeniem.

Pierwszy raz podążałem tą drogą w ciszy, samotności i półmroku. Wędrowka miała smak zakazanego owocu, choć nie robiłem nic złego, nie narażałem nikogo, a moje zamiary nie były złowieszcze, stąpałem ostrożnie, jakby w obawie, że zostaną przyłapani. Rzeczywiście było ciemnawo, ale cieszyłem się, że portier nie włączył górnego oświetlenia. Tajemniczy *entourage* został zachowany. Przechodząc koło jednego z wejść do sali koncertowej na pierwszym piętrze, nie mogłem oprzeć się pokusie, aby choć na chwilę do niej nie zajrzeć.

Ukazała mi się w jeszcze innej perspektywie. W szczytkowym oświetleniu wyglądała zagadkowo i dostojnie. Przystanąłem na chwilę, bo w mojej głowie zabrzniały nagle motywy otwierający *V symfonię* Beethovena¹⁴.

Ruszyłem ku następnemu piętru, by po chwili stanąć przed drzwiami, które znamienita piątka dyrygentów nie tak dawno otwierała własnoręcznie. Bez trudu przekreśliłem klucz i odnalazłem włącznik światła. Pomieszczenie zalała ciepła jasność – blask bijący z bocznych lamp nie oślepiał, ale po niedostatku światła na korytarzu koił oczy.

W pokoju nic się nie zmieniło. *Filharmonia* Siemielnianego robiła wrażenie, jakby prześwieśla ją blask sierpniowego popołudnia. Ale nie dla kontemplacji obrazu tu przyszedłem. Pragnąłem odnaleźć system, według którego kompozytorzy zostali rozmieszczeni na suficie. Przebiegając wzrokiem kręgi nad głową, upewniłem się, że ich układ i kolejność nie są dziełem przypadku. Punkt centralny musiał być zwieńczeniem. Zgodnie z wymogami logiki, w którymś z rogów powinien znajdować się początek.

Dwie z narożnych podobizn były anonimowe. Wędrowkę przez wieki postanowiłem zaccząć od mnicha, twórcy chorału gregoriańskiego¹⁵.

Numerem dwa był rycerz bez zbroi. Średniowieczny trubadur¹⁶.

Począwszy od trzeciego narożnika wizerunki były podpisane.

Jacob Obrecht. Przedstawiciel tak zwanych szkół niderlandzkich, stanowiących przeciwwagę dla dominującej we wczesnym renesansie muzyki włoskiej.

Czwarty róg szachownicy zajmował Giovanni Pierluigi da Palestrina, jeden z najwybitniejszych przedstawicieli wczesnego renesansu, rodem z Italii.

Pierwszy krąg miałem za sobą.

Drugi rozpoczął Claudio Monteverdi. Słynny madrygalista i twórca oper. Uważał – jak romantycy kilka wieków później – że muzyka jest wyrazicielką ludzkich uczuć.

Jean-Baptiste Lully – nadworny kompozytor Ludwika XIV, współpracownik Moliera, jak mało kto przyczynił się do rozwoju opery i baletu.

Następnym był Georg Friedrich Haendel, angielski Niemiec, jeden z tych, bez których historii muzyki nie sposób sobie wyobrazić.

Po nim Jan Sebastian Bach – wszelkie słowa zbędne; gdyby ode mnie zależało, ukoronowałbym jego wizerunek.

Kolejny krąg nazwałbym klasyczno-romantycznym. Rozpoczął go Joseph Haydn, po nim figlarnie spoglądał z sufitu Wolfgang Amadeusz Mozart. Następny był Ludwig van

Beethoven – i klasyk, i romantyk w jednej osobie – i czwarty w tym kręgu, romantyk najczystszej wody, Edward Grieg.

Kompozytorski areopag był impulsem do wycieczek w otchłań muzycznej historii. A jednak w pewnym momencie coś mnie rozproszyło. Coś jak muśnięcie niepokoju przeleciało nad moją głową. Wrażenie to było na tyle mocne, że oderwałem wzrok od sufitu i rozejrzałem się bacznie dokoła. Lecz nie dostrzegłem nic, co usprawiedliwiłoby wzmożoną czujność.

Krąg wewnętrzny, czwarty i ostatni zarazem, mogłem oglądać, nie ruszając się z miejsca.

Rozpoczął go Johannes Brahms. Sąsiadował z nim jego największy muzyczny oponent Richard Wagner. Estetycznie znajdowali się na dwóch przeciwnych biegunach, pierwszy ze swoją ideą muzyki absolutnej, drugi – dramatu muzycznego. Ale artystycznie obaj wzniesli się równie wysoko.

Dwa ostatnie miejsca przypadły w udziale kompozytorom dwudziestowiecznym. Byli to: Bela Bartók i Igor Strawiński.

I tak kończyła się podróż przez wieki europejskiej muzyki. Odczuwałem niedosyt. Zbyt wielu uwielbianych przeze mnie kompozytorów tu zabrakło. Czym kierowali się twórcy, umieszczając na suficie wybrane wizerunki? Niektóre z nich nie podlegały dyskusji; obecność takich postaci, jak: Bach, Mozart, Beethoven czy Brahms, wydawała się oczywista. Co do innych – nie kwestionowałem ich miejsca w panteonie, ale jeszcze więcej było tych, którzy w równym stopniu na nie zasłużyli. Długa byłaby lista wielkich nieobecnych.

No dobrze, pomyślałem, to nie ja jestem projektantem sufitu. Twórca miał prawo do ujęcia tematu w myśl własnej idei. A ta zaczęła w końcu do mnie docierać.

To nie był żaden ranking kompozytorów, tylko subiektywna, ujęta w możliwie szeroki kontekst historyczny i geograficzny wizja rozwoju muzyki europejskiej. Oczywiście, brakowało bliskiego sercu akcentu. Nie tylko Chopin, ale i Szymanowski mogli znaleźć się w doborowym towarzystwie. Na pocieszenie pozostawało stojące w rogu popiersie innego, wielce utalentowanego kompozytora. Mieczysław Karłowicz żył krótko jak Mozart, a pozostawił po sobie poematy symfoniczne, których piękna świat nie poznał jeszcze należycie. Jemu zawdzięczała filharmonia swoje imię, nie dziwiło mnie więc, że uhonorowano go w szczególnie sposób.

Z zamyślenia wyrwało mnie dochodzące z dołu szczekanie Estona. Ten pies nie hałasował bez powodu. Z lekkim niepokojem zgasiłem światło i zamknąłem komnatę dyrygentów, a wraz z nią wieki muzycznej historii. Pospiesznie zbiegłem po schodach. Eston stał przy drzwiach wejściowych i wyszczekiwał grubym głosem. Pan Zenon podszedł do mnie z nietęgą miną, mówiąc:

– Dobrze, że pan już jest. Zdarzyło się coś dziwnego. Normalnie o tej porze nikt nie dobija się do drzwi. A dzisiaj ktoś przyszedł...

– I co pan zrobił, otworzył pan?

– Nie, nie otworzyłem. Przestraszyłem się, że to ktoś z kontroli jakiej czy co. Panie, jak on by wyczuł, że piłem alkohol, to już po mnie...

– Ale, z jakiej kontroli, czy to się już kiedyś zdarzało? – Portier sam mówił, że po nocy nikt tu nie przychodzi, czemu i trudno było się dziwić.

– Zdarzać się nie zdarzało, ale wie pan, jak to jest: całe życie po bożemu, a raz zrobisz coś nie tak i właśnie wtedy cię sprawdzą...

Teoria była mi znana, kilkakrotnie doświadczyłem jej w praktyce.

– Jeśli pan nie otworzył, to może być jeszcze gorzej...

– Ee, chyba nie, ten człowiek się nie upierał, zwłaszcza jak zobaczył psa, to szybko odszedł. I... – portier zawałał się.

– Tak, co wtedy?

– Nie, nic takiego. Miałem przez moment wrażenie, jakbym tego gościa już widział, ale wie pan, tu się tyle ludzi przewija...

– Jednak niech pan sobie przypomni, kiedy i gdzie mógł pan go widzieć?

– Czy to takie ważne?

– Nie wiem, ale może się tak okazać.

– Gdzie? – Portier kontynuował proces głośnego myślenia. – Na pewno tutaj. A kiedy? Niedawno. Wie pan, tak sobie myślę, czy to nie był jeden z tej wytwórni płytowej...

– Z wytwórni płytowej? – Czułem, jak mi serce przyspiesza. – Ten od Rucacellego?

– No, głowy nie dam, ale to mógł być on.

Eston uciszył się, ale nie stracił czujności. W pewnym momencie znieruchomiał i zaczął nasłuchiwać. Nagle ruszył z miejsca, lekko i cicho. Widziałem, że postępuje tak, gdy nie chce spłoszyć wytropionej zwierzyny. Unosząc wysoko łapy, zaczął wspinać się po schodach.

Ruszyłem za nim, dając znak portierowi, żeby został i pilnował wejścia. Pies przyspieszał. Pierwsze piętro go nie interesowało. Wspinał się wyżej, a ja już chyba wiedziałem dokąd. Na szczęście czy na nieszczęście nie oddałem jeszcze portierowi kluczy. Eston dobiegł do drzwi pokoju dyrygenckiego i rzucił się na nie z głośnym jazgotem. Przepadł element zaskoczenia, zresztą nie wiem, czy coś by mi dał. Ale miałem klucze, a obok mnie szalał rozjuszony Eston. Potężny sprzymierzeniec. Przekręciłem zamek i mocno pchnąłem drzwi. Nawet nie drgnęły. Spróbowałem jeszcze raz – z podobnym rezultatem. W końcu naparłem z całej siły – i to też nic nie zmieniło. Wejście było zablokowane od wewnątrz. Czymś ciężkim. Domyślałem się czym. Fortepianem.

W pojedynkę nie miałem szans. Jak strzała pobiegłem na dół, wołając na pomoc portiera.

Przybiegł parę sekund po mnie. Wspólnymi siłami, kawałek po kawałku zaczęliśmy powiększać szczelinę. Po chwili była już na tyle duża, że można w nią było włożyć nogę. Przed decydującym natarciem zamarliśmy na chwilę. Eston szykował się do skoku. Po drugiej stronie też zapadła cisza. Intruz się przyczaił albo zdążył uciec.

Pierwszy wpadł do pokoju pies, ja tuż za nim, a na końcu pan Zenon. Ale było za późno.

Wybity środek rozetowego okna wyraźnie wskazywał, którądy sprawca się dostał i którądy uciekł.

Wyjrzałem na zewnątrz. Szeroki gzyms niemalże zachęcał do spacerów. Dla średnio wysportowanego człowieka cała akcja nie musiała być szczególnie trudna. Po włamywaczu nie było śladu. Nawet przez myśl mi nie przeszło, aby go ściągać po dachach. Byłoby to zupełnie bezcelowe. Pies miał ochotę wyjść, ale go powstrzymałem. Nie upierał się. Błądy jak ściana portier patrzył na ścianę równie pobladał, jakby chciał sam siebie przekonać, że ulega jedynie

złudzeniu. Spojrzałem i ja. I pewnie też zbladłem. Tam gdzie jeszcze parę minut temu wisiała przepiękna *Filharmonia* Siemielnianego, teraz ział prostokąt pustej ściany: jaśniejszy kolor nadal wyznaczał kontury skradzionego obrazu. Porzucona rama leżała na podłodze. Nocny gość bez większych ceregieli wyciął z niej płótno. Ale to nie wszystko. Zniknęło również popiersie Karłowicza.

O drogocенności obrazu Siemielnianego byłem przekonany. Ile warta była wykonana w drewnie podobizna Karłowicza – nie miałem pojęcia. Ja nie wiedziałem, ale był ktoś, kto wiedział...

Poczułem się jak po ciosie Ryżego, tylko celniejszym i mocniejszym. Nokaut.

Refleksja, na którą było mnie stać, świadczyć mogła jedynie o szoku pourazowym. Mimo to ją przytoczę:

Gwałtownie spadła zawartość *Filharmonii* w filharmonii.

Druga, już zupełnie beznadziejna, brzmiała: Mieczysław Karłowicz znów się wspina¹⁷.

No to mieliśmy niezły pasztet. Pasztet, delikatne słowo. Delikatne i nieadekwatne. Mieliśmy aferę, grubą aferę, w dodatku siedzieliśmy w niej po same uszy. Los wyczerpał swój limit tolerancji. Wiedziałem, że z tego się już nie wygrzebię. To samo dotyczyło portiera. Będę miał swój udział w tym, że – w najlepszym razie – wyrzucą go z pracy.

Lustrowałem miejsce porażki, doszukując się jej przeoczonych zwiastunów.

Scenariusz był oczywisty. Ktoś wybił okno, wdarł się do środka, po czym zdjął ze ściany obraz, a z postumentu rzeźbę. Kradzież płótna o znaczących walorach artystycznych i rynkowych mnie nie dziwiła. Wręcz przeciwnie, nie mogłem wyjść ze zdumienia, że tak wiele lat przewisało w spokoju. Bardziej zaskakujące mogło wydawać się zniknięcie popiersia. Ale może byłem w błędzie? Przecież mogło być dziełem uznanego rzeźbiarza.

– Czy pamięta pan, kto był autorem „Karłowicza”?

– Nie mam pojęcia... – Portier był przybity.

Musiałem jakoś go pocieszyć.

– Panie Zenku, tu już nic nie znajdziemy. Zostawmy wszystko tak, jak jest, zamknijmy pokój i chodźmy na dół. Wypijemy jeszcze po łyku stocka, porozmawiamy i może znajdzie się jakiś sposób, żeby z tego wybrnąć.

Oczy portiera błysnęły nieco żywszym światłem.

Schodząc na dół, nie mogłem opędzić się od natrętnych myśli. To już? Już po wszystkim? Odcyfrowany zapisek z batuty uświadomił komuś, jak niezwykle cenne dzieło wisi w świątyni dźwięków? Przecież to nie była tajemnica, choć praktycznie mało kto wiedział, że niezabezpieczona *Filharmonia* znajduje się... w filharmonii. A nie w muzeum, strzeżona, jak należało się dziełu tej klasy.

Gdyby jednak taki miał być finał zagadki, powiedziałbym, że z wielkiej chmury spadł niezbyt duży deszcz, kapuśniaczek właściwie, przy całym szacunku dla Piotra Siemielnianego i anonimowego na razie rzeźbiarza.

A jednak coś było nie tak, coś się nie zgadzało.

Klucze ukryte w batucie.

Do kradzieży obrazu nie były potrzebne. A jednak nie były wymysłem mojej wyobraźni.

Istniało więc prawdopodobieństwo, że dzisiejsza kradzież również nie jest celem ostatecznym, a jedynie krokiem w jego kierunku. Albo jeszcze inaczej: skradzione obiekty

oprócz posiadanej wartości własnej mogły, podobnie jak batuta, stanowić kolejne elementy układanki.

To by znaczyło, że poniosłem totalną porażkę. Pozwoliłem, by zabrano mi sprzed nosa to, czego właśnie szukałem. Mając wszystko w zasięgu ręki, przez pół godziny wpatrywałem się w zupełnie bezużyteczny sufit...

Pociągnęliśmy po małym łyyczku – tym razem już bez herbaty – i zaczęliśmy się zastanawiać.

Po pierwsze: moją dzisiejszą bytność w filharmonii należało ukryć. Po drugie: włamania i kradzieży dokonano w nocy. Pan Zenon nie musiał nic słyszeć. W wyniku nadgorliwego podejścia do obowiązków – tłumacząc to na przykład przecuciem – jutro rano, przed końcem dyżuru, pójdzie na piętra, otworzy pokoje i odkryje przestępstwo. Prawdopodobnie będzie musiał spędzić w pracy kilka dodatkowych godzin. Można też udawać, że nic się nie wydarzyło. Prawda pozostanie wówczas ukryta aż do poniedziałkowego ranka, kiedy sprzątaczką otworzy pokój...

Ale poniedziałek był dniem przesłuchań. Wydawało się więcej niż prawdopodobne, że zostaną odwołane czy raczej przełożone na trudny do sprecyzowania termin. Jeszcze wczoraj, zanim spróbowałem nowego instrumentu, takie rozwiązanie wydałoby mi się zbawienne. Ale teraz już nie. Ponownie i ostatecznie zaakceptowałem dwutorowość moich działań. W niepojęty sposób zaczęły się one uzupełniać i tworzyć nierozzerwalną całość. Nie potrafiłem zrezygnować z jednego na rzecz drugiego. I dlatego właśnie pan Zenon powinien odkryć prawdę jutro, po czym bezzwłocznie zawiadomić organa ścigania. Koniec końców to nie policja była moim przeciwnikiem.

Motywacje, dla których byłem gotów do dzielenia się prawdą z nadkomisarzem Bielskim, zawsze poprawiały mi humor. Tak było i tym razem, może z lekką pomocą brandy. A właśnie – do tego czasu procenty pochodzące ze stocka powinny wywietrzeć z głowy i z krwiobieg portiera, ale o to się nie martwiłem; nie było ich znowu tak wiele. Niewielka buteleczka była pełna więcej niż połowie.

Taki plan ułożyliśmy z panem Zenkiem. Portier miał się trzymać przyjętej wersji, nawet jeśli policja próbowałaby go zbić z tropu. Umówiliśmy się, że pod byle pretekstem zjawię się w filharmonii jutro po południu. Między szesnastą a dwudziestą portier miał sobotni dyżur.

Nie będzie tak źle, wszystko jakoś da się wytłumaczyć.

W drodze do domu nie opuszczało mnie dotkliwe poczucie przegranej. Byłem blisko, coś ważnego znajdowało się w zasięgu mojego wzroku, a jednak tego nie spostrzegłem i pozwoliłem, by wyparowało. Być może bezpowrotnie.



ROZDZIAŁ XIII

SOBOTA

Obudziło mnie natarczywe pukanie do drzwi.

– Jest, jest! – Podekscytowany Sebastian wymachiwał kartką z wydrukowanym mailem. – Przed chwilą go dostałem!

– Czyli, udało się... dziecku to zdobyć? – Pytanie było mocno retoryczne, ale stan mojego nie do końca rozbudzonego umysłu pozostawiał sporo do życzenia.

– Tak, ale chyba nie było łatwo. Okazało się, że autor wywiadu zmarł wkrótce po jego opublikowaniu. Do czasu wyjaśnienia okoliczności śmierci policja nałożyła więc jakiś rodzaj embarga na artykuł. Oczywiście nie mogą łamać konstytucji i blokować dostępu do informacji, ale potrafią utrudniać i zniechęcać. Tekst jest dostępny tylko w redakcji, do odczytu w obecności pracowników i bez prawa kopiowania, tak jak myśleliśmy. Mało tego, trzeba się legitymować i zostawić namiary dla policji, w razie gdyby miała jakieś pytania

– Więc jak... dziecku się to udało? – Przerośnięty bobas, jak sobie go wyobrażałem, zaczynał mnie przerażać swoimi ponadnormalnymi zdolnościami.

Pan Sebastian uśmiechnął się nie bez dumy.

– Dzięki niepostrzeżenie zrobionym mikrozdjęciom. Komputerowe powiększenie to już była zabawa. Dziecko lubi takie wyzwania.

Ten genialny, nad wiek rozwinięty osesek musiał mieć niezłe narąbane w głowie. Już go słyszałem, jak z pogardliwym uśmiechem mówi:

– Obliczenie pierwiastka 6 stopnia z 729 w momencie, gdy jedną ręką pisałem wiersz, a drugą prowadziłem samochód, to była bułka z masłem, którą zresztą spożywałem bez pomocy rąk, pogwizdując przy tym w sześciogłosie *Rozświetloną noc* Schönberga i nie plując okruciami...

Antykwariusz jakoś nigdy nie poruszał tematu dziecka, więc i ja byłem powściągliwy. A jednak było coś niedającego mi spokoju w niezwykłych talentach potomka i rozanieleniu, które pojawiało się w oczach pana Marsa, gdy już zdarzało mu się o nim napomknąć.

– Mamy tylko jeden problem – entuzjazm pana Sebastiana jakby nieco przygasł – ten artykuł jest po włosku...

O, to genialne dziecko jeszcze go nie przetłumaczyło?, pomyślałem złośliwie.

– Ja, co prawda, jako tako znam łacinę, ale to nie wystarczy. – Przez antykwariusza przemawiała skromność. Wiedziałem, że zna język Horacego wybornie.

Przyszła pora na mój malutki tryumf.

– Tak się składa, że mieszkalem przez pewien czas we Włoszech i nauczyłem się tego pięknego języka.

Antykwariusz spojrział na mnie z aprobatą.

– No, to w takim razie...

– W takim razie pozwól pan, że się ubiorę i troszeczkę odświeżę – Eston przyjrzał mi się z napięciem – i oczywiście wezmę psa na krótki spacer. – Spuścił ze mnie wzrok, choć miałem wrażenie, że przy słowie „krótki” smagnął mnie ponownie spojrzeniem.

– Dobrze, a ja przygotowuję kawę.

– Świetnie, za pół godziny jestem u pana.

Po półgodzinie, no, może trzech kwadransach siedzieliśmy w antykwariacie nad filiżankami świeżo zaparzonej, niebiańsko pachnącej kawy.

– Panie Sebastianie, zanim zaczniemy czytać, pozwól pan, że w dwóch słowach opowiem, co się wydarzyło wczoraj?

– A znowu coś się wydarzyło?

– Tak, niech pan posłucha...

Opowiedziałem pokrótce wypadki sprzed kilkunastu godzin. Sebastian Mars przyglądał mi się z niedowierzaniem i zgrozą.

– Mój Boże, zawsze mówiłem, że *Filharmonia* Siemieniałnego powinna wisieć gdzie indziej. To było igranie z losem...

I ja tak sądziłem; na swój sposób nie byliśmy więc zaskoczeni faktem kradzieży obrazu.

Korciło mnie, żeby zadzwonić do pana Zenka. Czy policja już wie? Czy znalazła coś, co i mnie mogło postawić w trudnej sytuacji?

Odrzuciłem rozpraszające myśli. Pora skupić się na tłumaczeniu ciepłego jeszcze wydruku. Obaj mieliśmy poczucie, że może to być moment przełomowy.

W trakcie lektury zmieniło się ono w przekonanie. Ale najlepiej będzie, jeśli przytoczę artykuł w całości. Jego treść stopniowo wtłaczała nas w fotele niczym pasażerów startującego samolotu ponaddzwiękowego.

Oto i ona, w tłumaczeniu dostępnym mojej znajomości języka włoskiego:

Spowiedź w winnicach Toskanii

Przedstawiamy państwu autoryzowany zapis rozmowy – wywiadu, jaki nasza dziennikarka, pani Donatella Sancerre, przeprowadziła w ostatnich tygodniach na prośbę pana Casimiro Michelangelo w jego posiadłości. Tytuł pochodzi od redakcji. Nasz rozmówca pragnął, aby ograniczył się tylko do pierwszego słowa, ale ostatecznie przystał na naszą propozycję.

Donatella Sancerre: *Jeśli dobrze rozumiałam, chce pan na początku poruszyć kwestię własnej tożsamości, a dokładniej mówiąc, imienia i nazwiska.*

Casimiro Michelangelo: *To prawda. W czasach, o których będę opowiadał, brzmiało ono zupełnie, no, prawie zupełnie inaczej niż teraz. Jak pani wie, spowiedź jest aktem skruchy.*

Ostateczne przebaczenie pochodzi od Boga. Dla Niego moja tożsamość nie jest tajemnicą. Ale przed ludźmi, jeżeli ktokolwiek z nich jeszcze żyje, muszę wystąpić pod dawnym imieniem i nazwiskiem. Jako Kazimierz Michalewicz.

D.S.: *Zdaje pan sobie sprawę, że sensacyjność tych wynurzeń może skłonić wielu do poszukiwania kontaktu z panem?*

C.M.: *Prawdę mówiąc, nie sędzę. Z góry oświadczam, że dla uniknięcia zbędnych indagacji, powiem tutaj prawie wszystko. A jeśli ktoś rzeczywiście – i z ważnych powodów – będzie chciał mnie odnaleźć, to wyjdę mu naprzeciw. Proszę jednak nie zapominać, że nie jest to pierwszy raz, kiedy publicznie lub prywatnie uchylam rąbka przeszłości. I wie pani, jaki był skutek?*

Porozumiewawcze spojrzenia lub stukanie się palcem w głowę i to nie zawsze za moimi plecami. Przez lata nie znalazło się wielu, a mówiąc precyzyjnie nikt, kto chciałby ze mną poważnie o tym rozmawiać. Ale oczywiście jest również, że tematyka, którą dziś poruszę, nie nadaje się do prezentowania przy byle okazji. A tych okazji już mi wiele nie zostało. Dzisiejszy wywiad ma być ostatnim z mojej strony wysiłkiem podzielenia się pewnymi faktami, powtarzam: faktami. Symptomatyczne, że, proszę się nie obrazić, żadna z gazet o ponadlokalnym zasięgu, nie wykazała zainteresowania moją propozycją. Nie wiem, co kierowało państwa redakcją, ale powiedzmy, że ma to dla mnie drugorzędne znaczenie. A za stworzoną możliwość jestem bardzo wdzięczny. I jeszcze zanim zaczniemy: tytuł wywiadu najpełniej oddaje motywy, które skłoniły mnie do jego udzielenia.

D.S.: *Nasza redakcja zakwalifikowała pański materiał jako bardzo interesujący z dziennikarskiego punktu widzenia. A stopnia jego prawdopodobieństwa nie oceniamy, pozostawiając to czytelnikom. No właśnie, może zaczniemy?*

C.M.: *Oczywiście, proszę bardzo.*

D.S.: *Zacznijmy więc od początku...*

C.M.: *Od początku może nie, to by za długo trwało, proponuję od razu wyeliminować wszystkie wątki, które nie mają związku ze sprawą. Powiedzmy – od roku tysiąc dziewięćset trzydziestego siódmego.*

D.S.: *To właśnie miałam na myśli, mówiąc o początku – początek naszej sprawy.*

C.M.: *Przenieśmy się więc do Krakowic, myślę, że wszyscy wiedzą, co to za miasto i w jakim kraju. Jest rok tysiąc dziewięćset trzydziesty siódmy. Filharmonia imienia Mieczysława Karłowicza ogłasza przetarg na remont generalny swojej siedziby, połączony z próbą udoskonalenia akustyki sali koncertowej. Wygrywa projekt Biura Architektów Szymona Rosenberga i Witolda Zajdla (w skrócie: B.A. – ROZA), będący w istocie autorskim projektem pierwszego z nich, zarazem szefa spółki. W owych czasach byłem w Krakowicach dyrektorem przedsiębiorstwa budowlanego stale współpracującego z ROZĄ, moja firma nieomal automatycznie więc została głównym wykonawcą projektu. Współpraca z Rosenbergiem nie była łatwa; należał on do ludzi bardzo wymagających, również wobec siebie. Ale stawała się też przygodą. Architekt dokonywał niestannych*

poprawek w projekcie, aż do momentu ukończenia prac remontowych lub budowlanych. Nie muszę mówić, z jakimi to się czasami wiązało komplikacjami. Wszyscy wiedzieli jednak, że nowe rozwiązania będą lepsze od poprzednich, więc nawet jeśli zgrzytały zębami, robili to po cichu. Oczywiście nie było mowy, aby poprawki zdążyły zaistnieć na planie. Trzeba byłoby go codziennie zmieniać. Rosenberg lubował się w zaskakiwaniu, może nawet samego siebie, nieoczekiwanymi rozwiązaniami lub szczegółami architektonicznymi, których powstawanie należało chyba przypisać jego bujnej i twórczej naturze. Nie żądał jednak od nas nigdy rzeczy niemożliwych lub narażających bezpieczeństwo konstrukcji, a proszę mi wierzyć, był wyśmienitym fachmanem. Nie inaczej miało być i tym razem. Nie wiem, czy to fascynacja architekturą renesansowej Italii, pełną ukrytych znaczeń, tajemnych przejść i pomieszczeń, czy może raczej bolesne przecucie, że takie rozwiązania mogą już wkrótce uzyskać walor w najwyższym stopniu użytkowy – a może obie te sprawy łącznie – spowodowały dość dramatyczną, niezauważoną na papierze zmianę planów.

Architekt zlecił nam wybudowanie przejścia, którym można było wydostać się z filharmonii do systemu podziemnych korytarzy (genezy ich powstania trzeba by szukać pewnie w wiekach średnich). Prowadziło do niego zamaskowane wejście w sali koncertowej. Rozpoczynający się tam korytarz biegł przez pewien odcinek w poziomie, nagle załamywał się pod kątem prostym i spiralnymi schodkami prowadził do piwnic. Natomiast w jednym z pokoiów na drugim piętrze znajdowało się inne zamaskowane wejście; ukryty za nim wąski korytarz po paru metrach rozszerzał się w niewielką, prostokątną komorę lub, jak kto woli, salkę, choć wzięwszy pod uwagę jej tajemniczą sceneryę, powinienem raczej powiedzieć – komnatę.

D.S.: Czy korytarze były przestronne? Czy można było nimi wygodnie się poruszać?

C.M.: Widzę, że chce pani uprzedzić fakty. Na razie jesteśmy w fazie realizacji projektu, ale dobrze, odpowiem na to pytanie. Tak jak już wspomniałem, korytarz dyrygencki był wąski. Nie inaczej było z korytarzem koncertowym. Pozwoli pani, że od teraz pozostanę przy tej nomenklaturze. Oba były też niskie, mogła nimi przechodzić jedna osoba i to w niezupełnie komfortowej pozycji. Ale w przeciwnym razie przejścia nie mogłyby pozostać niezauważone, a zakonspirowanie ich było główną ideą przyświecającą architektowi. Firma budowlana wykonuje zlecenie. Jej zadaniem jest dobre wywiązanie się ze swoich zadań. Ostateczne przeznaczenie budowanych obiektów ma dla pracowników znaczenie niewielkie. A jednak ostatnie, utajniające dostęp do korytarzy prace, przeprowadziliśmy już tylko we dwóch; jedynie my znaliśmy architektoniczną tajemnicę budynku. Projekt udał się znakomicie. Nawet najsprawniejsze oko nie było w stanie przeniknąć zagadki ukrytych wejść. Do otwarcia włazu znajdującego się w sali koncertowej potrzebna była do pewnego stopnia zakodowana informacja. Osoby, które już wkrótce miały go otwierać – naturalnie po uprzednim przygotowaniu teoretycznym, w którym i ja odgrywałem pewną rolę – nie powinny były mieć z tym żadnych problemów. Powstaniu korytarza dyrygenckiego przyświecała inna idea. Rosenberg nie byłby sobą, gdyby nie zostawił wyłącznie sobie choć malutkiego skrawka tajemnej wiedzy. Będąc w istocie jedyną osobą, która miała do niego przenikać, mógł tu nieco swobodniej oddać się swojemu zamiłowaniu do tworzenia zagadek. Gdyby coś się wydarzyło, odnalezienie wejścia byłoby

niełatwe nawet dla dobrze znających go osób. Dotyczyło to również mnie. Choć zasób posiadanych informacji powinien wystarczyć do odnalezienia wejścia, z wielu powodów nigdy nie zdecydowałem się na ten krok.

Oba zamaskowane włazy otwierał podobny mechanizm, choć, że tak to ujmę, według innego wzoru. Aby więc odnaleźć i otworzyć ukryte korytarze, nie były potrzebne żadne klucze ani wytrychy, wystarczył mózg. Należało jednak uważać – mechanizm w sali koncertowej działał tylko w jedną stronę. Gościnnie otwarty, po zamknięciu zatrząskiwali się na dobre. Otworzenie go od wewnątrz było po prostu niemożliwe. Moja wiedza o korytarzu dyrygenckim jest mniejsza, ale z natury swojej będąc schowkiem, musiał prawdopodobnie umożliwiać bezpieczny powrót do świata zewnętrznego. Należy jeszcze dodać, że idea wystroju pokoju dyrygenckiego pochodziła od samego Rosenberga, a twórcą i wykonawcą był zaprzyjaźniony z nim wybitny rzeźbiarz, w którego pracowni wykonano wszystkie drewniane elementy gabinetu. Niestety, jego nazwisko uleciało mi z pamięci. Na prośbę architekta nadzorował on ponadto wykonanie drewnianych elementów wystroju sali koncertowej. Myślę, że bez tej współpracy projekt Rosenberga byłby niemożliwy do zrealizowania w wymyślonej przez niego formie. Wojenne dzieje rzeźbiarza nie są mi znane, ale obawiam się, że podzielił los większości z nas.

D.S.: Czy zechciałby pan rzucić nieco światła na kody strzegące wejść do korytarzy?

C.M.: Miały związek z dwiema powszechnie znanymi pasjami Rosenberga...

D.S.: Tylko tyle?

C.M.: Dla tych, którzy go znali, była to wystarczająca wskazówka, przynajmniej w odniesieniu do korytarza koncertowego. W przypadku tego drugiego, jak już mówiłem, sprawa była bardziej skomplikowana, ale taka właśnie miała być. Idźmy jednak dalej. Gdzieś w połowie tysiąc dziewięćset trzydziestego dziewiątego roku Rosenberg poprosił mnie o pomoc w znalezieniu i dyskretnym przetransportowaniu do filharmonii średniej wielkości sejf. Gdy podałem mu jego maksymalne wymiary, zrozumiałem, że zamierza go umieścić w pomieszczeniu, do którego prowadził korytarz dyrygencki. Udało mi się znaleźć coś odpowiedniego – solidną kasę pancerną firmy Baumann. Przepięliśmy ją do komory, choć nie było to łatwe; waga i rozmiar sejfów wymogły na nas największy wysiłek fizyczny. Na szczęście, jako główny architekt i główny wykonawca, mieliśmy prawo, a wręcz obowiązek, co jakiś czas kontrolować przeprowadzone prace, co dawało nam wstęp do gmachu i możliwość swobodnego poruszania się po nim, poza godzinami pracy orkiestry oczywiście. Powinienem zaznaczyć, że również wówczas Rosenberg nie podzielił się ze mną tajemnicą dostępu do zamaskowanego wejścia. Gdy udało nam się przetransportować sejf do pokoju dyrygenckiego, włącz był już otwarty, a do otworu przystawiona była specjalna równia, umożliwiająca wciągnięcie ciężaru.

D.S.: Czy Rosenberg powiedział panu, dlaczego chce zainstalować w ukrytym pomieszczeniu sejf?

C.M.: Oczywiście, choć nietrudno było się tego domyślić. W połowie tysiąc dziewięćset trzydziestego dziewiątego roku wszyscy logicznie myślący ludzie zdawali sobie już sprawę, że wojny nie da się uniknąć. Rosenberg, zresztą tak jak ja, był Żydem. Obracaliśmy się jednak w różnych środowiskach – on pośród artystów, naukowców i finansjery, ja wśród rzemieślników, sklepikarzy i handlowców. Większość z nas zdawała

sobie sprawę z poglądów Hitlera i jego wyznawców. Obawa, że w przypadku klęski militarnej kraju i okupacji to na nas w pierwszym rządzie spadną represje, była powszechna. Niektórzy wyjeżdżali, ale przecież nie wszyscy. W ludziach zawsze drzemie nadzieja, że jakoś to będzie, że akurat mnie nie może spotkać złego. Co nie znaczy, że nie powinno się podejmować zapobiegawczych kroków. Rosenberg musiał sobie zdawać sprawę, że gdy dojdzie do najgorszego, niemieckie ręce wyciągną się w pierwszym rządzie po żydowskie majątki. A miałyby po co. I mowa tu nie tylko o pieniądzach, ale o dziełach sztuki, precjozach, kosztownościach... Sejf w korytarzu dyrygenckim miał w razie potrzeby pomieścić najcenniejsze przedmioty będące własnością jego przyjaciół. Ukryte za podwójną osłoną, miałyby wszelkie dane, aby doczekać lepszych czasów.

D.S.: Czy może pan zdradzić, jakim rodzajem zamku sejf był zabezpieczony?

C.M.: Tak, oczywiście. Aby dostać się do sejfu, należało dysponować podwójnym kluczem, choć warto zaznaczyć, że jego wygląd nie musiał od pierwszej chwili zdradzać przeznaczenia. Jego wyłącznym właścicielem i dysponentem był Rosenberg.

D.S.: Dochodzimy w takim razie do zasadniczego pytania: co się z tym kluczem stało?

C.M.: Klucz Rosenberga został schowany. W dramatycznych okolicznościach architekt zdołał wskazać mi miejsce ukrycia. Po wojnie podjąłem próbę jego odnalezienia i – niezbadane są wyroki boskie – był tam, w nienaruszonym stanie, dokładnie w miejscu opisanym przez Rosenberga. Z trudem przyjmowałem ten fakt do zatrutej wojennym koszmarem świadomości. Moim zamiarem nie było jednak odnalezienie kasy pancernej wraz z jej zawartością. Odnajdując klucz, myślałem raczej, jaka mogła być wola Rosenberga co do przeznaczenia ukrytych zbiorów. Dzisiaj podejmuję ostatnią próbę jej odczytania. Ważne jest, aby uwierzyła mi pani, że nigdy, powtarzam, nigdy nawet nie zbliżyłem się do sejfu. Zresztą mógłbym próbować, ale szanse, że mi się uda, były nikłe. W tej kwestii moje sumienie pozostaje w rozdarciu; z jednej strony nie próbowałem uzyskać osobistej korzyści ze zbiorów Rosenberga, z drugiej – nie potrafiłem uczynić zadość jego ostatnim słowom, które powinny być dla mnie testamentem.

D.S.: Jak wiemy, czarny scenariusz zaczął realizować się bardzo szybko. Jak powstał i jak działał system, o który chciałam teraz zapytać?

C.M.: Był on najlogiczniejszą konsekwencją zachodzących zdarzeń. Po rozpoczęciu okupacji w śmiertelnym zagrożeniu znaleźli się wszyscy: Polacy, Żydzi, ich rodziny i mienie. Zgodnie z przewidywaniami na pierwszy ogień szli Żydzi, w pierwszym rządzie najbogatsi, bo w gruncie rzeczy o ich pieniądze i dobytek chodziło. Wypadki potoczyły się szybko: już w październiku trzydziestego dziewiątego zaczęły się konfiskaty majątków i prześladowania. Los Żydów wydawał się przesądzony. Jeśli ktoś miał działać, musiał to robić błyskawicznie, w przeciwnym razie mogło być za późno. W tym właśnie czasie hitlerowska administracja zaczęła realizację projektu znanego pod nazwą Podwójnych list (Doppel Listem). Na pierwszej z nich umieszczano dane osób przeznaczonych do ograbienia oraz określano los, który miał je spotkać, przy czym różnorodność ograniczała się tu zazwyczaj do nazwy obozu przeznaczenia. Druga zawierała spis najcenniejszych, będących w ich posiadaniu dzieł sztuki. Dwoistość systemu miała raz na zawsze oddzielić właścicieli od ich własności. Niemieckiej administracji nie można było zarzucić jednego: chaosu. Pieczołowicie opracowane plany wcielane były

w życie z drobiazgową precyzją. Wszelkie materialne dowody przynależności znikaly; na ich miejsce pojawiały się nowe. Nie zapominajmy, że Rzesza Niemiecka tworzyła nowy ład i nowe prawo, i to nie na użytek jednego pokolenia, a na tysiąc lat. Preparowana rzeczywistość miała skutecznie i na wieki rozerwać wcześniejsze więzy. Zupełnie różny los czekał osoby i rzeczy wciągnięte na podwójne listy. Przedmioty liczyć mogły na szacunek graniczący z adoracją; ludzie mogli spodziewać się upokorzenia, cierpienia i śmierci... Spisy przygotowywano skrupulatnie, bez pośpiechu i z dokładnością mającą wyeliminować pomyłki. Ale właśnie ta systematyczność stwarzała pewną szansę. Od momentu trafienia na podwójną listę do chwili stania się na niej numerem jeden miało trochę czasu. Oczywiście każdy nieostrożny ruch mógł ten okres skrócić do minimum, należało więc działać bardzo rozważnie. Od skorumpowanego niemieckiego urzędnika wykupywano informacje o kolejnych osobach, które miały na nią trafić. Nie o wszystkich rzecz jasna, ale przecież mówimy o znaczącej grupie ludzi. To było pierwsze ogniwo konspiracyjnego łańcuszka. Osoba, którą ostrzegano o wciągnięciu na feralne listy, miała do wyboru dwa rozwiązania. Albo natychmiastową i przeważnie chaotyczną ucieczkę, która zresztą tylko z rzadka się udawała, jako że ludzie z listy znajdowali się zazwyczaj pod mniej lub bardziej dyskretną obserwacją. Tu nie chodziło o przeciętnych obywateli, a o jednostki znane w międzynarodowym świecie sztuki i finansjery oraz oczywiście ich rodziny. Pewnego rodzaju powściągliwość przed światową opinią publiczną nakazywała jeszcze wówczas działanie w rękawiczkach, które jednak, z równą co powróz skutecznością, powoli zaciskały się na szyjach ofiar. To, że nie rozprawiano się ze wszystkimi naraz, wynikało jedynie z ograniczonych możliwości przerobu niemieckiego aparatu represji. Ale pośpiechu nie było: oka istniejących sieci wydawały się za małe, by ktokolwiek mógł się przez nie przesliznąć. Uciekający dostarczali argumentów przeciwko sobie, gdyż oficjalnie nie istniały ani podwójne listy, ani konkretne zarzuty. W ten sposób pośrednio przyznawali się do winy, a znalezienie owej winy było problemem najmniejszym. Druga możliwość wymagała nieco więcej zimnej krwi, ale rokowała też większe szanse powodzenia. Należało skontaktować się z któryś z nas. Proszę pamiętać, że Rosenberg przewidział zawczasu dramatyczny rozwój wypadków i na tę okoliczność, zarówno on, jak i jego środowisko, byli przygotowani. Lepiej, niż początkowo sądziłem, bo w miarę upływu czasu przekonywałem się, że jestem tylko trybikiem dobrze funkcjonującego mechanizmu.

D.S.: Dobrze, proszę nam w końcu powiedzieć, jak działał ów przestawny system.

C.M.: Do tego właśnie zmierzam. Muszę przyznać, że ilekroć wracam do niego myślę, wydaje mi się niepozbowiony pewnej melodramatyczności. Ale do rzeczy. Zagrożony podwójną listą człowiek przysyłał do Rosenberga lub do mnie bukiet kwiatów. Była to prośba o pomoc: w ukryciu cennego dzieła sztuki albo w niezauważalnym zniknięciu. Rosenberg zajmował się ukrywaniem precjozów. Każdorazowa akcja wymagała jego osobistej wizyty w filharmonii.

Ciągle jeszcze miał dość swobodny dostęp do budynku, ale myślę, że za każdym razem trudniej było mu wytłumaczyć cel takich odwiedzin. Powierzone mu dzieła sztuki musiały mieć oczywiście bardzo ograniczone rozmiary. Rodzaj kwiatów użytych do sporządzenia bukietu oraz ich liczba stanowiły zakodowaną informację o przedmiocie. Rosenberg sam decydował, czy jego wartość sankcjonuje podjęcie, nieustannie rosnącego, ryzyka. W moim przypadku kwiaty dostarczały informacji o liczbie osób, które muszą

zniknąć. Z oczywistych względów bezpieczeństwa owa liczba nie mogła jednorazowo przekraczać dwóch. Ale pamiętam jeden wyjątkowy przypadek, gdy chęć ucieczki zadeklarowało małżeństwo z córeczką. Ich pojawienie się na koncercie razem z dzieckiem było bardzo ryzykowne, o samej akcji zniknięcia już nie wspominając. W tym jedynym wypadku zgodziłem się jednak, żądając za to sowitego wynagrodzenia, ale o tym za chwilę. Moim zadaniem było organizowanie jak najbardziej legalnych biletów na koncert, informowanie portierów, w które dni nie powinni zbyt dokładnie sprawdzać sali koncertowej po zakończeniu występu, a raczej jak najszybciej zamykać ją, gasząc główne światła. Kiedy dzień akcji był ustalony, ludzie uprzedzeni, a bilety przygotowane, dostarczałem je zainteresowanym wraz z ustną informacją, dzięki której mogli odnaleźć ukryte wejście. Moja rola tu się kończyła, reszta była ich osobistym ryzykiem... Był to chyba jedyny w historii przypadek, kiedy wizyta w filharmonii oznaczała nie symboliczną, a dosłowną ucieczkę do lepszego świata, zaś bilety na koncert miały charakter kart wstępu na Transatlantyk do Krainy Bezpieczeństwa. Osoby, które zakwalifikowałem do ucieczki – bo i mnie przysługiwało w tym względzie prawo decyzji (warunkiem była sprawność fizyczna; niestety, starsze osoby nie miały szans na pokonanie korytarza koncertowego) – szły na koncert, fakt sam w sobie niewzbudzający podejrzeń, po czym... rozplywały się. Ta dziwna na pierwszy rzut oka metoda znikania była w gruncie rzeczy idealna z psychologicznego punktu widzenia. Człowiek wybierający się do przybytku sztuki raczej nie oczekuje aresztowania. Trudno o lepszy sposób uspienia czujności prześladowców. Czy mogło im przyjść do głowy, że będąc obiektem ich zainteresowania osoba idzie słuchać muzyki właśnie po to, aby wyparować? Zanim zdolali się zorientować, że obiekt zniknął, było już za późno: ślady się urywały... I prawdopodobnie nikomu nie przyszło do głowy, aby łączyć ten fakt z wizytą w filharmonii. Jej administracja była już wtedy – co oczywiste – w niemieckich rękach, ale na niższych stanowiskach ciągle jeszcze pracowali znajomi i zaufani ludzie. I tylko dzięki temu system mógł funkcjonować. Mielśmy jednak pełne przekonanie, że ten stan rzeczy nie potrwa długo. Wydawało się wysoce prawdopodobne, że gdyby korytarze – zwłaszcza koncertowy – były wykorzystywane dłużej, ktoś musiałby wpaść na ich trop. Ale tu przechodzimy już w sferę teorii. Na szczęście nikt nigdy się o tym nie przekonał. Powróćmy jednak do faktów. Dalsze losy uciekinierów, paszporty, transport i tym podobne, nie należały już do mnie, ale wiem, że łańcuszek pomocy ciągnął się dalej.

D.S.: Czy miał pan informacje, jak system działał w przypadku Rosenberga?

C.M.: Od czasu rozpoczęcia działalności konspiracyjnej nie widywaliśmy się często i nie rozmawialiśmy wiele. Założenie było proste: im mniej wiemy, tym lepiej; każdy starał się koncentrować na swojej działalności. Ale ze dwa albo trzy razy osoby, którym pomagałem w zniknięciu, wspominały o Rosenbergu. Myślę, że wcześniej podjął się ukrycia najcenniejszych egzemplarzy ich kolekcji.

D.S.: Czy pamięta pan, ilu osobom pan pomógł?

C.M.: Tak, choć jeśli spodziewa się pani jakiejś olbrzymiej liczby, to muszę ją rozczarować. Wiem na pewno, że skutecznie zniknęło dziewięć osób. Proszę jednak wziąć pod uwagę, że dalszych ich losów nie znam, nie potrafię nawet powiedzieć, czy którakolwiek z nich przeżyła wojnę. O pozostałej ósemce nie wiem nawet tyle, bo mój czas też się już kończył, podobnie jak czas Rosenberga i większości z nas.

D.S.: Wspominał pan, że system pomocy obejmował obywateli pochodzenia żydowskiego. Czy w jego organizacji brały udział wyłącznie osoby o takich korzeniach?

C.M.: Oczywiście, że nie. Proszę pamiętać o jednym: dwie plagi dwudziestego wieku, faszyzm i komunizm, próbowały zniszczyć ludzką wspólnotę budowaną przez wieki. Ale w sensie ogólnym im się to nie udało. Wydaje mi się, że wokół tych podziałów narosło w ogóle zbyt dużo nieporozumień. Obywatele żydowskiego pochodzenia byli w takim samym stopniu Polakami jak spadkobiercy czysto słowiańskich genów. Gdyby stosować proponowany przez panią podział, trudno byłoby usankcjonować istnienie na przykład nacji amerykańskiej. Byliby to wyłącznie zamieszkujący rezerwy rdzenni mieszkańcy tych terenów, czyli Indianie. Całe moje długie, może zbyt długie życie nauczyło mnie, że granice przyzwoitości, wrażliwości, współczucia dla krzywdy innego człowieka nigdy nie przebiegały i nie przebiegają między narodami czy nacjami, a po prostu między ludźmi.

D.S.: Obawiam się, że teraz, kiedy padły słowa o przyzwoitości, wrażliwości i współczuciu dla krzywdy innego człowieka, przyszła pora, aby dotknąć bolesnej dla pana sprawy, ale jak rozumiem, to ona właśnie stała się przyczyną naszej rozmowy.

C.M.: Tak, to prawda. Pora wyjawić powód, dla którego wywiad ten postanowiłem nazwać spowiedzią. Otóż od osób, które zgłaszały się do mnie po pomoc, żądałem pieniędzy. Dużych pieniędzy. W tamtych czasach, na samym początku okupacji, większość z nich miała jeszcze dostęp do bankowych kont, w odpowiednim momencie przeniesionych za granicę, najczęściej do Szwajcarii. Za informację, jak odnaleźć wejście do sekretnego korytarza, żądałem dowodu przelewu dużej sumy na moje konto w banku szwajcarskim...

D.S.: Czy Rosenberg o tym wiedział?

C.M.: Oczywiście, że nie. Myślę, że tego rodzaju nikczemność była z gruntu obca jego kanonom moralnym...

D.S.: Dobrze, proszę kontynuować.

C.M.: W przypadku tych ludzi negocjacje nie wchodziły w grę. Spełniali moje warunki bez większych oporów, a ja, przyznaję, bezdusznie to wykorzystywałem, czego apogeum nastąpiło właśnie we wspomnianym już przypadku rodziców i córki.

D.S.: Czy pamięta pan, jaką kwotę przelano w sumie na pańskie konto w Szwajcarii?

C.M.: Nie, dokładnie nie pamiętam, ale była to kwota bardzo duża. Płacący byli ludźmi zamożnymi. A ja miałem tego pełną świadomość. Przelane wówczas pieniądze, pomnożone rosnącymi przez wiele lat procentami, pozwoliły mi na kupno nowej tożsamości i nowego, dostatniego życia po przyjeździe do Włoch.

D.S.: Z tego, co pan mówi, wyłania się następujący obraz: wasza pomoc miała dość ekskluzywny charakter i była adresowana do wąskiej, najbogatszej części żydowskiej społeczności...

C.M.: Ma pani rację, takie były założenia. Ale proszę pamiętać, że oprócz nas działały inne grupy, przenikające najróżniejsze środowiska. Nie mogę wykluczyć, że Rosenberg, przy całej rozległości swoich kontaktów i zainteresowań, nie był uwikłany również w inną działalność konspiracyjną. Ta, o której mi wiadomo, wpływała w dużej mierze z pobudek towarzyskich i była ofertą dla ludzi z jego kręgu, z jego otoczenia czy wręcz jego przyjaciół; wszyscy oni należeli do elitarnej klasy. Była też konkretną reakcją na

konkretną akcją – mówię o podwójnych listach. Ale ta, jak ją pani nazwała, ekskluzywność była też może przyczyną niezawodności systemu. Natomiast nie ja zdecydowałem, kto i dlaczego zgłaszał się do mnie o pomoc, choć, jak już mówiłem, mogłem jej odmówić, kierując się racjami zdrowego rozsądku, czyli możliwością niepowodzenia akcji, a co za tym idzie – dekonspiracji. Jak się pani zapewne domyśla, moja pozycja miała w stosunku do Rosenberga podrzędny charakter. Żeby rozwiązać wszelkie wątpliwości, powiem jeszcze, że architekt ponosił ogromne ryzyko, nie czerpiąc z udzielanej pomocy żadnych, najmniejszych nawet korzyści. Pobudki jego działania były ideowe, humanitarne, a może nawet humanistyczne. To ja utopiłem ich sens w próbie zbicia osobistego majątku.

D.S.: Co nie przeszkadza, że w istocie pomagał pan ludziom i również ryzykował życie...

C.M.: Jeśli pani pozwoli, tę ostatnią uwagę pozostawię bez komentarza.

D.S.: Czy w trakcie państwa działalności konspiracyjnej nie przydarzały się jakieś wypadki? Nieprawdopodobne wydaje się, aby w tym misternym łańcuszku ludzi dobrej woli nic nigdy nie zawiodło.

C.M.: A jednak tak było. Do ostatniej chwili wszystko funkcjonowało bez zarzutu. Myślę, że przed chwilą wyjaśniłem dlaczego. Ale świadomość ryzyka rosła z każdym dniem. Sądzę, że gdyby nie – będąc konsekwencją aresztowań – zakończenie działalności, wcześniej czy później musiałyby dojść do dekonspiracji. O ile jednak osoby podążające korytarzem koncertowym – moim korytarzem – poznawały tym samym jego tajemnicę, o tyle w korytarzu dyrygenckim nie było nigdy nikogo oprócz Rosenberga, no i oczywiście mnie, ale to jeszcze przed wojną. Z kolei niektórzy pragnęli jedynie zniknąć, inni natomiast myśleli wyłącznie o ukryciu swoich skarbów, zniknięcie czy też ucieczkę planując na własną rękę. Mówię o tym, by uświadomić pani, że właściwie nikt nie dysponował pełną wiedzą o systemie – stara zasada konspiracji – i nawet ujawnienie jednego z elementów nie musiało oznaczać natychmiastowego upadku całości. Powtarzam jednak: wedle mojej wiedzy nic takiego nigdy się nie zdarzyło.

D.S.: Kto został aresztowany wcześniej: Rosenberg czy pan?

C.M.: Stało się to prawie w tym samym czasie. Taryfa ulgowa się skończyła. Żyd był Żydem, obywatele żydowskiego pochodzenia zobowiązani byli do noszenia gwiazdy Dawida, a w niektórych miastach pojawiły się już plany budowy gett. Aresztowania zaczęły przybierać masową skalę. Chciałem jednak bardzo wyraźnie i jednoznacznie powiedzieć: zatrzymanie Rosenberga oraz mnie nie miało jakiegokolwiek związku z konspiracyjną działalnością. Naszą winą było wyłącznie pochodzenie. Spotkaliśmy się raz jeszcze, na krótko. Przed transportem do obozów byliśmy przetrzymywani przez wiele godzin na placu w centrum miasta. W pewnej chwili zobaczyłem go. W jego źrenicach ciągle palił się ten sam szlachetny blask. Wstydziłem się spojrzeć mu prosto w oczy. Ale nie miałem też odwagi przyznać się do tego, co zrobiłem.

Zadaliśmy sobie jedno i to samo pytanie: wiedzą? W obu przypadkach odpowiedź była negatywna. Wówczas Rosenberg powiedział: „Jeśli ja nie wrócę, a ty przeżyjesz, to znajdź klucz. Jest ukryty w kaplicy klasztoru franciszkanów, w figurze świętego Antoniego” – Esesmani zaczęły nas poganiać. „Więcej nie zdążę... chyba będziesz musiał sam odkryć i właściwie spożytkować zagadkę... Zagadkę Rosenberga” – uśmiechnął się gorzko na pożegnanie. W tym momencie jakby przestał mnie widzieć. Bity i popychany, zdążył

powiedzieć: „Mój korytarz ma być jeszcze raz otwarty”. Zaraz potem padły słowa, których nie rozumiałem i nie rozumiem do dzisiaj. To jedno, ostatnie zdanie pragnę zachować wyłącznie dla siebie.

D.S.: Wielka szkoda, myślę, że nasi czytelnicy chcieliby to jednak usłyszeć.

C.M.: Nie, proszę nie nalegać. Nie będę powtarzał słów, których znaczenie pozostało dla mnie na zawsze zagadką. Zrozumiałem tylko, że zgodnie z moimi wcześniejszymi przypuszczeniami w systemie tajnych przejść był jakiś zupełnie nieznanymi mi element, to coś, co pozostawało wyłącznym sekretem architekta.

D.S.: Czy widział pan jeszcze kiedyś Rosenberga lub słyszał o nim?

C.M.: Nie widziałem, ale słyszałem. Nie przeżył obozu. W odróżnieniu ode mnie. A powinno być odwrotnie. Pobyt tam traktowałem jako słuszną karę wymierzoną mi przez opatrność za handel ludzkim życiem, za pokusę wzbogacenia się kosztem niemających wyboru ludzi, której nie zdołałem się oprzeć... Być może takie nastawienie, akceptacja zamiast buntu, pozwoliło mi przeżyć, bo, proszę mi wierzyć, szanse na to nie były wielkie.

D.S.: Potem przyszło wyzwolenie...

C.M.: Wyzwolenie od czego? Od obozu, od wojny owszem. Ale nie od koszmaru, jaki pozostał w mojej pamięci. Mogłem stać się, może nie bohaterem, ale kimś, kto w chwili próby ocalił własne człowieczeństwo. A jednak okazało się to dla mnie za trudne... Po jakimś czasie zacząłem trochę pracować, kraj się odbudowywał, a niech mi pani uwierzy: świat nie widział jeszcze takiej skali zniszczeń, jak tam i wtedy. Specjaliści budowlani byli potrzebni. Nie myślałem nigdy, aby wracać do starych miejsc i zdarzeń. Pragnąłem, aby już na zawsze pozostały w mrokach zapomnienia. Byłem prawdopodobnie jedynym żyjącym człowiekiem, który znał tajemnice związane z Filharmonią w Krakowicach. Nawet jeśli przeżył ktoś z uciekinierów, to korytarz dyrygencki był znany tylko Rosenbergowi i mnie, a tajemnica dostępu do niego – już tylko architektowi. Nikt nigdy nie towarzyszył mi w ukrywaniu precjozów. Byłoby to niepotrzebne ryzyko, a ludzie, którzy decydowali się na jego pomoc, darzyli go pełnym zaufaniem. Owszem, czasami zastanawiałem się, co może znajdować się w sejfie. Lecz ciekawość moja miała czysto teoretyczny charakter. Nie potrzebowałem zgromadzonych tam skarbów. Przede wszystkim – nie były moje. Nie chciałem też, aby stały się niczyje; młode, socjalistyczne państwo łapczywie kładło rękę na prywatnej własności. Ocalałe z pogromu dzieła mogły przejść w niepowołane ręce. Zresztą klimat w kraju zaczął się zmieniać. Nie podejmując się wyjaśnienia tego faktu, powiem tylko, że osobom z żydowskimi korzeniami znowu zaczęło się robić ciasno.

Wykorzystałem ten moment w sposób najlepszy z możliwych: w roku tysiąc dziewięćset sześćdziesiątym ósmym wyjechałem z kraju. Wkrótce potem odzyskałem utracony na długie lata dostęp do szwajcarskiego konta. Długo wahałem się, czy powinienem z niego korzystać. W końcu jednak podjąłem decyzję: pieniądze były mi potrzebne, a nawet jeśli chciałbym je oddać – nie miałem komu... Jak już mówiłem, zdecydowałem się na kupno nowej tożsamości i nowego życia. Postanowiłem je ułożyć we Włoszech jako właściciel toskańskich winnic. Gdyby nie zawsze obecna pamięć o przeszłości, bez wahania powiedziałbym, że były to moje najszczęśliwsze lata. I to właściwie koniec.

D.S.: Koniec?

C.M.: *Tak. Koniec opowieści, a i życie zbliża się ku końcowi. Wiem, że moje rachunki na tym świecie nie są i nie będą wyrównane. Chyba że ktoś zechce dopisać ciąg dalszy do minionych wydarzeń. Ja tego nie potrafiłem zrobić...*

D.S.: *Chciałam panu serdecznie podziękować za rozmowę. Jeśli wolno mi dodać coś od siebie, to proszę, aby pan tak surowo siebie nie oceniał. Myślę, że czytelnicy docenią romantyczną aurę pana opowieści. Raz jeszcze dziękuję.*

C.M.: *I ja dziękuję, choć nie jestem do końca pewien, czy dobrze zrozumiała pani moje intencje. Mimo to dziękuję.*



ROZDZIAŁ XIV

SOBOTA PÓŹNIEJ

Milczeliśmy. Oto nagle, jak po wyjęciu kamyczka z góry kamieni zasypała nas lawina informacji. Jak w parahipnotycznym transie widzieliśmy rozgrywające się sceny z zamierzchłych czasów. Zostały wprzęgnięte w teraźniejszość, którą barwiły, tłumaczyły, a nawet kreowały.

Czym słowa Michalewicza mogły być dla przypadkowego czytelnika? Romantyczną opowieścią, jednym z tysiąca rzeczywistych lub fantastycznych scenariuszy napisanych przez wojnę, a wyreżyserowanych przez ludzi skonfrontowanych z ekstremalną rzeczywistością. Ba, z przeczytanych właśnie stron wyłaniał się obraz człowieka, który pogodził się z faktem, że nikt nie traktuje go poważnie. Z jego słów mogło wynikać, że wszelkie próby dzielenia się posiadanymi informacjami kończyły się – w najlepszym razie – uznaniem go za nieszkodliwego głupca.

Dwa tygodnie wcześniej ten artykuł również u mnie wywołałby pewnie zadumę, westchnienie życzliwej pobłażliwości. I tyle. Zareagowałbym jak wszyscy albo prawie wszyscy dotychczasowi słuchacze Michalewicza. Po lekturze odłożyłbym gazetę do pudła z makulaturą.

Ale dzisiaj było zupełnie inaczej. Opowieść Casimiro Michelangelo stała się dla mnie – dla nas – nieoczekiwaną, z głębi dziejów nadchodzącą odpowiedzią na zagadki naszego tu i teraz. A wszystko dlatego, że u schyłku życia ktoś mu jednak uwierzył. Ktoś jeszcze przed nami...

Byliśmy świadkami próby połączenia dwóch na wiele lat rozerwanych brzegów rzeczywistości.

Kurz oszołomienia zaczął z wolna opadać. Czułem się jak podróżujący w czasie wędrowiec, który trafił ponownie do punktu wyjścia. Sebastian zaczął wykonywać jakies ruchy, świadczące, że i on przywrócony został realnemu światu, a raczej realnemu teraz.

A więc w tym szaleństwie jednak kryła się metoda? W tym poznawaniu gmachu zdarzeń od ostatniego piętra było coś więcej niż czysty przypadek? Postanowiliśmy zacząć od ekstrakcji kluczowych wiadomości, oddzielenia ich od literackich aspektów artykułu. Z pewnym zdumieniem zaczęliśmy spostrzegać, że tych ostatnich nie było wiele. Michalewicz opisywał fakty. Nawet fragmenty dotyczące jego etycznych rozterek były konkretne. W wywiadzie nie padały właściwie zbędne słowa. W kwestiach bezpośrednio związanych z tajemnicą wręcz odczuwało się ich niedostatek.

Fakty wyglądały następująco. W roku 1937 w filharmonii prowadzone są prace remontowe. W ich trakcie powstają dwa sekretne korytarze. W czasie wojny służą one ucieczce ludzi i ukrywaniu bezcennych przedmiotów. Między dwoma rodzajami konspiracji nie ma konkretnej zależności. W pierwszej swój udział ma autor wywiadu; za drugi całkowicie odpowiedzialny jest Rosenberg. Pomoc ma dotyczyć przede wszystkim bogatych obywateli pochodzenia żydowskiego, często zaprzyjaźnionych z architektem. Dobrze zorganizowany i skutecznie działający system, powstały jako reakcja na hitlerowski projekt tak zwanych podwójnych list, ratuje życie niejednej osoby i pomaga w ukryciu przedmiotów o trudnej do oszacowania wartości. To po pierwsze.

Po drugie – fakt niezwykłej wagi – nic nie wskazywało, by oprócz autora wywiadu przeżył wojnę ktoś znający ów sekret czy choćby fakt jego istnienia. Wiedza o nim umarła śmiercią gwałtowną lub naturalną, wraz z tymi, którzy mogli ją posiadać. Gdyby nie artykuł Michalewicza, byłoby tak do dzisiaj. W obliczu nadchodzącej śmierci ostatni depozytariusz tajemnicy postanowił o niej opowiedzieć. Pozbywając się brzemia wiedzy i winy, liczył na to, że być może kogoś zainteresuje jego artykuł.

I nie przeliczył się – choć tutaj po raz pierwszy wchodzimy w sferę domysłów. Dyrygent Damian Rucacelli, rodak Michalewicza, podobnie jak on mieszkający we Włoszech, a mający wkrótce w krakowskiej filharmonii poprowadzić koncert, postanawia go odwiedzić. Szczegóły usłyszane w trakcie rozmowy przekonują go, że wywiad nie był konfabulacją. Prawdopodobnie wówczas Rucacelli wchodzi w posiadanie batuty, czyli klucza do sejfów, wraz z ukrytą w niej zaszyfowaną informacją.

Owa batuta staje się centralnym punktem wydarzeń mijającego tygodnia.

Zaszyfowana informacja – niestety, częściowo nieczytelna (mimo to jej wartość na naszej giełdzie dowodów gwałtownie wzrosła) – wskazuje drogę do sejfów.

Sejfów, który kryć może precjoza o nieznannej wartości.

Wiedza Michalewicza dotycząca dostępu do korytarza dyrygenckiego była bardzo ograniczona, dawała jednak cień szansy na odnalezienie sekretnego schowka. Podobnie rzecz się miała z Rucacellim – przekazane mu informacje mogły okazać się wystarczające do zrealizowania misji.

Należy jednak przypuszczać, że Rucacelli nie był jedyną osobą, która odwiedziła sędziwego inżyniera. Musiał z nim rozmawiać jeszcze ktoś. Ktoś, kto podążył śladem dyrygenta i – z jego udziałem lub bez – był zdecydowany rozwikłać zagadkę.

Tajemniczy przedstawiciele firmy płytowej. Ci, którzy niepokoił maestra w trakcie wieczoru spędzanego z Wandą w hotelowym barze. Podążając jego śladami, przybyli do Krakowic nie po to, by negocjować kontrakt płytowy, tylko by zmusić go do współpracy na zupełnie innym polu.

Musieli znać się przedtem. Jednak Rucacelli wołał cisnąć batutę/klucze w lodowatą wodę niż pozwolić, aby dostała się w ich ręce.

Dlaczego?

Kim byli i co wiedzieli?

Usunęli z drogi Rucacellogo, za wszelką cenę chcieli odzyskać batutę, a w chwili gdy ta walka zdawała się przegrana, nie przestawali mnie śledzić. W trakcie mojej wizyty w gabinecie dyrygenckim jeden obstawiał główne wejście, drugi obserwował mnie przez rozetowe okno (przypomniał mi się nagły powiew niepokoju). Czekał na mój ruch, jakiś gest, który dałby im odpowiedź. Jeśli tak rzeczywiście było, musiałem ich srodze rozczarować. Poszli więc własnym tropem, który wiódł przez obraz i rzeźbę. Więc może naprawdę jest już za późno? Ale przecież batuta-klucz jest ciągle w moich rękach! W pokoju dyrygenckim prawdopodobnie ukryte jest wejście do jednego z korytarzy. Czy Rucacelli zdołał je odkryć? A może udało się to „przedstawicielom wytwórni płytowej”?

Nagle przypomniał mi się fragment rozmowy z portierem: „A ten dyrygent to się mnie wczoraj po koncercie pytał, czy ja zostaję na noc, bo on musi wrócić do swojego gabinetu, bo musi jeszcze popracować, co mi się dziwne wydało, co on tam jeszcze chciał robić po koncercie, ale to nie moja sprawa, a za artystą pan czasem nie nadążysz, a ja mu na to, że nie, że na nocnej będzie kolega, a on, żebym ja jednak tego kolegę uprzedził, że on na pewno przyjdzie, może nawet bardzo późno, ale na pewno, bo to będzie straszna bomba, ale jak zmieniałem kolegę rano, to mi powiedziała, że go nie było, ale jak mógł być, jak on tam już wieczorem półmartwy leżał...”.

I jeszcze jeden, z tej samej rozmowy: „...że pracował nad czymś u siebie w gabinecie, to fakt, był tam przed próbami i po próbach, jakiś projekt szykował, pewnie coś z tym nagraniem, czy jak, bo tam go nawet ci agenci z wytwórni płytowej odwiedzali...”.

Zaraz, zaraz, to potężny ładunek danych. Trzeba je tylko dobrze przetworzyć. Czego Rucacelli szukał w pokoju – wiadomo. Czy osiągnął cel? Chyba tak. W przeciwnym razie nie mówiłby pewnie o „bombie”. Na poniedziałek rano zapowiedział konferencję prasową. Prawdopodobnie w jej trakcie chciał wyjawiać odkrycie. Nie chodziło o żadne płytowe nagrania ani liderowanie Filharmonii Krakowskiej. To wszystko były plotki, które zresztą dyrekcja instytucji jednoznacznie zdementowała. Tematyka konferencji miała dotyczyć czegoś zupełnie innego: Rucacelli znał już prawdę o tajemnicy Rosenberga i chciał ją ujawnić. Natomiast „przedstawiciele wytwórni płytowej” chcieli, aby podzielił się nią tylko z nimi. I na tym tle doszło do szamotaniny na moście. Wniosek, który mi się nieodparcie nasuwał, nie był szczególnie przyjemny, ale należało go wreszcie nazwać po imieniu. Mieliśmy do czynienia z ukrytą pod eleganckim strojem śmiertelnie niebezpieczną włoską mafią...

Na pytanie, skąd tu mafia? – odpowiedź była akurat stosunkowo, by nie rzec banalnie, prosta. Prosto z Włoch. Sprawa wypłynęła we Włoszech. Jeśli wśród przypadkowych czytelników wywiad wywoływał co najwyżej chwilę refleksji albo uśmiech politowania, to przecież nie tylko zwykli ludzie go czytali. W takiej kategoryzacji ani dyrygent, ani mafioso nie należeli do tych zwykłych. Natomiast mój pobyt we Włoszech skutecznie odczytał mnie stereotypowego rozumienia pojęcia mafia.

Jest to znakomicie zorganizowane i zarządzane przedsiębiorstwo, odznaczające się doskonałym rozeznaniem rynku i niezwykłym nosem do interesów. Jeśli przypuszczenia, które coraz śmieiej snuliśmy, miały okazać się prawdziwe – dla odkrywcy sejfu Rosenberga mogło to

oznaczają wielkie pieniądze. Paradoksalnie więc obecność mafii w rozgrywce wcale mnie nie zdziwiła. Wręcz dziwiłem się sobie, że tyle czasu zajęło mi połączenie jej z książkowymi sylwetkami.

Nie rozumiałem natomiast związku camorry z dyrygentem. Nie wiedziałem też, skąd się w tym wszystkim wzięli żołnierze Ryżego? Czyżby Włosi wynajęli ich w charakterze podwykonawców?

– Wiesz, Bartku, ciągle zastanawia mnie ta wczorajsza kradzież. Bo albo nasi rywale wiedzą coś, o czym my nie wiemy, albo wręcz przeciwnie: szukają po omacku i to z coraz większą niecierpliwością. Zabrali obraz i rzeźbę, ale zwróć uwagę na ten fragment tekstu – Sebastian Mars zakreślił pisakiem jedno ze zdań: „Aby więc odnaleźć i otworzyć ukryte korytarze, nie były potrzebne żadne klucze ani wytrychy, wystarczył mózg...”. – I jeszcze to, i to. – Dwa kolejne, zielone kółka, ubarwiły wydruk. – „Należy jeszcze dodać, że idea wystroju pokoju dyrygenckiego pochodziła od samego Rosenberga, a jej twórcą i wykonawcą był wybitny rzeźbiarz, również zaprzyjaźniony z Rosenbergiem, w którego pracowni wykonano wszystkie drewniane elementy gabinetu. Niestety, jego nazwisko uleciało mi z pamięci. Na prośbę architekta nadzorował on ponadto wykonanie drewnianych elementów wystroju sali koncertowej. Myślę, że bez tej współpracy projekt Rosenberga byłby niemożliwy do zrealizowania...” Słyszysz? Mowa o drewnianych elementach. Wydaje się oczywiste, że popiersie Karłowicza jest dziełem tego samego rzeźbiarza, o którym mówi Michalewicz.

– Na rzeźbie jest rok powstania: tysiąc dziewięćset trzydziesty siódmy.

– To na pewno nie jest przypadkowa zbieżność dat. – Sebastian Mars zafrasował się, a po chwili podjął przerwany wątek. – Na pytanie o szyfry strzegące wejść do korytarzy Michalewicz odpowiada: „Powieм tylko tyle, że miały związek z dwiema powszechnie znanymi pasjami Rosenberga”. I dalej: „Dla tych, którzy go znali, była to wystarczająca wskazówka, przynajmniej aby dostać się do korytarza koncertowego. W przypadku tego drugiego, jak już mówiłem, sprawa była bardziej skomplikowana, ale taka właśnie miała być...”.

– Może powszechnie znaną pasją Rosenberga było malarstwo i dlatego było jasne, że to obraz ukrywa wskazówkę? – Ciągle nie mogłem sobie darować przeoczenia być może najistotniejszego elementu sprawy.

– Kto wie? – Sebastian nie wydawał się przekonany. – Czy w sali koncertowej wisi jakiś obraz?

Szybko przeleciałem myślami jej wnętrze.

– Nie, na pewno nie. To znaczy, teraz nie. A jak było kiedyś?

– Słuchaj – Sebastian Mars ożywił się gwałtownie – z tego wszystkiego zapomniałem! Znalazłem książkę, o którą wczoraj pytałeś. Samo wydawnictwo nie jest takie stare, ale dość bogato ilustrowane zdjęciami z różnych lat. Ukazało się z okazji jubileuszu siedemdziesięciopięciolecia filharmonii. Może tam znajdziemy coś ciekawego?

Zdjął z półki wcześniej przygotowaną książkę.

– Bartku, zróbmy tak: ty sobie to spokojnie przejrzyj, a ja w tym czasie odwiedzę mamę. Jest przyzwyczajona, że w sobotę o tej porze przynoszę jej tygodniki.

Kamienica przy Kanonicznej miała swój rytm życia. Mieszkając w niej, a jednak jakby osobno, wyczuwałem go w postaci harmonii pulsującej w starych murach.

O intelektualnych zaletach starszej pani słyszałem już nieraz, chociaż nigdy jeszcze nie miałem okazji jej widzieć; chyba rzeczywiście nie opuszczała swojego pokoju. Żonę antykwariusza, panią Sabinę, widywałem nieczęsto. Miała typ nienarzucającej się osobowości, a jednak jej obecność – jak obecność dobrego ducha – rozświetlała atmosferę domu.

Zatem o mieszkankach kamienicy przy Kanonicznej wiedziałem głównie, że istnieją, choć aura życzliwości, którą wyczuwałem, kazała mi sądzić, że akceptują moją obecność.

Jeśli chodzi o Sebastiana Marsa, to ostatnie wydarzenia uczyniły z nas pewnego rodzaju współników. Nie zawsze formułując swoje sądy wprost, posiadał on umiejętność wyławiania rzeczy najważniejszych i kierowania na nie mojej uwagi. A współpraca nasza układała się coraz pełniej i harmonijniej, czego kolejny dowód trzymałem właśnie w rękach. Gdy antykwariusz wraz z pakietem gazet, pachnących jeszcze świeżą, drukarską farbą, zniknął za drzwiami, wziąłem się do przeglądania albumu.

Najpierw przewertowałem go pobieżnie. W mniejszym stopniu interesowały mnie zewnętrzne zdjęcia budynku – to nie tam kryło się rozwiązanie zagadek. Przy odrobinie szczęścia mogłem liczyć na fotografie z pokoju dyrygenckiego; różnica między sufitem sprzed remontu Rosenberga i po nim mogła stanowić cenną podpowiedź. Ale czekało mnie rozczarowanie; takich zdjęć w albumie nie było. Były za to fotografie hallu, foyer i – na szczęście! – sali koncertowej.

Skoncentrowałem się na analizie tej ostatniej.

Jej los, nierozzerwalnie związany z losami budynku, dokumentowany był zdjęciami z trzech okresów, które dla swoich potrzeb nazwę: pierwotnym, okołowojeńnym i współczesnym. Okres pierwotny obejmował lata od zakończenia budowy do pierwszego remontu, którego oficjalnym powodem była „próba polepszenia akustycznych właściwości sali” – dokładnie o tym mówił Michalewicz w swoim wywiadzie. Renowacji podjęto się, zaprojektowało ją i przeprowadziło: „konsorcjum miejskich rzemieślników pod kierownictwem biura architektonicznego ROZA”. Tylko tyle, ani słowa więcej, ale dla mnie to było aż tyle. Na razie słowo w słowo potwierdzały się fakty podane przez Michelangelego. Co to mogło oznaczać? Poczuję delikatny przemarsz kilku mrówek w okolicach kręgosłupa.

Co ciekawe, kolejny remont, który wykonano już po wojnie – rozpoczęto go w 1952 roku – motywowano również chęcią podniesienia walorów akustycznych sali.

Powód – zakłęcie.

Na pierwszy rzut oka zdjęcia z poszczególnych okresów nie różniły się bardzo między sobą. Nie były też dokumentacją wszystkich szczegółów sali sprzed i po remontach. Starałem się jednak myśleć logicznie. Akustyka sali ma bezpośredni związek nie tylko z jej proporcjami, ale i z materiałami użytymi do wystroju lub wykończenia. Często są one wkomponowanymi w całość ekranami dźwiękowymi. W zależności od potrzeb mają dźwięk odbijać, na przykład drewno, lub tłumić jak materiał. Postanowiłem dokładniej przyjrzeć się podłodze, ścianom i sufitom.

Rozmiar i ostrość zdjęć pozostawiały sporo do życzenia, z ulgą dostrzegłem więc, że trzecie oko antykwariusza leży na stole.

Tak, teraz widziałem lepiej. Żeby już nie plątać się w szczegółach, powiem o tym, co najważniejsze. W stosunku do okresu pierwotnego sala koncertowa po przeróbkach

Rosenberga zyskała przepiękną, mozaikową, oczywiście drewnianą, podłogę w miejsce zwykłego parkietu. Również dwie części sufitu – nad estradą oraz najwyższym balkonem, zwanym jaskółką – pokryte zostały drewnem. Obie płaszczyzny robiły teraz wrażenie doskonale symetrycznych.

Natomiast remont powojenny ponownie odsłonił ścianę nad sceną, z której usunięto wówczas warstwę drewna. Nad jaskółką zaś pojawiły się wykładane pluszem kasetony, które zastąpiły bądź zasłoniły drewniane elementy. Odnosiłem również wrażenie, że najwyższy balkon został skrócony oraz obniżony.

W tych wszystkich szczegółach dostrzegłem jeden, który spowodował, że tym razem już stadko mrówek przeszło po moich plecach. Przyjrzałem się raz jeszcze, pragnąc za wszelką cenę uniknąć pochopnych wniosków. Ale nie, nie myliłem się: po ingerencji Rosenberga sufit nad jaskółką zyskał strukturę szachownicy. Pozostawało pytanie: czy w trakcie powojennych przeróbek usunięto ją przed położeniem nowego materiału, czy też przeciwnie: oszczędzono, zasłaniając jedynie? I jeszcze jedno: czy z dostrzeżonego przeze mnie podobieństwa wzoru sufitów w sali koncertowej i gabinecie dyrygenckim coś wynika... Tylko spokojnie, mówiłem sobie, krok po kroku. Miałem wrażenie, że kolejny przed chwilą udało mi się zrobić.

Kontemplując odkrycie i rozważając jego znaczenie dla rozwikłania poplątanych strzępków przeszłości i teraźniejszości, kątem oka dostrzegłem powrót antykwariusza. Co dziwne, zachowywał się nieco podobnie do mnie; choć obecny, sprawiał wrażenie szybującego w oddali. Skoro jednak ja surfowałem, dlaczego on nie mógł szybować?

Sebastian przez chwilę jeszcze pozostawał nieobecny duchem. W końcu jednak wykrztusił z siebie:

– Moja matka znała Rosenberga.

Choć nieźle już zaprawiony w łączeniu faktów minionych i bieżących, nie od razu zrozumiałem. Prostota wypowiedzianych słów była jak huragan w pigułce. Na szczęście antykwariusz odzyskał po chwili kontrolę nad strunami głosowymi i kontynuował:

– Gdy zaniósłem mamie gazety, jak zwykle zapytała mnie: „Sebastian, co tam nowego w świecie?”. Odpowiedziałem, że nie tyle nowego, ile starego: duchy przeszłości wychodzą na powierzchnię. Odpowiedź jej nie zadowoliła, więc musiałem ją nieco rozwinąć. Wyobraź sobie moje zdumienie, gdy matka w pewnym momencie przerwała mi, mówiąc: „Rosenberg? Szymon Rosenberg? Ten architekt? Przecież ja przyjaźniłam się z jego córką”.

Przypominam sobie scenę, ujrzaną kiedyś w filmie o poszukiwaczach biblijnej Arki Przymierza. Gdy jeden z nich wpada na obiecujący trop, w pomieszczeniu gasną nagle świece, zdmuchnięte niezrozumiałym podmuchem, a zwisające z sufitu ozdoby zaczynają wirować.

Na zapleczu antykwariatu nie paliły się w tej chwili świece, z pułapu nie zwisały żadne dekoracje i nie wiał wiatr. A samo wyobrażenie przedmiotu poszukiwań w tak mitycznej formie musiało wywoływać uśmiech.

Krótko mówiąc: nie ma to, jak umiejętnie dobrane porównanie.

A jednak poczułem, że moje dosyć długie włosy zatańczyły, wprawione w płas podobnie niezrozumiałym czynnikiem.

– Pamięć mojej mamy płata figle – podjął po chwili antykwariusz. – Momenty jasności są przeplatane wizjami z różnych fragmentów życia. Na temat Rosenberga nie powiedziała nic więcej. Tyle tylko że gdzieś w starych albumach mogą być ich wspólne zdjęcia; to znaczy: jej i Zosi, córki architekta, a może nawet na którymś zaplątał się ojciec Zośki.

Zrozumiałem, że słowa starszej pani należało traktować z ostrożnością, oprócz precyzyjnych wypowiedzi zdarzały się myślowe przędze, w których precyzja umiejscawiania faktów i osób we właściwym miejscu i czasie odgrywała rolę drugoplanową.

– Posłuchaj, Bartku, moja matka jest teraz podekscytowana. Całkiem niespodziewanie odezwały się reminiscencje z jej młodych lat. Obiecała mi, że zaraz poszuka tych starych zdjęć. Boję się, że jeśli będziemy zwlekać, zapomni o wszystkim. Chodźmy do niej teraz.

– Ale dlaczego ja? Jak mógłbym zakłócać spokój pana mamy? – broniłem się jak asystent czarnoksiężnika, który musi nagle stanąć przed obliczem srogiej wróżki.

– Mama powiedziała, że pokaże nam te zdjęcia. Nie mnie, tylko nam, rozumiesz? Nie pytaj mnie dlaczego. Jeśli chcesz obejrzyć te fotki, bo ja chcę, to proszę, chodź ze mną.

Dalsze pytania nie miały sensu.

Pokój starszej pani odpowiadał moim wyobrażeniom. Przyciemniony, pełen trudnego do sprecyzowania, a przyjemnego zapachu ziół, kadzidełek i bibelotów, sprawiał wrażenie łącznika między przeszłością a teraźniejszością lub pomiędzy dwoma światami: materii i ducha.

Zadziwiająco błyszczące oczy przyglądały mi się spod czoła okolonego aureolą siwych, gładko zaczesanych włosów. Spojrzenie to wybiło mi z głowy niepotrzebne gesty pod tytułem: przedstawianie się, całowanie rąk i – generalnie – robienie dobrej miny do niezrozumiałej gry.

– Ty jesteś Bartek; dobrze, dobrze...

Nie wiedziałem, czy i co jest dobrze, a już na pewno dlaczego, ale na wszelki wypadek nie oponowałem, chyląc jedynie głowę w subtelnym geście potwierdzenia własnej tożsamości.

– Posłuchajcie, chłopcy, udało mi się znaleźć jedno ze zdjęć z Zosią Rosenberg. Spójrzcie.

Leżący na stoliku album świadczył, że fotka została dopiero co wyjęta. Ze starego zdjęcia w kolorze sepii spoglądały na nas oplecione warkoczycami twarze dwóch dziewczynek, oraz dwóch mężczyzn: uśmiechniętego, trzymającego papierosa, nienagannie ubranego i robiącego wrażenie pewnego siebie, i drugiego – nieśmiało uśmiechniętego, ale jakby z nostalgią w oczach, widoczną nawet przez szkła okrągłych, drucianych okularów.

– To jestem ja, Zośka i jej ojciec. – Piegowate buzie uśmiechały się do nas. Zdjęcie było kapitalne. Z uśmiechem przekazałem je Sebastianowi.

Logiczne wydawało mi się, że skoro jeden z mężczyzn jest ojcem Zosi, to drugi musi być tatusiem Adeli, czyli starszej obecnie pani, a dziadkiem antykwariusza. Lecz byłem w błędzie.

– Nie, to nie jest mój ojciec. Jego tam wtedy nie było. Jeśli dobrze pamiętam, to chyba jest pan Nimzowitsch, przyjaciel ojca Zośki.

Sebastian dał mi znak, że najwyższa pora się wycofać. Ukłoniłem się wdzięcznie i ruszyłem za antykwariuszem.

– Ale, ale, jestem przekonana, że było jeszcze drugie zdjęcie, dużo miłsze, tyle że nie mogłam go znaleźć. Potem spróbuję jeszcze raz.

Żywe i bystre oczy spojrzały na mnie raz jeszcze. Tak nie patrzy ktoś, kto ma problemy z pamięcią.

– Bartek, powodzenia.

Sebastian Mars musiał jej wspomnieć o poniedziałkowej audycji.

Zeszliśmy na dół. Odwiedziny u starszej pani nie posunęły nas do przodu. Właściwie moje włosy mogły spokojnie opaść na miejsce. W geście rozczarowania rozłożyłem ręce.

Jednak antykwariusz wydawał się nie podzielać mojego sceptycyzmu; rzekłbym nawet, że był podniecony.

– Bartosz, ty naprawdę nie wiesz, kim był Nimzowitsch?

Wstyd się przyznać, nie wiedziałem.

– Aaron Nimzowitsch był łotewskim arcymistrzem szachowym, jednym z najwybitniejszych teoretyków i graczy na świecie w tamtych latach.

OK. Teraz wiedziałem.

Chciałem natychmiast biec do filharmonii. Ale przychylnego mi portiera jeszcze tam nie było. O swobodnym myszkowaniu po budynku nie było w ogóle mowy.

Żelazna decyzja została podjęta nie bez bólu. Choć rwałem się, aby podążać dalej coraz wyraźniej rysującą się drogą szachownic, znalazłem w sobie siłę na ćwiczenie.

Wczorajsze stwierdzenie podobieństwa instrumentu mistrza Solniczki do mojego własnego, chwilowo, a może bezpowrotnie utraconego, było tak zdumiewające, że nie pozostawiało mi właściwie wyboru. Znowu wszystko było w moich rękach; mogłem to wykorzystać lub zaprzepaścić. Zagadka Rosenberga musiała kiedyś zniknąć, przygoda z altówką była treścią mojego życia. Dokonawszy samobombardowania jaźni powyższymi faktami, pożegnałem się na razie z antykwariuszem. Umówiliśmy się, że odwiedzę go ponownie przed planowaną wizytą w filharmonii. Obiecał podzielić się wówczas garścią informacji o Nimzowitschu, które zamierzał odświeżyć.

Mówi się, że aby zagrać przesłuchanie na osiemdziesiąt procent możliwości, trzeba być przygotowanym na procent sto pięćdziesiąt. Ostatnie dni pracy to tylko utrzymywanie dyspozycji, będącej wynikiem całego okresu przygotowań. Przekonywanie siebie, że czas został optymalnie wykorzystany, co się udaje, jeśli tak było w istocie. Palców i rąk nie należy już przemęczać. Napracowały się dosyć, teraz trzeba im zapewnić świeżość.

Zwłaszcza ostatni wniosek przypadł mi do gustu. Postanowiłem podporządkować się mądrym wskazaniom. Stało się to jednak po dobrych dwóch godzinach ćwiczenia. Strzałka wskazująca moje instrumentalne morale ponownie wróciła na zielone pole.

Była jeszcze jedna sprawa, właściwie osoba, o której myśl nie dawała mi spokoju. Wanda.

Powoli zaczynałem przyzwyczajać się do jej telefonów. Teraz byłem pewien, że pierwsza nie zadzwoni. Czy czułem coś do niej? Żle sformułowane pytanie. Czy podobała mi się? Tak, owszem, nie mogło być inaczej. Wanda nie mogła się nie podobać. Mogła zachwycać, czarować, oszalać. W dodatku zaniepokoiła mnie wczorajszym zachowaniem. Podwójnie zaniepokoiła. Po pierwsze, niesłabnącym zainteresowaniem kwestiami batutopochodnymi. Ale przede wszystkim rosnącym zainteresowaniem moją skromną osobą, na pierwszy, drugi i trzeci rzut oka nielocznym.

Zdecydowałem się.

– Cześć, Wanda, mówi Bartosz. Masz ochotę ze mną chwilę porozmawiać?

– Cześć, Bartek. – Głos dziewczyny był trochę niepewny, jakby przestraszony. – Teraz za bardzo nie mogę, ale zadzwonię do ciebie, może jutro?

Poczułem ulgę – nie obraziła się na mnie – i rozczarowanie.

– Będę czekał na twój telefon.

Na moim zegarze dochodziła szesnasta. Zbliżała się godzina pana Zenka. Do tej pory nie dzwonił, miałem więc nadzieję, że odkrycie kradzieży odbyło się według założonego przez nas planu. Czy istniał jakiś inny, zapisany w górze, który przewidywał na dzisiaj odkrycie kolejnych prawd?

– Aaron Nimzowitsch był jednym z najpoważniejszych kandydatów do walki o tytuł mistrza świata. Nie doszło do niej z powodów finansowych. Zdarzały się jednak turnieje, na których udawało mu się pokonać byłych lub przyszłych czempionów, takich jak Aleksander Alechin i José Raúl Capablanca. Był twórcą hipermodernistycznej teorii szachów, którą wyłożył w dwóch dziełach: *Mein System* i *Die Praxis meines System*. Urodził się w Rydze, zmarł w tysiąc dziewięćset trzydziestym piątym roku w Kopenhadze, mając czterdzieści dziewięć lat.

Tymi informacjami uraczył mnie Sebastian Mars, gdy po drodze do filharmonii, wpadliśmy z Estonem do antykwariatu.

– Logiczne jest więc, że zdjęcie musiało być zrobione przed rokiem tysiąc dziewięćset trzydziestym piątym. Jakie z tego płyną dla nas wnioski? – myślałem na głos.

– Jeden, główny i najważniejszy. W tysiąc dziewięćset trzydziestym trzecim roku odbył się w naszym mieście turniej szachowy; jego honorowym przewodniczącym i gościem był Aaron Nimzowitsch. Na liście uczestników, do której udało mi się dotrzeć, jest nazwisko... Szymona Rosenberga. Jego zdjęcie z Nimzowitschem to nie przypadek. Rosenberg był czynnym szachistą, nie wiem, czy na poziomie mistrzowskim, w każdym razie uprawniającym go do udziału w międzynarodowych turniejach. Nie zapominajmy jednak, że to nie była jego profesja – miał swoją, w której był specjalistą najwyższej miary. Czym więc były dla niego szachy? Bartku, rozumiesz już?

Trudno było nie rozumieć. Graniczyło z pewnością, że zidentyfikowaliśmy jedną z „dwóch powszechnie znanych pasji Rosenberga”.

Szachy.

Pora zaczynać partię.



ROZDZIAŁ XV

SOBOTA PÓŹNIEJ

Pan Zenon miał dosyć zadowoloną miną. Przywitał się z nami – szczególnie z psem – jak ze starymi znajomymi. Eston odwdzieczył się tym samym.

Wszystko odbyło się w zgodzie z naszym scenariuszem. Rano portier „odkrył” włamanie do pokoju dyrygenckiego. Zawiadomił dyrekcję i policję, która po przyjeździe stwierdziła kradzież obrazu oraz rzeźby i „zabezpieczyła miejsce przestępstwa”. To była gorsza wiadomość. Od tej chwili policyjna plomba strzegła dostępu do pokoju dyrygenckiego.

Na szczęście sala koncertowa była osiągalna. Chciałem zaczynać partię, ale najpierw musiałem odnaleźć pole gry. Czy wypełnione pluszem kasetony jedynie przykryły szachownicę, czy też zastosowano opcję zerową, zrywając wszelkie wcześniejsze elementy i dekoracje? W tym drugim przypadku odkrycie tajnego wejścia wydawało się nieuniknione – podobna sensacja musiałaby jednak odbić się głośnym echem, a ja nigdy o niczym podobnym nie słyszałem. I w tym pokładałem swoją nadzieję.

– Panie Zenku, czy miałby pan coś przeciwko temu, żebym poszedł na chwilę do sali koncertowej? Chciałbym przed poniedziałkiem oswoić się z atmosferą.

Jakkolwiek głupio to brzmiało, nic mądrzejszego nie przychodziło mi do głowy.

Pan Zenek spojrział na mnie wymownie. Wspomnienie, czym skończyła się wczorajsza wizyta w pokoju dyrygentów było dosyć żywe. Ale popatrzył na Estona i złągodniał.

– Dobrze, niech pan idzie, zapalę światło. – Wcisnął przycisk na tablicy rozdzielczej. – Tylko, wie pan...

– Niech pan się nie martwi – wszedłem mu w słowo. Pójdę i zaraz wrócę.

Jedynym elementem sali koncertowej, który mnie dziś interesował, była jaskółka. Już pierwsze obliczenie było obiecujące. Nad moją głową znajdowały się 64 kasetony. Bok każdego nich miał około metra długości. Liczba równająca się liczbie pól szachownicy nie mogła być

przypadkiem. Ale co dalej? Z rozpaczą patrzyłem na będące poza moim zasięgiem fragmenty sufitu. Musiałem zaryzykować.

Ostrożnie tuż przy ścianie wspiąłem się na balustradę, za którą ziała kilkunastometrowa przepaść. Sufit opadał tu nieco w kierunku ściany, co ułatwiało dostęp do zewnętrznych kasetonów. Pociągnąłem za róg ciężkiego materiału. Przy trzeciej próbie udało mi się go trochę naderwać. Pomiędzy pluszem a brzegiem kasetonu pojawiła się malutka wyrwa. Wsunąłem rękę pod materiał i na ile się dało, odchyliłem plusz.

Trudno było jednoznacznie stwierdzić, co znajduje się pod spodem. Postukałem palcem w odsłonięty fragment sufitu. Teraz już nie miałem wątpliwości. Pod wypełniającą kaseton aksamitną poduchą znajdowała się drewniana płyta. Dla pewności powtórzyłem operację w sąsiednim kwadracie. Drewno, które ukazało się spod spodu, było jaśniejszej barwy. Pod pluszem znajdowała się oryginalna szachownica Rosenberga. Aby odkryć jej tajemnicę powinienem odsłonić wszystkie sześćdziesiąt cztery pola. Niewykonalne.

Ile czasu zajęło mi sprawdzanie dwóch kasetonów? Bałem się, że za chwilę do sali wpadnie portier, a ujrawszy moją paranoiczną działalność wyrzuci mnie na zbity pion. Wiedząc już tak wiele i będąc tak blisko, w rzeczywistości wyczerpałem zasób dostępnych mi działań. Należało pomyśleć i to szybko – mój Boże, a co ja przez cały czas robiłem? – lub znaleźć kolejny pretekst do wizyty za, powiedzmy, parę godzin.

To może w ogóle tu zamieszkać?! Gościnność i tolerancja pana Zenona musiały mieć swoje granice. Raz przekroczone, mogłyby położyć kres naszej znajomości i odciąć mnie skutecznie od dostępu do najważniejszych pomieszczeń, przez ostatnie dwa dni niespotykane ułatwionego.

Jedna z dwóch powszechnie znanych pasji Rosenberga...

Jego znajomi wiedzą o niej, jednak, aby poznać tajemnicę dostępu do korytarza, muszą się skontaktować z Michalewiczem. Samo użycie szyfru, czyli otwarcie przejścia, nie może trwać długo; to nie żaden skomplikowany wzór, na pewno nie odtwarzanie wielu posunięć wyjątkowo złożonej partii. Poddani presji czasu i strachu ludzie muszą wykonać prostą czynność, która uratuje im życie. Sprawdzanie po kolei sześćdziesięciu czterech pól nie wchodzi w grę. A więc co? Co jest szyfrem otwierającym upragniony właz?

Zdesperowany zadzwoniłem do Sebastiana Marsa.

– Bartek? Znalazłeś coś? Co? Jest szachownica?! Rewelacja!

– Do pewnego stopnia tak. Tylko że czas mi się kończy. Panie Sebastianie, mamy szachistę, szachownicę i zagadkę szachową. Wszystko się zgadza. Potrzebujemy tylko szyfru otwierającego przejście. Co nim może być?

Po drugiej stronie zapadła cisza. Antykwariusz rozłączył się. Może miał już dość moich ciągłych pytań. A może tak jak ja nie wiedział, co dalej.

Poczułem gorycz porażki. Znowu byłem blisko. Ale nawet mając tyle danych, muszę stąd odejść jak niepyszny. A skoro tak, to jak w ogóle myśleć o rozwiązaniu problemu o wyższym stopniu trudności?

Zacząłem maskować uszkodzone kasetony. Jeszcze przed chwilą miałem nadzieję, że w ogólnym rozwoju wypadków te drobne zniszczenia nie będą miały większego znaczenia. Teraz okazały się moim jedynym dokonaniem.

Ociągając się, ruszyłem do drzwi. Potrzebowałem czasu, po prostu więcej czasu.

Komórka zadzwięczała.

SMS. „Nowa, jeszcze lepsza taryfa?”, przemknęło mi przez myśl.

Ale to było coś innego.

Niezawodny Sebastian Mars nie tracił czasu na gorzkie żale. Na wyświetlaczu telefonu przeczytałem: „Debiut Nimzowitscha – e4 Sc6”.

Kod dostępu.

Antykwariusz musiał przeanalizować różne dane i wybrać najbardziej prawdopodobne rozwiązanie. Rosenberg grając czarnymi, większość swoich partii rozpoczął debiutem Nimzowitscha, swojego przyjaciela i szachowego guru... Zapisy kilku z nich znajdowały się w odnalezionej przez Sebastiana Marsa gdzieś na strychu kronice pamiętnego turnieju szachowego z 1933 roku, którego honorowym gościem był łotewski arcymistrz.

Wstąpiły we mnie nowe siły. Marazm sprzed chwili zniknął jak za dotknięciem czarodziejskiej różdżki. Teraz miałem już wszystkie dane. Reszta była w moich rękach.

Należało ustalić położenie szachownicy. Presja czasu, pod którą się znajdowałem, była niczym wobec tej, którą odczuwali ludzie grający o swoje życie. Musieli dysponować wskazówką umożliwiającą natychmiastowe zorientowanie szachownicy.

Prostą.

Logiczną.

Już wiem. Numery krzesel i numery rzędów. Takie wskazówki musiały wyeliminować ryzyko pomyłki i stratę cennych minut. Stwierdziłem, że numery krzesel rosną od lewej do prawej.

Pozostawało pytanie, gdzie znajduje się czoło szachownicy? Wątpliwości zostały rozwiane szybko: rzędy oznaczone były literami w odwróconym porządku. Element przypadku nie wchodził w rachubę. To była rozgrywka precyzyjna i logiczna. Choć liczba kombinacji w szachach powiększa się z każdym kolejnym ruchem, to dobrzy gracze wiedzą, które z nich nie mają sensu. Do tej pory nie mogłem mieć żadnych wątpliwości co do mistrzowskich kwalifikacji szachowych Nimzowitscha i architektonicznych – Rosenberga.

Co innego było moim zmartwieniem. Jeśli trafnie odczytałem ustawienie szachownicy, to drugie z interesujących mnie pól wypadło poza balustradę i mogło się po prostu okazać nieosiągalne...

Przypomniały mi się zdjęcia z albumu o filharmonii. Istotnie, jaskółka została po wojnie skrócona i obniżona.

Wybiegłem z sali. Pamięć podpowiadała, że w końcu korytarza znajduje się kanciapa ze sprzętem gospodarczym. Miałem nadzieję, że niezamknięta na klucz.

Uff, co za ulga – komórka była otwarta, a poruszona drzwiami drabina o mało mnie nie przysgniotła. Udało mi się zainstalować ją między fotelami.

Jak oni to robili? Może podsadzali się albo używali jakiegoś narzędzia? A może po remoncie Rosenberga sufit znajdował się ledwie pół metra nad głową? Zacząłem się łapać, że istnienie tajnego wjazdu traktuję już jako fakt dowiedziony. Tak wielka była siła sugestii, pragnienie, aby mozolnie wznoszona konstrukcja nie okazała się zamkiem z piasku. Za chwilę miałem wiedzieć.

Zabrałem się do zdzierania wierzchniej warstwy. Na szczęście wiekowy materiał stracił już swoją elastyczność. Wbicie się dłonią w stanowiący całość, ale sparciały aksamit nie było zadaniem ponad siły. Tumany wieloletniego kurzu zaczęły drażnić mi nos. Po chwili płat materiału spadł na fotele, a moim oczom ukazała się drewniana płyta jasnego koloru.

Odniosłem wrażenie, że listwy tworzące obramowanie kasetonu nie przylegają do szachownicy całkiem ściśle. Zacząłem badać szczelinę po obwodzie. W pewnym momencie dłoń coś wyczuła. Listwa łącząca płyty przesunęła się, a palce znalazły wgłębienie na tyle duże, aby mogły się tam zmieścić – wnękę obliczoną na rozmiar ludzkiej dłoni...

W środku coś było.

Zmysł dotyku przekazywał do mózgu obraz metalowej wypustki. Coś jakby dźwignia, mówiła mi wyobraźnia. Jeśli jest to dźwignia, należy ją...

Przez chwilę nic się nie działo, lecz zwiększony nacisk uruchomił dawno nieużywany mechanizm. Zadanie e4 zostało wykonane. Byłem w połowie drogi. Teraz należało się dostać do pola c6. Niestety, potwierdziły się moje najgorsze obawy. Drabina była bezużyteczna. Odniosłem ją na miejsce, zyskując parę chwil na zastanowienie.

Drugi ruch w debiucie Nimzowitscha należał do skoczka. W sytuacji pierwotnej nie miało to pozaszachowego znaczenia, teraz jednak urastało do rangi symbolu. Skrócona z niewiadomych – konstrukcyjnych? akustycznych? – ale nieistotnych w tym momencie powodów jaskółka, czyniła pole c6 osiągalnym jedynie dla... skoczka.

Wzwyż, w dal lub o tycze.

Nie byłem żadnym z nich. Po raz pierwszy tego wieczoru zacząłem żałować, że nie uprawiam jakiegś dyscypliny sportu. Dzięki graniu na altówce moje palce były wystarczająco elastyczne i zwinne, aby poradzić sobie w zakamarkach kasetonów, ale w tej sytuacji to było za mało.

Pożądane pole znajdowało się nieco poza pionem – oplatała mnie terminologia szachowa – wyznaczonym przez balustradę. Odchylenie szło, niestety, w kierunku sali...

Dźwięk komórki powstrzymał na moment beznadziejne rozważania.

– Bartek? To ja, Wanda. Wiesz, jakbyś chciał się ze mną spotkać, to możemy dzisiaj. – Jej głos był dziwny, drewniany jakby, zrezygnowany. – Jest sobota wieczór, to fajna pora, żeby gdzieś wyjść, pogadać...

Stłumiłem cisnące się pytanie o Jędrusia. Znowu mogłem wszystko popsuć.

– Wanda, naprawdę miło mi, że dzwonicz, ale nie mogę. Jestem w filharmonii i...

Połączenie się urwało. Moi rozmówcy prezentowali dzisiaj dziwną manierę kończenia telefonicznych pogawędek... No cóż, może powinienem zareagować bardziej entuzjastycznie, ale... nie w tym momencie. Nie w chwili rozwiązywania najważniejszego zadania szachowego w życiu. A jednak nie skłamałem Bielskiemu!

Nie poddawałem się. Nie mogłem się teraz poddać, bo to oznaczałoby zaprzepaszczenie wszystkich dotychczasowych wysiłków. Kiedy otrzymałbym kolejną szansę swobodnego buszowania po sali koncertowej?

Pamięć raz jeszcze odtworzyła zestaw nieco archaicznych sprzętów stanowiących wyposażenie kanciapy. Czy to tylko życzenie wyobraźni, czy też w istocie widziałem wiszący na ścianie bosak, pomalowany na piękny, czerwony kolor?

Był tam!

Uzbrojony niczym średniowieczny halabardnik przystąpiłem do szturmowania na pole c6. Zakończoną ostrym grotem końcówką musiałem podziurawić materiał. Jej zakrzywiona część pozwoliła mi w końcu wczepić się weń na tyle mocno, że silnym pociągnięciem zerwałem znaczny płat.

Pole c6 odsłoniło swoje jasne oblicze. Znajdowałem się o krok dalej. Ale następnego nie mogłem już wykonać, nawet z pomocą drabiny, bosaka, piki, halabardy czy jakiegokolwiek innego sprzętu, chyba że byłby to ekwipunek wspinaczkowy, takiego jednak jakimś dziwnym zbiegiem okoliczności akurat nie miałem pod ręką.

Zakładałem, że jestem już tylko – dosłownie – o szczelinę od celu. Żeby marzyć o jego osiągnięciu, musiałbym stanąć na wąskiej, błyszczącej i pachnącej – chyba pastą konserwującą – balustradzie z czerwonego, pewnie owocowego drewna. Potem wspiąć się na palce, jedyne oparcie dla rąk znajdując w suficie – jeśli zdołam go osiągnąć. A jeśli nie? Wtedy miałbym pięćdziesiąt procent szans, że spadnę na stronę jaskółki i trochę się potłukę, lub...

No właśnie – to drugie pięćdziesiąt procent, spektakularny – choć bez udziału widzów – lot, dobre kilka, a może kilkanaście metrów w dół, zakończony lądowaniem na twardych, bo puffy to nie były, fotelach parteru, mógł mi zapewnić przejście do historii filharmonii, ale na pewno nie w charakterze altowiolisty.

Cena ryzyka wydawała się duża, chociaż... nie, nieprawda; wtedy się nad tym nie zastanawiałem. Wierzyłem we własne siły i w to, że nie spadnę z chybotałkiej kładki, którą posuwałem się od kilku dni w kierunku coraz wyraźniejszego celu.

Moja wizyta w sali koncertowej niebezpiecznie się przedłużała. A co jeśli Zenon zacznie mnie szukać? I znajdzie: chodzącego po linie nad przepaścią i niszczącego zabytkowy sufit? Nawet on mógłby tego nie wytrzymać.

Teraz albo nigdy, pomyślałem. Wstąpiłem na balustradę.

Dobrze, że to nie grzmiące działo, pocieszałem się. Ale to się działo naprawdę.

„Niczym linoskoczek powoli przechodzić do pionu, balansując delikatnie rękami, rozpostartymi szeroko, jak do lotu... Nie patrzeć w dół!” – powtarzałem w duchu mantrę, wbijając wzrok w przeciwległą ścianę, a potem sufit. W końcu wyprostowałem się całkiem, próbując ustabilizować pozycję. Niestety, nie osiągałem stropu. Przyszła pora na figurę parabaletową. Tym razem żałowałem, że nie jestem baletmistrem. Balansowanie na krawędzi przychodziłoby mi wówczas z większą łatwością. Imprezy, zwane baletami, nie stanowiły wystarczającej bazy, bym mógł się czuć pewnie i bezpiecznie. Ale żarty naprawdę się skończyły. Teraz już każdy fałszywy ruch mógł mnie kosztować... bardzo drogo.

Któraś z czterech stron kwadratu powinna zawierać – podobną jak w polu e4 – szczelinę, a w niej dźwignię. Jeśli to bok od strony sali – moje szanse były ujemne. W przypadku obu bocznych krawędzi – zerowe. Ostatnia ze ścian czworoboku, ta od strony jaskółki, stwarzała możliwości czysto hipotetyczne, w kategorii Mission Impossible, i to wszystkich jej części naraz, ale tej jednej gotów byłem mimo wszystko spróbować.

Stanie na palcach dłużej niż chwilę powoduje rozchwianie równowagi. Na szczęście bez jej utraty udało mi się dotknąć sufitu na wysokości jedyne go z osiągalnych boków kwadratu. I gdy moje palce, powoli, centymetr po centymetrze zaczęły badać nieznaną, stała się jedna, nie licząc trzęsienia ziemi, z dwóch rzeczy, które właśnie teraz nie powinny się być zdarzyć. Prozaicznie i całkiem po prostu zgasło światło. Poczułem się zawieszony – bez żadnej przenośni – między dwoma światłami. To chyba wtedy właśnie zacząłem siwieć. Ale w ułamek sekundy po zapadnięciu ciemności palce wyczuły chropowate wgłębienie w boku płyty, w które wczepiły się z siłą rozpacz. Poczułem, jak drewno odwzajemnia czuły uścisk, wbijając

się w skórę dziesiątkami drzazg. Ciało wilo się przez chwilę w upiornym, prawie niezauważalnym tańcu brzucha. Po chwili zamarło. Tak jak moje serce.

Po paru sekundach – a może minutach? – palce jako pierwsze otrząsnęły się z letargu. W tej samej chwili delikatnie zapulsowały i zapaliły się lampki wyznaczające drogi ewakuacyjne. W porównaniu z ciemnością, jakiej przed chwilą zaznałem, zdawało się, że salę zalała feeria światła. Zmysł dotyku znowu zaczął przekazywać impulsy do mózgu. Wśród nich był ten oczekiwany, kojarzący się – tak jak i poprzednio – z niewielką przekładnią, która po przesunięciu otwiera maskę samochodu. Mechanizm tym razem nie stawiał oporu. W suficie rozległo się kliknięcie, po czym pole c6 zaczęło powoli opuszczać się z okropnym skrzypieniem, na szczęście w kierunku jaskółki. Właz, który się ukazał, miał nieco mniejszą średnicę niż samo pole, dzięki temu nie zablokowały go drewniane elementy kasetonu. Gdy czasem wracam myślą do minionych zdarzeń, zawsze uderza mnie, że cały wysięk – intelektualny i fizyczny – mógł rozbić się o coś tak prozaicznego jak kawałek drewna, który unieruchomił mechanizm. Dobrze, gdy przypadek jest po naszej stronie.

Naprężone do ostateczności ciało nareszcie znalazło pewniejszy punkt oparcia. W środku otwierającego się włazu dostrzegłem kilka metalowych, prawdopodobnie samowysuwających się szczelbi. Niestety, dawno nieużywane, musiały się zapiec.

Palcami obu dłoni oplotłem pierwszy z nich. Kiedy stopy oderwały się od balustrady, zawisłem nad przepaścią. Ale powrotu nie było. Nie miałem szans ponownie stanąć na balustradzie.

Nadzwyczajna sytuacja i śmiertelny strach wyzwoliła we mnie niezbrane zapasy sił. Po kilku chwilach podciągania i walki z rosnącym ciężarem własnego ciała zapierałem się łokciami o podłogę strychu. Leżałem, oddychając ciężko.

Żyłem.

Otworzyłem wrota czasu, przez kilkadziesiąt lat zamknięte nad głowami ludzi pochłoniętych muzyką. Gdy jednak uświadomiłem sobie, że wszystko, co osiągnąłem do tej pory, było tylko uwerturą, ogarnął mnie kolejny przypływ emocji. Akt pierwszy dopiero się zaczynał. Zamknąłem klapę. Nikt nie powinien zobaczyć dziury ziejącej w suficie. Ach, czasem działanie wyprzedza myśl. Rozległ się trzask, jakby mechanizm zapadkowy wrócił na swoje miejsce. I w mojej głowie coś kliknęło.

„Należało jednak uważać: mechanizm w sali koncertowej działał tylko w jedną stronę. Gościnnie otwarty, po zamknięciu zatrząskiwał się na dobre. Otworzenie go od wewnątrz było po prostu niemożliwe...”

Korytarz koncertowy prowadził w jednym kierunku.

Pewnym (wątlwym) pocieszeniem był mi fakt, że przez właz i tak nie zdołałbym wrócić. Ale miałbym przynajmniej szansę wołać pomocy...

Droga wyjścia była więc jedna. Musiałem przemierzyć szlak strachu i nadziei, którym od prawie siedemdziesięciu lat nikt nie podążył.

Otoczała mnie czern absolutna. Chwilową ulgę przyniosła mi myśl o komórce, którą wyczułem w kieszeni. Na szczęście nie wypadła! Była moją jedyną nitką łączności ze światem i minimalnym choćby źródłem światła. Ale nie ma tak dobrze. Prawo Murphy'ego, czy jak ono się tam nazywa, znów zadziało bezbłędnie. W momencie gdy próbowałem oświetlić przestrzeń wokół siebie, bateria... Nie muszę kończyć...

Próbując wstać, uderzyłem głową w sklepienie. Kilka prób przekonało mnie, że mogę się posuwać tylko w jednym kierunku. Wybrałem technikę „na czworaka”. Ten mój koślawy rajd nie zasługuje na dłuższy opis. Było cały czas tak samo: wymacywanie najbliższych centymetrów, pół metra do przodu. I znowu to samo, i jeszcze raz. Kilkukrotnie moje ręce natrafiły na jakieś przedmioty. Za pierwszym razem o mało nie zakończyło się zawałem serca. Byłem pewien, że złapałem za nogę nieboszczyka. Na szczęście to był tylko but. Potem dłonie namacały kształt małego człowieczka. Zbyt małego, aby mógł być prawdziwy. Wzruszenie ogarnęło mnie, gdy uświadomiłem sobie, że to lalka. Musiało tędy wędrować dziecko, pewnie dziewczynka!

Rzeczywiście, Michalewicz i o tym wspominał...

W strachu i ciemnościach utraciła najlepszą przyjaciółkę. Miałem nadzieję, że ocaliła życie.

Dziwne przedmioty, na które jeszcze kilkakrotnie natrafiałem mogły być równie dobrze kawałkami cegieł, zeschniętej zaprawy, jak i czymś zupełnie innym. Moje kieszenie nie były wystarczająco pojemne. Jednak lalkę i but postanowiłem zatrzymać, ot choćby po to, aby przekonać niedowiarków i samemu sobie udowodnić czasem, że moje przeżycia nie były snem.

Starałem się nie tracić poczucia rzeczywistości, czas przestał jednak istnieć. Nie wiedziałem, czy moje pełzanie trwa minuty czy kwadransy. W pewnej chwili podłoże zmieniło się z drewnianego na jakieś inne, wyczułem również, że tunel zakręca i się obniża. Według wszelkiego prawdopodobieństwa dotarłem do opisywanych przez Michalewicza spiralnych, metalowych schodów.

W tym miejscu natrafiłem na jeszcze jedno znalezisko, jakby cieniutką książeczkę lub zeszyt. Ją również postanowiłem ze sobą zabrać.

Z ulgą stanąłem na dwóch nogach. Z nie mniejszą – wyczułem obecność poręczy. Wędrówka w dół zapowiadała się łatwiej. Po jakimś czasie – nie liczyłem okrążeń wokół metalowego słupa, ale solidnie kręciło mi się w głowie – dotarłem do końca schodów. Ale to nie był koniec błąkania.

Kolejna odsłona podziemnej tułaczki kazała zblednąć najbardziej nawet wymyślnym sennym koszmarom. I nie chodziło tu o błoto niewiadomego pochodzenia, w którym buty wkrótce doszczętnie przemokły, deptanie po ogonach szczerom, uderzanie co chwila o niewidoczne przeszkody, wpadanie w dziury, zrywanie twarzą wiekowych pajęczyn czy znoszenie pisków niepokojonych nietoperzy i szelestu niezadowolonych pajaków. Nie, nie to było najgorsze.

Najgorsze były beznadzieja, zagubienie i powoli rysująca się wizja niemożności wyjścia z przejmującego mnie coraz większą trwogą labiryntu korytarzy. Nigdy, przenigdy nie pomyślałbym, że pod powierzchnią miasta znajduje się tak rozbudowana sieć tuneli. Wskazówki Michalewicza musiały dotyczyć nie tylko znalezienia wejścia, ale i wyjścia z labiryntu. Ja ich nie posiadałem. Błąkałem się jak ślepiec. Nawet dłonie, poranione i zdrętwiałe oprócz bólu nie przekazywały już do mózgu właściwie nic.

Jeśli jednak istnieje prawo Murphy’ego oraz syndrom Dantego: „Porzućcie wszelką nadzieję wy, którzy tu wchodzicie”, to musi też być jakiś AntyMurphy i AntyDante: „Odzyskajcie nadzieję wy, którzy ją utraciliście”.

W pewnej chwili natrafiłem na górę kamieni. Brnąłem dalej, a wówczas góra zaczęła się poruszać. Uświadomiłem sobie, że to, co wdycham, jest węglowym pyłem.

Po chwili wszystko ustało. Zapyłone oczy wyłowiły jaśniejsze pasemka. Nie były duże ani wyraźne, ale po wielogodzinnym pobycie w zupełnych ciemnościach miały się drogowskazu.

Znajdowałem się w piwnicy. Przez nieszczelności drzwi zbitych z desek przebijało elektryczne światło. Tam się musiałem dostać.

Przez zmęczoną głowę jak wicher przeleciał obraz z przeszłości. Już przeżywałem taką sytuację. Déjà vu? Bynajmniej. Gra komputerowa. Jak wówczas udało mi się wydostać? Trzeba było znaleźć łom i wyważyć drzwi. Modliłem się, aby real nie okazał się uboższy od wirtualu.

Ale łom był. Łom, łomisko, kochane łomiszcze. Nie bawiłem się w subtelności. Kłódka wystrzeliła jak z katapulty, drzwi otworzyły się z impetem.

Podjąłem wędrówkę powrotną do świata. Jeszcze parę poziomych korytarzy, kilka razy schody. Pachniało coraz ładniej. Nareszcie drzwi wiodące już chyba na ulicę. Tak, z piekielnych czeluści ponownie wyłoniłem się na świat.

Znany świat!

To było podwórze piekarni Pod Nietoperzem. Powinna brzmieć: Nad Nietoperzem.

Już wiedziałem, gdzie uciekinierzy uzyskiwali nową tożsamość. Czy wówczas też była tu piekarnia?

Wybiegłem na ulicę. Ile czasu mogła mi zająć wędrówka przez tunel i podziemia? Spojrzałem na jeden ze staromiejskich zegarów. Nie, to nie mogła być prawda. Od sforsowania tajemnego wjazdu do chwili obecnej upłynęło tylko półtorej godziny! Ludzie przyglądali mi się ze zdziwieniem. Musiałem wyglądać dziwnie. Może powinienem najpierw pójść do domu i uporządkować swój wygląd? Ale co się działo w filharmonii? Czy portier domyślił się po śladach, gdzie zniknąłem, bo że zniknąłem, musiał zauważyć. Co z Estonem? I dlaczego pan Zenek wyłączył światło w sali koncertowej? Nie było czasu na dom. Popędziłem w kierunku filharmonii.

Koło głównego wejścia kręciła się grupa czterech kapturowców. Przez szybę zobaczyłem Estona z nastroszonymi uszami, który nie spuszczał z nich wzroku. Portiera nie widziałem, być może poszukiwał mnie po całym gmachu, zostawiwszy psa na straży. Poznałem tę czwórkę.

Nie próbowałem nawet przekonać siebie, że Ryży i jego chłopaczkowie pojawili się na scenie przypadkiem. Fatalne podejrzenia powoli zamieniały się w pewność. To mnie szukali. Polowali na mnie. Wiedzieli, gdzie jestem. A ich obecność w tym miejscu i czasie dawała się wytłumaczyć tylko w jeden sposób...

Tyle tylko, że... mnie tam nie było.

Zaszedłem ich od tyłu. Miałem przewagę. Należało to wykorzystać.

Wyglądałem jak obdartus. Byłem uczerniony pyłem węglowym. Powinienem być wewnątrz budynku. Nie mieli prawa mnie poznać.

I ja miałem przy bluzie kaptur. Naciągnąłem go na głowę. Podbiegłem do jednego z zakapturzonych.

– Powiedz Ryżemu, że ktoś na was doniósł, psy tu jada, spadajcie i to szybko! – wykrztusiłem dramatycznym szeptem.

Zanim koleś zdołał mi się przyjrzeć, już mnie tam nie było. Schowałem się w podcieniach po drugiej stronie placu. Z daleka widziałem, jak kapturnik żywo gestykułując,

przekazuje coś swojemu szefowi. A ten najwyraźniej się wahał. Ale chyba nie zamierzał ryzykować. Grupa się rozpierzchła.

Arkadami przemknąłem do usytuowanego z boku wejścia dla artystów. Tu gdzieś powinien być dzwonek... Nawet jeśli ryżowcy obserwowali z ukrycia główne wejście, miałem szanse pozostać niezauważony.

To chyba zachowanie Estona, który entuzjastycznie szczerkając, pierwszy pojawił się po drugiej stronie drzwi, skłoniło portiera do ich otwarcia. Kiedy znalazłem się w środku, Eston wykonał taniec radości, siadł, mlasnął z ukontentowaniem, zmrużył oczy i czekał. Portier nie mógł powstrzymać zdumienia.

– Panie Bartku, kiedy pan wyszedł? – mówił, rozkładając ręce w geście ni to zdziwienia, ni to ulgi. – Ja pana wszędzie szukam, a pan tu... Ale jak pan wygląda? Co się panu stało?

Z jego wyjaśnień wynikało, że bał się na dłużej odchodzić od głównego wejścia, bo zakapturzeni ciągle się tu kręcili.

– Panie Zenonie, czy zostało jeszcze coś w tej wczorajszej butelce? Niech pan zamknie dokładnie drzwi, a ja wszystko panu opowiem...

Ale nie opowiedziałem wszystkiego. Wiedziałem, że taki moment przyjdzie i wówczas podzielę się z poczciwym portierem całą prawdą, przeproszę go za wszystkie kłamstwa i przemilczenia. Ale nie teraz. Wiedziałem, że fabuła, którą mu zaserwuję, będzie blada ze słabości, ale na lepszą nie było mnie w tym momencie stać.

Opowiedziałem więc o rzekomym telefonie, który miał mnie wywabić z budynku. O tym, jak wyszedłem bocznym wejściem – pewnie wtedy, gdy on mnie już szukał – żeby spotkać się z tym, kto do mnie dzwonił. Jak uciekałem, rozpoznając moich prześladowców. Jak w trakcie ucieczki wpadłem w kupę węgla, której ktoś nie zdążył wrzucić do piwnicy. I jak w końcu udało mi się niepostrzeżenie powrócić.

Z kolei pan Zenon uraczył mnie swoją opowieścią, a w jej rzetelność nie miałem podstaw wątpić. Czas jakiś po moim pójściu na górę ktoś zaczął się dobijać do drzwi. Obawiając się wizyty kogoś z dyrekcji, portier czym prędzej zgasił światło w sali koncertowej. Ze zdziwieniem zobaczył jednak, że przed wejściem stoi grupka zakapturzonych kolesiów. Nalegali, żeby ich wpuścił, bo mają mu coś bardzo ważnego do powiedzenia, proponowali wspólną konsumpcję browca, ale nie wzbudzili ani sympatii, ani zaufania portiera. Odeszli, ale po jakimś czasie wrócili i ponownie zaczęli się dobijać. Gdy pan Zenon dobitnie określił miejsce, w które mogą pójść, stwierdzili, że – cytuję: „I tak gnoja dopadniemy, a przy okazji i ty wpierdol dostaniesz...”.

Choćby po tej wyszukanej stylistyce poznałbym Ryzego i jego chłopaków. Lubiłem ich coraz bardziej.

– Panie Zenku, muszę jeszcze na chwilę wrócić na górę, z tego wszystkiego zostawiłem tam telefon. Zrobi pan na moment światło?

Zrezygnowany portier pokręcił głową w geście dezaprobaty, ale przekręcił włącznik, a ja nie czekając, aż mnie znienawidzi, pobiegłem na górę. Nie, nie pobiegłem. Powlokłem się. Gdyby nie fakt, że stock mnie trochę znieczulał, nie byłbym już w stanie wspiąć się na piętro. Wracając na jaskółkę, poczułem się, jakbym wpadał w pętlę czasu. Oprócz naruszonych fragmentów materiału nic nie wskazywało jednak na mrozące w (moich) żyłach krew sceny, które rozegrały się tu dwie godziny temu. Z pomocą bosaka powpychałem aksamitny materiał

między płyty a kasetony. Pozbierałem leżące na fotelach i podłodze strzępy. Wnikliwa analiza sufitu bez trudu pozwoliłaby odkryć moje działania. Miałem wszakże nadzieję, że w najbliższym czasie nikt się o taką nie pokusi. Odniosłem na miejsce sprzęt przeciwpożarowy. Do kosza na śmieci wrzuciłem resztki zerwanego materiału.

Do domu wróciłem. W piecu napaliłem (a właściwie włożyłem doń mrożoną pizzę). Nakarmiłem psa.

Ocknąłem się pod prysznicem. Musiałem tak stać dłuższą już chwilę, ale czułem, jak strumień ciepłej wody ozdrowieńczo masuje i ogrzewa moje ciało.

Wydarzenia mijającego dnia były jeszcze zbyt świeże. Nie miałem do nich dystansu, a przecież wiedziałem, że gdyby nie fizyczne wyczerpanie, emocje rozerwałby mnie na strzępy.

Jak na razie, słowa Michalewicza potwierdziły się co do joty. I to zdawało się przesądzać istnienie drugiego z korytarzy. Po drugie, związek Wandy z Ryżym był już dla mnie pewnikiem. Chciałem z nią jeszcze raz porozmawiać. Ale już nie dzisiaj. Nie miałem siły na żadne telefony.

Na stoliku delikatnie położyłem korytarzowe znaleziska.

But. Porządny, skórzany, męski, brązowy, rozmiar zbliżony do mojego, pewnie 43. Jaką drogę przebył drugi od pary? Czy zdołał stanąć na szczęśliwym lądzie, czy może wraz z milionami innych stanowi do dziś element upiornej ekspozycji?

Lalka o smutnym spojrzeniu. Czy nawet z ich twarzyczek zniknął uśmiech zmyty dziecięcymi łzami? Dlaczego zdradziła swoją najdroższą przyjaciółkę? Przecież mogła być jej przytulanką w trudnych chwilach, mogła ją ocalić. A może właśnie ocaliła? Ocaliła mit małej dziewczynki, która z nierozumiałych powodów musi uciekać ze swojego życia przez dziurę w suficie. Oby do nieba. Lecz jeszcze przedtem do świata, w którym lalkom wolno się uśmiechać.

W pokiereszowane dłonie delikatnie ująłem ostatnie znalezisko. Cienką, prawie rozsypującą się w dłoniach książeczkę. Okładka, zniszczona upływem czasu i ciągle potwornie zakurzona, była w zasadzie nieczytelna. Z największą ostrożnością wycierałem ją serwetką.

...*Städtische...* tu coś niewyraźnie... *Orchester... Krakovitz... Konzert... 3 Dezember 1939...*

Musiałem przetrzeć oczy ze zdumienia. Otworzyłem książeczkę, a właściwie program.

Bo to był program.

Program koncertu, który trzeciego grudnia 1939 roku odbył się w sali koncertowej filharmonii.

Koncertu, którego jedynym wykonawcą był Kwartet Gudelsteina!

W programie wieczoru znalazły się trzy arcydzieła Ludwiga van Beethovena. Dwa do przerwy: Kwartet F-dur op. 18 nr 1, oraz Kwartet F-dur op. 59 nr 1 zwany Razumowskim. Po przerwie już tylko jeden, choć słowo tylko wydaje się tu nie na miejscu. Ostatnie dzieło Wielkiego Mistrza, Kwartet smyczkowy F-dur op. 135. Ze swoim zagadkowym finałem, zamykającym życie i twórczość kompozytora, a obdarzonym inskrypcją: pytaniem i odpowiedzią zarazem: *Muss es sein? Es muss sein!*

Musiałem natychmiast podzielić się tym odkryciem.

Antykwarysz z wypiekami na twarzy słuchał mojej relacji. Rozpierała go duma, że trafnie odgadł kod dostępu do ukrytego korytarza.

– Bartek, to jest sensacja! Koncert Kwartetu Gudelsteina okazał się historycznym faktem!

– A odnaleziony program dowodzi, że tamtego wieczoru ktoś korzystał z korytarza koncertowego.

– Aż boję się formułować wnioski, ale wiesz, co to może oznaczać? – Sebastian ściszył nagle głos.

Wiedziałem. Nie można było wykluczyć, że w sejfie Rosenberga ukryta została czwórperła lutnictwa, legendarny Kwartet Lucci Silveriego.

Antykwariusz chciał mi jeszcze coś powiedzieć, ale widząc mój marny stan, zrezygnował.

– Jutro ci powiem. Idź odpoczywać, to teraz najważniejsze.

Na górę dotarłem przed dziesiątą...



ROZDZIAŁ XVI

NIEDZIELA

Tym razem mnie mieli.

Wiedziałem, że limit szczęścia kiedyś się wyczerpie. Od kilku dni igrałem z dwiema grupami przestępców. Sprawy nie układały się po ich myśli, ale nie odpuszczali, czaili się w cieniu i nigdy nie wiedziałem, którzy i kiedy zaatakują. Teraz połączyli siły. Rola, którą odgrywałem w ich scenariuszu, najwyraźniej dobiegła końca. Czy ich sojusz miał przetrwać – nie wiedziałem. Lecz wiedza ta nie była mi już do niczego potrzebna.

Labirynt wydawał się dziś mniej ciemny, ale fakt ten w jednakowym stopniu pomagał im, jak i mnie. Owszem, byłem tu już przedtem, ale również to nie stanowiło mojej przewagi. Oczy nie pamiętały nic, a obolałe dłonie nie nadawały się tym razem na przewodników po szorstkich ścianach. A oni pojawiali się i znikali, raz w grupie, potem pojedynczo, nękali mnie jak sfora zajadłych foksterierów...

Zrozumiałem ich taktykę, ale niewiele mogłem zrobić. Przebiecie na zewnątrz powoli zacieśniającego się koła było niemożliwe. Znalazłem się w korytarzu, u którego wylotów pojawiły się obie ścigające mnie grupy.

Szach i mat.

Zbliżali się nieuchronnie, choć ostrożnie, zakładając, że w furii wywołanej osaczeniem mogą zaatakować. Widziałem już ich stroje. Maskowania się skończyły, w finale każdy chciał wystąpić z otwartą przyłbicą. Nie mogłem uwierzyć własnym oczom!

Z jednej strony nadciągały esesmańskie mundury, z drugiej zbliżały się białe tuniki. W dłoniach ubranych w nie bojowników zabłyśły noże, nie, zakrzywione miecze raczej, zwane sejmitarami, jak podpowiadała załęczniona pamięć. Chociaż... nie, to nie byli żadni bojownicy. Teraz wyraźnie widziałem, że białe szaty i złowieszcze, szpiczaste kaptury, z których lypały na mnie złe spojrzenia, należały do członków Zakonu Kapturowców. Chyba jednak nie doceniłem nadkomisarza Bielskiego; coś o nich wspominał. Trzeba było z nim współpracować...

Za późno.

Esesmani też nie przyszli z pustymi rękami. W dłoniach pierwszego widać się olbrzymie pająki, drugi trzymał żywego nietoperza monstrualnych rozmiarów. W rękach trzeciego znajdował się but, a ostatni miał w dłoniach lalkę. I to było najgorsze.

Złapali ich...

Napastnicy zaczęli unosić ramiona. Zrozumiałem, że mój czas się zbliża. Jeszcze moment i rzucą we mnie śmiercionośną mieszaniną. Podniosłem głowę. Na zaokrąglonym sklepieniu widniał czarny, prawdopodobnie płomieniem świecy wykonany napis: *Muss es sein? Es muss sein!*

Z daleka, jak przez sen, usłyszałem szczekanie Estona. Ostatnia szansa ratunku. Ale nawet jeśli dobiegnie na czas, to nie wyłapie, nie zdoła wyłapać, wszystkich lecących w moim kierunku potworności.

Za późno.

Widziałem dłonie moich prześladowców, które jak na spowolnionym filmie rozwierały się i niczym średniowieczne proce miotają we mnie plugawe pociski.

Szczekanie psa było coraz bliżej.

Pierwsze doleczą pająki, które szybko przebijając odnóżami, przyspieszały jakby swój lot... Ale nie, na czoło wysunęła się wijąca różowa kula – zasupłane dżdżownice? – która pacnąwszy mnie w twarz, rozlała się po niej miękkim ciepłem. Co dziwne, nie było to uczucie nieprzyjemne.

Zamknąłem oczy...

A właściwie otworzyłem je. Eston stał koło mnie i szczekał ponagląco. Raz jeszcze chlapanął mnie jęzorem przez twarz.

Jezu Chryste, to był sen! Dzięki ci, piesku, że mnie obudziłeś.

Była dziesiąta rano. Przespałem kamieniem ponad dwanaście godzin. Pies dopominał się o spacer. Widząc, że nienaturalnie długo i głęboko śpię, postanowił wziąć sprawy w swoje łapy (i jęzor). Na telefonie figurowało nieodebrane połączenie z dzisiejszego ranka.

Wanda.

Jak mocno musiałem spać, że nic nie słyszałem? Gdy opary sugestywnego koszmaru nieco się rozproszyły, poczułem, że wielogodzinny sen miał ozdrowieńcze działanie.

Mimo wszystkich dotychczasowych wysiłków, mój dorobek nie był imponujący. Doskonale symbolizował to but leżący na stoliku. Niby gdzieś doszedłem, niby coś odkryłem, lecz prócz emocjonalnej wymowy starego obuwia – w istocie niewiele.

A moje ręce? Moje palce? Nagle z porażającą jasnością dotarło do mnie, że jutro gram przesłuchanie. Z obawą przyglądałem się pokłutym i posiniaczonym dłoniom. Na szczęście drzazgi udało mi się pousuwać, a otarcia, choć wyglądały szpetnie, miały naskórkowy charakter. Z resztą nie było najgorzej. Owszem, czułem w kościach wczorajsze wyczyny, ale nie bardziej niż na przykład po zaciętym meczu piłki nożnej. Mocny sen i zażyta przed nim aspiryna zwalczyły przeziębienie, którego po przemarznięciu i przemoczeniu w labiryncie tuneli najbardziej się obawiałem. No dobrze, a co z tymi palcami? Przekonać się mogłem tylko w jeden sposób. Ale jeszcze nie teraz. Jeszcze nie czułem się na siłach.

Prysznic postawił mnie na nogi, a zapach świeżo parzonej kawy działał pobudzająco. Czułem się w formie, a spacer w lekkim mrozie grudniowego poranka spotęgował to uczucie.

Zostawiłem Estona przed piekarnią, na wszelki wypadek przymocowując smycz do rynny.

Właściciele nie mieli pojęcia, nad jaką historyczną i potencjalnie turystyczną atrakcją pieką swoje pyszne chleby i bułki. Zaopatrzwszy się w kilka z nich, wyszedłem na zewnątrz i stanąłem jak wryty.

Estona nie było.

Prawdopodobnie z winy niedbale zrobionej pętli (uczynienie jej obolałymi rękami przyszło mi w istocie z trudnością) psu udało się uwolnić. Jednego byłem pewien – Estona nie można porwać lub ukraść, po prostu by się nie dał, chciałbym zresztą zobaczyć śmiałka, który by spróbował. Musiał więc oddalić się z własnej woli, a to znaczyło – przedłożyć ją ponad moją. Wiedziony przecuciem, ruszyłem wąskim przejściem między dwiema kamienicami, w miejsce, w którym wczoraj wychynałem na powierzchnię. Nie myliłem się – pies dokonywał tu inspekcji, szczególnie interesując się wejściem do piwnicy. Na mój widok szczeknął zachęcająco.

Nacisnąłem klamkę.

Drzwi były otwarte. Eston natychmiast wsunął w szczelinę nos, pysk, napał całym ciałem i zanim zdążyłem zareagować – już go nie było. Nie miałem ochoty za nim podążyć, byłem zresztą przekonany, że zaraz wróci. Gwizdnąłem umówionym sygnałem, zawałem go po imieniu i po chwili rzeczywiście zjawił się mocno z siebie zadowolony, pojednawczo machając ogonem – takie tam: nie gniewaj się, stary, coś tu po prostu musiałem sprawdzić. Nie gniewałem się. Jak musiał, to musiał. W domu z godnością i zrozumieniem przyjął zaproponowaną chrupiącą bułkę. Był amatorem świeżego pieczywa.

Po śniadaniu przysłała pora na test instrumentalny.

Pierwszy kontakt nie wypadł źle. Dziwnym zrządzeniem losu podrapane i posiniaczone dłonie bolały znacznie mniej, kiedy trzymałem w nich smyczek i altówkę. Kiedy grałem, receptory bólu wyłączały się zupełnie. Zrozumiałem, że mój psychiczno-organiczny komputer jest zaprogramowany na granie audycji bez względu na okoliczności. Może był to upór irracjonalny, a może próbowałem być (aż do bólu) konsekwentny. Ale pokonywanie przeszkód wzmacnia. I tę siłę opartą na przekonaniu, że nie jestem jak źdźbło trawy, które dało się podeptać okolicznościom, zamierzałem rzucić na konkursową szalę. Mimo trudności ostatniego tygodnia, nie było ani jednego dnia, w którym nie znalazłbym czasu, siły i motywacji do ćwiczenia.

Przegrałem cały program w wolnym tempie. Chciałem pozostać jak najbliższej założonego ideału wykonawczego.

Gdy po półtorej godzinie czyściłem instrument z pyłu kalafonii, wiedziałem, że po raz kolejny wezmę go w dłonie dopiero przed przesłuchaniem.

Staromiejskie dzwony wybiły godzinę trzynastą.

Sebastian Mars musiał słyszeć moje granie. Ponieważ dotąd nie dzwonił, uznałem, że informacja, którą chce mi przekazać, nie jest aż tak istotna. A jeśli było wręcz przeciwnie i antykwariusz nie chciał mnie jej wagą wytrącać z nastroju do pracy?

Wahając się, do kogo zadzwonić najpierw przekładałem telefon z ręki do ręki. I dopiero wówczas zauważyłem, że pulsująca ikonka sygnalizuje nagraną wiadomość.

„Bartek, chciałabym się z tobą spotkać. Musimy porozmawiać. Czy mógłbyś przyjść na Morelową? Proszę cię, przyjdź, jak tylko będziesz mógł, to bardzo ważne”.

Byłem w rozterce. I ja chciałem się z nią zobaczyć. Wyjaśnić w końcu wszystkie nurtujące mnie wątpliwości. Ale jeśli podejrzenia, które przybrały formę bliską pewności, były

słuszne, mogła to być pułapka.

Wczoraj w trakcie rozmowy niechęć zdradzam Wandzie miejsce swojego pobytu. Już po chwili Ryży i jego chłopcy próbują dostać się do filharmonii. Czy to nie jest koronny dowód na współpracę Wandy z bandziorami? Czym w takim razie jest dzisiejsza propozycja? Ostatnią, desperacką próbą wyciągnięcia ode mnie informacji, czy przeciwnie, chęcią wytłumaczenia, że została w całą sprawę wmanewrowana? A może zamiast pięknej zastanę na miejscu brzydali Ryżego? Nie było innego sposobu, aby się przekonać...

Na ulicę Morelową postanowiłem wybrać się rowerem. I zabrać ze sobą Estona. Traktowałem poważnie sugestie Bielskiego. W towarzystwie psa czułem się o wiele bezpieczniej, a ostatnie dni pokazały, że mam się czego obawiać. Eston nie był psem agresywnym, lecz nie wszyscy musieli o tym wiedzieć. Funkcje odstrasżające spełniał znakomicie.

Po wyjściu z domu zastukałem do drzwi antykwarium. Tym razem nie zastałem gospodarza. Pani Sabina przekazała mi jednak kopertę, którą dla mnie zostawił. W środku znajdował się efekt pracy kogoś z zaprzyjaźnionych ekspertów. Od rekonstrukcji nieczytelnych napisów w tym przypadku. To, co jeszcze niedawno wyglądało tak:

B a \$ (.) . . a
(.) i . i a . . o k

– wzbogaciło się w nowej wersji o kolejne litery i uzyskało następującą formę:

B a s W . r a
K i . i a T . o k

U dołu strony widniał dopisek, który informował, że płynem, który unieczystnił napis, był ludzki pot. Przy całym szacunku dla dociekliwości Sebastiana i wysiłku, który wspólnie z zaprzyjaźnionym specjalistą włożyli w odtworzenie słów, miałem wrażenie, że jest to sztuka dla sztuki.

Karteczka znaleziona w fortepianie była dla mnie źródłem sporego rozczarowania. Jeśli bowiem teza o jej wcześniejszym ukryciu w batucie miała być prawdziwa, to zapiski stanowić powinny – ni mniej, ni więcej – tylko wskazówkę, pozwalającą zlokalizować korytarz dyrygencki. Niemniej ich brak związku z czymkolwiek, o czym mówił Michalewicz, był tak uderzający, że coraz mocniej w to wątpiłem.

Ruch na świeżym powietrzu cieszył Estona, a i mnie sprawiał przyjemność. Dotleniony mózg zaczął pracować na przyspieszonych obrotach. I nagle wypuścił strzałę, która błyskawicznie pokonała przestrzeń i czas...

Znalazłem się wśród audytorium, w wypełnionej do ostatniego miejsca sali koncertowej filharmonii. Panowało przesycone napięciem oczekiwanie. Publiczność, w dużym stopniu mundurowa – a mundury te, choć eleganckie, miały złowieszczy wygląd – zdawała się rozumieć niezwykłość wydarzenia, którego była świadkiem, a może uczestnikiem.

Ostatni koncert wielkiego Kwartetu Gudelsteina.

Ostatni, bo tak zdecydował fatalizm historii. Nikt w sali nie czuje się za to odpowiedzialny. I nikt nie ma zamiaru kwestionować nieuchronnej logiki dziejów. Swoistej

pikanterii całej sprawie dodaje pytanie: czy oni zdają sobie sprawę, że to ich pożegnalny występ? Czy wiedzą, jaki los czeka ich za dwie, trzy godziny? Prawdopodobnie nie, bo kto mógłby w takich okolicznościach grać koncert? Chyba tylko nadludzie, a ta kategoria jest już zarezerwowana. Ale ten niezwykły dobór programu. Pierwszy, środkowy i ostatni z kwartetów – zarazem ostatni opus – Beethovena, połączone wspólną tonacją. Przypadek czy coś więcej? A może symboliczna podróż przez życie, zakończona dramatycznym pytaniem: *Muss es sein? Es muss sein!*

A więc sami muzycy zdają się rozumieć i akceptować nieodwracalną siłę przemian historycznych. Godzą się z nią. W imię nowego porządku świata kładą głowę pod topór nowych jego władców w symbolicznym geście wybaczenia i ekspiacji.

Ale czy na pewno?

Oto nagle znajduję się po drugiej stronie. Widzę czterech genialnych muzyków, gotowych do zagrania ostatniego opusu Beethovena. To oni prowadzą grę. Grę o życie, godność i oświecenie otumanionych. Rzucają im w twarz pytanie. Mimo że słowa brzmią tak samo – sens ich odpowiedzi będzie zupełnie inny.

Grają. Grają tak, jak może nigdy jeszcze nie grali. Grają tak, że ludzkie serca wydają się pękać, a mury ronią łzy. Grają tak, aby oszołomić słuchających i zyskać czas na wykonanie *Wielkiej Cody*. Gdy kończą, wśród słuchających nie ma już jednomyślności. Wielu z nich próbuje ponownie odpowiedzieć na pytanie: Czy tak rzeczywiście musi być?

I nawet jeśli odpowiedź pozostaje niezmienna, to pojawia się refleksja: dlaczego?

Gdy mija kwadrans, pół godziny, a w końcu prawie godzina od zakończenia koncertu, a przy strzeżonych wyjściach nie pojawia się żaden z muzyków kwartetu, wydający rozkazy zgodnie stwierdzają, że cierpliwość się wyczerpała, a oni sami nie mogą już dłużej czekać. Wysyłają na górę grupę żandarmów. Ci jednak nie znajdują nikogo. Jedynie w garderobie urządzonej w pokoju dyrygenckim odnajdują partyturę ostatniego kwartetu ze znanym mottem Beethovena.

Kwartet Gudelsteina zniknął wraz z bezcennym Kwartetem Silvariego.

Gdy informacja ta dotarła później do słuchaczy koncertu, wielu z nich odetchnęło z ulgą. Od tego wieczoru wiele miało się dla nich zmienić. Wojna przestała być przyjemnością, prześladowanie bliźniego – choćby w imię najdoskonalej wywiedzionych teorii – obowiązkiem, a przekonanie, że wszystko jest proste, wytłumaczalne i nieuchronne, zastąpiła refleksja, z jaką łatwością człowiek skłonny jest poddać się manipulacji, jeśli tylko zdjąć z niego ciężar odpowiedzialności i konsekwencji¹⁸.

Lecz oto ponownie znalazłem się na ścieżce biegnącej wzdłuż kanału, już w pobliżu ulicy Morelowej. Wanda musiała zobaczyć nas z okna; czekała przy bramie. Z lękiem spojrzała na psa. Prawda, nie znała go. Eston przywitał się z rezerwą.

– Nie chciałem, żeby siedział sam w domu. Poza tym rażniej mi z nim. – Spojrzałem na Wandę znacząco. Zaczerwieniła się.

– Posłuchaj, Bartek, chciałam się z tobą spotkać, bo przyszła pora, żeby ci to wszystko w końcu wytłumaczyć.

– Czy on – wskazałem na psa – może zostać w ogrodzie? Ty masz, zdaje się, koty, a Eston je, owszem, lubi, ale na swój sposób...

– Tak, tak – przytaknęła z ulgą – niech tu zostanie, na pewno nie ucieknie, ogród jest dobrze ogrodzony. A koty są w domu.

Eston sprawiał wrażenie zadowolonego takim obrotem sprawy, od razu zaczął buszować po krzakach. Przebieżka z rowerem nie zrobiła na nim piorunującego wrażenia. Pana Zbyszka nie było w domu, zdawało się więc, że oprócz nas i dwóch łaszących się dachowców nie ma nikogo. I dobrze. Mogliśmy sobie w spokoju to i owo wyjaśnić.

Wanda była zrezygnowana. Coś się w niej zmieniło, wypaliło jakby. Znowu, tak jak w czasie pierwszej wizyty na Morelowej, podobała mi się najbardziej.

Siedliśmy naprzeciw siebie. Wandzie było trudno zacząć, a ja nie miałem zamiaru ułatwiać jej zadania.

– Chciałam cię przeprosić – zaczęła w końcu z głośnym westchnieniem.

– Przeprosić? Za co? – spytałem, choć mniej więcej się domyślałem. Ale każda rozmowa ma swoją dynamikę. – Opowiesz mi wszystko od początku?

– Wszystko? Od początku? – powtórzyła automatycznie. – Może nie wszystko. A jeśli chodzi o początek, to sama nie wiem, kiedy on był. Kiedy to się właściwie zaczęło? Do tej pory myślałam, że półtora tygodnia temu, ale teraz widzę, że od czasu, gdy poznałam Jędrka.

Przerwała i zamyśliła się. Po chwili potrząsnęła kaskadą ciemnych włosów, które jak wachlarz rozszpały się wokół jej twarzy.

– Nie, o tym nie będę mówiła.

Byłem jej wdzięczny. Nie interesowała mnie historia jej relacji z panem eurodeputowanym.

Żadnego Jędrka. Wiedziałem jednak, że to tylko pobożne życzenia. Jędrka w opowieści i tak się pojawi, choć niekoniecznie w charakterze Don Juana. I oby tylko w opowieści. Cieszyłem się, że Eston patroluje ogród.

Wanda zdawała się odczytywać moje myśli.

– Jędrka dziś wrócił do Brukseli. Miał lecieć jutro rano, ale w ostatniej chwili zmienił rezerwację. Mówił, że nie może się spóźnić na poranne obrady. I tak przez tydzień był chory.

– Chory? Chyba niezbyt poważnie?

– Chorował. To była choroba. Coś sobie ubzdurał i narobił głupstw.

Jeszcze nie zaczęła opowieści, a już go tłumaczyła.

– Wanda, proszę, spróbuj od początku, od tego nas interesującego początku – uściśliłem. – Inaczej tracimy tylko czas.

– Początek był właśnie w Brukseli. Kolega Jędrka, włoski europoseł, opowiedział mi o artykule zamieszczonym w jednej z tokańskich gazet. Był to wywiad z człowiekiem, który ujawnił tajemnicę z okresu wojny. Jej tropy wiodły do naszego miasta. Włoch skojarzył fakty i pomyślał, że Jędrka może to zainteresować. Wspominał mu też o odwiedzinach, które autorowi wywiadu złożył słynny dyrygent o włosko brzmiącym nazwisku, bo i ta informacja trafiła na łamy gazety. Jędrka powtórzył mi całą historię. Traf chciał, że Damian Rucacelli – bo domyślasz się, że to on był tym słynnym dyrygentem – miał za kilka miesięcy u nas dyrygować. Jędrzej był tak poruszony, że od tej pory nie chciał ze mną rozmawiać o niczym innym. Mówił, że być może rysuje się szansa, aby odnaleźć bezcenne dla narodowej kultury dzieła sztuki. „Dziewczyno, jak to się uda, obsypię cię diamentami”, mówił. Tak mnie naciskał, by nie rzec molestował, że w końcu zgodziłam się na jego propozycję. Chodziło o to, żebym zbliżyła się do dyrygenta w trakcie jego pobytu w Krakowicach i spróbowała dowiedzieć czegoś więcej na temat ujawnionych w artykule sensacyjnych informacji. Oczywiście, jeśli to „więcej” istniało.

Dziewczyna używała samych eufemizmów. Dalej nie mogłem rozgryźć, czy jest tak naiwna, czy wyrachowana.

– Damian jest naprawdę bardzo męski, dlatego nie musiałam specjalnie udawać, że robi na mnie wrażenie. Spozstrzegł to, a ja chyba też mu się spodobałam. W zasadzie resztę znasz, nie będę się wdawać w szczegóły.

Lepiej nie, pomyślałem.

– Nigdy nie zapytałam go o całą sprawę wprost, bo to by było zbyt grubymi nićmi szyte – dobrze, że chociaż to rozumiała – próbowałam jednak czegoś się dowiedzieć. Damian był szalenie tajemniczy, a zarazem, jakby to powiedzieć, uroczysty. Wydawało mi się, że coś odkrył, ale zbywał mnie kalamburami, żartami, kotkami, zresztą sam wiesz... Byłam jednak przekonana, że tamtego wieczoru po koncercie chce mi powiedzieć lub pokazać coś naprawdę niezwykłego. Wszystko na to wskazywało. Ale wiesz, jak się skończyło. Kiedy byłam już na wyciągnięcie ręki od poznania – wyciągnięcia, pomyślałem – tajemnicy, wydarzyło się coś strasznego. Ktoś próbował zabić Damiana.

Wstrząsnął nią dreszcz, nie wiedziałem: szczerzy czy udawany.

– Następnego dnia przyjechał Jędrzej. Był pewien, że zdążyłam zdobyć interesujące go informacje. To, że Damian został wyłączony z gry – to dopiero ładne! –nawet mu odpowiadało; po prostu ubywał rywal do rozwiązania zagadki. Musiałam go jednak rozczarować. Nie wiedziałam właściwie nic, co przybliżyłoby go do jej rozszyfrowania. Jędrzej się wściekł. Uważał, że to moja wina, że zawałam sprawę, nie starałam się wystarczająco...

Ciekawe, co przez to rozumiał.

– A ty właśnie trafiłeś na finał naszej sprzeczki. Przyznaję, że spadłeś mi wtedy z nieba, bo nagle okazało się, że może jeszcze nie wszystko stracone. Opowiedziałam Jędrkowi o rozmowie z tobą. Chwyć się tego jak tonący brzytwy. To on kazał mi do ciebie zadzwonić w sprawie ewentualnej chałtury. Sam obiecał zająć się resztą.

– Zajął się i to skutecznie.

– Poczekaj, daj mi skończyć, zanim wyciągniesz ostateczne wnioski. Gdyby inspektor nie zadzwonił do ciebie, to i tak bym przyszła na nagranie, bo Jędrzek równolegle nacisnął na kogoś w radzie nadzorczej radia. Do ciebie zaś kazał mi zadzwonić, bo powiedział, że...

– Tak?

Wanda zaczerwieniła się.

– Powiedział, że łatwo dasz się złapać.

– I okazało się, że miał rację...

– Bartek, nie gniewaj się, to były jego słowa, a nie moje. Jędrzej zresztą taki jest – on po prostu realizuje założone cele, a sposobów na to ma aż za dużo.

Chciałem coś dodać, ale zrezygnowałem. Wanda mówiła dalej:

– Teraz chodziło tylko o to, żeby wiolonczelista nie mógł grać. I proszę, musisz mi uwierzyć, to dla mnie strasznie ważne. Nie wiedziałam, co się stało twojemu koledze. Ma na imię Konrad, tak? Nie miałam o tym pojęcia. Jędrzek mówił, że załatwi sprawę delikatnie. Ja zaś miałam pojawić się na nagraniu niby to przypadkiem, tak aby nie wzbudzić w żadnym razie twoich podejrzeń.

– I nie wzbudziłaś. Przecież to ja sam ciebie zaproponowałem – odparłem gorzko.

– Kiedy dowiedziałam się od ciebie, co spotkało Konrada i jego wiolonczelę, wiedziałam, że to koniec. Koniec sprawy, przestała mnie interesować. Koniec z Jędrkiem. Jeśli

to było jego dzieło, mógł zniknąć z mojego życia. On jednak zarzekł się, że nic o tym nie wiedział, że starzy kumple, których poprosił o pomoc, źle go zrozumieli i w ogóle zaczęli działać na własną rękę. Obiecował, że znajdzie sposób, by wynagrodzić Konradowi to, co się stało. W międzyczasie skontaktował się z kolegami z Paramilitarnego Klubu Sportowego Zębacz, którzy na jego prośbę przeszukali jezioro. Miał nadzieję, że uda im się odnaleźć to coś, co Rucacelli podobno do niego wrzucił. Płonną, jak się okazało.

Nie bez satysfakcji wyobraziłem sobie palantów z rzeczzonego klubu, jak wążą do zimnej wody w poszukiwaniu czegoś, czego tam nie ma.

– Tak czy owak spotkaliśmy się na nagraniu. Podzieliłam się wówczas z tobą beużytecznymi z mojego punktu widzenia głupstwami od Damiana w nadziei, że może ty coś z tego zrozumiesz. Wtedy powiedziałaś o batucie, a ta batuta była dla niego jakąś świętością.

Zorientowałam się, że prawdopodobnie jesteś na właściwym tropie, tylko że... byłeś strasznie ogłędny w dzieleniu się najwęższym choćby cieniem przypuszczeń. Dzwoniłam więc znowu, mieliśmy się spotkać, ale nagle zmieniłeś zdanie – teraz już wiem, że chodziło o Konrada – więc się nie dziwię. Ale Jędrzej znowu był wściekły. Nic mu się nie udawało. W dodatku powinien być w Brukseli... I tak się miotał od ściany do ściany. Pewnie ponownie poprosił kumpli o pomoc. Mieli z tobą pogadać i przekonać cię do współpracy. Ale, nie wiem, to chyba jakieś narwane chłopaki, znowu chcieli zrobić coś po swojemu. Wtedy powiedziałam Jędrkowi, że może powinien staranniej dobierać sobie znajomych, a tych, którzy mogą mu popsuć opinię, po prostu odstawiać na boczny tor. Przyznał mi rację. Być u nas politykiem to niełatwa sprawa, mówił. Zawiść ludzka zwyczajnie nie zna granic. I dodał, że powinien się zastanowić nie tylko nad doborem zbyt brutalnych kumpli, ale i zbyt wrażliwych przyjaciółek. Pokłóciliśmy się. I, wiesz, tak prawdę mówiąc, to chyba już będzie koniec. Coś jednak między nami nie gra.

O czym ona mówi? Od kwadransa przynajmniej się do cynicznej spółki z pozbawionym elementarnego poczucia przyzwoitości facetem, żeby w końcu stwierdzić, że coś między nimi nie gra?

– Kiedy się spotkaliśmy następnego dnia, pomyślałam, że z ciebie jest naprawdę miły chłopak. I pod wieloma względami – przeciwieństwo Jędrka.

Dzięki ci, Boże!

– Tylko że ty się wtedy, nie wiedzieć czemu, obraziłeś.

Nie wiedzieć czemu, dobre sobie.

– Wanda, a możesz mi powiedzieć, czy Jędrzej wiedział o naszym spotkaniu?

– Wiedział. Wiesz, on tak łatwo nie odpuszcza. – Dziewczyna skromnie spuściła wzrok. Nie nadążałam za jej pozawerbalnymi sygnałami.

– Dzięki za szczerość. – Zrozumiałem, że uwodzicielskie nuty, które wtedy pojawiły się w jej głosie, były w istocie skomponowane przez Jędrzeja. Przeszedł mnie dreszcz.

– Kiedy powiedziałam mu, że nic nie wiem i nic już nie chcę wiedzieć, że według mnie ta sprawa posunęła się za daleko i nie chcę mieć z nią więcej nic wspólnego, Jędrzej się zezłościł. Potem znowu prosił, żebym nie zostawiała go z tym samego, ale ja już naprawdę miałam dość. Dopóki to była zabawa, powiedzmy gra, w której dla zdobycia informacji trzeba było trochę poflirtować, to wszystko w porządku. Możesz się oburzać, ale ja po prostu taka jestem. Nazwij to próżnością, głupotą czy jak tam chcesz. Lubię mieć poczucie, że mało który

mężczyzna pozostanie wobec mnie obojętny. Pierwszym momentem, w którym chciałam i powinnam była się wycofać, stała się próba zabicia Damiana. Nie wyobrażasz sobie, co ja wtedy przeżyłam. I gdybyś się nie napatoczył, tak bym na pewno zrobiła.

– No, to cieszę się, że przynajmniej znalazłaś winnego...

– Proszę, nie żartuj sobie teraz. Kiedy wyszły na jaw te sprawy z pobiciami, przeraziłam się jeszcze bardziej. Bez względu na to, czy Jędrzek o tym wiedział, czy nie, powiedziałam: dość! I on to zrozumiał, zwłaszcza że ci kumple mówili mu, że ktoś, chyba to byłeś ty, ich rozpoznał. Jędrzej zdał sobie sprawę, że ścigając jakieś zwidy z przeszłości, może całkiem realnie zaszkodzić swojej politycznej karierze. Dlatego postanowił się wycofać, a kumpłom poradził, żeby gdzieś przycupnęli. Powiedział też, żeby siedzieli cicho i nikomu nie pisnęli ani słowa, jeśli nie chcą mieć poważnych kłopotów. W zamian za lojalność obiecał pomoc i sponsoring.

Pomoc i sponsoring... Fajny facet, szantażysta. Zaszantażuj innych, zanim im przyjdzie do głowy, że mogą zaszantażować ciebie. Jędrzek nie był w ciemni bity, wiedział, kiedy i jak się ewakuować, zabezpieczając tyły.

Zastanawiałem się, czy Wanda go przypadkiem nie sypie, ale chyba nie. Po prostu przedstawiała tok rozumowania pozbawiony głębszych rozważań etycznych.

– I kiedy już wszystko mieliśmy poukładane, wczoraj znowu zadzwoniłeś. Próbowałam cię zbyć, żeby przypadkiem Jędrkowi coś się nie odwidziało. Ale było już za późno. Gdy usłyszał, że to ty, postanowił raz jeszcze – ostatni raz – spróbować. Jakby zły duch w niego wstąpił; to, co ustaliliśmy, nagle przestało się liczyć. Mówiłam ci, że to było w nim jak choroba. Namówił mnie, żebym do ciebie zadzwoniła. Wtedy ty z kolei nie miałeś dla mnie czasu. Ale gdy, myślę, że niechcący, zdradziłeś miejsce pobytu, nie wahał się ani chwili. Raz jeszcze wysłał swoich kumpli. Powiedział mi, że pewnie sam nie zdajesz sobie sprawy, w co się pakujesz. Próbowałam go odwieść od tego zamiaru. W zamian usłyszałam tylko, że ja też nic nie rozumiem, że Rucacelli był blisko odkrycia prawdy i dlatego ktoś próbował go zabić i że wysłał swoich kumpli, żeby ci pomogli. Sama już nie wiedziałam, co o tym myśleć. Jędrzek cały wieczór był jak podminowany. Czekał na znak od swoich kolegów, telefon jednak milczał. Później okazało się, że cieć sprawił sobie groźnego psa i nie chciał ich wpuścić do filharmonii, więc czekali na ciebie na zewnątrz. Ale się nie doczekali. W końcu wieczorem jeden z nich zadzwonił, że podobno policja ich namierzyła. Jędrzek nakazał natychmiastowy odwrót.

– Jedną tylko kwestię chciałyby uściślić. Ten groźny pies właśnie kopie dziurę w twoim ogrodzie.

– Och, to ty jednak naprawdę tam byłeś? – Spontaniczna reakcja Wandy wystawiała jej sztuce aktorskiej jak najlepsze noty.

– Byłem, chciałem po prostu pograć w sali przed jutrzejszą audycją.

Szkoda tylko, że nie miałem ze sobą altówki, ale o tym akurat dziewczyna nie musiała wiedzieć.

No i znalazłem się w kropce. Opowieść Wandy brzmiała prawdopodobnie. Wszystko jakoś się ze sobą ząbębiało (nawet Zębacz). Także jej rola – pewnej swoich wdzięków kobiety – wydawała się prawdopodobna. Za nią stał opętany chęcią odnalezienia bezcennych dzieł sztuki, młody, ambitny i rzutki polityk. Mógł swojej partii przysporzyć niezwykłej popularności, stając się autorem sensacyjnego odkrycia, a jego osobiste akcje mogły poszybować wysoko, oj, wysoko. A że w tym celu posługiwał się dyplomacją (Wanda)

i naciskiem (grupa Ryżego), to i co w tym dziwnego? W świecie polityki albo po prostu w świecie są to znane od setek lat metody zdobywania i utrwalania. Niestety ludzie są tylko ludźmi: Ryży i jego chłopcy za bardzo starali się wykazać i niepotrzebnie zbrutalizowali całe widowisko. Oj, musiał ich Jędrzej opie... truszyć.

No dobrze, to była wersja, którą wolałbym założyć. Ale była jeszcze inna. Wersja bezwzględniego faceta, który z chęci zysku popycha swoją dziewczynę w ramiona każdego, kto może okazać się przydatny do osiągnięcia celu. Swoich kumpli, bandytów, nasyła na ludzi i każe im nie przebierać w środkach. Mają być skuteczni – to jedyna wytyczna. Sam chętnie by komuś przypierdolił, ale niestety, to już nie odpowiada jego aktualnemu wizerunkowi. Dodajmy jeszcze jedno: jeśli znajdzie, co ma znaleźć, wywiezie to za granicę i sprzeda. Jego panienka zaś albo prowadzi tę grę razem z nim w pełni świadomie, albo ukryta za maską głupoty, udaje, że nie wie, o co chodzi.

Tylko która z tych wersji jest prawdziwa?

Tak czy inaczej, Jędrzek odpuścił. Przestraszył się. Rzeczywiście miał więcej do stracenia niż do zyskania, zwłaszcza że zysk niepewny... Banda Ryżego też zniknie z horyzontu, przynajmniej na razie. To były pozytywy nowej sytuacji. W takim razie po co Wanda mi o tym wszystkim opowiedziała? Chciała uspokoić sumienie? Bała się, że narobię plotek w orkiestrze? Polubiła mnie? Zakochała się we mnie? Ostatni wariant wydawał się do tego stopnia nieprawdopodobny, że aż się uśmiechnąłem. Czy może realizowała ostatnie zlecenie swojego ukochanego i współnika, który sam uznał już za stosowne ukryć się za podwójną gardą: przestrzeni i immunitetu?

Bo założmy, że zupełnie zdezorientowany szczerością wynurzeń dziewczyny, rewanżuję jej się tym samym. Opowiadam o wszystkich dotychczasowych odkryciach, ba, zapraszam ją na finał, który – mam nadzieję – już wkrótce nastąpi, i wtedy... z sąsiedniego pokoju wychodzi Jędrzek w towarzystwie Ryżego, a może nawet jakiegoś Zębacza... Metodą stanowczej perswazji udaje im się odkupić ode mnie bilet na udział w Grande Finale.

Bo, przyznam się... Był taki moment, chwila próżności, w której chciałem powiedzieć: Damian Rucacelli obiecał ci niezapomniany wieczór. Jędrzek chciał cię obsypać diamentami. Ale to ja, altowiolista, zapraszam cię dziś na ekscytujący spektakl. Pójdziesz ze mną?

Miałem taki odruch, ale stłumiły go moje spiskowe teorie i w większym jeszcze stopniu brak odpowiedzi na najważniejsze pytania.

Nawet jeśli chciałem uwierzyć w najkorzystniejszą dla dziewczyny wersję, to nakazałem sobie ostrożność. Mimo szczerych chęci nie potrafiłbym jej zaufać.

– Wanda, dobrze, że mi to wszystko powiedziałaś. Dzięki za szczerść. Muszę to sobie jakoś poukładać. Powiem ci tylko, że cała ta historia pewnie rozejdzie się po kościach. Może i coś tam kiedyś było, ale dotarcie do prawdy po tylu latach wydaje się niemożliwe. A teraz, wybacz, pójdę już, bo jeśli pamiętasz, jutro gram do was przesłuchanie.

– Naprawdę? Może i mówiłeś, ale zapomniałam... Połam smyczek! Jak chcesz, wpadnę, żeby ci pokibicować. I... ciesz się, że nie masz mi tego wszystkiego za złe.

Tego akurat nie powiedziałem, ale... w sumie niewiele jej powiedziałem.

Deklaracja udziału w audycji musiała upewnić Wandę, że sprawa batuty umarła śmiercią naturalną lub przynajmniej uległa zawieszeniu. Nikt przy zdrowych zmysłach w przeddzień konkursu nie bawiłby się w rozwiązywanie historyczno-kryminalnych zagadek.

Nikt z wyjątkiem mnie... No, może paru by jeszcze się znalazło; nie jestem jedynym altowiolistą na świecie... Ale było mi na rękę, że pozostawię ją w takim przekonaniu.

– Będzie super, jak wpadniesz.

Pożegnaliśmy się cmoknięciem w policzek. Po raz pierwszy. Jak przyjaciele. Ale szczerze wątpiłem, czy nimi jesteśmy lub kiedykolwiek naprawdę zostaniemy.

Wiedziałem, że czas płynie nieubłaganie i że główni konkurenci w wyścigu do odkrycia tajemnicy, choć chwilowo niewidoczni, nie próżnują. Byłem zdecydowany działać. Wiedziałem, co mam robić, a precyzyjniej mówiąc – gdzie mam to robić. Musiałem się jakoś dostać do pokoju dyrygenckiego.

Tylko jak? I czego, u diabła, miałem w nim szukać?!



ROZDZIAŁ XVII

NIEDZIELA PÓŹNIEJ

Sebastian Mars robił wrażenie zniecierpliwionego.

– Bartek, gdzie przepadliście?

– Musieliśmy trochę poszaleć z Estonem. Dziękuję panu za kartkę, choć na razie niewiele mi wyjaśniła.

– Nie ma za co. Ale posłuchaj, teraz rzecz idzie o coś innego. Odwiedziłem ponownie mamę. Okazało się, że cały wczorajszy wieczór spędziła na poszukiwaniu drugiego zdjęcia z Rosenbergiem. I znalazła, tyle tylko że zamierza je pokazać, dopiero jak przyjdziemy razem. Bez wdawania się w zbędne szczegóły powiedziałem jej, że próbujesz rozwiązać zagadkę Rosenberga. Zastanawiam się, czy to dlatego zapałała do ciebie taką sympatią. Ale jej nastroje często ulegają zmianie – było to kolejne, delikatne określenie igraszek, jakim pamięć starszej pani podlegała – jeśli teraz akurat się zdrzemnie, po przebudzeniu może jej się odwiedzić. Więc ja pójdę do niej już teraz, a ty przyjdź, jak tylko będziesz mógł.

– W porządku, tylko odprowadzę Estona.

Ten poważny mężczyzna stawał się nieomal sztubakiem, gdy na horyzoncie pojawiała się jego matka. Jednak mnie również zależało na jak najszybszym obejrzeniu drugiego zdjęcia.

Poprzednie przyniosło znakomitą odpowiedź na jedno z kluczowych pytań. Choć naiwnością było oczekiwać, że i dzisiaj wydarzy się coś podobnego, to czy istniał inny punkt zaczepienia?

Zastukałem do drzwi i delikatnie nacisnąłem klamkę. Pochłonięci rozmową matka i syn nie zauważyli mojego wejścia. Jedyne słowo, które usłyszałem, a wypowiedziała je pani Adela, brzmiało:

– ...Antosia...

Antykwarium zmieszał się nieco na mój widok. Domyśliłem się, że niewytłumaczalna sympatia, jaką starsza pani raczyła mnie obdarzyć, może mieć konkretny powód: przypominam jej jakiegoś Antosia, pewnie bliską sercu znajomość z dawnych lat. Wdzięczny byłem losowi za zbieg okoliczności, który zapewnił mi jej przychyłność.

W pokoju panował półmrok, taki sam jak poprzedniego dnia. Zapewniały go wieczne zasunięte zasłony. Wiszące lub stojące lampy podświetlały jedynie poszczególne fragmenty pomieszczenia. Dla matki antykwarium świat zewnętrzny zdawał się nie istnieć. Owszem, poznawała go z gazet i czasopism, ale traktowała jak coś nierealnego, istniejącego tylko na kartach powieści. A ten prawdziwy, pełen przesuwających się sylwetek i zdarzeń, tkwił głęboko, zarejestrowany na kliszach wspomnień.

Pani Adela spojrzała na mnie przenikliwie – znów odnosiłem wrażenie, że Sebastian Mars przesadza, mówiąc o jej kłopotach z pamięcią, tak bystry był to wzrok – ale z wyraźną sympatią. „Może ten Antoś był jakimś przedwojennym ułanem?”, pomyślałem.

Bartosz Antoni Czarnoleski, oficer Ósmego Pułku Ułanów Księcia Józefa Poniatowskiego.

Hm, to brzmiało niezłe. Ułańska fantazja wbiła wyobraźni ostrogi i nagle ujrzałem siebie na koniu, w mundurze, wywijającego szablą i śpiewającego hymn Ósmego Pułku: *Ostra szabla, ostra buzia to ułani księcia Józia...* Kiedyś wpadła mi w ręce książeczka, śpiewnik, zawierająca rymowane motta poszczególnych ułańskich pułków. Kilka z nich pamiętałem do dzisiaj.

Dzieci Marsa i Wener, pułk ułanów numer cztery – chyba ze względu na proste skojarzenie, przyszło mi do głowy genialne dziecko Sebastiana – Marsa i Sabiny – Wener.

Mina tęga, a łeb pusty to ułanów jest pułk szósty – ciekawe, czy chętnie identyfikowali się z treścią przyspiewki?

Jedzie ułan z dziesiątego, wyją psy na widok jego – dlaczego?

Hej, dziewczęta, w górę kiecki! Jedzie ułan jazłowiecki! – he?!?

Naszą oto jest sałata, dwadcat' pierwyj tra-ta-ta-ta – ta sałata to chyba od koloru porporca. Ale czy nie piękne?

Ej, to musiały być czasy... Jakież mniej skomplikowane jakby. A może tak się tylko po latach wydaje?

– Spójrzcie, mówiłam, że drugie zdjęcie jest sympatyczniejsze. – Głos starszej pani zabrzmiał jak trąbka wzywająca na capstrzyk dnia dzisiejszego.

Naszym oczom ukazały się te same dwie dziewczynki – chyba młodsze jeszcze i bardziej roześmiane – oraz Szymon Rosenberg we własnej osobie, również z szerokim uśmiechem na twarzy. Każde z nich trzymało na rękach szczeniaka. Trzy prześmieszne, łaciate kuleczki.

– Ten, którego trzyma Zośka, to Opus, najbardziej artystyczna natura z trójki huncwotów. Pan Rosenberg trzyma Opasa, to był żarłok niewiarygodny. A u mnie na rękach jest Opos – miał taką szczurzą mordkę.

Odjęło nam mowę.

Oto po raz drugi w ciągu kilkudziesięciu zaledwie godzin w cichym, leżącym jakby na uboczu świata pokoju pani Adeli łapaliśmy zerwaną przed laty przędzę. Skojarzenie z wróżką, które wczoraj przyszło mi do głowy, teraz już nie wydawało się bezpodstawne...

A więc jednak! Kartka z batuty miała ukryty sens!

Co prawda Rucacelli mówił o kotach. Malował je, układał wierszyki... Może celowo? Może był ostrożniejszy, niż nam się wydawało? Może i on zaczął podejrzewać, że Wanda kieruje coś więcej niż tylko zauroczenie? I dlatego miotał się między chęcią uchylenia rąbka rozpiętej go tajemnicy a obawą, by nie powiedzieć za wiele?

Teraz należało tylko – bagatela! – dokonać wykładni ostatniego zdumiewającego odkrycia.

Podziękowaliśmy bardzo serdecznie starszej pani za skarby pamięci, którymi zechciała się z nami podzielić. Czułem się w obowiązku powiedzieć coś sensownego.

– Wyłącznie dzięki pani udało nam się poznać dwie największe pasje Szymona Rosenberga.

Odniosłem wrażenie, że tym razem starsza pani rzeczywiście marzy o drzemce. Ale w progę zatrzymał nas jej czysty i wyraźny głos:

– Dwie największe pasje ojca Zosi? Nie wydaje mi się.

– Mamo, co chcesz przez to powiedzieć?

Wydawało się, że prawdopodobieństwo wyciągnięcia mylnego wniosku było bliskie zeru. A jednak... Czułem się jak uczeń, który udzielił niewłaściwej odpowiedzi. Czekaliśmy w napięciu. Czy dobra wróżka raz jeszcze – do trzech razy sztuka – zechce naprowadzić nas na właściwy trop?

– A więc nie szachy i psy? – antykwariusz był zdezorientowany w niemniejszym stopniu niż ja.

– Szachy tak. Ale psy nie. Te trzy szczeniaki znalazły się w ich domu tylko dlatego, że Rosenberg znalazł je porzucone przy drodze. To nie był człowiek, który mógł pozostawić bez opieki bezbronne stworzenia. Ale prawdziwą jego pasją były koty. Tak, prócz trzech psich znajd po domu paradowały cztery koty. Zwierzęta, od małego wspólnie wychowywane, nie tylko się nie gryzły, ale wręcz przyjaźniły. To było szczęśliwe stadko... – Pojęcie stadka rozciągało się chyba na całą rodzinę architekta. – Nie, nie – pani Adela odczytała nasze pytające spojrzenia – na zdjęciu ich na pewno nie znajdę, mówiłam wam, że mam tylko dwie fotografie z Zośką i jej ojcem, ale... zaraz... poczekajcie... coś mi się kołacze po głowie... Może to dziwne, bo tyle faktów zatarło się w pamięci... Ale tę wyliczankę pamiętam. Zawsze gdy bawiliśmy się w chowanego, Zosia ją recytowała:

*Czarna, ruda, biały, bury,
dwie kociczki, dwa kocury,
będziesz szukać cały rok,
Wera, Kisia, Bas i Trok.*

Poczułem, jak zalewa mnie fala gorąca.

W wielu utworach muzycznych są takie momenty, idiomy melodyczne lub harmoniczne – mógłbym określić je z dokładnością do taktu – które zwiastują ostateczne rozwiązanie wszystkich splecionych wątków. W przedziwnym, niekończącym się allegro mijającego tygodnia to była właśnie owa chwila. Czy muszę tłumaczyć dlaczego?

Wątpliwości się rozwiąły.

Notatka, która w pierwotnej, zamazanej wersji brzmiała:

B a \$ (.) . . a
(.) i . i a . . o k

a po staraniach eksperta uzyskała formę:

B a s W . r a
K i . i a T . o k

rozkwitła w końcu pełnym – pierwotnym i ostatecznym kształtem:

B a s W e r a
K i s i a T r o k

BAS – WERA – KISIA – TROK

Niedoceniany świstek papieru, który dziesięciolecia spędził ukryty w batucie, wyjęty z niej doprowadził kogoś do siódmych potów, a z pudła fortepianu trafił w moje ręce, teraz dopiero rozjarzył się właściwym blaskiem. Kartka bez batuty, ale i batuta bez kartki traciły połowę swojej mocy. Dopiero razem tworzyły dublet niezbędny i wystarczający zarazem do odkrycia tajemnicy i otwarcia jej. Nie dziwiło już, że byli na tym padole ludzie gotowi na wszystko, by go zdobyć.

Znajdowaliśmy się na najgorętszym z gorących tropów. Jak się miał do równoległego, którym podążali Włosi, nie miałem pojęcia.

Eksplozja znaczenia, jakie przyniosła niewinna dziecięca wyliczanka, pozwoliła nam wierzyć, że to niekoniecznie my jesteśmy na straconej pozycji. Istniała możliwość, że nasi przeciwnicy zagarnęli ostatni element układanki, ale bez znajomości poprzednich był on bezużyteczny. Ta sama zależność mogła odnosić się do nas.

Czy jednak w momencie, w którym trochę dzięki szczęściu, trochę dzięki konsekwencji i intuicji dotarliśmy do kluczowego momentu poszukiwań, należało być pesymistą? Bezwzględnie nie! Aby ostatecznie potwierdzić nasze przypuszczenia, antykwariusz wyciągnął z sejfu notatkę znaną wewnątrz batuty. Ja wziąłem kartkę z ostatnią wersją zrekonstruowanego napisu.

Nie było wątpliwości, Opus, Opas i Opos zdradziły swoją tożsamość. Lecz to nie one strzegły wejścia do korytarza dyrygenckiego, bo wedle słów matki Sebastiana Marsa nie stanowiły jednej z dwóch powszechnie znanych pasji architekta. Więc co robiły na kartce? Przyszła mi do głowy myśl bardzo dziwna, by nie rzecz absurdalna, ale nie mogłem się jej oprzeć: Rosenberg dokooptował je do kocięj gwardii, by wspólnie strzegły tajemnicy, choć wyjawienie jej miało ostatecznie przypaść w udziale hultajskiej czwórce.

Kot Rucacellego też wskoczył nagle na właściwe miejsce. Dyrygent rozwiązał zagadkę, wiedział, kto jej strzeże, i nie mógł się powstrzymać, by nie uchylić przynajmniej jej rąbka, który niewtajemniczonym nic, rzecz jasna, nie mógł powiedzieć.

Sebastian wyciągnął z sejfu coś jeszcze. Coś, od czego wszystko się zaczęło, a co było coraz bliższe spełnienia swojej dziejowej roli.

Batuta-klucz.

- Chyba już pora, żebym ci to oddał.
- Tak, chyba tak, ale... muszę się zastanowić.

Chciałem znaleźć się w pokoju dyrygenckim jeszcze dzisiaj. Wiedziałem, że drogę do celu mogę odnaleźć tylko dzięki kotom. Gdzie w tym niezwykłym pomieszczeniu mogły się ukrywać? Nie miałem pojęcia. Ale najpierw musiałem się dostać do gabinetu, a jeszcze przedtem do filharmonii.

Tylko jak?

Niestety, moje możliwości uległy w tym aspekcie dramatycznym ograniczeniom. Miałem wiele szczęścia napotykając na swej drodze życzliwego portiera, lecz limit bezproblemowych wejść do budynku został wyczerpany. Pan Zenon miał dzisiaj wolne. Trudno było znaleźć dobry powód, dla którego ktoś inny zechciałby mnie wpuścić do środka, zwłaszcza że – nie zapomniałem – jest niedziela.

- A może lepiej poczekać? Albo zawiadomić policję i pozwolić im działać?
- Panie Sebastianie, poczekać, na co? Aż tamci nas wyprzedzą? Zawiadomić policję – o czym: że cztery koty z dziecięcej wyliczanki strzegą skarbu?
- Bartku, ale ty jutro grasz przesłuchanie. – Słowa antykwariusza zabrzmiały mało przekonująco.

- No właśnie. Jeśli ktoś nam uwierzy i zacznie poszukiwania, to idę o zakład, że audycja się nie odbędzie. To ostatnie, czego bym w tej chwili chciał. Mam za sobą może najbardziej zwariowany tydzień swojego życia. A przed sobą dwa cele, do których pozostały już tylko dwa kroki. Panie Sebastianie, ja muszę się dziś dostać do pokoju dyrygenckiego, a jutro stanąć do konkursu, nawet jeśli i jedno, i drugie skończy się fiaskiem. Gdy jednak coś odkryję, zachowajmy to dla siebie aż do jutrzejszego popołudnia. Pierwszym, co zrobię po audycji, będzie poinformowanie nadkomisarza Bielskiego. Potem niech mi zetną głowę, wszystko mi jedno. Ale nie zatrzymam się tuż przed metą.

Tydzień temu o podobnej porze dyrygent Damian Rucacelli przygotowywał się do poprowadzenia *IX symfonii* Beethovena i zapowiadał konferencję prasową. Parę godzin później otarł się o śmierć. Historia zatoczyła koło. Dzisiaj ja znalazłem się na miejscu Rucacellego. Oczywiście z kilkoma różnicami. Moją symfonią Beethovena miało być przesłuchanie do orkiestry i to dopiero jutro. Konferencji nie zwoływałem, bo nikt by na nią nie przyszedł. Zresztą do chwili obecnej oprócz starego buta nic jeszcze nie znalazłem.

Ale miałem zamiar.

W wyobraźni obiegłem cały budynek dookoła, piętro po piętrze. Gdy byłem na drugim, zobaczyłem nagle wybitą przez włamywaczy szybę. Według słów pana Zenona nowa miała zostać wstawiona dopiero po niedzieli. Tymczasowo otwór zabezpieczono drewnianą płytą.

Już wiedziałem, jak dostanę się do środka. I to bezpośrednio do interesującego mnie pokoju.

Antykwariusz nie był zachwycony moim pomysłem. Musiałem długo i cierpliwie tłumaczyć, że gzyms na wysokości drugiego piętra ma dobre pół metra szerokości. Właśnie po to, by bezpiecznie się po nim poruszać, gdy od czasu do czasu zachodziła potrzeba czyszczenia secesyjnych dekoracji. Dwa wieczory wcześniej przyjrzałem się, w jaki sposób złodzieje dostali się do pokoju i uciekli z niego. Na tylnej ścianie gmachu znajdowała się drabinka ewakuacyjna. Na ile mogła spełniać swoją funkcję – pozostawało pytaniem otwartym, ale do celów

włamywaczy nadawała się w zupełności. Wspięcie się po niej na drugie piętro również dla mnie nie powinno stanowić problemu.

Prawdę mówiąc, to nie wspinaczki się obawiałem. Inna myśl budziła mój niepokój, towarzysząc groźnym kontrapunktem nawet wtedy, gdy mówiłem i robiłem coś zgoła odmiennego. W miarę logicznie – zdawało mi się – wyodrębniłem dwie grupy, które oprócz nas na różne sposoby próbowały zgłębić tajemnicę Rosenberga. O ile pierwsza z nich, banda Ryżego, materialnie i moralnie sponsorowana przez Jędrzeja, wypadła z gry (takie przynajmniej przyjąłem założenie), o tyle druga skrywała się gdzieś w mroku. Dwie księżycowe sylwetki odpowiedzialne za próbę zabójstwa Rucacellego, przeszukanie mojego poddasza, atak na antykwariat oraz kradzież obrazu i rzeźby z gabinetu dyrygenckiego czaiły się gdzieś w pobliżu. Czułem to przez skórę. Czy kradnąc obraz i popiersie, uzyskali wystarczające wskazówki, aby samodzielnie ukończyć partię?

Uświadomiłem sobie nagle, jak wielkim błędem było prowizoryczne tylko zabezpieczenie gabinetu. Przestępcy mogli bez trudu wejść tam ponownie. Niemniej i ja dostrzegałem tu swoją szansę. Reasumując: od dwóch dni, kiedy to mafiosi w ekwilibrystycznym balecie opuścili po gzymsie i drabince filharmonię – z *Filharmonią* i jej patronem pod pachą – nie widziałem ich i o nich nie słyszałem. Albo więc dopięli swego i wkrótce przekonam się, że znowu, tym razem ostatecznie, mnie wyprzedzili, albo przyczaili się i czekają na mój ruch.

Antykwariusz ostatecznie zaakceptował pomysł, a przekonał go argument nie do podważenia: innej drogi po prostu nie było. Ten stateczny pan był w gruncie rzeczy niezłym szaleńcem, szczególnie w sprawach związanych z jego profesją i pasją zarazem. Perspektywa rozwiązania wojennej zagadki i być może odnalezienia cennych eksponatów spowodowała, że tryskał energią, pomysłowością i żądzą czynu, a jedynie dla przyzwoitości próbował mnie powstrzymać. Gdyby jednak udało mu się mnie zniechęcić, nie jestem pewien, czy sam nie spróbowałby wspinaczki na mury.

Na tyłach antykwariatu znajdowało się wyjście, o którego istnieniu nie wiedział chyba nikt oprócz właścicieli. Dziś przyszła właściwa chwila, aby z niego skorzystać. Sebastian Mars był w swoim żywiole. Postanowił zaopatrzyć mnie dodatkowo w kilka cennych rad, wskazówek i niezbędny jego zdaniem ekwipunek.

– Po pierwsze, jeśli odnajdziesz sejf, nie otwieraj go, zanim nie zamkniesz włazu, bo różnica temperatur, wilgoci et cetera mogłyby uszkodzić jakąś wrażliwą materię. Po drugie, wszystkie czynności wykonuj w jedwabnych rękawiczkach – to mówiąc, wręczył mi je. – Jeśli będziesz chciał ruszyć lub przemieścić któryś ze znalezionych przedmiotów, rób to z najwyższą ostrożnością. Najlepiej byłoby, abys ich w ogóle nie dotykał.

Zacząłem się poważnie zastanawiać, czy nie byłoby najlepiej, gdybym w ogóle tam nie poszedł.

– Po trzecie, spróbuj zrobić zdjęcia. Aparat zaraz ci dam. Odnalezione przedmioty postaraj się sfotografować bez ruszania ich z miejsc, a jeśli to będzie niemożliwe, uważaj, jakby każdy z nich był kryształowym jajkiem. Jeśli będzie zachodzić najmniejsza nawet obawa, że poruszenie może któremuś zaszkodzić, błagam cię, nie dotykaj go!

Musiałem to wszystko obiecać panu Sebastianowi, choć jego polecenia trochę już mnie irytowały.

– To świetny aparat, dodatkowo wyposażony w specjalną lampę – zaczął znowu antykwariusz, powierzając mi jakieś cudo japońskiej techniki – o świetle nieszkodliwym dla zabytków. Kiedy uda ci się sfotografować zawartość sejfu, zamknij wszystko i zostaw w takim stanie, w jakim zastałeś.

– Panie Sebastianie, czy sądzi pan, że Rucacelli zachowywał te same środki ostrożności? Przecież on mógł tam wszystko powywracać do góry nogami.

– Mógł, ale po pierwsze, nie jest idiotą, a po drugie... jaką mamy gwarancję, że naprawę odnalazł i otworzył sejf? Może odnalazł tylko tajne wejście, a z resztą czekał na specjalną okazję?

Niezapomniany wieczór... Obiecywał Wandzie niezapomniany wieczór. Wiedział już wszystko, ale finał chciał trochę pocelebrować. Dyrygent, jakby nie było, facet z niezłym wyczuciem dramaturgii. Do tej pory nie brałem tego pod uwagę, ale Sebastian Mars mógł mieć rację. A ja mogłem stać się pierwszym od czasów wojny człowiekiem, który dotrze do schowka.

Jeśli dotrze. A jego istnienie się potwierdzi. I nie został w międzyczasie ogołocony.

Ciągle ten tryb warunkowy. Ale przecież trzeba było twardo stąpać po ziemi; należało wkalkulować możliwość fiaska i być na nie przygotowanym.

Czułem się trochę jak student przed egzaminem, jednak musiałem przyznać, że uwagi antykwariusza miały sens. Powtórzyłem więc wszystko raz jeszcze, zapoznałem się z działaniem powierzonego sprzętu. Do niewielkiego plecaka włożyłem dużą i małą latarkę, krótką, lecz solidną linkę, składany nóż i niewielki czekanik.

Z takim bagażem przedmiotów i nadziei rozpocząłem swoją wieczorną wyprawę.

Pan Sebastian miał czuwać przy telefonie, by w razie potrzeby służyć radą lub zawiadomić kogo trzeba – zgodnie nie wymieniliśmy nazwy żadnej ze służb, ale nie było wątpliwości, że myślimy o policji, pogotowiu, a może i straży pożarnej...

Wymknąłem się tylnymi drzwiami. Na początku kluczyłem trochę, zatrzymując się kilkakrotnie w napotykanym bramach. Nikt jednak za mną nie podążał. Ubrany na czarno, czułem się jak cień, jak duch – prawie niewidzialny. Ta część wyprawy przebiegała bez zakłóceń, a wspinaczka okazała się prostsza, niż mogłem przypuszczać. W porównaniu z ekwilibrystyką na barierze jaskółki wydawała się wręcz dziecinnie łatwa. Największe niebezpieczeństwo groziło mi ze strony oblodzonych w niektórych miejscach parapetów, lecz pokryte od spodu antypoślizgową warstwą sportowe buty zmniejszały ryzyko upadku.

Jednak gzyms nie wszędzie był równie szeroki. Kilka razy musiałem pokonywać wążutkie łączniki, których elementy niebezpiecznie ruszały się pod nogami. W pewnej chwili prawa stopa obsunęła się kilka centymetrów i utknęła zakleszczona między dwiema cegłami. Zachwiałem się i w popłochu próbowałem odzyskać utraconą równowagę. Rozczapierzone dłonie rozpaczliwie szukały jakiegokolwiek oparcia. Żałowałem, że nie jestem żabą, brakowało mi jej przysawek. Znowu zaczynał się festiwal pobożnych życzeń. O ile jednak mogłem wyrzucać sobie nieuprawianie sportu, baletu lub fitness, o tyle oskarżanie się o niebycie płazem nie miało racjonalnych podstaw. A jednak cudem jakimś udało mi się przywrzeć do ściany.

Kiedy poczułem, że odzyskuję kontrolę nad ciałem, podjąłem próbę uwolnienia stopy. Nie mogłem nią poruszyć ani w górę, ani w dół. Pozostawała jedyna możliwość. Jak na zwolnionym filmie wysunąłem stopę do tyłu, opierając tym razem ciężar ciała na nodze lewej,

a całą szerokością ramion przyciskając się do zimnego muru. Jeszcze chyba nikt tak się nie przytulał do filharmonii.

Przypomniała mi się widziana kiedyś w parku grupka ludzi ćwiczących tai-chi. Każdy ich ruch, spokojny i kontemplacyjny zdawał się mieć za cel przede wszystkim niezaburzenie równowagi. Wyobraziłem sobie, że jestem jednym z nich. Noga łagodnie wysunęła się z ceglanej pułapki. Dopiero kiedy stanąłem pewniej, wyobraźnia ukazała mi, co mogło się wydarzyć. Odczekałem chwilę, by odzyskać spokój, i wznowiłem wspinaczkę. Od tej chwili dokładnie badałem podłoże. Nie mogłem pozwolić sobie na kolejny moment nieuwagi. Mógłby być ostatnim.

Wkrótce znalazłem się na wysokości okrągłego okienka. Teraz przydał się czekanik. Oderwałem przybitą gwoździami drewnianą płytę. Wsunąłem się do środka. Prowizoryczna przesłona wróciła na swoje miejsce. Nikt z zewnątrz nie powinien wiedzieć, że w pomieszczeniu znajduje się nieproszony gość. Zamierzałem posługiwać się wyłącznie latarką, lecz nawet jej promień mógł zostać zauważony.

Odpocząłem chwilę oparty plecami o ścianę pod oknem. Miałem dość wspinaczek. Czy naprawdę ja, muzyk, musiałem dostawać się do filharmonii i opuszczać ją tak ryzykownymi metodami? Odpowiedź nasuwała się sama. Oczywiście, że nie musiałem; robiłem to z własnego wyboru.

Jak do gmachu dostawał się Rosenberg? O ile Michalewicz jedynie objaśniał uciekinierom drogę ucieczki, o tyle architekt musiał doń wchodzić co najmniej kilkakrotnie. W okupacyjnych warunkach mogło to budzić podejrzenia. Wszak nie był muzykiem, a dla ówczesnej administracji nie miało znaczenia, że przed wojną remontowano gmach według jego projektu. A może miał swojego pana Zenka? Michelangelo wspominał w wywiadzie, że cały system był dobrze zorganizowany, a tak precyzyjnej i ryzykownej zarazem działalności nie sposób prowadzić bez współudziału zaufanych ludzi.

Parę chwil odpoczynku pozwoliło mi nabrać sił do kontynuowania misji. Nagle dotarło do mnie, jak blisko celu się znajduję. Gwałtowne uderzenie adrenaliny dało hasło: zacznij działać.

Musiałem odnaleźć cztery koty, które ukryły się gdzieś w tym pokoju. Miały mi w tym pomóc dwa czterowiersze: dziecięca wylicznanka i próbka liryczna Rucacellego. Kota z serwetki nie traktowałem jako szczególnie pomocnego w odkryciu prawdy. Nazwałbym go raczej kotem ogólnym lub ukierunkowującym. Albo jeszcze inaczej: doskonale symbolizował kota, którego dyrygent dostał po rozmowie z Michalewiczem. Musiał wiedzieć, że Wera, Kisia, Bas i Trok to były kocie imiona i że to one właśnie stoją na straży schowka.

Jędrzeja opętała batuta – Wanda nazywała to chorobą – a Rucacellego koty, ale maestro od początku był o duży krok do przodu.

A co opętało mnie? Chyba wszystko razem. Zdałem sobie nagle sprawę, że przez ostatnie dni żyję jak na haju, w stanie permanentnej euforii, choć moje koszty własne wcale nie są małe.

*Stałem pod niebem, patrzyłem w gwiazdy,
odkryć musiałem cztery spojrzenia,
dopiero twoje oczy mnie natchnęły,
jutro zabiorę cię tam ze sobą.*

*Czarna, ruda, biały, bury,
dwie kociczki, dwa kocury,
będziesz szukać cały rok,
Wera, Kisia, Bas i Trok.*

Odkryć musiałem cztery spojrzenia... Wera, Kisia, Bas i Trok... Wyglądało na to, że kluczowa informacja zawiera się w liczbie cztery. Dlaczego jej oczy go natchnęły? Gdyby ten wers brzmiał: dopiero twoje koty mnie natchnęły, wszystko byłoby prostsze. No dobrze, ale przecież ja wiem, że chodzi o koty. Oczy pojawiają się jako figura stylistyczna.

Dość teorii.

Promieniem dużej latarki zataczałem kręgi po muzycznej spirali. Od początku do końca, od końca do początku, całościowo, wrywkowo, przekątnie, równolegle, wzdłuż i wszerz, i... nic.

Postanowiłem poświęcić więcej uwagi tym polom szachownicy, gdzie nie było podobizn kompozytorów. Starałem się przeanalizować każdą ryś, każdą szczelinę i... znowu nic.

Owszem, na jednej z płyt sąsiadujących z Brahmem zauważyłem, delikatnie, acz szlachetnie wygrawerowane inicjały: R.S.

Nawiedziło mnie skojarzenie z napisami wyrzynanymi przez zakochanych lub sfrustrowanych uczniów na szkolnych ławkach. Ulubionym dziełkiem gatunku, które moja pamięć przechowywała z uporem godnym lepszej sprawy, był ujrany w pierwszej klasie tekst: love krowe. Niedostatek ogonka u pocziwej Krasuli złagodzony został przez budzący tajemny dreszcz wyraz „love”, wymawiany naocznie fonetycznie, a jednak zapładniający wyobraźnię ukrytym znaczeniem.

Obecność inskrypcji w takim miejscu zdumiała mnie jednak, a pytanie, kto i dlaczego zdecydował się na uwiecznienie dwóch liter, otwierało niepoślednie pole dla imaginacyjnych dociekań.

Oto do gabinetu zakrada się wzburzony miłośnik muzyki Richarda Straussa, który dowiedziawszy się, że jego idol nie znalazł miejsca w panteonie sławy, z błyskiem szaleństwa w oczach wycina w drewnie inicjały mistrza.

W gabinecie odpoczywa Klara Schumann. Ze zgrozą zauważa, że na suficie nie ma podobizny jej męża. Porywa nożyk, którym obierała cytrusy, wskakuje na stół i bierze się do dzieła. To wersja wzięta z... sufitu, bowiem Klara Schumann zmarła w roku 1896.

Kilka razy zdawało mi się, że w kompozytorskich wąsach dostrzegam kocie motywy, ale to zmęczony wzrok zaczął mi już płać figle. W ruchomym świetle latarki podobizny mistrzów zdawały się ożywać. Wyrzeźbione twarze uśmiechały się ironicznie, jakby pytając: no, dalej, który z nas jest kotem?

„Czarna, ruda, biały, bury...” Czy chodziło o czarną i rudą brodę oraz biały i bury wąs? Ale jak właściwie wygląda bury wąs? W swojej dziecinnej prostocie ta zagadka była upiornie niezrozumiała.

Olśniony nagłym błyskiem, spróbowałem debiutu Nimzowitscha. Tym razem arcymistrzowskie otwarcie okazało się nieprzydatne.

Zmęczony, mokry od potu – nie przyszło mi do głowy, żeby zdjąć z siebie kurtkę – siadłem z rezygnacją. Kręcenie kółek po suficie przypominało uganianie się za fatamorganą.

Prowadziło do obłędu, lecz nie przybliżało do celu. Odpowiedzi musiałem szukać w głowie.

– Panie Czarnoleski, pan Rucacelli rozwiązał zagadkę – usłyszałem nagle głos Lewlera Terwała – ba, zakodował ją ponownie w minipoemacie dla Wandy. Rusz pan swoim altowiolistycznym mózgiem, bo będzie wstyd.

Stałem pod niebem...

Pod niebem, pod muzycznym nieboskłonem. To musi być alegoria sufitu.

Patrzyłem w gwiazdy...

Kim były gwiazdy na suficie? Oczywiście, kompozytorami. Na razie wszystko wydawało się klarowne.

Odkryć musiałem cztery spojrzenia...

Tajemnicy strzeże czwórka kompozytorów. Aż czterech. To znaczy, że żaden z osobna nic tu nie zdziała. Dopiero ich komplet udzieli pożądaną odpowiedź. Ale, na Boga, którzy to? Która czwórka z sufitu ma coś wspólnego z kotami?

Dopiero twoje oczy mnie natchnęły...

No, to już chyba nie wskazówka, raczej wyznanie.

Jutro zabiorę cię tam ze sobą...

To z kolei jawna deklaracja.

A nie mógł maestro jakoś prościej? Na przykład:

Włazł kotek na sufit w komnacie

Przybrany w granatowe gacie.

Tu na przykład mógłby zwrócić się bezpośrednio do dziewczyny:

Nastanie, koteczku, dla nas czas

Pocałuj mnie teraz jeszcze raz...

No tak, ale to był jego wiersz, nie mój.

„Do pracy, altowiolisto!”, dopingowałem się w myślach. „Pokaż, do czego altowiolista jest naprawdę zdolny”. I puszczałem w ruch szare komórki, każąc im pracować na najwyższych obrotach. Niestety, najbardziej fantastyczne pomysły zawodziły. Może więc szukałem za daleko, za głęboko, może za bardzo próbowałem wszystko skomplikować? A jeśli sekret tkwił w prostocie? Był za blisko, zbyt oczywisty, aby go ujrzeć?

I oto przy którymś z rzędu machinalnym powtarzaniu kocich imion usłyszałem nowy dźwięk: coś, co wcześniej nie przebijało się do mojej świadomości.

Wera, Kisia, Bas i Trok... Bas, Trok...

Zaraz, zaraz...

Trok – te cztery litery zawiera nazwisko Bartók, który owszem, jest na suficie. Jeśli to miały być właściwy trop, to... Bas... Szybko przeleciałem nazwiska kompozytorów i wbrew pierwszemu skojarzeniu z Bachem stwierdziłem, że tylko Brahms zawiera w sobie owe trzy litery. Po kwadransach niepowodzeń, w końcu coś drgnęło. Starałem się nie podniecać zawczasu, uliczka mogła się okazać ślepa. Kiedy jednak po kolejnych sprawdzeniach, Wera odnalazła się w nazwisku Wagner, a jeszcze później – i to było najtrudniejsze – Kisia w Strawieńskim, i gdy dodatkowo okazało się, że cała czwórka sąsiaduje ze sobą w ostatnim, wewnętrznym kręgu, poczułem, jak stada mrówek zaczynają maszerować po moich ramionach i plecach w kierunku szyi.

Gdzieś w głowie cichutko zagrały werbelki. Moja wyobraźnia od najmłodszych lat ubarwiała wydarzenia wewnętrzną muzyką. Dzisiaj dźwięki odezwały się ponownie. Narastający powoli łoskot przyprawiał o dreszcz. Ale jeszcze nie wszystko było jasne.

Aby uruchomić mechanizm, trzeba było zastosować właściwą kolejność. Która była ważniejsza: ta ze schowanej w batucie kartki czy ta z dziecięcej wyliczanki? Założyłem, że ta druga. Ta, którą Rosenberg musiał mieć w uszach i w głowie do końca, nawet wtedy, a może zwłaszcza wtedy, gdy było mu ciężko. Radosny szczebiot córki: „Wera, Kisia, Bas i Trok...”.

Chwyliłem w dłoń głowę Wagnera. Tak, wiem, brzmi dziwnie, ale inaczej określić tego nie sposób. Ręka zacisnęła się jak na drewnianym jabłku. W prawo, w lewo – nic. Wciśnięcie – nic. Żadna próba nie przynosiła rezultatu. Nagle ogarnął mnie strach, że urwę głowę mistrzowi z Bayreuth i cały w trudzie i mozole budowany gmach zawali się w jednej chwili. Podczas gdy prawa ręka zaciskała się coraz mocniej na główce twórcy dramatu muzycznego, lewa objęła czule podobiznę Strawieńskiego. Ale on również nie reagował. Niewiele już miałem do stracenia. Tym razem do Wery – Wagnera, dopasowałem Basa – Brahmsa.

I okazało się, że miałem rację. Wera i Bas to pewnie była kocia parka. Podobał mi się dowcip Rosenberga. Brahms i Wagner byli antagonistami i darli ze sobą ideowo-artystyczne koty...

Głowa Wagnera dała się w końcu przekręcić w prawo, Brahmsa zaś w lewo. W suficie, tuż nad moją głową, szczerknął stary mechanizm. Po chwili powtórzyłem manewr z pozostałą dwójką. Kisia musiała być ukochaną Troka. Druga część mechanizmu jęknęła z cicha i...

Wszystko zamarło.

Ale po chwili cztery środkowe pola szachownicy zaczęły wolniutko się unosić. Strzegący ciężaru mechaniczny Goliat został obudzony.

Korytarz dyrygencki otwierał się...

Przystawiłem stół i wspiąłem się do środka. Moja dzisiejsza sytuacja była o niebo lepsza. Przede wszystkim miałem latarkę. Zgodnie z sugestią antykwariusza chciałem zamknąć wąż, ale w porę przypomniałem sobie, jakie przyniosło to konsekwencje w korytarzu koncertowym. Zamknięcie wążu do korytarza dyrygenckiego, który przecież był ślepy, mogło mi definitywnie odciąć drogę powrotu. A co, jeśli telefon znów mnie zawiedzie? Postanowiłem więc zabezpieczyć się dodatkowo. Przyczepiłem linę do metalowego kółka z boku wążu. Drugą jej końcówkę przywiązałem do znalezionej w ścianie uchwyty na pochodnię, która w nim zresztą tkwiła.

Rosenberg musiał jakoś oświetlać korytarz. Dzisiejsza droga wydała mi się krótka i łatwa. W rzeczywistości korytarz dyrygencki mógł mieć długość podobną koncertowemu, ale pokonywanie go – nie pełzając i nie na ślepo – wydawało się wręcz komfortem.

Korytarz zakończony był niewielką prostokątną komorą. Po prawej stronie, przy ścianie, stała szafa. Nie, nie szafa, a jeśli, to pancerna. Werble zagrały gwałtowne crescendo. Skierowany odpowiednio promień latarki rozproszył ostatnie wątpliwości.

Odnalazłem sejf Rosenberga.

Pozostawało już tylko go otworzyć.

Stałem u progu tajemnicy, przekręcenie klucza dzieliło mnie od jej poznania, a jednak... A jednak poczułem minimalne rzczarowanie. Sejf był za mały, żeby pomieścić cztery instrumenty, a o schowaniu do niego wiolonczi już w ogóle nie mogło być mowy. Przyszła pora przekonać się, co skrywał w istocie.

Rozkręciłem batutę. Dwa mosiężne klucze zabłyśły w świetle latarki, tej mniejszej, którą mogłem trzymać w ustach. Ich dopasowanie nie przysporzyło większych trudności; tym razem liczba kombinacji była ograniczona. Po kilku próbach system podwójnego zamka zadziałał.

Rozległ się – jakże miły dla ucha – dźwięk. Podobny pewnie do tego, na jaki czekali osłuchujący stare sejfy kasiarze wyposażeni w lekarskie słuchawki.

Pociągnąłem opancerzone drzwi. Zrazu niechętnie, z wolna poddały się jednak.

Sejf Rosenberga był otwarty.

Przypuszczenia okazały się słuszne. Wewnątrz nie było żadnego instrumentu. Moim oczom ukazały się trzy półki. Na każdej z nich umieszczono kilka przedmiotów w jedwabnych woreczkach: po trzy na półce dolnej i środkowej i dwa na górnej, nieco mniejszej. W sumie osiem niepozornych zawiniątek.

Musiało im tu być dobrze. Pozbawione światła, hałasu i wścibskich spojrzeń spoczywały w uspieniu, otoczone delikatnym dotykiem jedwabiu. A może myliłem się? Może, stworzone do oglądania i dla zachwyty czekały niecierpliwie na swego odkrywcę? Cokolwiek kryły woreczki, ich zawartość miała wszelkie dane, aby w nienaruszonym stanie dotrzeć do współczesnych czasów.

Jeśli Rucacelli odkrył i otworzył sejf przede mną, musiał zadać sobie sporo wysiłku, aby zatrzeć tego ślady. A może nie dotarł aż tutaj? Może nie udało mu się otworzyć nawet wjazdu?

Pokrywająca woreczki równa warstwa kurzu nie mogła osiąść w ciągu kilku dni. Rowki, które dawały się żłobić palcem, mówiły wyraźnie, że jestem pierwszym od wielu lat człowiekiem oglądającym zawartość skarbca.

Włożyłem jedwabne rękawiczki i przystąpiłem do operacji. Na pierwszy ogień poszła dolna półka. Trzy płaskie przedmioty leżące jeden na drugim. Przeczucie mnie nie myliło. To były obrazy.

Na desce o rozmiarach około trzydzięści na trzydzięści centymetrów namalowana była grupa nagich postaci. Zrobiłem kilka fotografii, po czym na powrót powierzyłem malunek miękkości jedwabiu.

Kolejny obraz był również namalowany na desce, a przedstawiał portret – nie byłem do końca pewny – mężczyzny czy kobiety.

Trzeci, ten z dołu, był największy i namalowany na płótnie. Przedstawiał kobietę z dwoma koszami owoców.

Nie przyglądałem się malowidłom zbyt szczegółowo, to nie był ten moment. Starałem się zrobić po kilka zdjęć, które pomogłyby Sebastianowi w identyfikacji dzieł. Pieczołowicie zabezpieczyłem obrazy i w zastanym porządku odłożyłem je na dno sejfu.

Już kształt woreczków zgromadzonych na półce środkowej wskazywał na zmianę charakteru zbiorów. Znajdowały się w nich trzy przedmioty, które określiłbym mianem złotych.

Pierwszy obfitował w misternie wykonane motywy zwierzęce i roślinne. Całość, otoczona ośmioma uchwytnymi na świeczki, robiła zbyt okazałe wrażenie, by mogła uchodzić za zwykły kandelabr.

Drugi z przedmiotów kształtem przypominał koronę. Wykonana w srebrze i ozdobiona szlachetnymi kamieniami, była w górnej części – jakby uchwytnie – pokryta napisami w języku

hebrajskim.

Zawartość woreczka numer trzy była mistrzowsko wykonaną miniaturą wieży, kościelnej lub zamkowej. Obfotografowałem eksponaty ze środkowej półki i starannie zabezpieczone odłożyłem je na miejsce.

W pomieszczeniu było chłodno. Mimo to co chwila ocierałem pot z czoła. Emocje sięgały zenitu, musiałem jednak działać precyzyjnie i metodycznie. Do kompletu dokumentacji brakowało mi zawartości dwóch jedwabnych woreczków z górnej półki.

W pierwszym już przez materiał wyczułem kształt i strukturę kamieni. Sporych kamieni.

Wymowałem je pojedynczo i kładłem na półkę, którą oczyściłem trochę z kurzu. Gdy wszystkie – a naliczyłem ich dziewięć – już na niej leżały oświetliłem je promieniem latarki. Wnętrze sejfu zajaśniało naraz światłem zorzy polarnej. Moja pierwotna teza o brylantach ukrytych w batucie uzyskała symboliczne potwierdzenie. Symboliczne? Czy coś, co wielokrotnie przebija tezę wyjściową, pozostaje symbolem?

Jakie to były brylanty! Ani jeden z nich nie zmieściłby się w batucie. Były wielkie. I przepiękne. Nigdy nie należałem do entuzjastów kamieni szlachetnych, ale w tej chwili rozumiałem fascynację najszlachetniejszymi z nich. Gdy robiłem im zdjęcia, wewnątrz sejfu eksplodowało bezlikiem świetlnych refleksów.

Prawo górnej półki, pomyślałem. Pozostawała już tylko jedna niewiadoma. Czy coś jeszcze mogło mnie zaskoczyć?

W ostatnim z jedwabnych woreczków znajdował się przedmiot, którego nie potrafiłem nazwać, ale na którego widok jęknąłem z zachwytem. To było nieprawdopodobne cacko sztuki jubilerskiej. Opis misternych szczegółów zająłby zbyt wiele czasu. Drżącymi dłońmi pstryknąłem kilka fotek. Przed oczami tańczył mi słonik z tryumfalnie podniesioną trąbą, którego figurka wieńczyła jubilerskie arcydzieło.

Zamykając sejf, wiedziałem już, że mam do czynienia z odkryciem niezwyklej wagi i to chyba w skali dalece przekraczającej lokalną. Ale zadanie nie było skończone.

Usłyszałem niepokojący odgłos od strony włazu. Czyżby mechanizm został ponownie uruchomiony? Popędziłem w jego kierunku. Proces zamykania musiał się zacząć już jakiś czas temu, ale mocna lina go powstrzymywała. Do czasu.

Uchwyt na pochodnię niebezpiecznie poruszył się w ścianie. W momencie, w którym dobiegałem do włazu, lina nagle pękła. Rzuciłem się w szczelinę w ostatnim momencie.

Ładowaniu na stole towarzyszyło głośne klaśnięcie zatraskującego się włazu. Zsunąłem się na podłogę. Mogłem się ruszać. Potłuczenia dadzą znać o sobie później. Na szczęście zachowałem do końca czujność. W przeciwnym razie zostałbym uwięziony w korytarzu. Ale i tu jeszcze nie kończyła się moja misja.

Przesunąłem stół na miejsce – solidny mebel nie ucierpiał przy twardym ładowaniu – sprawdziłem, czy nie zostawiam innych śladów mojej obecności, i rozpocząłem drogę powrotną po gzymsie. Towarzyszyły mi uczucia podobne do doświadczanych po szczególnie ważnym koncercie. Zadowolenia i satysfakcji, ale i leciutkiego smutku zarazem, że to już koniec, że najważniejsze właśnie się wydarzyło. W koncertowym życiu przychodziło jednak kolejne najważniejsze i jeszcze następne – i tak właściwie bez końca. Co nowego o porównywalnej skali mogło mnie spotkać po przygodzie, która właśnie się kończyła?

Wraciałem na ziemię. Również w sensie dosłownym. Musiałem utrzymać koncentrację, by szczęśliwie powrócić z chmur. Gzyms pokonałem w spokojnym rytmie, drabinka z każdym obniżającym się szczebelkiem pozwalała czuć się pewniej i bezpieczniej. Już prawie, już zaraz dotknę ziemi...

Szkoda tylko, że nie miałem oczu z tyłu głowy. Gdy stopa dotknęła gruntu, poczułem uderzenie, które rozpląszczyło mnie o ścianę. Nie zdążyłem nawet odwrócić głowy. Mocarne ramiona przyszpiliły moje ręce do budynku. Kątem oka widziałem, że napastnicy mają na głowach kominiarki. Ktoś odciągnął moją głowę, po czym uderzył nią w mur. Ekspłodowało w niej gwiaździste niebo bólu.

Niebo gwiaździste w głowie, prawo moralne w dupie.

Mój nos...

Złamany czy przestawiony?

Usłyszałem, jak ostrze noża przecina paski mojego plecaka. Na odchodnym ktoś ponownie spróbował wspomnieniem mojego nosa wybić dziurę w tynku. Ot, tak, żeby odechciało mi się pościgu.

Nie zamierzałem nikogo gonić. Jedyne, co czułem, to okropny, pulsujący ból w poobijanej twarzy. Wszystkie inne jego rodzaje – a nie zawsze uświadamiamy sobie, jak wiele części ciała może boleć naraz – odpadały w przedbiegach. W okolicach ust zrobiło mi się mokro, słono i słodko zarazem. Słonych łez bólu, które bezwiednie leciały mi z oczu, nie byłem w stanie powstrzymać. Podobnie jak słodkiej krwi płynącej ciurkiem ze zmasakrowanego nosa.

Najdziwniejsze jednak było, że te dramatyczne organoleptyczne doświadczenia wcale nie komponowały się tym razem w smak porażki...

– Jezus Maria, Bartku, jak ty wyglądasz! Co się stało?!

– Nic takiego, to tylko tak groźnie wygląda.

Musiałem wyglądać nieciekawie. I miałem też pewną, nieciekawą informację.

– Panie Sebastianie, jest mi strasznie przykro, zdaje się, że już po pana aparacie.

– Co tam aparat, a znalazłeś coś, zrobiłeś zdjęcie?

– Tak, odkryłem i zrobiłem...

Antykwariusz nie pozwolił mi rozwinąć myśli.

– Bartku, tylko błagam, nie mów mi, że zdjęcia razem z aparatem wpadły w niepowołane ręce!

Spojrzałem na niego zdumiony i nieco urażony.

– Nie, oczywiście, że tego nie mówię. Ale przykro mi z powodu aparatu...

– Człowieku, czy ty możesz przestać? To co z tymi zdjęciami, zrobiłeś je czy nie?!

Nie widziałem jeszcze antykwariusza w stanie takiego podniecenia. Nie należało igrać z jego emocjami.

Drżącą ręką wyjąłem coś z zamykanej na błyskawiczny zamek kieszonki. Rozwarłem ściśnięte palce i wręczyłem Sebastianowi Marsowi małej prostokątnej przedmiot, który jeszcze przed rozpoczęciem drogi powrotnej, wiedziony jakimś impulsem wyjąłem z aparatu. Antykwariusz przyglądał mi się ze zdumieniem, które wzrosło, gdy z kolejnej zamykanej kieszeni – tym razem spodni-bojówek – udało mi się wyłuskać... batutę Rucacellego.

– Święta zasada: rzeczy naprawdę ważne noś przy sobie.

– Bartku, nie wiem jeszcze, co się wydarzyło, mam nadzieję, że zaraz mi to opowiesz, ale powiem jedno: jesteś genialny!

Ja, genialny? Usłyszeć coś takiego z ust ojca genialnego dziecka było nie lada wyróżnieniem i... jeszcze większą przesadą. Brałem to na karb emocji, których antykwariusz nie ukrywał.

Pokiereszowanemu obliczu próbowałem nadać formę uśmiechu. Uzyskany efekt musiał być żałosny, gdyż Sebastian zdał sobie w końcu sprawę, że mój nos wymaga natychmiastowego opatrzenia. Bolał mnie już trochę mniej, o tyle mniej, o ile napastników musiał trafiać szlag. Choć markowy japoński aparat o rozbudowanych funkcjach był sam w sobie niezłym łupem, tym razem nie o niego chodziło. Nie wiem, co spodziewali się znaleźć w moim plecaku, ale z pewnością przeżyli zawód.

Kto mnie znowu zaatakował? Nie byłem pewien, choć zarówno liczba napastników, jak ich metody działania wskazywały na „Ryzy band”. Rozgrywka była na finiszu. Kto jeszcze mógł próbował włączyć się w wyścig? Na ostatniej prostej to jednak my byliśmy najbliższej mety.

Streściłem pokrótce finał mojej wyprawy, ale antykwariusz zdążył się już chyba przyzwyczaić do napaści na mnie, bo jedyne, co go naprawdę interesowało, to zdjęcia. Do kwestii utraty aparatu też zdawał się nie przykładać większej wagi. To były koszta własne. Pora przyrzec się zyskom.

Gdy po dwudziestu minutach wróciłem ze spaceru z Estonem, antykwariusz chodził niecierpliwie po swoim królestwie. Nie mógł doczekać się seansu. No tak, on jeszcze nic nie widział... Za to ja widziałem, że mnóstwo pytań ciśnie mu się na usta, ale dzielnie potrafił je powstrzymać.

– Bartku, przygotowałem ci specjalną herbatę. Powinieneś po niej poczuć się lepiej, dobrze spać i obudzić się jak nowo narodzony. Łyknij też te pastylki przeciwbólowe.

Począł chwilę, aż przełknę podane lekarstwo i wciągnę zapach podanego mi naparu.

– A teraz, błagam cię, czy możemy już zaczynać?

Sebastian Mars płonął z ciekawości. Upiłem łyk herbaty i skinąłem głową. Eston, jakby rozumiejąc, o co chodzi, wpatrzył się w ekran monitora.

Antykwariusz obejrzał wszystkie zdjęcia i zaczął od początku. Koloryt jego twarzy zmieniał się, oscylując między dwiema z narodowych barw.

Potem wstał, zaczął wyjmować z półek jakieś książki, wertował je, porównywał zdjęcia, młaskał z niedowierzaniem, cmokał z ukontentowaniem i w ogóle zachowywał się tak, jakby mnie tam nie było. Ale znałem te jego stany. Ilekroć wkraczał w dziedziny mu bliskie, potrafił się w nich zatracić. Po kolejnej rundzie badań antykwariusz odłożył w końcu wszystkie kompendia, zamknął oczy, raz jeszcze z niedowierzaniem pokręcił głową i – wracając jakby do rzeczywistości – szeptem powiedział:

– Ja chyba śnię... Bartek, chłopcze – w taki sposób nigdy się do mnie nie zwracał – czy ty naprawdę nie robisz sobie żartu?

Pokręciłem głową. Pulsująca bólem twarz zniechęcała do mówienia, ale przecieżyłem się, by usłyszeć w końcu powody aż tak emocjonalnej reakcji Sebastiana Marsa.

Na ekranie pojawiło się zdjęcie prezentujące plan ogólny otwartego sejfu.

– Bartku, oto trzy półki, których zawartość wprawi w ekstazę historyków sztuki i zelektryzuje opinię publiczną. Wszystko, co znajduje się w sejfie, ma wartość ogromną.

W takim przypadku trudno mówić o stopniowaniu, ale wiem, co najbardziej działa na ludzką wyobraźnię. Dlatego zacznę od półki środkowej.

Zgadywałem, że antykwaryusz będzie dawkował napięcie. Czemu nie? To mogło być ciekawe.

– Trzy dzieła sztuki złotniczej należą do najcenniejszych, zaginionych w czasie wojny przedmiotów swojej kategorii. Dwa z nich mają związek z żydowską liturgią.

Przecucie mnie nie myliło.

– Pierwszy to lampa chanukowa, wykonana w srebrze techniką filigranową, osiemnasty, dziewiętnasty wiek. Drugi – korona na Torę, tak zwany keter, wykonany technikami – spojrzął szybko na mnie – mniejsza o to jakimi, srebro, wiek dziewiętnasty. Natomiast trzeci z obiektów ma bardziej ziemski charakter. Jest to tak zwana balsaminka, czyli puszka na wonności, wykonana również w srebrze w warsztacie gdańskim około tysiąc osiemset piętego roku. Bartku, już tylko zawartość środkowej półki byłaby sensacją.

Rozumiałem ekscytację antykwaryusza, choć ja, laik, byłem troszeczkę rozzarowany. Sebastian szykował się jednak do omawiania kolejnej półki. Poczuję, że temperatura wzrasta. Ciała również.

– Czy wiesz, czyje obrazy odnalazłeś dzisiaj?

Niestety, moja wiedza była niewystarczająca. Zresztą czy miałem czas się dokładnie przyrzyć?

– No, to posłuchaj! Największy z nich nazywa się *Cytrusy* i jest prawdopodobnie nieznanym ogniwem cyklu przedstawiającego *Żydówkę sprzedającą owoce* Aleksandra Gieryskiego.

Sebastian Mars podszedł do mnie z potężnych rozmiarów albumem. Na sąsiadujących stronach widniały dwa podobne do siebie obrazy: *Żydówka z pomarańczami* i *Żydówka z cytrynami*. Na pierwszym z nich kosze z owocami stały na ziemi, zaś na drugim handlarzka trzymała je w rękach. Widniejący na ekranie komputera obraz przedstawiał kobietę z koszem w rękę; drugi stał obok, na ziemi. W stosunku do tych z albumu dzieło sprawiało wrażenie niedokończonego. Może autor uznał je za nieudane i odrzucił, co tłumaczyłoby niezaistnienie płótna w świadomości historyków i miłośników sztuki. Ale widniejący w lewym dolnym rogu tytuł lokował go w konkretnym cyklu, a umieszczony niżej podpis rozwiewał wątpliwości co do autorstwa obrazu.

– Bartku, proszę, słuchaj mnie dalej, bo to jeszcze nie koniec.

Być może antykwaryusz brał moje milczenie za dowód zmęczenia lub działania ziołowej herbaty. Ale co ja miałem mówić? Słuchałem.

– Obraz środkowy to wykonany na desce *Portret młodzieńca*, dzieło Rafaelo Santi, tak, tak – Sebastian musiał pochwycić moje zdumione spojrzenie – to jest obraz Rafaela!

Uff, teraz zrobiło mi się naprawdę gorąco. Rysy twarzy sportretowanej osoby były niezwykle delikatne, odnosiłem wręcz wrażenie jej androgyniczności. To dlatego nie potrafiłem określić jej płci. Czy mógł to być autoportret Rafaela?

– Najmniejszy z obrazów, też deska, to *Diana i Kallisto*, pędzla Petera Paula Rubensa, a przynajmniej wykonana w jego warsztacie. To ma jednak mniejsze znaczenie. Obraz jest zakwalifikowany jako dzieło mistrza z Antwerpii.

No tak, grupka postaci – ile ich było? Chyba z osiem? – uwieczniona przez artystę w antycznej scenie w pełni odpowiadała moim wyobrażeniom o rubensowskich kształtach. Do

takiej jedynie refleksji byłem zdolny.

Sebastian Mars przerwał, wypił łyk wody, ale napięcie go nie opuszczało. Przeczuwałem, że nadchodzi punkt kulminacyjny prezentacji, ale co jeszcze, po opisanych już perłach złotnictwa i malarstwa mogło mnie zadziwić? Antykwariusz kilka razy chciał coś powiedzieć, ale się rozmyślał. Czy bał się, że słowa spłoszą magię chwili, odrealnią ją, sprawią, że obudzimy się z niezwykłego snu?

– Bartku, słyszałeś kiedyś o Diamentach Życia, zwanych też przekłętymi kamieniami?

– Oczywiście! Kto by nie słyszał? Indiana Jones się kłania.

– Bartku – zgromił mnie wzrokiem – proszę, nie żartuj sobie. Słyszałeś czy nie?

I tym razem musiałem się przyznać do ignorancji. Ale bo też co to za pretensjonalna nazwa?

Jednak po chwili, gdy wysłuchałem ich historii, zrozumiałem, czemu ją zawdzięczały.

– Były to wielkie nieoszlifowane kamienie najwyższej próby, które z kopalń Afryki Południowej trafiały do dwóch największych diamentowych centrów świata, Antwerprii i Amsterdamu.

Zamożni Żydzi, zwłaszcza ze wschodniej Europy, kupowali je, aby mieć w rękach argument przetargowy, gdy stawić trzeba było czoło wojennemu przeznaczeniu. Nie mogłem mieć stuprocentowej pewności, że to one. Informacje co do tego, ile trafiło do Europy, a potem w prywatne ręce, oraz dotyczące losu, jaki spotkał poszczególne kamienie i ich właścicieli, różnią się, w zależności od źródeł. Dlaczego zamiast zostać wykorzystane zgodnie ze swoim przeznaczeniem, trafiły do seifu Rosenberga? To pytanie dla historyków. Z mojego punktu widzenia odkrycie dziewięciu Diamentów Życia to już nie tylko sensacja – ta wiadomość wyprze wszystkie inne z pierwszych stron dzienników na całym świecie!

Słowa antykwariusza docierały do mnie jakby z innego wymiaru. Czułem się bardziej widzem niż uczestnikiem tej spektakularnej prezentacji. Trudy, emocje, a teraz jeszcze autentyczne wzruszenie wprowadziły mnie w nastrój swoistej hipnozy. Może ziołowa mieszanka pana Sebastiana się do tego przyczyniała? Musiał zdawać sobie sprawę, że po takim rozkołysaniu mój organizm nie zareaguje na byle rumianek. Wiedział też, jak bardzo zależy mi na jutrzejszym na przesłuchaniu. Dlatego potraktował mnie jakimś egzotycznym naparem na specjalne okazje.

Sebastian Mars milczał. Widziałem, że z trudem przychodzi mu złożenie następnego zdania.

Łamiącym się głosem zaczął ponownie:

– Ale to jeszcze nie jest koniec...

Od nadmiaru wrażeń i informacji kręciło mi się w głowie. Jeszcze chwila, a okaże się, że odnalazłem... świętego Graala. Naprawdę nie wiedziałem już, czy nie śnię. Bogactwo jawy zintensyfikowało moje życie oniryczne. Ale Eston nie czekał, a uszczygnięte udo zabolalo jak najrealniej.

– Bartosz – antykwariusz użył nawet ceremonialnej formy mojego imienia – na koniec zostawiłem niespodziankę.

Gdybym miał siłę, tobym się roześmiał... Czy po tych wszystkich cudach coś jeszcze mogło mnie zaskoczyć? Trudno było to sobie wyobrazić, niemniej któreś ze słów antykwariusza potrafiło znajomą nutę. Niespodzianka... Widziałem niepokojący rumieniec na jego twarzy.

Pojawiał się on, ilekroć Sebastian Mars dosiadał jednego ze swoich koników, a raczej pegazków.

Przeczuwałem, że teraz nastąpi opowieść, która z pewnością chwilę potrwa. Nie myliłem się. Zamknąłem oczy.

– W tysiąc osiemset osiemdziesiątym piątym roku rosyjski car Aleksander III składa u pewnego jubilera zamówienie następującej treści: Weź bryłkę złota wielkości sześć i pół centymetra, nadaj jej kształt jaja, pokryj je białą emalią, ozdób naleźycie, a w środku umieść coś, co uraduje twoją władczynię, a moją ukochaną żonę. Złotnik przyjmuje zamówienie. Efekt przechodzi najśmielsze oczekiwania zleceniodawcy. Co tak zachwyciło imperatora? To coś wykonane było ze złota i pokryte białą emalią. Wewnątrz znajdowało się złote żółtko, a w nim maleńka złota kurka z rubinowymi oczkami. W kurce obsypana diamentami miniatura korony cesarskiej Marii, w niej zaś malutkie, rubinowe jajeczko.

Słuchałem jak urzeczony. Mógł to być wpływ herbaty, ale czułem się coraz lepiej, cudownie wręcz, a słowa antykwariusza brzmiały w moich uszach jak wspaniała bajka. Nie rozumiałem przesłania, ale poddawałem się jej urokowi. Pan Mars musiał dojrzeć rozanielony wyraz mojej twarzy, bo kontynuował:

– Zachwyt władcy był tak wielki, że uczynił z artysty swego nadwornego jubilera, a kunsztowne arcydziełko stało się pierwszym okazem kolekcji liczącej pięćdziesiąt osiem sztuk – bo ta liczba uchodzi za kompletną – które w tak zwanej serii imperatorskiej powstawały aż do roku tysiąc dziewięćset siedemnastego. Najśłynniejsze, ukrywane w ich środku biżuteryjne niespodzianki, to... dokładna kopia pałacu carskiego z tysiąc dziewięćset ósmego roku czy złota miniatura karety koronacyjnej z roku tysiąc osiemset dziewięćdziesiątego siódmego. Ani wcześniej, ani później świat nie znał jubilerskiego mistrza tej miary. Niezwykłym kunsztem i maestrią przyćmił sławę i dokonania współczesnych mu: Tiffany'ego, Cartiera i Bouchera.

Hm, nazwiska te coś mi mówiły, i to nawet całkiem dużo, ale najważniejsze ciągle jeszcze nie padło. Antykwariusz budował napięcie z żelazną konsekwencją. Zresztą wiedziałem już, jakie to nazwisko, tyle że nie potrafiłem połączyć go z naszą rzeczywistością. A rycerz historii cwałował:

– Stworzył styl nazwany od jego imienia, który do dzisiaj pozostaje synonimem piękna i doskonałości, a który przestał istnieć, gdy dziejowe burze w dramatyczny sposób wpłynęły na artystę i dzieło i dały początek nowemu kierunkowi – art déco. Podjęto później próby jego reaktywacji i kontynuacji, ale, chyba zgodzisz się ze mną, pewne rzeczy są po prostu niepowtarzalne.

Resztki rozsądku kazały mi wypowiedzieć, co następuje:

– Panie Sebastianie, proszę mi wierzyć, że rozumiem i doceniam dramaturgię pańskiej wypowiedzi, lecz czy nie zechciałby pan mnie oświecić? Kim był tajemniczy jubiler i dlaczego poświęcamy mu tyle czasu? Mam pewne przypuszczenia, ale proszę, niech pan nie przecenia erudycji altowioliisty i nie dręczy mnie już dłużej.

Sebastian Mars drgnął, zaskoczony. Robił wrażenie ptaka, którego lot próbowano zakłócić.

– Dobrze, ale proszę, pozwól mi raz jeszcze zanurkować w przeszłość.

Przysiągłbym, że spojrział na mnie błagalnie. Zrozumiałem. To był jego wielki moment, chwila, którą delectował się jak dziecko wymarzoną deserem. Dlatego ponownie zamknąłem

oczy i nie odzywałem się więcej¹⁹.

– Artysta zdobywa rozgłos. Zorganizowana w tysiąc dziewięćsetnym roku Wystawa Światowa w Paryżu, przynosi mu złoty medal, Legię Honorową i otwiera drogę dla klientów z całego świata. Wtedy właśnie, po raz pierwszy publicznie, zaprezentowano trzy arcydzieła sztuki jubilerskiej, pochodzące z carskiej kolekcji. Świat oniemiał z zachwytu.

Znów otworzyłem oczy, tym razem, aby ponownie przyrzeć się zawartości ostatniego z zawiątek, widniejącego teraz w całej krasie na ekranie komputera. Miałem świadomość, jak bardzo moje reakcje były spowolnione. A jednak opowieść pasjonata zdawała się nie pozostawiać marginesu wątpliwości. Coś jak elektryczny impuls przeszło mnie nagle na wskroś. Słowo „jajeczko” padło dotąd tylko raz, za to w kontekście niepowtarzalnej piękności wyrobów jubilerskich, a więc o czym Sebastian Mars mógł mówić? Przecież nie o jajach kaczych, krokodylich, czekoladowych czy nawet strusich.

Ale dlaczego poświęcił im tyle uwagi? Przecież chyba nie dlatego, że... Wszystko ma swoje granice... Dlaczego ciągle o nich mówił? Byłem odurzony, opowieści słuchołem, jak słuchoło się pasjonujących gawęd w czasach, gdy nie było jeszcze telewizji i innych łatwych nośników... Ale, na litość boską, dlaczego on nie przestawał?! Wirujący w powietrzu wniosek wydawał się tak mało prawdopodobny, tak absurdalny, że aż nie ważyłem się go sformułować...

A antykwariusz nie zwalniał:

– W tysiąc dziewięćset siedemnastym roku jubiler musiał uciekać z Rosji przed demonami rewolucji. I dla niego, i dla świata skończyła się pewna epoka. On sam umarł wkrótce później w Lozannie, a jego dzieła stały się przykładem – czy raczej bezprzykładem – do czego zdolni byli ojcowie rewolucji. Arcydzieła poszły na sprzedaż, wręcz wyprzedaż, w celu ratowania podupadającej rewolucyjnej kasy. Chętnych do ich nabycia nie brakowało. Tak rozpoczął się exodus precjozów. Co działo się z nimi później, to zupełnie inna opowieść.

Obawiałem się, że pan Sebastian gotów jest zaserwować mi pięćdziesiąt osiem historii, a na to naprawdę nie miałem już siły...

– Powiem w skrócie: dziesięć z nich stanowi dzisiaj niezwykłą, jedyną w swoim rodzaju kolekcję z Orużonej Pałaty na Kremlu. Pozostałe rozsiane są po świecie, od Rosji do Ameryki. Natomiast osiem z nich uznaje się za zaginione...

Pan Sebastian przerwał, wyraźnie wzruszony. W ciągu ostatniego tygodnia niejednokrotnie widziałem go przejętego; w takim stanie był jednak po raz pierwszy. Zacząłem się o niego niepokoić. Może niepotrzebnie? Może powinienem martwić się o siebie? Parę powodów zawsze by się znalazło... Ale nie odzywałem się, aby nie odwlekać w czasie słów, po których wszystko już miało stać się jasne.

– Zanim spointuję tę nieco przydługą historię...

Nie byłaby za długa, gdyby stanowiła uzasadnienie tezy, a nie dochodzenie do niej. Ale wówczas towarzyszyłoby jej inne napięcie. Teraz, mimo niecierpliwości – i może za przyczyną niezwykłej herbaty – czułem się z wolna wsysany w sam środek baśni...

– ...pozwól, że dodam jeszcze pewien szczegół. Otóż w dwa tysiące drugim roku, w domu aukcyjnym Christie's w Nowym Jorku, wystawiono na sprzedaż tak zwane Jajko Zimowe z roku tysiąc dziewięćset trzynastego wyróżnione z jednego kawałka kryształu górskiego i obsypane tysiącami, tak tysiącami – różne źródła podają różną ich liczbę –

brylancików. Uzyskano za nie cenę, uważaj, trzynastu i pół miliona dolarów! To daje pewne wyobrażenie o ich rynkowej wartości.

Dawało. W zależności od wielkości wyobraźni.

– A kilka dni temu w tym samym domu aukcyjnym za jasko wykonane dla rodziny Rotszylców uzyskano... osiemnaście i pół miliona dolarów...

Nastała cisza. To znaczyło, że niewiele jest już do dodania. Niewiele, z wyjątkiem najważniejszego.

– Bartek, powiedz mi, proszę, czy domyślasz się, dlaczego tak długo męczyłem cię moją opowieścią?

– Czy się domyślam? Tak, domyślam się. Tylko że ja się jedynie domyślam, a pan wie! – Jeszcze nikt nigdy nie wystawił mojej cierpliwości na tak ciężką próbę.

– Proszę mi powiedzieć, czy w ostatnim jedwabnym woreczku, znajduje się... – głos zapadł mi się nagle do pianissimo – ktośś z zaginionych jajek Fa...? – Ostatnie słowa utknęły mi w gardle, z trudem w ogóle dokończyłem pytanie, czując niepoahamowaną potrzebę przełknięcia śliny.

– Wiele na to wskazuje. Niestety nie mogę w stu procentach wykluczyć, że to fenomenalna kopia arcydzieła, zresztą, ciągle nie wiemy najważniejszego. Nie wiemy, prawda? – Sebastian Mars spojrział na mnie natarczywym wzrokiem, którego nie rozumiałem.

– Nie wiemy... – zacząłem ostrożnie – nie wiemy... – kontynuowałem, nie wiedząc, czego nie wiemy.

– Nie wiemy, czy jasko się otwiera! – wybuchnął antykwariusz. Odwlekał to pytanie tak długo, jak się dało. Gdyby zadał je na początku – a odpowiedź była negatywna – nie mógłby swobodnie pocwałować w drogie sercu przestrzenie. Teraz jednak narażał się, że jego rumak straci skrzydła i wspólnie z hukiem zwałą się na ziemię.

Nie miałem dla niego dobrych wiadomości.

– Panie Sebastianie, przepraszam, ja troszkę wolno kojarzę. Rzeczywiście w ogóle nie przyszło mi do głowy, że ono może się otwierać. Zresztą kiedy mu się przyglądałem, żaden szczegół nie wskazywał na taką możliwość...

Widziałem, jak z antykwariusza wolno, wolniuteńko uchodzi powietrze.

Nie należało przesadzać.

Uznałem, że rewanz za ciągnące się chwile niepewności i oczekiwań został dopełniony.

– Ale kiedy przyjrzałem mu się dokładniej, pomyślałem, że pierwszy wniosek mógł być fałszywy...

W spojrzenie Sebastiana Marsa powracała ostrożna nadzieja.

– Ale z twoich zdjęć nie wynika...

– To prawda, nie sfotografowałem zawartości jaski. Ale, panie Sebastianie – czułem, że i moje serce raz jeszcze przyspiesza – to jasko można otworzyć.

Sebastian Mars zbladł, że tak to określe, definitywnie. Po chwili łamiącym się szeptem zapytał:

– A potrafisz mniej więcej opisać, co znajdowało się w środku?

– Hm, tylko rzuciłem okiem, ale... To był jakby malutki dwustronny portret mężczyzny z jednej strony, a kobiety z drugiej, oba z inicjałami. Całość robiła wrażenie bogato zdobionej jakimiś kamieniami, a u góry zakończona była koroną... Panie Sebastianie, co panu jest?!

Przerwałem zaniepokojony i podszedłem do antykwariusza, który zdawał się wymagać natychmiastowej reanimacji. W tej właśnie chwili otworzył jednak oczy, a jego twarz rozjaśnił uśmiech, jakiego jeszcze nie widziałem.

– Bartku, chłopcze, wybac mi, proszę, chwilę słabości, ale zafundowałeś mi dzisiaj wieczór, którego nie wyśniłbym nawet w najbardziej szalonych snach. Pomijam wszystkie wcześniej omówione eksponaty, a wierz mi, każdy z nich miałby szanse stać się odkryciem dekady. Ale... – głos Sebastiana Marsa stawał się coraz bardziej uroczysty, a on sam wstał, jakby gotów do wygłoszenia ostatecznego werdyktu – wiele wskazuje na to, że odnalazłeś dzisiaj zaginione jajko Fabergé, zgodnie uznawane za jeden z najcenniejszych klejnotów świata. To będzie oczywiście wymagało całej serii ekspertyz, pojeżdżają się specjaliści z całego globu, ale ja już teraz gotów jestem się założyć, że zawartością ostatniego zawiniątka jest Królewskie Jajko Duńskie – Royal Danish Egg lub Danish Silver Jubilee Egg z tysiąc dziewięćset trzeciego roku. Trafiło do Kopenhagi jako prezent cara Mikołaja II dla matki Marii Fiodorowny, córki duńskiego króla – Christiana IX. To jego podobizna figuruje z jednej strony portretu; stroną przeciwną zdobi portret jego żony, królowej Louise. Jajko znane jest jedynie z dawnych fotografii i opisów. W czerwcu tysiąc dziewięćset trzydziestego czwartego roku, w magazynie „The Connoisseur” znalazła się taka oto notatka, traktująca o jego zawartości, autorstwa menedżera firmowego sklepu Fabergé w Londynie: Miniaturowe portrety króla i królowej Danii stanowią zawartość-niespodziankę imperialnego jaja. Ich obramowaniem jest jasnyniebieska i biała emalia udekorowana złotymi ornamentami i kamieniami szlachetnymi. Portret wieńczy tarcza herbowa duńskiej rodziny królewskiej, podtrzymywana przez heraldyczne lwy... Spójrz, proszę, na to zdjęcie. – Antykwariusz podał mi książkę, którą kilkakrotnie już dzisiaj wertowałem z wypiekami na twarzy. Rzeczywiście, zarówno utrwalone na starej fotografii jajko, jak i odkryty w nim dwustronny portret zdawały się identyczne z odnalezionymi dzisiaj. Szlachetnym okiem spoglądał na mnie biały słonik ze złotym łuczniakiem na głowie.

– Przypuszczano, że arcydzieło wróciło do Rosji razem z Marią Fiodorowną. Jeśli jednak tak się nie stało, otwierałoby to – według badaczy – interesujące pole do jego poszukiwań. Tak czy inaczej, skarb zaginął. Lub, jeśli pozwolisz, uściślę: do dzisiaj uchodził za zaginiony. Jesteśmy pierwszą dwójką ludzi na świecie, którzy o tym wiedzą... Nie pytaj mnie dlaczego. Nie pytaj skąd ani jak. Nie odpowiem ci. Nie wiem. Może kiedyś uda się odtworzyć jakiś fragment historii... To wszystko w ogóle jest nieprawdopodobne. To niemożliwe. To się nie może dziać naprawdę! – Stateczny antykwariusz popadał w egzaltację. – Albo zwariowałem, albo śnię, albo rzeczywistość przerasta moją wyobraźnię. To tyle.

Sebastian Mars usiadł i ukrył twarz w dłoniach.

Tylko tyle? To już naprawdę koniec?

Moje myśli były już wystarczająco poplątane. Marzenia przybrały nagle skromną postać: położyć się i zasnąć. Nie chciałem myśleć, co przyniesie jutro. Wiedziałem tylko, że pomiędzy tym jutro a trwającym jeszcze dzisiaj potrzebna mi jest cezura.

Wielka czarna dziura, ciemniejsza niż nieoświetlone korytarze Michalewicza i Rosenberga razem wzięte...

Antykwariusz widział, co się ze mną dzieje. Nie robił wrażeń zaskoczonego. Odprowadził mnie aż pod drzwi mojego poddasza, pomógł mi je otworzyć, a kiedy wraz z Estonem weszliśmy do środka, powiedział:

– Śpijcie dobrze, obudzę was o ósmej.

Jakimś cudem dowlokłem się do łóżka, opadłem na nie jak przekłuty balon i... tyle.

Aha, zanim jeszcze – po kilku sekundach – ostatecznie zasnąłem, mała ćma delikatnie musnęła moją twarz.



ROZDZIAŁ XVIII

PONIEDZIAŁEK PÓŹNIEJ

Otworzyłem oczy i ani przez sekundę nie miałem wątpliwości.

Dzień X nadszedł. Dzisiaj gram przesłuchanie. Tego dnia nastąpi zwieńczenie wielu tygodni mojej pracy. Za kilka godzin – wbrew wszystkiemu, co działo się w ostatnim tygodniu – doprowadzę rzecz do końca. Bez względu na wynik.

A potem zakończę coś innego.

Noc przespałem jednym długim ciągiem. Pewnie dzięki mieszance Sebastiana. Ciekaw byłem, czym mnie uraczył. Niestety, pamiątki minionego dnia nie pozwalały o sobie zapomnieć. Choć ból w twarzy był nieporównywalnie mniejszy niż kilka godzin wcześniej, to lustrzane odbicie zmasakrowanego nosa uświadomiło mi, że dramatycznym wyglądem będę straszyl ludzi. Mogła to być moja tajna broń.

Tej nocy nic mi się nie śniło. Byłem w unikalnej sytuacji człowieka, który na jawie doświadcza zdarzeń przebijających wszystko, co senna wyobraźnia jest w stanie skonstruować.

Rzeczywistość stała na głowie. Ale wiedziałem, że to szaleństwo już się kończy. Musiało się skończyć, bo tryb życia, który wiodłem przez ostatni tydzień, mógł być dobry dla agenta służb specjalnych, ale nie dla... altowiolisty!

Dzisiaj byłem gotów stawić czoło czekającym wyzwaniom. Od przebudzenia nie miałem problemów ze wskoczeniem w niecodzienne realia czekającego mnie dnia.

Już wkrótce miał przyjść czas podsumowań i analiz. I odreagowania, a nawet – co tam – może jakiejś małej sławy.

Ale nie teraz; jeszcze nie. Potrzebowałem paru godzin skupienia. Musiałem postawić kropkę nad i, właściwie dwie kropki nad dwoma i. Skoncentrować się i zrobić to, co należy, tak jak należy. Proste. Niby proste.

Rozległo się stukanie do drzwi.

– Tak, tak, już nie śpię, dzień dobry panu! – odkrzyknąłem.

Zegar wybił godzinę ósmą. O dziesiątej powinienem stawić się w filharmonii. Do tej pory wszyscy kandydaci mieli obowiązek osobistego potwierdzenia uczestnictwa w konkursie.

Miałem więc dwie godziny, aby doprowadzić się do stanu używalności, uczynić zadość porannym psim potrzebom i nieco rozruszać sponiewierane palce. Korzystając z przywileju mieszkania w pobliżu filharmonii – czy nie powinienem powiedzieć raczej, gmachu tajemnic? – mogłem rozegrać się w domu. Cóż za luksus.

Kilka minut po dziewiątej udało mi się wyciągnąć altówkę z futerału. Pierwszy kontakt był jednak bolesny. Dosłownie i w przenośni. Ręce, pełne siniaków i zadrapań, nieczułe, sztywne, drewniane, buntowały się przeciw wysiłkowi. Nie były zdolne do formowania pięknego dźwięku. Nie dzisiaj, nie teraz. Nie w tym stanie. Altówka brzmiała obco. To prawda; menzura była taka jak w zniszczonym instrumencie. Ale dźwięk... Instrument mistrza Solniczki był zupełnie nowy, świeży, nierozegrany. Jak miał brzmieć w przyszłości – czas pokaże. Teraz jego tembr kojarzył mi się wyłącznie z... niedojrzałymi śliwkami. Lub gruszkami. Był zielony, twardy i kwaśny... Albo ja go takim czyniłem.

To nie był mój ranek. Na pewno nie w sensie instrumentalnym. Ale nie przestawałem grać w nadziei, że drewniane ręce i surowy instrument znajdą w końcu jakąś płaszczyznę porozumienia. Consensus, który nie wystawi nas na pośmiewisko. Więc grałem i grałem, i... w końcu spojrzałem na zegarek.

Pora.

Ubrałem się trochę poważniej niż zazwyczaj, przypudrowałem siną kluchę, która zdobiła środek mojej twarzy. Byłem gotów. Gdybym posiadał odpowiednik końskich kłapek na oczy, to właśnie teraz bym je założył. Dokonałem tego w wyobraźni. Przed siebie, tylko przed siebie. Nie na boki.

I wtedy zadzwonił telefon.

– Pan Czarnoleski? Kłania się nadkomisarz Bielski. Witam pana. Dzisiejszego ranka zatrzymaliśmy parę osób, które mogą mieć związek z ubiegłotygodniowymi pobiciami. Czy znajdzie pan trochę czasu, żeby się ze mną spotkać?

– Tak, bardzo chętnie. Ja również będę miał panu coś do powiedzenia. Raczej dużej wagi. Miałem dzwonić w tej sprawie, ale później, bo za chwilę gram przesłuchanie do filharmonii.

– Czy jest pan pewien, że to może poczekać?

– Tak, jestem absolutnie pewien – wcale nie byłem – to spokojnie może poczekać.

Musiało poczekać. Przecież nic nie mogło się wydarzyć. Jednak wątpliwości nadkomisarza obudziły mój niepokój. Czy naprawdę nie ryzykowałem niepotrzebnie? Bielski pospieszył się z tym telefonem.

– Panie Bartku, nie chcę pana teraz niepokoić, ale jest coś jeszcze. W pobliżu filharmonii odnaleźliśmy zrabowane popiersie jej patrona. Co prawda, jest trochę, jakby to powiedzieć, nadwerężone, ale eksperci mówią, że to się da zrekonstruować. To chyba dobra wiadomość?

On się mnie pytał, czy to dobra wiadomość? Chyba zapomniał, że oficjalnie nic mi o kradzieży nie wiadomo... A może zastawił pułapkę, bo już, już chciałem spytać: „A co z obrazem Siemielnianego?”. Na szczęście w porę ugryzłem się w język. Z mojego punktu widzenia ta rozmowa zaczęła się o kilka godzin za wcześnie.

– Nie jestem do końca pewien, o czym pan mówi, ale po przesłuchaniu z chęcią porozmawiam również o tym. Odezwę się, jak tylko będę wolny. Proszę czekać na mój telefon.

Pozamuzyczna rzeczywistość nie odpuszczała. Przed chwilą otrzymałem dwie informacje. Aby je zrozumieć, musiałem podjąć trop, na który wczoraj nie miałem już siły.

Kto mnie właściwie napadł?

Ostatnio byłem atakowany we śnie i na jawie. Łatwo się w tym było pogubić.

Jeśli wierzyć słowom Wandy, Jędrzej się wycofał i to samo nakazał grupie Ryżego. Czy jednak mógł liczyć na ich stuprocentowe posłuszeństwo? Sam nie wydawał się przykładem lojalności. A poza tym wyjechał. Nie było go. Przecież Ryży miał swój rozum. Może w którymś momencie powiązał fakty i zdał sobie sprawę, że gra idzie o bardzo wysoką stawkę? Jędrzej wymiękł – to jego decyzja. A Ryży spróbował przejąć sprawę w swoje ręce.

W zasadzie byłem pewien, że to on i jego kumple rozpląszczyli mi wczoraj twarz na ścianie filharmonii. Było ich czterech, mieli zakryte twarze i milczeli, najwyraźniej obawiając się dekonspiracji. Prócz tego trudno było oczekiwać, że na tym etapie rozgrywki pojawią się nowi gracze. Napastnicy wiedzieli, w co się gra. Znaleźli się we właściwym miejscu o właściwej porze i dorwali właściwego człowieka.

Rozumując po swojemu Ryży musiał być pewien, że jeśli rzeczywiście znalazłem coś cennego, to będę chciał to jak najszybciej wynieść. Jego rozczarowanie musiało być wielkie. Ale na pocieszenie miał japoński aparat... Albo i nie miał. Bo prawdopodobnie został wraz z kumplami zatrzymany.

Jak to się stało? Dobry Boże, przecież policja też ma prawo do drobnych sukcesów... Hm, robię się złośliwy jak skrzypek... Tak czy inaczej, z jednej strony niebezpieczeństwo przestało już mi grozić. Jedna flanką była czysta.

Dobre i to.

Pozostawała sprawa numer dwa – porzucone popiersie Mieczysława Karłowicza. Czy zdradził swój sekret i stał się niepotrzebny? Czy wręcz przeciwnie: nie chciał lub nie potrafił nic powiedzieć? I najważniejsze z pytań: czy ci, którzy mieli rzeźbę w swoich rękach, dali za wygraną, czy też szykowali się do ostatecznego uderzenia? Bielski mówił o odzyskaniu rzeźby, nie wspominając nic o sprawcach. Ten pozorny brak informacji dla mnie stanowił informację czytelną.

Włosi. Mistrzowie catenaccio. Przez cały mecz bronią się, są pasywni, by w końcówce ukąsić jak jadowita kobra. Zadać jeden decydujący cios. Ileż ja takich meczów widziałem?

Przemknęło mi przez myśl, że prowadzę nazbyt ryzykowną grę. Na zmianę koncepcji było jednak za późno. „Atuty są w moich rękach”, zagłuszałem niepokój.

Ponowiłem proces z wirtualnymi klapkami na oczy. A kysz! – wszystko, co nie jest Stamitzem, Bartókiem, partiami orkiestrowymi i altówką. A kysz! Jeszcze na trochę, na parę chwil.

Ruszam.

– Eston, daj łapę na szczęście!

Eston uniósł prawą nogę i uważnie przyjrzał mi się migdałowymi oczami. Teraz byłem gotów, choć pies zdradzał niezrozumiałe dla mnie objawy zaniepokojenia.

Powietrze, ruch, marsz. Proste pojęcia. Proste czynności.

Droga z domu do filharmonii nie była długa. I żałowałem tego. Uświadomiłem sobie nagle, jak bardzo brakuje mi normalnego spaceru. Kiedy można zapatrzeć się w kawałek

ołowianego nieba nad głową, dostrzec załazek pąków na pozornie martwym drzewie czy wsłuchać w wymieszane odgłosy miasta. Już niewiele kroków dzieliło mnie od filharmonii. Uczciwie musiałem przyznać, że była dziedzina, w której zamieszanie związane z tajemnicą Rosenberga niesamowicie mi pomogło. Ja po prostu nie miałem czasu na treść! Zapomniałem, że w ogóle istnieje.

W dziedzinie panowania nad nerwami byłem na pewno w czołówce. Pierwszy sukces! Oby tylko nie ostatni... Konkursowy fatalizm już dawał o sobie znać. Zresztą opanowanie przysło nagle jak bańka mydlana. Wystarczyło przekroczyć próg filharmonii. Nagle zniknęli Rucacelli, Rosenberg, batuta, tajemnice, sejfy i skarby, które były zaledwie kilkanaście metrów nad naszymi głowami.

Już nie ulegało wątpliwości, w jakim charakterze jestem tu dzisiaj.

Znów byłem muzykiem.

Zalała mnie fala adrenaliny. Ale drzwi się zamknęły. Klamka zapadła. Byłem w środku. To był mój trzeci „środek” w ciągu trzech dni...

Od początku uderzył mnie specyficzny powiew napięcia. Każdy z uczestników konkursu wytwarzał niepowtarzalne pole emocji. Przybyli w aurze ambicji, nadziei i lęków, to one hulały po korytarzach, tworzyły ciągi i wiry. Dawały ów niepowtarzalny, uroczyście kłęskowy (z przewagą kłęskowego) nastrój, który materializował się w powietrzu. Mroził oddechy i spojrzenia. Mógłbym z niego lepić śnieżki albo i bałwana utoczyć. Przynajmniej wszyscy mieliby rozrywkę. W sensie psychologicznym rywalizacja już trwała. Zasada numer jeden to nadrabianie miną. Najmniej odporni załamują się już na wstępie, widząc uśmiech i pewność siebie rywali. Nie należało jednak przesadzać; jeśli dobra mina była jedynym atutem kandydata, to czekały go rozstrzygnięcia szybkie, a nieprzyjemne.

Z przeciwnej strony korytarza moje oczy poraziła Marchewka, która ubrała się w tak zjadliwie pomarańczowy kolor, że przysługiwał jej dziś tytuł Supermarchewki.

Po hallu kręciło się kilku względnie młodych ludzi w wymiętych marynarkach i o niezupełnie przytomnych spojrzeniach. Podejrzewałem, że dotarli do Krakowic po nocnej podróży pociągiem. Błąd. Po takim maglu tracisz kilkanaście procent instrumentalnej wartości. Ale widziałem też innych, a raczej inne. Oko wyspane, wymalowane, mina zacięta, choć uśmiechnięta. To były doświadczone bojowniczkki altówki. One wiedziały, że należy zapewnić sobie hotel i pojawić się na miejscu w wieczór poprzedzający zmagania.

W zupełnie innym nastroju byli członkowie komisji egzaminacyjnej: koncertmistrzowie poszczególnych grup smyczkowych, prawie cała grupa altówek i przedstawiciele związków zawodowych. Popijali kawkę, a szerokie uśmiechy zdobiły ich lica. Dzisiaj byli po przyjemniejszej stronie orkiestrowej rzeczywistości. Zazwyczaj pod nieustającym obstrzałem dyrygenckich uszu, oczu i wymagań, tym razem sami mieli oceniać.

Za kontuarem w portierni dostrzegłem pana Zenona. To był pozytywny znak. Przywitałem się z nim jak z dobrym znajomym, którym w istocie stał się dla mnie w ubiegłym tygodniu. Puścił oko i z troską w głosie powiedział:

– Oj, coś nieszczególnie pan wygląda, ale zdaje się, że złapali tych łobuzów.

Skąd on o tym wiedział?! Widocznie poinformował nadkomisarza o niepokojących go w piątek typach, mógł nawet pomóc w ich identyfikacji. Z panem Zenonem chciałem później spokojnie porozmawiać. Kilka spraw bezwzględnie trzeba było sobie wyjaśnić. Gdyby portier

wiedział, jak niezwykle dzień czeka go dzisiaj w pracy... Tymczasem to on miał jeszcze jedną informację.

– Dziś rano przed wejściem znalazłem głowę Karłowicza...

Nie zabrzmiało to dobrze. Jak ostrzeżenie w iście mafijnym stylu.

Punktualnie o dziesiątej wszyscy kandydaci zjawili się w sekretariacie. Niektórzy byli już po krótkiej próbie z fortepianem.

Poziom emocji obniżył na szczęście zainteresowanie moim nieszczególnym wyglądem. I bardzo dobrze, bo prawie o nim zapomniałem, jedynie od czasu do czasu krzywiąc się z bólu w zgoła nieoczekiwanych momentach.

Stawiło się osiemnaście osób. Ośmiu miejscowych i przyjezdna dziesiątka, w tym trzech kolegów zza wschodniej granicy. Wiedziałem, że będą groźnymi rywalami. Poziom szkolnictwa muzycznego, a co za tym idzie instrumentalistów, był w krajach dawnego sowieckiego imperium niezmiennie wysoki.

Powoli wracał mi spokój.

Miałem w okołoprzesłuchaniowych korowodach pewne doświadczenie. Moment pierwszego spojrzenia w oczy rywalom już minął. Na dalsze puszenie się nie warto było trwonić cennej energii. Niejeden już był mistrz świata – z wyglądu – który graniem swoim wzbudzał potem tylko uśmieški. Rozłosowaliśmy numery. Wcześniej już wypracowałem pogląd, że porządek na starcie nie ma znaczenia. To nie Formuła 1.

Wylosowałem numer siedemnaście. Przyjąłem go jako szczęśliwą wróżbę, choć na pytanie: „Dlaczego?” mógłbym odpowiedzieć jedynie: „A dlaczego nie?”. Należało myśleć pozytywnie i poszukiwać dobrych sobiepułsów nawet w drobiazgach. Numer mój gwarantował długie czekanie, ale na to już nie było rady.

To nawet dobrze – skrzeczał mi do ucha pozytywno-pozytywistyczny chochlik. Masz czas, żeby się porządnie rozegrać. OK, przyznałem mu rację.

Wiedziałem, że wspólnie naginamy fakty, ale tego rodzaju praktyki mieszczą się w przesłuchaniowym zaklinaniu rzeczywistości.

Umieszczono nas w dużym pomieszczeniu, zazwyczaj służącym muzykom jako zbiorowa garderoba. Warunki nieidealne, ale dla wszystkich takie same. Organizatorzy musieli stwierdzić, że takiej liczby chętnych nie uda się sprawiedliwie rozlokować w kilku mniejszych pokojach, zwłaszcza że jeden z nich – dyrygencki – był ciągle zaplombowany. Siedzieliśmy więc jak w ulu. By zmniejszyć nieco poziom wytwarzanych decybeli, większość z nas założyła tłumiki; nadawały instrumentom charakterystyczne pszczele brzmienie, co potęgowało skojarzenie z pasieką.

Ale nie wszyscy. Wojna psychologiczna trwała. To była jej druga odsłona. Objawiła się grupa tak zwanych wirtuozów korytarzowych. Tych, którzy nie mogli powściągnąć nerwów i rozgrywali się w pełnym szwungu, licząc przy okazji na osłabienie morale kontrkandydatów.

Moja strategia była inna. Owszem, grać, utrzymywać rękę w stanie rozgrzanej gotowości, ale tylko wprawki, a jeśli fragmenty z repertuaru, to wyłącznie wolno. Na dopalacze wkrótce przyjdzie czas.

I wpadłem w taki muzyczno-wyczekujący trans.

Stałem się drzewem, a moje przedłużone o instrument i smyczek ręce jego gałęziami.

Wegetowaliśmy, aż dadzą nam znak, że pora zakwitnąć.

Kątem oka widziałem wychodzących i wracających do sali kolegów. Ich twarze były jak otwarte księgi lub nieprzeniknione. Niektórzy próbowali raz jeszcze nadrabiać miną; miał to być ich trzeci, a zarazem ostatni element psychologicznych zapasów.

Kandydaci grali po parę minut.

Wolno, lecz nieodwracalnie zbliżała się moja kolej...

Aż w końcu nadszedł moment, w którym przeczucia tryumfu i klęski zwały się na chwilę w śmiertelnym boju.

– Kandydat numer siedemnaście!

W ciszy, w której kroki po drewnianej podłodze zdawały się dudnić, podszedłem do fortepianu. Pianistka przywitała mnie uśmiechem i podała la. Stroilem się uważnie. Nowe instrumenty mają dużą skłonność do rozstrajania się. Odnalezienie idealnie zestrojonych kwint jest jak dobre ulokowanie się w blokach startowych.

Stałem przed prowizorycznie zainstalowanym parawanem. Po drugiej stronie znajdowała się komisja, pewnie już zmęczona wysłuchaniem szesnastu klasycznych koncertów. Wiedziałem, że pierwsze dźwięki zadecydują o jej nastawieniu: albo ich zainteresuję i wciągnę, albo... popatrzą po sobie z ironicznym uśmieszkiem i bez sentymentu odhaczają/przekreślają (niepotrzebne – raczej niepotrzebnego – skreślić) numer siedemnaście na konkursowym arkuszu.

Czekanie otumaniło mnie jednak trochę. Jak długo można utrzymywać się w stanie pobudzenia? Pojawia się moment, w którym zastępuje je znużenie, przechodzące w otepiałość. Niestety, ta chwila właśnie nadeszła. Zacząłem grać, ale to nie byłem ja. Miałem wrażenie, jakby ktoś grał obok, pozostawiając mi rolę obserwatora. Metoda Lewlera Terwala, dająca tak znakomite wyniki przy ćwiczeniu, w tej sytuacji była jednak zabójcza. Zgubny skutek przyszedł natychmiast. W jednym z pierwszych akordów, moje palce zsunęły się z gryfu...

I tak to właśnie, do kurki wodnej nędzy, jest: ćwiczysz, harujesz, szykujesz się fizycznie, mentalnie i duchowo, a nie spodziewasz się, że w decydującym momencie, w ułamku sekundy zdarzy się coś tak nieprzewidywalnego, ba, idiotycznego zgoła, że wszystkie swoje rachuby możesz w tym momencie wsadzić w miejsce, którego mój angielski kolega nie chciał nazwać po imieniu.

Zdruzgotany, ale i wyleczony momentalnie z tremy – co jeszcze miałem do stracenia? – zacząłem grać zupełnie poprawnie i bez dalszych wpadek. Gdyby nie ta pierwsza, w spokoju oczekiwałbym na wyniki pierwszego etapu.

W trosce o maksymalny obiektywizm nikt z komisji nie miał prawa widzieć grających. Nie mogłem więc liczyć na to, że ktoś powie:

– Faktycznie, obsunęło mu się, ale to przecież Bartek, on sobie świetnie radzi w orkiestrze...

Niestety...

Zacząłem powoli żegnać się z dalszym udziałem w przesłuchaniu, a moja myśl, jakby tylko na to czekała, poszybowała natychmiast dwa piętra wyżej.

Dlaczego? Przecież wszystko już było jasne.

Ostatni, osiemnasty kandydat zakończył swój występ. Za kilka minut miało być wśród nas kilkoro szczęśliwców i znacznie więcej rozczarowanych. Potem jeszcze kilku z tych szczęśliwców będzie musiało przełknąć gorzką pigułkę, a jeszcze później... ale nie zdążyłem

dokończyć myśli, ponieważ pojawiła się sekretarka z kartką w dłoni. Przynajmniej na wyniki nie musiałem długo czekać.

– Czy wszyscy kandydaci są obecni?

Pytanie nielogicznie, gdyby kogoś nie było, nie mógłby się odezwać. Zapadła cisza, z gatunku tych, co to bzyknięcie muchy podnoszą do rangi huk bombowca.

– Do drugiej rundy komisja kwalifikacyjna dopuściła czterech uczestników, podaję ich numery – w totolotka sobie pograj – cztery, siedem, dwanaście i... zaraz, zaraz, momencik, tu coś jest niewyraźnie... o, już. I – dyscyplina dodatkowa – siedemnaście.

Ożeszku... gram dalej!

Mówiłem, jak trudno ocenić własne granie w warunkach konkursowych, może z wyjątkiem sytuacji zupełnie ewidentnych. Pomimo technicznego błędu komisja obdarzyła mnie kredytem zaufania. Od tej chwili liczył się wyłącznie fakt, że nie wypadłem z gry, choć mentalnie znajdowałem się już poza nią. Nie było czasu na rozpamiętywanie szczęśliwego dla mnie wyniku głosowania. To teraz przeszłość. Pierwszy krok zaledwie. Pierwszy schodek. Pierwsza runda. Do końca pozostawały dwie, pod warunkiem że w najbliższej nie dam się znokautować.

Musiałem natychmiast skupić swoją myśl na czekającym mnie za chwilę Bartoku.

Uczestnicy reagowali różnie. Niektórzy przyjęli werdykt beznamiętnie, spodziewając się takiego rozstrzygnięcia. Inni oblegali sekretarkę, próbując wyjaśnić, czy przypadkiem nie zaszła jakaś pomyłka. Niestety, pomyłki w tej materii zdarzały się niezwykle rzadko.

Rozkołatany między rezygnacją a odrodzoną nadzieją, nie mogłem zrozumieć, dlaczego mała ćma coraz natarczywiej macha mi przed nosem skrzydełkami. Przecież wszystko zostało odkryte...

Oprócz mnie w drugiej rundzie znalazła się Supermarchewka. Cieszyłem się, że gra dalej. Był jeszcze młody chłopak, którego nie znałem, i przybysz ze Wschodu. Nie myliłem się, sądząc, że któryś z nich okaże się groźnym rywalem.

Druga runda również odbywała się za zasłoną. Zachowana została kolejność losowania, więc tym razem miałem wystąpić ostatni, choć czas oczekiwania skrócił się znacząco. Los chciał, że dwoje z nas przygotowało koncert Bartoka, podczas gdy pozostała dwójka – Waltona.

Tym razem grało mi się lepiej. Nie zdarzyły się żadne idiotyczne przygody. Ale bez złudzeń: nie było to wykonanie porywające, nazwałbym je co najwyżej przyzwoitym.

Miałem jeden podstawowy problem. Z koncentracją. Moje myśli jak samoistne byty zaczęły krążyć razem z ćmą. Zgoła nieoczekiwanie pojawił się element niedający mi spokoju i domagający się wyjaśnienia. Nie wiedziałem jeszcze, o co chodzi, ale czułem, że wraz z kolejnymi kręgami, zataczanymi wspólnie z zaprzyjaźnionym owadem, powoli się do tego czegoś zbliżam. Czasami poszukujemy w pamięci zapomnianego słowa lub nazwy. I wiemy, że odnalezienie jest kwestią czasu, choć niemożność odszukania czegoś z pozoru oczywistego irytuje.

Doświadczałem podobnego uczucia. Różnica polegała na tym, że w pamięci miałem jedynie poszczególne litery owego słowa; ono samo miało się dopiero ujawnić.

Znajdowałem się na granicy rozdwojenia jaźni. W momencie, w którym kontur wymarzonego celu zaczął już majaczyć w oddali, z całych sił ruszyłem nagle na spotkanie ostatniej tajemnicy. Czułem, że jeśli nie teraz, to już nigdy się do niej nie zbliżę.

Dlatego informację o zakwalifikowaniu się do finałowej trójki – odpadł altowiolista, którego nie znałem – przyjąłem ze spokojem schizofrenika, którego system wartości wyczynia nieustanne wolty.

Czułem, że jestem na granicy szaleństwa. Na własne życzenie. Irracjonalny upór – w końcu nazwałem rzecz po imieniu – aby w obliczu niesamowitych i pochłaniających zdarzeń nie odpuścić przesłuchania, wydał mi się nagle absurdem.

W najgorszym z możliwych momentów...

Wyszedłem na estradę. W finale przyszedł czas na zdjęcie przyłbicy (czytaj: usunięcie parawanu). W końcu można było ujrzeć wysoką komisję, może nawet zahipnotyzować kogoś wzrokiem.

Zahipnotyzować? Zapuchniętym okiem? Ej, dałbyś lepiej spokój, panie Czarnoleski.

Zamiast spojrzeć w oczy wysokiej komisji, siedzącej pośrodku parteru, zacząłem błądzić wzrokiem po sali. Znowu widziałem ją z perspektywy muzyka. Ale zamiast grać, stałem się widzem teatru jednego aktora.

Ze mną w roli głównej.

Gdy już, już miałem zacząć *Don Juana* – a zagrać ten diabelski początek bez odpowiedniego skupienia to lepiej od razu zmienić zawód – zobaczyłem nagle siebie, balansującego na balustradzie jaskółki. Chyba teraz dopiero dotarło do mnie, na co się wówczas porwałem. Z aktualnej perspektywy mogłem to właściwie ocenić.

Wizja zniknęła. W samą porę. Zagrałem. Nie wiem jak. Nie pamiętam. Pewnie szybko.

...Bity i popychany powiedział coś, czego nie zrozumiałem i nie rozumiem do dzisiaj. Pamiętam te słowa dokładnie: mój korytarz ma być jeszcze raz otwarty – to było zrozumiałe, ale potem zaczął mówić dalej. Niestety, w tym momencie ostatecznie nas rozdzielono, a z pozostałych słów nigdy nie byłem w stanie zbudować jasnego sensu, więc pozwolił pani, że teraz też je przemilczę.

– To wielka szkoda, myślę, że nasi czytelnicy chcieliby to jednak usłyszeć.

– Nie, proszę nie nalegać. Nie będę powtarzał słów, których znaczenie pozostało dla mnie przez te wszystkie lata ukryte. Zrozumiałem tylko, że w systemie tajemnych przejść był jakiś nieznan mi element, coś, co pozostało wyłączną tajemnicą architekta...

– Panie Bartku, czy może nam pan jeszcze coś zagrać?

– Oczywiście... przepraszam bardzo, zamyśliłem się.

Z najwyższym trudem powróciłem do rzeczywistości. W rozpaczliwym akcie skupienia wykonałem fragment *Symfonii Jowiszowej* Mozarta.

Którędy uciekali muzycy z Kwartetu Gudelsteina? Zniknęli, to nie ulegało wątpliwości. W tunelu znalazłem program z ich koncertu. Program... Dlaczego Włosi ukradli popiersie Karłowicza?

– Panie Bartku, halo, dobrze się pan czuje?

– Tak, tak, przepraszam, już gram.

Zagrałem *Wolnego strzelca* Webera, ten fragment, który, bardziej może ideowo niż muzycznie, był mi nieomal mottem. Mogłem go zagrać zawsze i wszędzie, z pamięci, nawet wyrwany z najgłębszego snu.

A więc ten drugi, ten Bartosz zewnętrzny grał.

Ukradli rzeźbę patrona filharmonii. Dlaczego? Korytarz koncertowy i dyrygencki znajdowały się po przeciwnych stronach budynku, wygląda na to, że gdzieś w środku sali, tam gdzie wiszą te trzy żyrandole, powinny się zetknąć...

– Panie Bartoszu, poprosimy o coś z Karłowicza, może początek *Epizodu na maskaradzie*?

Karłowicza...

– Panie Czarnoleski, co pan tam widzi? Przerwywamy czy spróbuje pan zagrać? A może najpierw fragment *Reńskiej* Schumanna?

– Przepraszam, co pan powiedział? Schumanna?!

Program! Program koncertu z trzeciego grudnia 1939 roku. Ale nie o datę chodzi... Co było na pierwszej stronie? Te dwa niewyraźne słowa, to...

Städtische „Robert Schumann” Orchester Krakowitz... Rany boskie!

Misternie, ale wyraźnie wryte na jednej z płyt inicjały R.S.!

– Przepraszam, bardzo przepraszam, bardzo państwa przepraszam – bełkotałem, wycofując się rakiem z estrady. Komisja patrzyła na mnie w niemym zdumieniu.

Odłożyłem altówkę, w jej miejsce ścisnąłem w palcach latarkę – noszenie jej przy sobie wchodziło mi już w krew – i czym prędzej pobiegłem do portierni. Batuta Rucacellego – rozkręcona, by łatwiej dała się schować do kieszeni towarzyszyła mi nieustannie. Ani na chwilę nie zostawiłem jej bez opieki.

– Panie Zenku, klucz, muszę mieć klucz do pokoju dyrygenckiego!

– Ale co pan, panie Bartku, tak nie można...

Zostawiłem go z otwartymi ze zdumienia ustami, a sam, porwawszy klucz, pobiegłem co siłą na górę.

Włosi ukradli Karłowicza, bo był patronem filharmonii. Ale, na litość boską, nie w czasie wojny! Część personelu, a pewnie i muzyków, na początku tam jeszcze pracowało. Dzięki czemu zresztą korytarze mogły funkcjonować. Ale pierwszym krokiem, jaki Niemcy musieli uczynić w stosunku do orkiestry, była zmiana jej nazwy i oczywiście patrona.

Został nim Robert Schumann!

W pośpiechu zrywałem plombę i przekręcałem klucz w zamku. Czym prędzej zamknąłem pokój od środka. W samą porę. Na korytarzu narastał tupot nóg i szum zbliżających się głosów.

Wszyscy musieli sądzić, że zwariowałem. Na szczęście fortepian, który kilka dni wcześniej posłużył włamywaczom za blokadę, ciągle stał blisko drzwi. Dopchnąłem go z całych sił. Nie wiedziałem, ile czasu zajmie mi rozszyfrowanie ostatniej tajemnicy gabinetu dyrygenckiego, ale nikt nie mógł mi w tym przeszkodzić. Zabrnąłem za daleko. Droga wiodła już tylko w jedną stronę...

Błyskawicznie przesunąłem stół. Otwarłem właz. Wszystko jest łatwe, gdy wiesz co i jak. Ale jeden element był nowy.

Płytką z inicjałami: R.S.

Oczywiście, Rosenberg mógł przewidzieć, że filharmonia zmieni patrona. Ale skąd wiedział, że zostanie nim Bogu ducha winien Robert Schumann? Odpowiedź na to pytanie była jednak prostsza, niż mogło się zdawać. On nie musiał tego przewidywać.

W systemie tajnych przejść był jakiś nieznan mi element, to coś, co pozostawało wyłączną tajemnicą architekta...

Element musiał więc istnieć od samego początku, czyli remontu. Był wentylem bezpieczeństwa, prawdopodobnie do jednorazowego wykorzystania. Niewykluczone, że sam Rosenberg zamierzał się nim posłużyć w chwili ostatecznego zagrożenia. Ale stało się inaczej.

...mój klucz ma być jeszcze raz użyty...

Słowo „klucz” było tu z pewnością zastosowane symbolicznie. Chodziło o możliwość otwarcia korytarza dyrygenckiego, sekret znany do tej pory jedynie architektowi. Co dalej?

Rosenberg prawdopodobnie tuż przed aresztowaniem lub w obawie przed nim, zdradza komuś tajemnicę dostępu i... coś jeszcze. Coś, co dla ułatwienia oznaczał dodatkową wskazówką – delikatnie, lecz czytelnie wrytymi inicjałami nowego patrona filharmonii. Kim mieli być spadkobiercy tajemnic architekta – nietrudno było się domyśleć. Teraz należało to udowodnić.

Zgodnie z przewidywaniem pan Zenon przekręcił w zamku zapasowy klucz. Szum głosów był wyraźny, ale dobiegał do mnie jak zza mgły. Miałem niewiele czasu i musiałem skoncentrować się tylko na jednym.

Myśli jak błyskawice przebiegały przez moją głowę, podczas gdy ręce trudziły się z najważniejszym dla całej sprawy szachowym polem. Próbowałem przesunąć je na różne sposoby.

Mogłoby się zdawać, że liczba działań możliwych do podjęcia na drewnianej, kwadratowej płytce jest ograniczona. Próbowałem ją podnieść na siłę. Ani drgnęła. Przesuwałem po niej dłońmi, rozpaczliwie szukając nieodkrytej możliwości. Gdy znalazły się w przeciwnych rogach, napałem ponownie.

Tym razem płytka uniosła się lekko i bez większego problemu dała przesunąć. Posuwała się jak po dobrze naoliwionych szynach. Moim oczom ukazał się metalowy uchwyt. Pociągnąłem go mocno, a wówczas z głębi tunelu dobiegł odgłos uruchomionego mechanizmu. Gdy tylko opuściłem ręce, pole R.S. samoistnie powróciło do pozycji wyjściowej.

Odsunąłem stół na miejsce, sam zaś ile sił podskoczyłem w kierunku włazu. Udało mi się chwycić jego krawędzi i podciągnąć, a potem podeprzeć łokciami i wcisnąć do środka. Między drzwiami a fortepianem pojawiła się szczelina, zwiastująca rychłe zniknięcie ostatniej strzegącej mnie bariery. Czym prędzej zamknąłem za sobą wąż. Za kilkanaście sekund parę osób wpadnie do pokoju. Zdziwią się, nie znajdując nikogo. Zwłaszcza że nawet okno będzie zamknięte. Poprzedniego wieczoru ponownie zabezpieczyłem je płytą.

Przemarsz korytarzem nie trwał długo. Wszystko było tak samo jak wczoraj. Również w pomieszczeniu z szafą pancerną z pozoru nic się nie zmieniło. Z pozoru, bo choć sejf stał na swoim miejscu, miałem wrażenie, że w komorze jest lekki przewiew. To było coś nowego i musiało mieć związek z dźwignią, którą przed chwilą pociągnąłem. Oświetlone małą latarką ściany nie ukazywały nic nadzwyczajnego. By w niedostatecznym świetle nie przeoczył istotnego szczegółu, znowu pomagałem sobie dotykiem.

Wodząc palcami po krawędziach sejfu wyczuwałem silniejszy powiew. Rosenberg i Michalewicz sami wciągnęli sejf na górę. To prawda, było ich dwóch, ale do przesunięcia jedna osoba powinna wystarczyć. Napałem, zrazu delikatnie, aby nie uszkodzić niczego z bezcennej zawartości. Potem coraz mocniej, wreszcie z całych sił.

Udało się!

Sejf był diabło ciężki, ale moje siły na końcu drogi zagadek urosły do ponadnaturalnej wielkości. W miejscu przed chwilą jeszcze zasłoniętym szafą pancerną teraz ział otwór. Gruba,

metalowa płyta, z pewnością wskutek interwencji w polu Schumanna, przesunęła się i schowała w ścianie. Ostatni tunel Rosenberga zapraszał. Szczelina nie była duża, ale dorosły człowiek mógł się w nią wcisnąć. O ile jednak korytarze koncertowy i dyrygencki umożliwiały poruszanie się na dwóch nogach lub na czworakach, tutaj można było jedynie pełzać. Ktoś, kto podejmował trud i ryzyko takiej przeprawy, musiał wierzyć, że kanał nie skończy się ślepo. Ale wyczuwalny w korytarzyku przeciąg mówił wyraźnie, że z drugiej strony znajduje się wyjście. Ruszyłem bez wahania.

Towarzyszyło mi niemal fizyczne poczucie kresu poszukiwań. Napotykanne co pewien czas fragmenty starych kabli potwierdzały moje przypuszczenia. Znajdowałem się nad salą koncertową, w samym jej środku.

Po chwili na drodze wyrosła przeszkoda. Jakby górka przykryta materiałem. Dokonując cudu, spłaszczyłem się cały i ominąłem ją. Na razie nie chciałem niczego dotykać, bo Bóg jeden raczył wiedzieć, co będzie moim kolejnym znaleziskiem. Po kilku metrach rękaw skończył się. Przede mną wyrosła ściana z cegieł. A jednak ruch powietrza nadal był wyczuwalny. Dotknąłem zapyry ręką i popchnąłem delikatnie. Konstrukcja posypała się jak domek z kart. Nie była zespolona żadną zaprawą. Przedostałem się na drugą stronę. Ułożone jedna na drugiej cegły imitujące mur, miały zamaskować metalową płytę. Zbytek ostrożności? Może, lecz Rosenberg był najwyraźniej perfekcjonistą; niczego nie chciał powierzyć przypadkowi. Rozsypaną ścianę można było ponownie ustawić w parę chwil, w pełni przywracając maskujący efekt. Z boku dostrzegłem szczelinę, w którą wsunął się płat metalu. Ukryty w polu R.S. mechanizm otwierał obie strony rękawa. Płytę wejściową zasłaniał sejf, wyjściowa zaś kryła się za ceglany murkiem.

Teraz dopiero spostrzegłem, że tuż pod sklepieniem najwęższego z tuneli biegnie wąż zakończony kilkoma zębatymi przekładniami. Zdziwiająco – wszystkie elementy mechanizmu błyszcząły w świetle latarki od smaru. Tylko dzięki temu, że Rosenberg – wiedziony wieszczym przeczuciem? – użył go w irracjonalnym nadmiarze, całość po blisko siedemdziesięciu latach funkcjonowała nadal bez zarzutu. Niewiarygodne! Przedwojenna szkoła, chciałoby się powiedzieć...

Stanąłem na dwóch nogach.

Chwileczkę, ja tu już byłem!

Odkrycie nie powinno mnie jednak zdziwić, ponieważ okazało się zgodne z zarysem planu tuneli, który w międzyczasie ułożyłem w głowie. Ostatni tunel Rosenberga łączył ze sobą oba korytarze: dyrygencki z koncertowym. Znajdowałem się w tym drugim, w miejscu gdzie następował gwałtowny spadek. To tutaj któryś z muzyków zgubił program zabrany na pamiątkę ostatniego koncertu. A może zostawił go celowo?

Dzięki niemu udało mi się przed chwilą rozwikłać ostatnią zagadkę Rosenberga.

Ale co zamykało tunel? Czy nie powinienem był się domyślić? Mechanizm z opóźnionym działaniem. Timer dawnych czasów (w skrócie: oldtimer).

Pierwszy pomruk rozżelonej, skrępowanej siły odezwał się nad moją głową. Coś, co brzmiało jak zgrzyt rozkręcającego się w ścianie łańcucha, zaczęło podzwaniać wewnątrz murów. Z boku wysunęła się płyta, centymetr po centymetrze zasłaniając otwór. Teoretycznie istniała możliwość ponownego otwarcia łącznika korytarzy, ale gdy wyobraziłem sobie drogę, która by do tego wiodła, wybór stał się jasny. Musiałem wiedzieć teraz.

Jedynym przedmiotem, którym mogłem się w tej chwili posłużyć, była mała latarka. Wsunąłem ją głęboko, najgłębiej jak mogłem, w szczelinę skrywającą metalowe zamknięcie. Udało mi się powstrzymać mechanizm, ale na jak długo? Drobnym przedmiotem nie mógł w nieskończoność opierać się miażdżącej sile. Szybko przeczodziłem się do środka. Z przeszkody, którą parę chwil wcześniej udało mi się ominąć, zdjąłem przykrywające je grube płachty.

Moim oczom ukazały się cztery skrzynki.

Nieprzyjemne odgłosy, jakie wydawał walczący system przekładni, dawały jasny sygnał: na transport każdej z osobna nie starczy mi czasu. Nieopatrznie mógłbym stać się piątą zagadką tunelu. Odkrytą pewnie znów przez jakiegoś altowiolistę. Za sto lat...

Wsunąłem materiał pod pudła. Rakiem wycofując się do wyjścia, zacząłem ciągnąć ten zaimprovizowany, bagażowy wózek. Po chwili byłem na zewnątrz. Na razie tylko ja.

Raz... dwa... – mniejsze ze skrzynek przeszły bez trudności; kolejna, nieco większa, też jakoś... I w końcu największa...

Cholera! Zablokowała się...

Jeszcze moment i tryumfująca, metalowa płyta rozetnie ją na pół wraz z zawartością. Proszę, nie...

Jest!

W chwili gdy ostatnie z pudeł znalazło się na zewnątrz, latarka zaczęła niebezpiecznie trzeszczeć. Zastanawiałem się, czy zdążyć ją wyciągnąć – w końcu była moim jedynym źródłem światła – ale nie zaryzykowałem.

I dobrze: w tym momencie mechanizm zmiażdżył ją z głośnym chrupnięciem. Zapanowała ciemność i... cisza. Bowiem wysiłek, który mechaniczny system włożył w pokonanie oporu latarki, kosztował go życie. Jakieś ogniwo lub któryś z trybów musiały po prostu pęknąć.

Ciemność i cisza.

Ta pierwsza porównywalna tylko z pierwotnym wrażeniem, którego doświadczyłem tu w piątek. Druga, mimo ciągle dramatycznych okoliczności, wydawała się błoga...

Przed sprawdzeniem zawartości skrzynek zastanowiłem się nad drogą powrotu. Teoretycznie mógłbym próbować otwarcia sufitu od wewnątrz, ale zniechęcała mnie wizja ponownego pełzania przez ciemny łącznik. Prócz tego nie miałem już siły na kolejne poszukiwania. Znałem inną drogę. Dłuższą i bardziej krętą, ale wiedziałem, że doprowadzi mnie do wyjścia. Prócz tego pierwszą osobą, z którą chciałem się skontaktować, był nadkomisarz Bielski. W najmniejszym stopniu nie nadawałem się, by prosto z sufitu wpaść w podniecony i zdezorientowany tłumek ludzi.

Choć traciłem przez to wiekopomną szansę, aby choć raz na pytanie: „Co ty, z sufitu się urwałeś?”, odpowiedzieć twierdząco.

Ale to wszystko miało nastąpić później. Za chwilę. Dopiero gdy znajdę odpowiedź na ostatnie pytanie.

Jeśli mogłem zaufać zmysłowi dotyku – a ostatnio oddawał mi nieocenione przysługi – cztery płachty okazały się płaszczami. Męskimi płaszczami. Płaszczami muzyków z Kwartetu Gudelsteina. Czy w całej układance był choć jeden element, który kazałby mi wątpić, że to ich śladami podążam? Postanowiłem przeszukać zakamarki okryć. Może przez zapomnienie,

a może świadomie, zostawili w nich coś przydatnego? Gudelsteinowcy musieli wiedzieli, że czeka ich droga ciemnymi tunelami.

A ciemność była tak absolutna, że nawet po jakimś czasie wzrok nie był w stanie przebić jej czeluści.

W jednej z kieszeni odnalazłem zapałki i ogarek świecy. Podzielili się ze mną światłem.

Delikatnie potarłem zapałką o draskę.

Zapaliłem świeczkę.

Do symfonii wzruszeń miało dojść jeszcze tylko jedno, ale bodaj czy nie największe. Przy tym płomyczku ocalonego ognia nie mogłem się oprzeć, aby tu i teraz otworzyć każdy z czterech futerałów.

I upewnić o czymś, o czym już wiedziałem; udało mi się odnaleźć zagubiony, legendarny Kwartet Lucci Silvariego.

Teraz byłem już spokojny.

Muss es sein? Czy tak miało być? Tak, właśnie tak miało być.

Zdawało mi się, że mała ćma, która towarzyszyła mi przez kilka ostatnich dni, na powrót przemieniona w przepięknego motyla, macha mi na pożegnanie skrzydłami. Moja niezwykła przygoda była zakończona.

W wąłym płomieniu świeczki podziwiałem niezwykłą urodę każdego z lutniczych arcydzieł. Niewytłumaczalne zjawisko – struny nie popękały, rozstroiły się tylko znacznie. Gdy dotykałem ich delikatnie, tunel wypełniał się cichutkimi westchnieniami, jakby wydawały je piękności obudzone ze stuletniego snu...

Czy muzycy wiedzieli, że jest to ich pożegnanie z instrumentami? Chyba nie, w końcu u podstaw każdego ludzkiego działania leży nadzieja. Ale istnieje jeszcze sfera przeczucia. Nie byłem w stanie odgadnąć, co myślało i co czuło w tym miejscu – dokładnie, co do dnia, sześćdziesiąt osiem lat temu! – czterech wybitnych muzyków, troskliwie otulających płaszczami swoje ukochane instrumenty.

Choć doświadczałem przeżycia nieomal mistycznego, nie mogłem go przedłużyć w nieskończoność. Światu zewnętrznemu należało się parę wyjaśnień.

Oślaniając dłonią płomień świecy, szedłem w dół. Instrumenty zostały. Czekały, tak jak czekał sejf i wszystkie jego skarby. Czekały, ale ich wieloletnia samotność miała się już wkrótce skończyć.

Ten moment, ta chwila, właśnie w samotności, w zupełnym oderwaniu od świata, dostarczyły mi największej nagrody za przekraczającą nieraz granice rozsądku determinację. Gdy uświadamiałem sobie, że teraz, w tej malutkiej, zagubionej w bezbrzeżnych piwnicach jednostce czasu jestem jedynym spadkobiercą tak niezwykłej historii i ocalałych z niej skarbów ludzkości, rozpierało mnie poczucie trudne do nazwania. Do tej pory nie pozwalałem sobie nawet na chwilę rozproszenia. Maksymalnie skupiony koncentrowałem się na rozplątaniu przemieszanych wątków. Ale teraz była tylko moja, najpełniej osobista chwila tryumfu.

To nic, że audycja mi nie wyszła. Walczyłem jak mogłem, a nawet dłużej i mocniej, niż nakazywałyby logika. I – ostatecznie – dotarłem do finału. Byłem blisko, bardzo blisko...

Poczułem lekkie ukłucie żalu. Ale tylko przez chwilę. Nawet ono nie mogło już zmącić błogiego uczucia dobijania do portu.

Tym razem droga przez labirynt nie dłużyła się. Pokonując posępne odnogi, czułem się trochę jak... gwiazda maszerująca po czerwonym dywanie. To informacja dla tych, którzy sądzili, że altowiolisci są zupełnie pozbawieni próżności.

Nagle znalazłem się w miejscu jakby znajomym. No tak, przecież już tu byłem. Byłem, ale w stuprocentowych ciemnościach. Mózg nie miał prawa przechowywać tego obrazu. Więc skąd to wrażenie, skąd ta pewność?

I wtedy zrozumiałem.

To było miejsce z mojego snu.

Podniosłem świeczkę. W samą porę, aby u wylotu jednego z tuneli zobaczyć księżycowe sylwetki. Nie, bynajmniej nie w hitlerowskich mundurach. W eleganckich garniturach. Moi Włosi. Oto uzyskiwałem odpowiedź na pytanie, gdzie są i co robią.

No cóż, musiałem przyznać, że rozegrali partię po mistrzowsku. Jak rasowi gracze wyczekali do końca, by zgarnąć całą pulę. Za wcześniej ich skreśliłem. Myślałem, że miotają się bez sensu i kierunku. A oni po prostu zdążyli do celu własną drogą. Nie szło im, błędzili, różni tacy stawali na ich drodze. Ale nie zniechęcali się. Tym pewnie różnią się zawodowcy od amatorów.

Cierpliwością. Konsekwencją. Niestraszna im dogrywka ani rzuty karne.

Jak to się stało? Przypomniałem sobie różne, nie do końca dla mnie zrozumiałe zachowania Estona z ostatnich dni, łącznie z jego samowolną wyprawą do piwnic piekarni Pod Nietoperzem. Musiał wyczuwać ich obecność. A oni byli ciągle blisko i czekali cierpliwie na odpowiedni moment. I doczekali się.

Będą mieli wszystko.

Zaraz wpadnie w ich ręce batuta. Potem znajdą instrumenty. A na koniec, gdy przeczołgają się przez stojący otworem tunel nad salą koncertową, staną twarzą w twarz z sejfem Rosenberga. Jeszcze nie wiedzą, nie mają pojęcia, jak zostanie wynagrodzony ich trud. Jasna cholera, szkoda...

Chciałem, by było inaczej, ale wiedziałem, że wzrok mnie nie myli. W rękę jednego z nich, w dłoń jednej z księżycowych – teraz świeczkowych – sylwetek, zabłysło ostrze. Pewnie to samo, które tydzień temu miało pozbawić życia Rucacello. Limit karnych wyczerpany. Pozostaje nagła śmierć.

Drugi z mafiosów zniknął. Prawdopodobnie próbował zająć mnie z przeciwnej strony, odcinając tym samym drogę ucieczki. Teoretycznie mógłbym jeszcze spróbować kluczenia po labiryncie podziemnych korytarzy, ale jak długo? Zresztą manewr oskrzydający już trwał. A może pertraktować? Przecież znam włoski.

Naiwność. Okazji do rozmów mogli znaleźć tysiące. Im nie chodziło o konwersację. Pora zrozumieć, że mordercy nie kierują się kryteriami powszechnie uznawanymi za normalne.

Dłaczego mnie nie oświetlali? Nie musieli, bo... oświetlałem się sam. To ja byłem zwierzyną, a oni mieli mnie teraz jak na dłoni. Przypuszczam zresztą, że byli wyposażeni w noktowizory, zawodowcy w końcu.

Nożownik zaczął pomału zbliżać się w moim kierunku. Co mogłem mu przeciwstawić?

Niewiele, ale nie musiałem też ułatwiać zadania. Świeczka upadła na ziemię. Było tak, jakby ktoś nagle wyłączył światło w teatrze.

Nawet jeśli mają te cholerne gogle, to chwilę potrwa, zanim je włożą...

Zamarłem...

I wtedy, w ciszy tego upiornego momentu, usłyszałem dochodzące z oddali szczekanie.

Jak we śnie. Ale chyba nie śniłem. Boże, czy to Eston? Skąd on by się tu wziął? Poczułem się mimo wszystko raźniej, nie taki całkiem zapomniany i opuszczony w chwili największej i ostatecznej próby. Nie wiedziałem jak, nie wiedziałem skąd, ale mój przyjaciel był w pobliżu.

Jego szczekanie nasilało się. I musiało wzbudzić niepokój księżycowych sylwetek. Ten pies był ich przekleństwem.

Nagle, tuż koło siebie, wyczułem czyjąś obecność. Ciemność raz jest sprzymierzeńcem, kiedy indziej wrogiem. Nie wiedziałem nawet, w którą stronę się pochylić, aby uniknąć przesywającego mrok noża. Zapaliłem zapałkę.

W tym momencie rozegrała się scena, która do dziś ożywa przed moimi oczami, ilekroć je zamknę.

Tuż obok ujrzałem wznoszące się do zadania śmiertelnego ciosu ostrze. Z przeciwnej strony dostrzegłem Estona, który wyprzedził drugą z księżycowych sylwetek i pierwszy pojawił się u wylotu tunelu. Musiał w mgnieniu oka ocenić sytuację. Wszystkie późniejsze analizy kazały mi dojść do wniosku, że był on do takich akcji szkolony. Rozpędził się i oddał niezwykle skok.

Zdążyłem się uchylić, poczułem tylko, jak pazury tylnych łap psa muskają mi włosy. Od poddmuchu lecącego w powietrzu potwora zapałka zgasła, lecz wyobraźnię dopowiedziała resztę: potężne łapy Estona opadły na przedramię Włocha i wytrąciły mu nóż z ręki. Złoczyńca zawył z bólu i wściekłości, ale w starciu z psem nie miał już szans.

Eston, pies wyszkolony przez estońską mafię, pokonał reprezentanta camorry.

Powalił go na ziemię i siadłszy mu na piersi, z pyskiem tuż przy gardle, pozbawił nożownika ochoty do dalszej walki. Nic nie musiałem mówić – pies wiedział, co robić. A ja wiedziałem, że mafioso numer jeden już mi nie zagraża.

To Eston mówił mi, jak mam się zachować: w tym momencie usłyszałem ostrzegające warknięcie. Po przeciwnej stronie zmaterializował się mafioso numer dwa. Eston nie mógł mi pomóc, nie uwalniając jednocześnie swojego jeńca. Musiałem zareagować sam. Ale pies, ten cudowny pies dodał mi tyle siły i wiary, że chyba już się nawet nie bałem.

Mam taką teorię, że jeśli czegoś się nigdy nie robiło, ale w końcu przychodzi na to pora, to nie mając racjonalnego rozeznania skutków swoich działań, można przesadzić. Nigdy nie byłem bokserem, nie lubowałem się w bójkach i rozróbach. Ale uwierzcie mi, w ten cios włożyłem całe swoje artystyczne serce. Nie wiedziałem, że mogę uderzyć z taką siłą. Jakis duży, ciężki gość tuż koło mnie bezwładnie zwałił się na glebę.

I tak wyglądał podsumowujący występ duetu Bartosz – Eston.

Wieczór tego samego dnia był pasmem niekończących się pytań, tłumaczeń i wyjaśnień. Dla mnie samego nie wszystko było jasne, a kulturoznawczy szok, który zafundowałem paru osobom, wprawił je w osłupienie, jakiego jeszcze w życiu nie byłem świadkiem. Ale zacznijmy od początku.

Eston od samego rana był niespokojny. Szczekał, wył, biegał po mieszkaniu, aż w końcu zaniepokojony antykwariusz poszedł zobaczyć, co się dzieje. Próbował go uspokoić, ale bezskutecznie. Bojąc się, że psu coś dolega, postanowił do niego zajrzeć. Eston tylko na to czekał: wysłiznął się i runął po schodach. Sebastian próbował za nim biec, ale w pogoni za Estonem nie miał szans. Jednak dzięki informacjom ludzi, którzy widzieli biegnącego ulicą jakby wilka, szybko zlokalizował zbiega, bo ten i daleko nie uciekł. Wpadł mianowicie na podwórze piekarni Pod Nietoperzem i zniknął w jej przepastnych piwnicach. Tym razem antykwariusz nie wahał się ani chwili: natychmiast zawiadomił policję. Gdy jednak ta odnalazła nas w podziemiach piekarni, zastała mnie i psa w niezłej kondycji, za to dwóch Włochów w nieco gorszej. Pierwszy leżał bez czucia na ziemi – choć odzyskał je, gdy policjant zakładał mu kajdanki; drugi również leżał, całkowicie unieruchomiony przez Estona. Szczęściem nadkomisarz Bielski bardzo szybko znalazł się na miejscu. Szczęściem, bo oszczędziło mi to długich i z pozoru niewiarygodnych wyjaśnień.

Bielski przejął mnie od razu. A mnie nie pozostawało nic innego, jak spróbować opowiedzieć całą historię, tym razem w wersji pełnej i prawdziwej, dokumentując ją odkrytymi skarbami.

Poprosiłem tylko, żeby przy podwórzu Nietoperza ustawiono solidny patrol, który pod żadnym pozorem nie pozwoli nikomu zbliżyć się do piwnicy. Nikomu, łącznie z właścicielami budynku. Im też należały się małe wyjaśnienia, ale to nie była sprawa priorytetowa. Zresztą w konsekwencji mogli stać się posiadaczami nie lada atrakcji turystycznej – podziemnego labiryntu, częściowo usytuowanego pod ich terenem.

Uprzedzając nieco fakty, mogę powiedzieć, że nie myliłem się. Zwiedzanie rozbudowanych podziemi piekarni Pod Nietoperzem stało się jednym z turystycznych obowiązków. Rzecz jasna, w ich skład nie wchodziła część filharmoniczna, udostępniana tylko w bardzo wyjątkowych sytuacjach i tylko bardzo szczególnym gościom, głównie do celów naukowych, choć podobno raz zjawiała się osoba, która w czasie wojny skorzystała z korytarza koncertowego. Teraz, u schyłku życia, chciała raz jeszcze przejść drogę, której je zawdzięczała.

Gdy wkraczałem do filharmonii w towarzystwie policji, powszechne zdumienie i konsternacja nie miały granic. Muzycy z komisji, a zwłaszcza koledzy kandydaci, patrzyli na mnie, jakby zobaczyli ducha, nienormalnego ducha. Nie miałem siły nikomu nic tłumaczyć, prawda i tak wkrótce miała ujrzeć światło dzienne. Jedynie pocziwy pan Zenon, który widać przywykł do moich nieco niestandardowych pojawień się i zniknięć, zdążył szeptem przekazać mi dość istotną informację:

– Przyjęli jedną osobę...

Po krótkiej rozmowie Bielskiego z dyrekcją policja uzyskała zgodę na dostęp do wnętrza budynku. Sam dyrektor oznajmił jednak, że chce być obecny przy wizji lokalnej, jak ją nazwał, nie wiedząc jeszcze w istocie, o co chodzi. Do udziału w rajdzie szlakiem moich odkryć Bielski zaprosił eksperta od zabytków z komendy wojewódzkiej. Ze swej strony – pod groźbą nieujawnienia tajemnicy – wymusiłem udział Sebastiana Marsa.

Nadkomisarz Bielski nie oszczędził mi w różnych momentach spojrzeń, których rozpiętość wahała się od piorunujących do zagadkowych. Szczególnie wyrazistym z pierwszego gatunku uraczył mnie, gdy po raz kolejny tego dnia przekraczałem drzwi gabinetu dyrygenckiego, ze zwisającymi szczątkami osobiście przeze mnie zerwanej policyjnej plomby. Nie będę odtwarzał naszej wyprawy w głąb korytarza Rosenberga. Tym razem

występowałem w charakterze przewodnika i czerpałem z tego faktu niekłamaną satysfakcję. Okrzyki niedowierzania przeplatały się z westchnieniami zdumienia i zachwytu. Czwórka prowadzonych przeze mnie dorosłych, poważnych mężczyzn – być może ośmielona półmrokiem rozświetlanym tylko latarkami – zachowywała się jak grupka chłopców biorących udział w przygodzie życia. W końcu, ku zdumieniu – ale przecież to był dzień zdumienia – policjantów z patrolu wynurzyliśmy się z podziemi na podwórzu piekarni Pod Nietoperzem. Bielski wydawał dyspozycje, a liczba osób, z którymi się kontaktował, nie miała końca. Upewnił się, że ekspert komendy wojewódzkiej i dyrektor administracyjny filharmonii nie ruszą się z miejsca, dopóki ostatni – jak się wyraził – pyłek z sejfu nie zostanie zabrany i przewieziony w bezpieczne miejsce. Cały teren miał być ściśle strzeżony, a kwartał, w którym znajdowała się filharmonia, został rygorystycznie zamknięty dla ruchu kołowego i pieszego. Trochę mnie śmieszyły tak niezwykle środki ostrożności, ale co tam... Moja radosna twórczość się skończyła. Przyszedł czas na fachowców. Specjalne ekipy Komendy Głównej i Muzeum Narodowego już były w drodze. Zaskoczyła mnie skala operatywności nadkomisarza. A on, gdy wszystko już poukładał po swojej myśli, zwrócił się do mnie z szerokim uśmiechem:

– No, to co? Zapraszam do mnie.

Jak na bohatera wydarzeń, czułem się trochę za bardzo wymęczony i wymagłowany. Na szczęście szybko okazało się, że Bielski wie więcej i chwytą szybciej, niżby się mogło zdawać, ba, sam jest w stanie moją nieco dziurawą wiedzę uzupełniać, ale nieubłagany taniec wskazówek wokół tarczy zegara uświadamiał mi, że siedzimy tu już szóstą godzinę. Taka była cena mojej samodzielności i niezależności w działaniach. Cierpliwie ją płaciłem.

Nadkomisarz był miły. Choć mógł mieć do mnie pretensje o to i owo, zwłaszcza gdy chodziło o przemilczanie lub przekręcanie faktów, a już na pewno o fałszywą batutę, to zachował się z klasą. Zakończony pełnym sukcesem finał zdarzeń musiał nim też nieźle wstrząsnąć, choć podejrzewam, że tak naprawdę nikt jeszcze – no, może poza Sebastianem Marsem – nie zdawał sobie sprawy z eksplozywnej skali i wartości odkryć.

– No, to jeszcze raz, w paru słowach? – nadkomisarz dążył do ostatecznej syntezy.

– Tak, w paru, jeśli się da. Niech pan opowiada, a ja będę uzupełniał i w razie wątpliwości pytałem.

– I nawzajem – z przekąsem odparł nadkomisarz.

– Wszystko zaczęło się od wywiadu z Michalewiczem. Gdybyśmy dysponowali nim od początku, sprawa byłaby dalece prostsza.

– Trudno się z tym nie zgodzić.

– Do autora wywiadu trafia dyrygent – to wygląda na zwykły zbieg okoliczności. Ale potem odwiedza go ktoś jeszcze, ktoś, kto ma z maestro Damianem Rucacellim pewne, nazwijmy je biznesowymi, koneksje. Wkrótce po tej domniemanej drugiej wizycie Michalewicz umiera. Ponieważ istnieje podejrzenie morderstwa, na żądanie policji redakcja nakłada embargo na dostęp do numeru gazety, w którym ów wywiad się ukazał.

– To specyficzna sytuacja, bo większość papierowych pism ma swoje elektroniczne klony. Ale ta z wywiadem Michalewicza to rzeczywiście bardzo lokalna gazetka. Czy nie tak?

– Właśnie tak. Więc każdy, kto się wywiadem interesuje, musi zjawić się osobiście.

To wtedy zadziałało genialne dziecko antykwariusza, pomyślałem.

– Z naszych informacji wynika zresztą, że z braku dowodów sprawę wkrótce umorzono; przyczyna śmierci Michelangela mogła być naturalna. Ale idźmy dalej. Podejrzewamy, że Damian Rucacelli był w jakiś sposób zależny od włoskiej mafii. Nie jest to jednak przedmiotem naszego śledztwa, a wspominam o tym wyłącznie po to, by uzyskać odpowiedni kontekst omawianej sprawy. Wietrząc niezły interes, mafia daje dyrygentowi do zrozumienia, że wie o jego dodatkowej misji w Krakowicach i w zamian za nieujawnienie pewnych niewygodnych informacji żąda od niego współpracy.

– Czyli klasyczny mały szantażyk.

– Tak to można nazwać. Nie jestem tylko pewien, czy mały, bo, jak powiadam, nie jest mi znana skala współpracy dyrygenta z Familią. Rucacelli zgadza się. Zagadnienie jest na tyle teoretyczne, że ryzyko wydaje się niewielkie. Ale sytuacja zmienia się, gdy dyrygent odkrywa, że słowa Michalewicza były prawdziwe. Chyba nie wie jeszcze, co zawiera sejf, ale na wszelki wypadek próbuje zbyć dwóch wysłanników camorry, którzy pojawiają się w Krakowicach. Ci jednak mają jasne wytyczne: w razie gdyby maestro robił trudności, należy się go pozbyć i działać dalej na własną rękę. Tym bardziej że dysponują dodatkowymi informacjami, których nie posiada Rucacelli.

Bielski przerwał, zapalając, nie wiem którego już, papierosa.

– Powtarzam raz jeszcze, nie interesuje mnie charakter stosunków mistrza batuty z mafią. Ale jedno wydaje się nie ulegać wątpliwości: on chciał odkryć tajemnicę Rosenberga jawnie, przy otwartej kurtynie, bez korzyści dla siebie, no może z wyjątkiem sławy i rozgłosu, jakie mogła mu przynieść, a które jako przedstawiciel scenicznego zawodu musiał sobie wysoko cenić.

– I, ni stąd, ni zowąd, to ja staję się świadkiem dramatycznej sceny w parku. Rucacelli nie chce ulec Włochom, bo wie, że cenne, choć nie ma jeszcze pojęcia jak cenne, dzieła sztuki na zawsze opuszczą nasz kraj.

– Tak jest. Wybiera opcję albo ja, albo nikt i o mało nie przypłaca jej życiem. Włosi wiedzą, że batuta zawiera cenne wskazówki. Są gotowi za wszelką cenę odszukać ją w wodzie. I tu pojawia się po raz pierwszy niespodziewana przeszkoda, pański niesamowity pies.

Eston, który tym razem towarzyszył mi w komisariacie, leniwie otworzył lewe oko.

– A dalej to już pan sam wie.

– No tak, ale pojawia się jeszcze jeden gracz.

– Tak, to prawda. Ale – spojrzał na mnie ostrożnie – tu poruszamy się tylko w sferze przypuszczeń, chciałbym, żeby pan to sobie dobrze uzmysłowił.

No dobrze, nic nie musiał mówić. Sprawa dla mnie i tak była jasna. Jędrzej musiał dowiedzieć się o artykule Michalewicza, o odwiedzinach Rucacellego i o tym, że wkrótce mistrz będzie dyrygował w Krakowicach. Nie w ciemni bity, potrafił pozbierać fakty do kupy i wysłał na przespziegi swoją dziewczynę. Jej zadaniem było wyciągnięcie możliwie największej liczby informacji od dyrygenta; resztą miał się zająć sam Jędrzej. Kiedy okazało się, że ktoś chciał zabić Rucacellego, pan europoseł natychmiast przyleciał do Krakowic, ale nie z powodu zazdrości, tylko wściekłości, że głupia Wanda była tak blisko, a jednak nie doszła do prawdy.

Potem również mnie próbowali omotać, a gdy i z tego nic nie wychodziło, Jędrzej sięgnął po brutalniejsze metody. W pewnym momencie jednak musiał zrobić bilans potencjalnych zysków i strat. Gdy stwierdził, że stąpa po grząskim gruncie, zniknął.

Byłem pewien, że nikt nie udowodni mu bezpośrednich związków z grupą Ryżego. Sam Bielski wyraźnie dał mi do zrozumienia, żeby nie wchodzić na śliski teren. Zwłaszcza że Ryży i jego kumple rzeczywiście zostali złapani. Zamarzyła się im akcja na własną rękę – lepszego prezentu chyba Jędrzejowi nie mogli zrobić. Winni są, bilans się będzie zgadzał, chłopaki dostaną po parę miesięcy w zawiasach za chuligaństwo i kradzież aparatu.

– A Włosi – Bielski podjął przerwany wątek – zaczęli szukać psa i jego właściciela. I batuty. Ich problemem było jednak to, że działali na nieznanym sobie terenie. Co prawda, mając tego świadomość, od początku korzystali z pomocy człowieka wskazanego im przez krajowego rezydenta mafii.

Nadkomisarz musiał pochwycić moje zdziwione spojrzenie.

– A tak, tak. Przemocność zorganizowana już od dawna jest procederem ponadnarodowym. Nigdy by pan nie uwierzył, jaka gotowość do świadczenia sobie drobnych przysług istnieje w międzynarodowych strukturach przestępczych. Z większymi jest inaczej, tam każdy staje się potencjalnym rywalem, a sentymenty znikają w sposób zgoła radykalny. Człowiekiem tym był portier z hotelu Luxor. To on jeszcze przed przyjazdem tych dwóch do miasta składał meldunki o poczynaniach Rucacellego. To on od strony logistycznej organizował pobyt Włochów w Krakowicach. To dzięki niemu mieli dostęp do pokoju dyrygenta już po wyeliminowaniu go z gry. Informował ich również o aktualnościach. Nawiasem mówiąc, ten pana pomysł z nagłośnieniem przekazania nam batuty był strzałem w dziesiątkę. To w końcu on był rzekomym koneserem mającym do zaoferowania unikalne wydanie dzieła Jana Heweliusza. Ale to wszystko było za mało. W sprawach naprawdę istotnych nie mógł pomóc. Szczytowym przykładem zagubienia była kradzież popiersia Karłowicza, która wyraźnie pokazywała, że poruszali się jak we mgle. Ale potrafili też śledzić, wyciągać wnioski i cierpliwie czekać na odpowiedni moment. Niewiele brakowało, a osiągnęliby swój cel. Tylko że ten niesamowity pies – ich przekleństwo – znowu spieprzył im robotę.

Eston otworzył tym razem prawe oko i spjrzał z przyganą na Bielskiego. Ale po chwili znowu spał, a przynajmniej udawał, że śpi.

– I to prawie wszystko. Strona włoska jest już poinformowana. Kwestią dni jest wystąpienie o ekstradycję. Zobaczymy, co z tego będzie. Okaze się, w którym kraju lista ich osiągnięć jest okazalsza, i wtedy sąd podejmie decyzję.

– To mnie mało interesuje. Ale jest coś, o co chciałem spytać. Kiedy zorientował się pan, że batuta jest fałszywa?

– Nie od razu. Dopiero po gruntownej analizie, która wykazała, że Rucacelli nigdy nie miał jej w rękach. Od wtedy mniej więcej sprawowaliśmy nad panem rodzaj – nazwijmy to – dyskretnej pieczy.

– To znaczy, że jak odkrywałem korytarz koncertowy, o mało nie spadając z balustrady i nie zabijając się, to byliście tam z trampoliną?

– No nie, aż tak, to nie...

– To znaczy, że jak Ryży z chłopakami mnie tłukli, to już, już mieliście wejść do akcji, tylko nieoczekiwanie pojawili się moi kumple?

– Nie, niezupełnie, panie Bartku, niech pan posłucha...
– To znaczy, że jak wspinałem się po oblodzonym gzymsie filharmonii, to mnie ubezpieczaliście, a jak koleś urzynał mi plecak, to mieliście ich na muszce?
– W tym przypadku nie wiedzieliśmy...
– No dobrze, ostatnie pytanie: gdyby nie Eston i Sebastian Mars, to byłibyście w podziemiach Nietoperza wcześniej?
– Panie Bartku, ustalmy jedną rzecz...
– Nie trzeba. Fajnie tylko wiedzieć, że cały czas znajdowałem się pod panów – jak pan to określił? – dyskretną pieczę.

Zapadła cisza.

A po chwili nadkomisarz Bielski wybuchnął śmiechem. Facet naprawdę miał klasę. Wiedział, że nie ma sensu się nadymać bez potrzeby.

– Panie Bartku, proszę, niech pan mnie przez chwilę posłucha. Ja od początku wiedziałem, że pan troszeczkę ściemnia. Nie wiedziałem co i dlaczego, ale wydał mi się pan na tyle sympatyczny i jakby to powiedzieć, nieortodoksyjny w myśleniu i działaniu, że postanowiłem panu nie przeszkadzać. I miałem rację. Bo proszę mi wierzyć, jestem przekonany, że gdyby to ktoś... inny – na końcu języka miał słowa „od nas” – zabrał się do sprawy, to nigdy nic by nie odkrył. Stwierdziłby jedynie, że ktoś zrobił gigantyczny niesmaczny żart. Panie Bartku, nie potrafię inaczej wyrazić panu uznania, ale proszę mi wierzyć: to, co pan zrobił, przejdzie do historii. Przynajmniej historii naszej komendy – dodał z uśmiechem. – I... mam jeszcze takie jedno, małe pytanie: czy zgodzi się pan przedyskutować czasem jakieś nieoczywiste aspekty prowadzonych przeze mnie śledztw? Zresztą dla niego – spojrzął na psa – też miałbym to i owo. Całkiem nieoficjalnie rzecz jasna.

Z uporem unikał nazywania Estona po imieniu.

– A tak w ogóle, to proponuję skończyć z tym panowaniem. Jestem Robert. – I Robert wyciągnął rękę.

Mój Boże. Ja chyba znowu śnię! Przejście na ty jeszcze rozumiem, ale konsultacje śledcze?!

– Miło mi. To jest Eston, ale mam wrażenie, że już się trochę znacie. Ten pies ma dość duże pole niezależności. Jest zdolny do niezwykłych wyczynów, ale potrafi również pięknie odgrywać zagubienie w morzu komend, więc trudno mi odpowiedzieć w jego imieniu. Ja natomiast jestem Bartosz. Altowiolista. I będę zachwycony, mogąc z tobą od czasu do czasu pogawędzić. Tylko czy pan... czy nie przesadzasz z tą wiarą w moje siły?

– Biorąc pod uwagę to, czego dokonałeś, chyba nie.

– Dobrze, zgoda, ale pod jednym warunkiem: nigdy nikomu nie mów, że pytasz o zdanie altowiolistę, bo cię wyśmieją.

– Mnie to mówisz? Czyżbyś zapomniał, że jestem policjantem?

Faktycznie. Miał rację. Do kompletu brakowało nam tylko blondynki.

Minęło kilka dni wypełnionych rozpamiętywaniem niedawnych zdarzeń. Kilkakrotnie musiałem spotykać się z tak zwanymi organami i tłumaczyć po wielokroć mój udział w wypadkach. Ciągłe nie było jasne, jaki los spotka odnalezione przedmioty. Podejmowano próby poszukiwania ewentualnych spadkobierców, lecz – z jednym wyjątkiem –

bezsukutecznie. W grę wchodziło włączenie kolekcji do większych zbiorów muzealnych. Ostatnio jednak coraz mocniej rysowała się koncepcja utworzenia całkiem nowej jednostki muzealnej, roboczo zwanej Galerią Rosenberga. Osobiście było mi to rozwiązanie najbliższe. Z uporem nie dla wszystkich zrozumiałym optowałem, aby do zbiorów dołączyć jeszcze but i lalkę znalezione w korytarzu koncertowym. Z pewnym zdumieniem zauważałem też, że moje opinie są w jakimś stopniu brane pod uwagę.

Jedynym odpryskiem minionych dni, z którym nie chciałem się rozstać, był program ostatniego koncertu Kwartetu Gudelsteina. Ale i on miał swoje przeznaczenie.

Na spotkaniach oprócz inspektora Bielskiego pojawiali się ludzie z Ministerstwa Kultury i Dziedzictwa Narodowego, Komisji do spraw Zaginionych Dzieł Sztuki i Muzeum Narodowego. Potwierdziły się wszystkie ekspertyzy Sebastiana Marsa. Nie pomylił się w ani jednym werdykcie. Każdy z odnalezionych przedmiotów rzeczywiście stanowił klejnot w swojej kategorii.

Pewne zdumienie, a nawet niedowierzanie budziło natomiast ich pochodzenie. Pojawiło się przypuszczenie, że Michalewicz w istocie nie musiał znać całej prawdy. Jasne stało się, że niektóre eksponaty z sejfów Rosenberga pochodziły ze źródeł innych niż prywatne kolekcje żydowskie. Dla przykładu, obraz Rubensa należał przed wojną do Muzeum Narodowego w Poznaniu, a praca Rafała było własnością Muzeum Czartoryskich. Wziąwszy pod uwagę pogłoski dotyczące ich wojennych losów, odkrycie obu dzieł w schowku architekta było faktem zdumiewającym. Ale jakże radosnym. Lista osób zgłaszających się do architekta po pomoc mogła być szersza, co zresztą ostatecznie uniwersalizowałoby jego dzieło. Ale szansę na wyjaśnienia tych trudnych kwestii i przybliżonego choćby odtworzenia łańcucha zdarzeń mogły przynieść dopiero żmudne i drobiazgowo badania historyczne.

O ile dla świata muzycznego odkrycie Kwartetu Silvariego wysuwało się na plan pierwszy, o tyle świat jako taki oszalał – co można było przewidzieć – na punkcie jajka Fabergé. Bo też sensacje podobnego kalibru nie zdarzają się często. Kulę ziemską obiegała fala fabergomanii.

Kilka mniej lub bardziej oficjalnych komisji podjęło się próby odtworzenia drogi, w wyniku której królewskie jajko duńskie znalazło się w sejfie Rosenberga. Liczono, że w archiwach uda się natrafić na ślad podwójnych list; odnalezione, mogłyby posłużyć celowi dokładnie przeciwnemu, niż przyświecający ich twórcom. Nie będzie chyba zaskoczeniem, jeśli powiem, że nikt nie natrafił na najmniejszy nawet trop.

Otworzyło się natomiast szerokie pole do popisu dla wszelkiej maści poszukiwaczy i prywatnych detektywów (ha, ha, jakbym mówił o sobie, tylko że ja... już znalazłem, co miałem znaleźć). A Muzeum Narodowe, tymczasowy depozytariusz skarbu, zasypywane było podobno rządowymi i prywatnymi ofertami kupna. Proponowane ceny w dalekim polu zostawiały kwotę uzyskaną za jajko zimowe, przebijając nawet rekordową sumę, za którą kupiono jajko Rotszylda. To były oczywiście informacje poufne, ale jakieś tam przywileje ostatecznie mi się należały... Z ulgą widziałem jednak, że starania te rozbijają się jak fale o podnóże szkockiego zamku. Byłem pewien, że prędzej czy później międzynarodowe prawo pomoże rozstrzygnąć, jaki los powinien spotkać arcydzieło, ale przykład tak zwanej Berlinki, zawierającej bezcenne rękopisy Biblioteki Pruskiej, znajdujące się pod pieczę Biblioteki Jagiellońskiej, ale i w ogóle zaginionych w czasie wojny dzieł sztuki pokazuje, że nie są to sprawy proste i łatwo poddające się jednoznacznym rozwiązaniom. Z emocjonalnych

i historycznych względów pragnąłem, aby jajko zostało włączone w skład powstającej kolekcji. I wszystko wskazywało, że tak się właśnie stanie.

Razu pewnego miało miejsce zdarzenie zdające się potwierdzać ponadnarodowość opinii o altowiolistach. Oprócz przedstawicieli krajowego związku lutników pojawiła się delegacja paralelnego ciała z Włoch. Nie wszyscy patrzyli na mnie z życzliwością. Może to kompleks instrumentu, ale miałem wrażenie, że niektórzy mieli na końcu języka słowa:

– I on to wszystko rozwiązał? Altowiolista? *Impossibile!*

Ale przeważały sympatyczne kontakty, wiele osób nie szczędziło mi swojego uznania.

Tyle tylko, że ja miałem już dosyć.

Dla mnie sprawa była zakończona. No, może z pewnym drobnym wyjątkiem, którym na razie jednak z powodów technicznych nie mogłem się zająć.

Byłem zmęczony. Chciwie chłonałem atmosferę nadchodzących świąt, coraz bardziej odczuwalną na ulicach.

Któregoś razu, gdy po kolejnej – miałem nadzieję, że ostatniej – sesji rozmów i pytań wracałem do domu, zauważyłem stojące przed witryną antykwariatu zjawisko. Wpatrywało się z uwagą w którąś z ksiązek, a oszołomiło mnie do tego stopnia, że zamiast pomaszerować na górę, stanąłem obok – niby to przypadkiem. Zjawisko było płci żeńskiej: pod burzą rudych włosów skrywało zaróżowione policzki i lekko zadarty nos. Gdy dziewczyna przelotnie musnęła mnie wzrokiem, ujrzałem jakby błysnięcie dwóch szmaragdowych jeziorek. Resztę osłaniała dość wysokich lotów zimowa konfekcja, mimo pory roku lekka i podkreślająca sylwetkę, byłem więc prawie pewien, że włoska. Rozpaczliwie poszukiwałem pretekstu, który pozwoliłby mi rozpocząć rozmowę. Niestety, im bardziej próbowałem, tym większa pustka mnie wypełniała.

W tym momencie drzwi antykwariatu otworzyły się i na ich progu stanął czymś uradowany Sebastian Mars.

– Antosia! – krzyknął.

– Jakiego znowu Antosia? – zapytałem zdziwiony i lekko zaniepokojony. Ale po chwili już wiedziałem: klątwa ułana! Przypomniał mi się szwoleżer pani Adeli. Ten to pewnie wiedziałby, jak w określonej sytuacji zwrócić się do kobiety, choć żadna ze znanych mi ułańskich przyspiewek akurat teraz się do tego nie nadawała.

Dziewczyna i antykwariusz rzucili się sobie w ramiona.

Co tu jest grane?, pomyślałem.

– Ach, racja, wy się jeszcze nie znacie.

Sebastian najwyraźniej szykował się do oficjalnej prezentacji. Ale zjawisko już wyciągnęło do mnie rękę, poważnym tonem mówiąc:

– Antonia Mars.

W jednym błysku wszystko stało się jasne.

A więc to jest owo słynne dziecko?!...

Przeżywałem iluminację.

Czasami robimy lub mówimy coś, co może wydać się dobre lub złe, śmieszne lub żałosne, sympatyczne lub głupie, w zależności od tego, jak zostanie odebrane.

– Bartolomeo Bosconero – palnąłem zniecka.

Podaliśmy sobie dłonie, a oczy dziewczyny rozświetliły się takim blaskiem, że nie miałem szans. Oboje wybuchliśmy śmiechem.

Jeszcze chwilę wcześniej mógłbym przysiąc, że najcenniejsze skarby mojego życia zostały już odnalezione.

Ale teraz nie byłem tego pewien...



C GRUDZIEŃ

– *Here you are*, masz swoją żubrówkę.

– O, Andrea, co się z tobą działo?

– Nic takiego. Byłem chory. A co, coś ciekawego straciłem?

– Tyle ciekawego, ile zawsze, sam rozumiesz. Ale, ale, czytałem, co się tam u was działo. Miałeś z tym jakiś związek?

– Nie, w pojedynkę nic nie zdziałaś. Odpuściłem. Nie ma tematu. I nie było.

– Ale to były prawdziwe skarby, zresztą nasze też, ta kolekcja instrumentów...

– A daj mi spokój z jakimś próchnem. Mówię ci, że tematu nie ma i w ogóle zapomnij, że kiedykolwiek o tym rozmawialiśmy. Zresztą o tym artykule też. I niech ci żubrówka lekką będzie.

– OK, *va bene*, nie ma sprawy, jak sobie życzysz. To powiedz przynajmniej, jak tam twoja *bella ragazza*?

– Jej też już nie ma. To znaczy jest, ale beze mnie. Różnica w spojrzeniu na świat. Inna wrażliwość. Ale długo sama nie pobędzie, znajdzie się cały wąż pocieszycieli.

– Jendzej, a może byś mnie z nią zapoznał?

Eurodeputowany Jędrzej po raz pierwszy spojrział na swojego rozmówcę. Oględziny nie wypadły chyba imponująco, bo zmarszczył brwi i powiedział:

– Daj sobie spokój, mało ci twoich krajanek? I zanuć! – *Ragazza di Napoli, podjechał mirafiori...* – znasz to?

– Nie, nie znam, ale brzmi interesująco – uprzejmie zauważył Włoch.

– No widzisz! Słuchaj, stary, a ty byś mnie mógł poznać z tą waszą Franceską?

Tym razem to Giovanni krytycznie przyjrzał się Jędrzejowi. Pokręcił głową:

– Nie, chyba nie da rady.

– No przestań, przywiozę ci jeszcze jedną żubrówkę – nie rezygnował podrażniony Jędrzej.

– Tak nisko cenisz włoskie dziewczyny? To teraz przesadziłeś. – Giovanni robił wrażenie rozgniewanego. – Ale jak to będzie bardzo duża butelka, taki galonik najchętniej, to może coś da się zrobić.

– Wiesz, takich pojemności to chyba u nas nie ma – zaczął poważnie Jędrzej – ale jak bardzo ci zależy, to pogadam z kolegami w kraju, żeby przygotowali i przeprowadzili odpowiednią ustawę w parlamencie. Myślę, że szybko osiągnęlibyśmy w tej kwestii consensus.

– Dobrze, to może wtedy ja zmobilizuję moich, żeby poparli waszą definicję żubrówki – ach, ta słomka! – a jakąś dobrą zakąskę wpiszemy na listę produktów regionalnych. Co ty na to?

– Załatwione.

Przypieczętowali układ uściskiem dłoni.

Zabrzmiął dzwonek wzywający na obrady. Jędrzej i Giovanni z głośnym westchnieniem dokończyli koniaki.

Niełatwy jest los europośla.



O STYCZEŃ

Gdzie ja jestem? Co to za sala? Zaraz... koncert, potem miało być... było przyjęcie... a jeszcze później... chciałem zabrać dziewczynę do pokoju i... otworzyć sufit... czy coś jeszcze się wydarzyło? Co to za rurki? Czy ja żyję? Jestem w szpitalu? Zaraz... boli mnie głowa, wszystko jest takie niewyraźne... ale już lepiej, o, teraz lepiej... było coś jeszcze... park, noc, spacer... most i rozmowa... batuta!... Chcieli mi zabrać batutę... wrzuciłem ją do wody... wszystko przepadło...

– I dlatego uznajmy nasz układ za niebyły. Madonna i Santo Bambino oszczędzili twoje życie, a nie leży w naszym zwyczaju kwestionowanie ich świętych wyroków. Ale nasza współpraca już nie istnieje. Licz sam na siebie. Powiedzmy, że byliśmy sobie wzajemnie użyteczni. Zachowaj na ten temat milczenie, a będziesz bezpieczny. Dyskrecja z naszej strony jest oczywista. To tyle. Dalej radź sobie sam, maestro. *Addio!*

Dyrygent odłożył słuchawkę. Jeszcze wczoraj dzwonił do włoskiego agenta, aby zlecić mu sprzedaż domu. Nie było pośpiechu, mógł spokojnie czekać na kupca gotowego zapłacić astronomiczną cenę. Natomiast agencja szwedzka dostała zadanie przygotowania posiadłości, która od teraz miała stać się jego pierwszym domem. Bez żalu myślał o rozstaniu z Półwyspem Apenińskim. Właściwie od dawna był już gotów, by odrodzić się w chłodnym i czystym powietrzu Skandynawii.

Na własnej skórze przekonał się, że gdy przeszłość i teraźniejszość biorą się w zbyt ściśle objęcia, tym, którzy znaleźli się w środku, może zabraknąć tchu.

A przyszłość?

Była otwartą księgą, choć może ktoś już pisał w niej pierwsze słowa.

Drzwi od szpitalnej sali uchyliły się. Stała w nich piękna dziewczyna.

– Wanda... Jak miło cię widzieć.

– Damian... Martwiłam się o ciebie. Mogę wejść?

Serce dyrygenta po raz pierwszy od wielu dni zabiło żywiej.



D MAJ

Skąpane w porannym słońcu wzgórza tchnęły świeżością. Automatyczne zraszacze wzniewały dziesiątki ruchomych tęczy. Kto doświadczył uroku wiosennego poranka w Toskanii, ten wie, że niewiele jest na świecie rzeczy mogących się z nim równać.

Ale taras domu był pusty. Nie było komu podziwiać teatrum natury. Właściciel winnicy spoczywał na pobliskim cmentarzu.

Limuzyna z przyciemnionymi szybami wolno okrążyła wzgórze. Na jego szczycie stał dom w charakterystycznym kolorze ni to cegły, ni to sieni palonej. Kaskadowo opadające rzędy winorośli oplatały zbocza. Całość stanowiła zamkniętą doskonałość formy i treści.

– Łakomy kąsek. – Siedzący z tyłu pasażer limuzyny z uznaniem lustrował posiadłość i jej okolice. – Posłuchaj, przyjacielu – zwrócił się do siedzącego obok mężczyzny – jeśli dom i winnica pójdą na licytację, chcę być pierwszym, który o tym się dowie. Właściciel tego rajskiego zakątka był tak miły, że zechciał opuścić ten świat bez mojej pomocy, której gotów byłem mu udzielić. Czy to nie coś więcej niż przypadek? Jeśli dojdzie do licytacji – powtórzyl – chcę być pierwszym i ostatnim, który o tym będzie wiedział – wymówił ze szczególnym naciskiem. – Mam nadzieję, że wyraziłem się jasno?

– Zupełnie jasno, Don Pasquale, zupełnie jasno. – Gdyby ktoś mógł zajrzeć pod ciemne okulary, przekonałby się, że w oczach mężczyzny było znacznie mniej pewności niż w jego słowach.

– Aha, jest jeszcze jedna sprawa. Słyszałem, że nasz maestro chce się pozbyć swojego pięknego domu w Sienie. Ta sama procedura; willa ma trafić do mnie. Nie wiem jak on, ale ja się dopiero rozgrzewam. Przed drugim aktem dobrze pozbierać atuty. Zresztą jest więcej rachunków do wyrównania... Czy dobrze się wyraziłem?

– Wyraził się pan wybornie, Don Pasquale, przewybornie.



A LIPIEC

Tego lata pojechałem do Włoch.

Od opisywanych zdarzeń upłynęło nieco ponad pół roku. I muszę powiedzieć, że to i owo się w tym czasie poukładało. Po dramatycznym finale przesłuchania nie mogłem oczywiście dostać miejsca w orkiestrze. Przyjęto jedną osobę, młodego chłopaka zza wschodniej granicy, który szczęśliwie zdążył spełnić wszystkie regulaminowe wymogi, zanim rozpętało się szaleństwo. Ale do chwili przerwania audycji miałem drugą punktację. Biorąc to pod uwagę, dyrekcja orkiestry postanowiła zaproponować mi kontrakt czasowy. A to oznaczało, że do kolejnej audycji miałem stałą pracę. Pod koniec maja ogłoszono, że przesłuchanie odbędzie się w październiku.

Oczywiście zamierzałem w nim wziąć udział.

Ale to nie wszystko. W uznaniu mojego niezwykłego wkładu w odkrycie i uratowanie Kolekcji Gudelsteina krajowy związek lutników postanowił ufundować mi... altówkę Remigiusza Solniczki, która w międzyczasie została nagrodzona na międzynarodowym konkursie lutniczym. Koszt remontu zniszczonego „Francuza” związek lutników również wzięł na siebie.

Od Bożego Narodzenia Antonia przyjeżdżała już trzykrotnie. I zawsze namawiała mnie na wizytę u siebie. Z powodu oczywistych ograniczeń nie mogłem na razie z zaproszenia skorzystać. Aż w końcu postanowiłem to zmienić. Nieprzyzwyczajony do regularnych dochodów, zdołałem odłożyć sumkę, za którą przed wakacjami udało mi się kupić auto. No, nie było to może bmw serii 1 cabrio, ale jeździło. Mój nowy nabytek, japoński hatchback, miał dziesięć lat, lecz w warsztacie zapewniono mnie, że mogę udać się nim w dłuższą trasę. Poprzedni właściciele najwyraźniej szanowali samochód, a i przebieg nie był oszałamiający.

Prawdę mówiąc, o takim właśnie aucie zawsze marzyłem, Eston zaś tylko ułatwił mi decyzję – wystarczyło położyć tylne siedzenia, a mieścił się w nim bez problemu.

Z Antonią spotkaliśmy się w klasztorze Monte Oliveto Maggiore – przepięknym miejscu, ozdobionym między innymi trzydziestoma sześcioma niezwyklej urody freskami –

pędzła Lucci Signorellego i kontrowersyjnego na owe czasy Antonio Bazziego, zwanego Sodomą – ilustrującymi żywot świętego Benedykta, patrona zakonu.

Stamtąd rozpoczęliśmy wędrówkę po tym chyba z artystycznego kaprysu Boga stworzonym zakątku świata.

Wiedziałem, że wraz z pojawieniem się Antośki w moim życiu rozpoczął się nowy, może najważniejszy okres. Ją czekał jednak jeszcze rok stażu we Włoszech, co czekało mnie – dalece nie było przesądzone. Byliśmy ostrożni w formułowaniu planów. Może dlatego, że tak wiele po nich – i po sobie – oczekiwaliśmy. Ale gdy ujrzałem ją w tym rajskim miejscu, dotarło do mnie, po raz nie wiem już który – że jestem najszcześliwszym człowiekiem na świecie, a to, że najszcześliwszych ludzi na świecie może być więcej, wcale mi nie przeszkadzało.

Dla innego jeszcze powodu właśnie tam chcieliśmy się spotkać. Niedaleko znajdowało się miejsce, w którym miałem coś do załatwienia.

Dotarliśmy w nie następnego dnia, gdy słońce zaczęło już zstępować. Wśród tokańskich wzgórz, winnic i słoneczników odszukaliśmy małą miejscowość, w której w pewnym sensie wszystko się zaczęło. Nie bez trudu i z pomocą życzliwych ludzi udało nam się odnaleźć miejscowy cmentarz, cmentarzyk właściwie. Dozorujący go staruszek otworzył bramę, bez wahania, ale z wyraźnym zainteresowaniem wskazał nam szukane miejsce i na naszą prośbę otworzył skromny, lecz solidny grobowiec. W ściennej wnęcie chłodnego wnętrza stała urna z prochami.

– Powiedział, że chce podzielić los milionów swoich braci i siostr. – Staruszek niepytany wyjaśnił tajemnicę urny. – Jeśli państwo będą czegoś potrzebować, proszę mnie zawołać. – Dyskretnie wycofał się z grobowca, zamykając za sobą drzwi.

Staliśmy w milczeniu. W końcu Antosia spojrzała na mnie pytająco.

– Nie, to jeszcze nie wszystko – odpowiedziałem. – Jeszcze jedna, mała rzecz.

Wyjąłem z plecaka zamkniętą teczkę, a z niej pieczołowicie przechowywaną kartkę papieru.

Była to wewnętrzna strona programu z trzeciego grudnia 1939 roku, odnalezionego w korytarzu koncertowym. Jedynym zachowanym na niej zdaniem było motto ostatniej części ostatniego opusu Beethovena. Ostatnich dźwięków zagranych przez Kwartet Gudelsteina.

Muss es sein? Es muss sein.

Wsunąłem kartkę pod urnę z prochami. Teraz wreszcie z niewypowiedzianym uczuciem ulgi poczułem, że sprawa jest ostatecznie zamknięta.

Ale znowu – mój Boże, który to już raz? – byłem w błędzie.

Podziękowaliśmy staruszkowi. W momencie, w którym zamykał cmentarną bramę, tuż koło naszego auta, wzniesając nieprawdopodobne obłoki kurzu zaparkowała imponujące alfa romeo. Wskoczył z niego nieskazitelnie ubrany mężczyzna.

– Proszę zaczekać, proszę nie odjeżdżać, ja do państwa.

Efekt zaskoczenia wyszedł mu nienagannie – widocznie wszystko w nim było nienaganne.

– Proszę pozwolić, że się przedstawię. Nazywam się Giuseppe Trovatore. Jestem przedstawicielem firmy adwokackiej Monaco e Trovatore i bardzo proszę państwa o chwilę rozmowy w kwestii dużej wagi. Najlepiej byłoby, gdyby pojechali państwo za mną do biura, a po rozmowie zechcieli przyjąć moje zaproszenie na kolację, czy to możliwe?

Mecenas Trovatore przedstawił wszystko w takim tempie i w takiej formie, że nie sposób było odmówić. Zresztą dlaczego mielibyśmy odmawiać? Perspektywa toskańskiej kolacji była nęcąca, a unoszący się wokół znak zapytania domagał się wyjaśnienia.

Po kilkunastu minutach, już w klimatyzowanym wnętrzu biura, Giuseppe Trovatore powiedział:

– W mojej osobie widzą państwo wykonawcę ostatniej woli zmarłego klienta, pana Casimiro Michelangelo. Woli, w której wypełnieniu napotykam na poważne przeszkody. Pan Michelangelo nie miał żadnej rodziny, żadnej, o której cokolwiek byłoby mi wiadomo...

– To, co pan mówi jest bardzo ciekawe, ale obawiam się, że zaszło nieporozumienie. Nie jesteśmy rodziną pana Michale... Michelangelo.

– Proszę, aby był pan uprzejmy wysłuchać mnie do końca. Pan Michelangelo rozdysponował swoim majątkiem, nie uwzględniając jej, więc pytanie: istnieje czy też nie – schodzi na drugi plan. Od śmierci mojego klienta minie wkrótce rok. Przez ten czas nie pojawił się nikt, kto spełniałby wymogi zawarte w testamencie. Mało tego, nie pojawił się w ogóle nikt, również na cmentarzu. Są państwo pierwszymi ludźmi, którzy odwiedzili grobowiec pana Michelangelo. Prosiłem starego Carlo, aby bez względu na porę dnia dał mi znać, jeśli ktokolwiek taki się pojawi. I właśnie dzisiaj to się stało.

– Pan wybaczy, ale w dalszym ciągu nie rozumiem związku...

– Zaraz pan zrozumie, a przynajmniej taką mam nadzieję. Jeszcze tylko chwilka cierpliwości. Otóż majątek pana Michelangelo składał się z dwóch części: ruchomości i nieruchomości. Wszystkie dobra ruchome zostały zapisane na rzecz fundacji Pojednanie – to organizacja zajmująca się budowaniem nowych więzi wśród młodego pokolenia na Bliskim Wschodzie. Natomiast nieruchomości, czyli tutejsza posiadłość z winnicą, mają przypaść w udziale – adwokat spojrzął w papiery – osobie, która rozwiąże i we właściwy sposób spożytkuje tak zwaną zagadkę Rosenberga... Czy ta nazwa coś państwu mówi?

Czy mówiła? Mówiła, wrzeszczała wręcz, a serce zaczęło mi znowu walić jak parowóz. Czas, który upłynął od tamtych wydarzeń, tylko z pozoru był długi. Wystarczyła iskra, aby zatrzymane w pamięci emocje eksplodowały. Tak jak zawsze, kiedy natykałem się na którąkolwiek z jej nazw, bo w międzyczasie zdążyła obrosnąć bluszczem literackich określeń. Wszystkie mi się podobały, choć żadna nie była kompletna: Zagadka Rosenberga. Tajemnica batuty. Szarada korytarzy. Łamigłówka sufitów. Enigma filharmonii. Gambit Nimzowitscha. Sekret Fabergé. Krzyżówka Kwartetu Gudelsteina. Misterium Silvariego...

A może jednak Niespodzianka Michelangelo?

– Widzi pan, tak się przedziwnie składa, że to chyba ja...

– Co pan?

– To chyba ja rozwiązałem zagadkę Rosenberga. Ale czy spożytkowałem ją właściwie? Na to pytanie chyba nie ma odpowiedzi.

– Myli się pan, jest i to bardzo prosta. Pan pozwoli, że doczytam, zaraz, zaraz, gdzie to było... O, mam: „...i we właściwy sposób ją spożytkuje, to znaczy nie odniesie z tego tytułu osobistych korzyści materialnych, czyli nie zatrzyma znaleziska w całości ani w żadnej jego części...”.

A jednak coś zatrzymałem. Program. Ale przed chwilą podarowałem go Michalewiczowi. Więc... Dalej już nie słuchałem. Uświadomiłem sobie tylko, że Antosia

mocno ściska mnie za rękę. Natomiast Eston – czy ktoś mógł wątpić, że jest z nami? – zaczął nam się pilnie przyglądać, jakby przeczuwając, że coś się święci...

Oczywiście bez niego sprawa nie miałaby początku ani końca, ani w ogóle niczego. A bez antykwariusza, ojca Rudego Cuda, które siedziało koło mnie – treści, która te ramy wypełniała.

Byliśmy więc w komplecie.

Trovatore, który przed chwilą odśpiewał najdziwniejszą pieśń mojego życia, dwukrotnie jeszcze gdzieś zadzwonił, aby się upewnić, że nie ma do czynienia z uzurpatorami. Niecałą godzinę później siedzieliśmy już na dziedzińcu serwującej wyśmienite jadlo trattorii, gdzie odrealnienie rzeczywistości – cecha charakterystyczna Toskanii – przybierało na sile.

Ale chcieliśmy jeszcze za dnia zobaczyć nowe włości, a nasz gospodarz pewnie z ulgą myślał o pozbyciu się w końcu ciężącego mu brzemienia. Bez większych problemów, a wręcz z radością, zgodził się powierzyć nam klucze jeszcze dzisiaj. Formalności mogły poczekać.

Gdy słońce zaczęło stykać się z horyzontem, stanęliśmy na tarasie domu, zanurzając wzrok w powoli gasnącym złocie, ciemniejącej zieleni i umykającym błękicie. Oszalałe cykady radośnie witały nadejście wieczoru. A my staliśmy w niemym zachwycie, bo chwil, kiedy czas na moment się zatrzymuje, nie ma w życiu wiele.

– Antosiu, to sprawę hotelu mamy na dzisiaj wyjaśnioną. – Czułem, że wszystko we mnie się uśmiecha.

Spojrzenie, którym Antośka mnie obdarzyła, było warte więcej niż wszystkie wcześniej oglądane freski i właśnie podziwiane widoki razem wzięte. Znacznie piękniejsze. I pełne... czegoś. Nie wiem, może miłości?

– A Estona chyba spuszcza ze smyczy, niech sobie pobiega!

Kiedyś słyszałem, że psy też potrafią się uśmiechać.

Teraz w to uwierzyłem.

OFICYNKA ZAPRASZA WSZYSTKICH MIŁOŚNIKÓW DOBREJ LITERATURY!

Znajdziecie Państwo u nas książki interesujące, wciągające, służące wybornej zabawie intelektualnej, poszerzające wiedzę i zaspokajające ciekawość świata, książki, których lektura stanie się dla Państwa przyjemnością i które sprawią, że zawsze będziecie chcieli do nas wracać, by w dobrej atmosferze z jednej strony delectować się warsztatem znakomitych pisarzy, poznawać siłę ich wyobraźni i pasję twórczą, a z drugiej korzystać z wiedzy autorów literatury humanistycznej.

POLECAMY



Księgarnia Oficynki www.oficynka.pl

e-mail: oficynka@oficynka.pl

tel. 510 043 387





PRZYPISY

W tym wydaniu autor postanowił niektóre rozważania altowiolisty przenieść do kategorii „przypisy”. Kto nie przeczyta, nie straci nic z akcji, kto się skusi, może zyska coś oprócz niej.

1 Być może ktoś zastanowił się, o co chodzi z tym Don Juanem? Generalnie wiadomo, kto zacz. Ale co robi w opowieści altowiolisty i dlaczego będą musiał do niego powrócić?

Audycja lub konkursowe przesłuchanie do orkiestry – tych pojęć używa świat muzyczny – składa się przeważnie z trzech etapów. W pierwszym kandydat musi udowodnić, że potrafi grać. Najłatwiej jest to uczynić (a właściwie najłatwiej jest delikwentowi uświadomić, że grać nie potrafi) na bazie transparentnego, wymagającego nieskazitelnej techniki repertuaru z epoki klasycznej. I tak dla skrzypków będzie to któryś z pięciu koncertów Wolfganga Amadeusza Mozarta, dla wiolonczelistów jeden z dwóch koncertów Josepha Haydna i – uwaga! – koncerty Stamitza lub Hoffmeistera dla altowiolistów. Kto w ogóle słyszał o takich kompozytorach?

Niekiedy miejsce koncertu klasycznego zajmuje któraś z solowych suit Jana Sebastiana Bacha, tyle że są to transkrypcje wiolonczelowych oryginałów.

Szczęśliwcy, którzy pokonają pierwszą przeszkodę, mogą teraz zaprezentować się w repertuarze romantycznym. Szczególnie skrzypkowie mają z czego wybierać; ich lista pełna jest wybornych koncertów Beethovena, Brahmsa, Czajkowskiego, Sibeliusa, by wspomnieć tylko niektóre.

Wiolonczeliści, ze swoim Dvořákem i Schumannem na czele, też nie mogą narzekać. Nasz wybór ogranicza się do: Waltona, Hindemitha i Bartóka, który w chwili natchnienia zlitował się nad biednym altowiolistycznym ludkiem, komponując dlań dzieło wybitne. Są orkiestry, które miast romantycznego koncertu wolą w tej rundzie wysłuchać utworu na altówkę solo, na przykład suity Maxa Regera lub *Konzertstück* rumuńskiego kompozytora George'a Enescu; przynajmniej jednak uczciwie, że to również nie są dzieła otwierające listy przebojów muzyki poważnej.

Ci, którzy teraz znajdują uznanie w oczach wysokiej komisji, mogą wystąpić w finale, gdzie czeka na nich zestaw najtrudniejszych fragmentów z literatury orkiestrowej. Ich dobór zależy od fantazji wybierających: koncertmistrzów poszczególnych grup smyczkowych, kraju (dla przykładu Jeana Sibeliusa można się spodziewać w Finlandii, a Manuela de Falli w Hiszpanii), tradycji poszczególnych orkiestr... Z mniejszym lub większym prawdopodobieństwem należy oczekiwać wyjątków z dzieł: Mozarta, Beethovena, Schumanna, Szostakowicza, Smetany, Mahlera, Lutosławskiego... Krótko mówiąc, wszystkich kompozytorów, których utwory znajdują się w repertuarze sal koncertowych świata.

Teraz jednak w końcu możemy czuć się równi naszym mniejszym i większym braciom (i siostram), bo na czele listy w przypadku każdego instrumentu smyczkowego i każdej chyba orkiestry znajduje się pierwsza strona słynnego arcytrudnego poematu symfonicznego *Don Juan* Richarda Straussa. I dlatego warto go ciągle mieć w palcach, w przekonaniu, że prędzej czy później stanie na naszej drodze.

2 Dlaczego jednak orkiestra, dysponując etatowymi muzykami, tak często potrzebuje dodatkowych? Repertuar orkiestrowy jest bardzo zróżnicowany. Pomiedzy zespołem potrzebnym do wykonania utworów barokowych a późnoromantycznych różnica jest olbrzymia, a dotyczy przede wszystkim liczebności. Mało jest orkiestr, które mogą pozwolić sobie na stałe zatrudnienie muzyków niezbędnych do wykonywania całej gamy repertuarowej. Istniejące luki w miarę potrzeb i środków wypełnia się muzykami doangażowanymi. Orkiestrowe plany tworzone są z mniej więcej rocznym wyprzedzeniem; można więc „zakontraktować” potrzebnych ludzi odpowiednio wcześniej. Ale są też sytuacje typu *last minute*, gdy któryś ze stałych członków orkiestry po prostu zachoruje.

3 Dyrygencka pałeczka ewoluowała z upływem czasu. W baroku była to raczej buława przypominająca łaskę marszałkowską. Uderzeniami w podłogę dyrygent wybijał nią rytm utworu. W 1687 roku francuski kompozytor Jean-Baptiste Lully, prowadząc wykonanie *Te Deum* na cześć Ludwika XIV (z okazji powrotu króla do zdrowia po długiej chorobie), uderzył się nią w duży palec u nogi, co w konsekwencji doprowadziło do gangreny i śmierci artysty. I jak tu zaprzeczyć, że muzyk to zawód wysokiego ryzyka?

Ale nie był to powód, dla którego rozmiary batuty zaczęły się zmniejszać. Zmieniała się muzyka, wymagając od dyrygentów coraz większej precyzji z jednej strony, z drugiej – wydatnie zwiększając potrzebę ekspresji.

Pałeczkę w postaci znanej nam do dzisiaj zaproponował niemiecki kompozytor Ludwig Spohr. Na stałe do dyrygenckiego asortymentu wprowadził ją Feliks Mendelssohn-Bartholdy.

Współczesne batuty są przeważnie proste, wykonane z włókna szklanego, zakończone uchwytem z korka.

4 Z nazwiskami kapelmistrzów występujących na festiwalu była w ogóle dziwna sprawa: ich brzmienie nie dawało jasnej odpowiedzi na pytanie, skąd przyjechali. Dla nas oraz lepiej zorientowanych melomanów nie było to rzecz jasna tajemnicą, ale... nie bądźmy drobiazgowi. W końcu chodzi o ich sztukę dyrygencką, a nie o kraj pochodzenia.

Przed dyrygentem stoją dwa zadania. Pierwsze to przygotowanie orkiestry do koncertu, drugie – poprowadzenie go. O ile etap prób wymaga przede wszystkim wiedzy o muzyce spoczywającej na pulpitych muzyków i umiejętności pracy z dużym zespołem tychże, o tyle dobrze, jeśli w trakcie koncertu kapelmistrz prezentuje coś więcej niż tylko rzetelność; słowo „charyzma” jest tu może nieco na wyrost, ale chwilowo nie znajduję lepszego. To jednak wartość dodana, a nie zastępująca profesjonalizm.

Myślę, że zawodowcy zgodziliby się ze mną na następującą trój-kategoryzację: (1) pałeczkarze, pozbawieni obu cech; na takie przypadki proponuję spuścić miłosiernie zasłonę milczenia; (2) sprawni machacze; pewnie powstaną kiedyś automatyczni dyrygenci zaprogramowani na konkretny utwór; uzyskają oni podobny walor artystyczny wykonania; (3) dyrygenci, którzy autentycznie zespalają się z muzyką i naprawdę prowadzą orkiestrę w trakcie koncertu. Ale to zdarza się nieczęsto.

Natomiast w potocznej opinii istnieją dwa spojrzenia na rolę dyrygenta: przeceniające i niedoceniające. W pierwszym przypadku dyrygent uchodzi za czarodzieja, który ożywia swoją sztuką materię dźwięków, a orkiestra staje się tylko powolnym mu narzędziem. W drugim kwestionuje się w ogóle jego przydatność; istotnie, dźwięków nie produkuje – a swoim machaniem sprawia wrażenie, jakby chciał muzykom pomieszać szyki.

W tak ekstremalnej formie obie opinie są fałszywe. Aby jednak właściwie zrozumieć relację orkiestra – dyrygent, trzeba wziąć pod uwagę pewien bezsporny fakt: mianowicie dyrygent bez orkiestry nie zagra, a orkiestra bez dyrygenta tak...

Zawód ten, jak mało który, zawiera w sobie potężną pokusę autokreacji i gwiazdorstwa, wyczuwalną bezbłędnie przez orkiestrowych muzyków, a braną często za dobrą monetę przez publiczność. To dlatego jej ulubieńcy nie zawsze są faworytami orkiestr. Ale może też się zdarzyć pełna zgodność opinii.

I tak było w przypadku maestra Terwala; był to dyrygent marzenie. Ktoś, kto potrafił porwać orkiestrę do lotu siłą wyobraźni, magią osobowości i urokiem swojej wizji. Domieszka tyranii nie była potrzebna; on nie musiał niczego udawać ani grać. Był po prostu sobą i to wystarczyło. Wydawało się, że bez wysiłku wyczarowuje kwintesencję obu utworów: roztańczonej, ekstatycznej i pełnej niezmiernie wprost energii *VII symfonii A-dur* op. 92, w której nawet część wolna nie daje czasu na zadumę, a o finale której Wagner miał powiedzieć: „po wszystkich szaleństwach części poprzednich w tej świat zawałił się na głowę”, i klasyczne przesłanie *VIII symfonii F-dur* op. 93, będącej ukłonem dla poprzedników kompozytora – zwłaszcza Josepha Haydna – a zarazem najpogodniejszym chyba jego dziełem symfonicznym. Maestro Terwal nie uległ pokusie, której nie oparłoby się wielu dyrygentów pragnących zachować imponujący finał na koniec koncertu; nie zmienił

kolejności wykonania utworów. Nie usiłował poprawiać, czy też uatrakcyjnić Beethovena, odnosił się z pokorą nie tylko do chronologii powstania symfonii, ale też do zapisów partytury, które z żelazną konsekwencją próbował wygeklować. Daleki był od osobistych wycieczek i przycinków, nie szczędził natomiast pochwał dla poszczególnych instrumentalistów lub grup instrumentalnych. Gdy zdarzało się jakieś miejsce szczególnie trudne, a więc nie od razu perfekcyjnie zagrane, przerywał, mówił:

– Odośnie tego fragmentu chciałbym zdradzić państwu pewien sekret: trzeba to zrobić tak i tak – tu używał objaśnień charakterystycznych dla poszczególnych instrumentów.

I rzeczywiście, kolejne zagranie pokazywało, że trafiał swoimi uwagami w dziesiątkę. Maestro Terwał zaskarbił sobie sympatię orkiestry, a publiczność była zachwycona, bo dyrygent oprócz wszystkich wymienionych wcześniej przymiotów dysponował jeszcze szceniowym szarmem i wdziękiem, zaś jego mefistofeliczna (w najlepszym tego słowa znaczeniu) twarz musiała wzbudzać przyspieszone bicie serca u płci pięknej.

Nawet krytycy, których zazwyczaj trudno zadowolić – ale to po trosze należy do charakteru ich pracy – byli pod wrażeniem niespotykanej siły przekazu, choć znaleźli się i tacy, którzy mieli zastrzeżenia co do stylu wykonania „utrzymanego w jednostajnym, niecierpiącym z najnowszych tendencji wykonawczych, charakterze”.

No cóż, dwa koncerty wcześniej gościliśmy u siebie guru, posiadającego pełnię wiedzy co do stylu wykonawczego epoki. Czym to się skończyło, opowiem innym razem.

5 Ale o co właściwie chodzi z tymi altowiolistami? Już najwyższa pora, aby poruszyć drażliwą kwestię. Co tak specyficznego jest w instrumencie noszącym tę dumną nazwę i grającym na nim muzykę? Dlaczego stali się dla orkiestry celem drwin i niezliczonej ilości dowcipów?

Naczelną cechą altówki jest jej uśrednienie lub międzowatość (mówimy o altówce – zaczynają się problemy). Określimy to tak – bycie pomiędzy skrzypcami a wiolonczelą, i to zarówno w sensie wielkości, skali dźwiękowej, jak i usytuowania w orkiestrze.

Altowiolista to nieudany skrzypek lub niedoszły wiolonczelista. Rzeczywiście altówka jako większa od skrzypiec stwarza większe techniczne ograniczenia. Ale kto raz słyszał, jak grają na niej Jurij Baszmet czy Kim Kaszkaszian, ten nie ma wątpliwości, że i altówkę można traktować wirtuozowsko. Niestety jej dźwięk jest przeciętnie kojarzony z donośnym brzęczeniem pszczoły. Gdzie tu mówić o szalonych możliwościach sopranowych skrzypiec czy basowych wiolonczeli? Czemu więc niektórzy decydują się grać na tym uśrednionym instrumencie? Może dlatego, że nie wszyscy mają naturę skrzypcowych primadonn lub wiolonczelowych intelektualistów, a altówka jest syntezą najlepszych cech obu spokrewnionych instrumentów czy symbolem klasycznego złotego środka wreszcie. Inna sprawa, że jest po prostu niezbędna, wypełniając nieosiągalny dla innych instrumentów zakres skali i barw, i tak naprawdę nikt nie wyobraża sobie orkiestry symfonicznej czy kwartetu smyczkowego bez jej szlachetnego brzmienia.

Kiedys w młodości sądziłem, że niektóre instrumenty dęte o wiele bardziej nadawałyby się na bohaterów muzycznych dykteryjek, ale czas zweryfikował ten pogląd. Jako głosy w większości solowe, mają one w orkiestrze pozycję silniejszą niż przeważająca część kwintetu smyczkowego, który – w pojęciu dęciaków – pławi się w morzu względnej anonimowości, a więc i nieporównanie mniejszej odpowiedzialności. Poszczególnym instrumentom i grającym na nich muzykom poświęcę kilka słów w innym miejscu mojej opowieści.

6 Nie potrafię odtworzyć fascynującego wykładu, pamiętam tylko, że tego wieczoru przed oczami przebiegały mi sceny rozgrywane się głęboko w historii i daleko w geografii. Szybko zrozumiałem – nie po raz pierwszy zresztą – że nawet te dziedziny, z którymi na co dzień obcujemy, pełne są ukrytej a nieprostej wiedzy, dostępnej tylko dla specjalistów lub miłośników; to, co wie o nich codzienny użytkownik, a więc w gruncie rzeczy większość z nas, to wiadomości bardzo powierzchowne. Bo na przykład – oczywiste wydaje się pochodzenie słowa „papier” od greckiego *papyrus* czy łacińskiego *papyrus*. Niemniej ten tak zwany papirus wcale nie jest przodkiem dzisiejszego papieru; był nim wynalazek chińskiego urzędnika lub uczonego, jeśli ktoś woli – Cai Lun. To właśnie on około 105 roku naszej ery opracował metodę wytwarzania tak zwanego papieru czerpanego, technologią znaną do dzisiaj, choć obecnie stosowaną w rękodzielniczo-ekskluzywnym wariantcie.

W VIII wieku naszej ery wzięci do niewoli przez Arabów Chińczycy rzemieślnicy trafili do Samarkandy. Stąd umiejętność rozprzestrzeniła się dalej, do Bagdadu, potem do Egiptu, a na przełomie XI i XII wieku do

Maroka, aby w połowie wieku XII przedostać się na południe Hiszpanii i upowszechnić w średniowiecznej Europie, ostatecznie wypierając mniej trwałe papirus i znacznie droższy pergamin. Rosnąca od połowy XV wieku popularność druku przypieczętowała tryumf papieru. Aż do końca wieku XVIII był on wytwarzany... ze starych szmat (oczywiście sam proces produkcji, jak wszystko z czasem, ulegał udoskonalaniu). Jednak w połowie wieku XIX, wychodząc naprzeciw rosnącym potrzebom rynku piśmienniczego, wynaleziono w Niemczech nową, tanią formę pozyskiwania papieru; surowcem do jego produkcji stał się ścier drzewny. I moment ten, upowszechniając produkcję, stał się początkiem kłopotów. Papier od tej pory używany był po prostu gorszej jakości. Produkcja w tak zwanym kwaśnym środowisku zaczęła przekładać się przede wszystkim na jego ograniczoną żywotność. Wszyscy znamy żołądki stronice starych książek; to właśnie jest kwaśny papier. Większość piśmienniczych zbiorów ostatnich stu pięćdziesięciu lat jest zagrożona. Paradoksalnie więc – zbiory starsze, z papierem wyprodukowanym w innej technologii, są przeważnie w znacznie lepszej kondycji od swoich następców. Dostrzegając wagę problemu, pod koniec XX wieku zaproponowano odejście od kwaśnej produkcji oraz opracowanie technologii odkwaszania papieru.

7 Trudno jest rozpatrywać zjawisko orkiestry, która wydaje mi się bez mała ziemską próbą odtworzenia kosmicznego ładu (a może chaosu?), w oderwaniu od potraktowanej w największym choćby skrócie historii muzyki.

Czy pierwsze zbiorowe improwizacje na cześć słońca, księżycy, a może udanych łowów nie były w istocie przejawami chóru i orkiestry?

Musiało minąć wiele tysiącleci, przez które sztuka zdołała wyrwać się do samoistnego bytu, aby zostały nazwane, choć jeszcze nie w sensie, w jakim rozumiemy je dzisiaj: *orchestra*, słowo pochodzące z antycznej greki, a znane również w starożytnym Rzymie, oznaczało miejsce na scenie, na którym miał występować *choros*.

Dopiero kolejne stulecia stopniowej transformacji doprowadziły oba pojęcia na granicę współczesnego ich rozumienia.

W renesansie, aż do roku 1600, nie doszło jeszcze do wyraźnego rozgraniczenia głosów wokalnych i instrumentalnych w ramach jednego utworu.

W baroku natomiast instrumentarium orkiestrowe nie było ściśle określone. Jeśli przyjrzymy się orkiestrowej twórczości Jana Sebastiana Bacha – dla przykładu, sześciu *Koncertom brandenburskim* – okaże się, że każdy z nich był stworzony dla zupełnie innej grupy instrumentów.

W znaczeniu, które przyjmujemy, a więc jako określony typ zespołu instrumentalnego, termin „orkiestra” zaczął funkcjonować w drugiej połowie wieku XVII. To wtedy, w okresie klasycyzmu (późna szkoła neapolitańska, szkoła mannheimska) ostatecznie wykluła się mała orkiestra symfoniczna: archetyp zespołu, który jako załóżek wszystkich późniejszych pęcznień i eksplozji przetrwał do dziś.

Okres romantyzmu zaowocował orkiestrowym rozkwitem, którego konsekwencją staje się przemiana małej w wielką; za twórcę wielkiej orkiestry symfonicznej (*Lohengrin*, *Tristan i Izolda*) – w przyszłości jeszcze powiększonej (tetralogia *Pierścieni Nibelunga*) – uchodzi Richard Wagner.

To wtedy rozpoczęła się (powtarzam za wybitnym muzykologiem, Bohdanem Pocięjem) „orkiestra symfoniczna jako romantyczne szaleństwo muzyki”. W konsekwencji tego szaleństwa runęły granice wyobraźni.

O ile w prawykonaniu *VII symfonii* Beethovena uczestniczyło 27 muzyków, o tyle do pierwszego wykonania swojego *Requiem* Hector Berlioz zatrudnił zespół 465 instrumentalistów i trzystusiedziesięcioosobowy chór. Za symboliczny szczyt rozwoju można by chyba uznać *VIII symfonię* Gustava Mahlera, utwór, do którego wykonania potrzeba około... tysiąca wykonawców (instrumentalistów i wokalistów).

Wiek XX to symfonia Dymitra Szostakowicza, operowy paroksyzm Richarda Straussa, ale też francuski impresjonizm z Debussym i Ravelem, szkoła wiedeńska z Bergiem, Webernem i Schönbergiem, niezwykle dzieła Bartóka, Szymanowskiego, Prokofiewa i Strawińskiego, w końcu Messiaen, Stockhausen, Lutosławski... Dla nich i wielu, wielu innych – wszystkich nie zdołam, a nawet nie próbuję wymienić – orkiestra stanowiła naturalne medium; doskonała i nieograniczoną paletę możliwości, którą i dla której tworzyli swoje genialne konstrukcje. Jak jednak muzyka XX wieku, która eksplorując coraz odleglejsze dźwiękowe łądy, stąpała po coraz bardziej kruchym i niepewnym lodzie, tak i orkiestra, stając się w tych poszukiwaniach partnerem, naraziła się na trud pionierskich niepowodzeń.

Z drugiej strony, spychana do roli katarynki, powtarzającej nieustannie kilkadziesiąt najchętniej słuchanych utworów, doczekała się oskarżeń o epigonizm.

Czy jednak odkrywanie i cykliczność nie stanowią dwóch podwalin ludzkiej cywilizacji? Bez odkryć stalibyśmy w miejscu; pozbawieni historii – utracilibyśmy tożsamość.

W XXI wieku to film zaczął korzystać pełną garścią z potencjału ilustracyjnego orkiestry symfonicznej. Cokolwiek by jednak mówić, muzyka pełni w filmowym obrazie funkcję służebną.

Czym więc orkiestra jest dzisiaj? Czy w dalszym ciągu ewoluuje? Wydaje się, że tak, choć trudno jednoznacznie określić kierunek tej ewolucji. Osiągnąwszy szczyty rozpasania dźwiękowego, jest od połowy XX – a już na pewno w XXI wieku – tworem, który dla wielu stanowi anachronizm. Po co zatrudniać i opłacać dziesiątki muzyków, kiedy ich pracę ze zbliżonym efektem może wykonać komputer i syntezyzator?

I ja skłaniam się do teorii, że jeden ze szczytów, kiedy pyszna i dumna, zdawała się mówić: dla mnie nie ma rzeczy niemożliwych, orkiestra symfoniczna ma za sobą. Ale to nie znaczy, że straciła rację bytu; wręcz przeciwnie, jest i pozostanie niezbędna do wprawiania w życie stworzonych przez wieki arcydzieł. A poza tym – jej kolejny szczyt może wyglądać całkiem inaczej...

Bycie muzykiem nie oznaczało i nie oznacza konieczności grania w orkiestrze. Wystarczy jednak spojrzeć na sprawy statystycznie – to orkiestry ciągle jeszcze są największymi pracodawcami na muzycznym rynku. Ale prócz gwarancji stałej pracy dają one coś więcej: szansę przeżycia wrażeń, które dla innych pozostają niedostępne, scalenie z muzycznym uniwersum. Czy można wyobrazić sobie udział w tworzeniu, na przykład, *Ostatniej Wieczery* Leonardo da Vinci? Oczywiście, monumentalne dzieła architektury, rzeźby czy malarstwa wymagają niejednokrotnie pracy całej armii artystów i rzemieślników. I nikt nie może im odebrać twórczej satysfakcji.

Jednak o ile wzniesienie piramidy egipskiej, wybudowanie katedry w Barcelonie lub ozdobienie freskami Kaplicy Sykstyńskiej jest artystycznym mozołem rozłożonym na lata, o tyle bycie elementem orkiestrowej maszyny, powołującej do brzmienia zaklętą w partyturze *IX symfonię* Beethovena jest jak akt miłosny, jak błyskawica zesłana z nieba i kreśląca dźwiękowy obraz, który trwa tylko chwilę, tu i teraz, i znika, bo taka jest natura najbardziej niematerialnej ze sztuk.

§ Próby do pierwszego koncertu festiwalu zaczęły się bardzo nietypowo, bo w niedzielę. Ale przecież cały projekt był nietypowy. Pięć koncertów, dziewięć symfonii, a wszystko w okresie dwóch tygodni. Ambitny program wymagał specjalnych uregulowań i wszyscy zdawali się to rozumieć. Dwa tygodnie pracy bez dnia odpoczynku – to rzeczywiście wydawało się dużo, jednak dzięki systemowi rotacji w kwintecie (grupie instrumentów smyczkowych) i zdublowanej obsadzie w grupie instrumentów dętych prawie każdy muzyk miał zagwarantowany jeden wolny program. Prawie, bo od tej reguły zdarzały się odstępstwa i – niestety – ja do nich należałem. Muzyk doangażowany w ogóle jest traktowany trochę jak ktoś drugiej kategorii (dlatego między innymi postanowiłem wreszcie powalczyć o stałą posadę) no, ale zawsze słyszałem argument, że płaci mi się za próby i koncerty, a nie za siedzenie w domu.

W inaugurujący przygotowania niedzielny poranek mieliśmy poczucie, że stoimy u progu długiej, artystycznej podróży; orkiestra oczekiwała jej z podekscytowaniem, tym bardziej że kapitanem pierwszego rejsu miał być nie byle kto: oto przybywał do nas Heerp Phipher-Legwie – bożyszcze zwolenników interpretacji zwanych historycznymi.

Kierunek powstawał w drugiej połowie ubiegłego stulecia; w świadomości odbiorców zaczął istnieć na dobre w jego ostatnim ćwierćwieczu. Muzykę dawną zaczęto interpretować w sposób, w jaki hipotetycznie mogła być wykonywana w okresie powstawania. Zachowały się dość liczne traktaty, analizujące techniki instrumentalne i interpretacyjne obyczaje minionych epok. Z nich właśnie – oraz z dość bogatej ikonografii – kapłani nowego kierunku czerpali swoją wiedzę. To nowe stare podejście do dawnej muzyki na pewno zmieniło wrażliwość kolejnego pokolenia artystów. Nastąpiło oczyszczenie jej z bagażu narastających latami nawyków interpretacyjnych i manieryzmów. Zdarza się, że w trakcie konserwacji starych płócien lub fresków, spod spodu, zupełnie nieoczekiwanie wyłania się jeszcze starsze, piękniejsze, wartościowsze malowidło; to zdejmowanie patyn naddatków jest w obu sytuacjach procesem porównywalnym. Dziś już dla każdego jest oczywiste, że na przykład suity orkiestrowe Bacha, grane przez pełnowymiarową orkiestrę symfoniczną, w sposób taki jak symfonie Brahmsa, są karykaturą. I właśnie ten rodzaj podniesienia stanu powszechnej świadomości wydaje mi się największą zasługą „historycznie poinformowanych”.

W konsekwencji powstały zespoły specjalizujące się w wykonywaniu muzyki różnych epok, zaczęto ponownie grać na starych, czyli historycznych lub na nich wzorowanych instrumentach. Bo skrzypce

współczesne i barokowe różnią się między sobą. Inna jest technika gry, efekt dźwiękowy też jest różny.

Moje wątpliwości budził fakt, że takie pójście pod prąd historii było właśnie dokładnie tym: przecięta technika wykonawcza rozwijała się, a więc nieustannie poszerzała swoje możliwości, podczas gdy tutaj ponownie je ograniczano. Czy można wykluczyć, że Domenico Scarlatti zachwycił się brzmieniem fortepianu i uznał, że to na nim właśnie, a nie na klawesynie, należy od teraz wykonywać jego sonaty? Wykluczyć nie można, ale postawienie tezy przeciwstawnej jest równie zasadne.

A że wśród wykonawców dawnej muzyki pojawili się muzycy i zespoły próbujące rzekomy autentyzmem wytlumaczyć własne techniczne niedostatki? No cóż, każde zjawisko ma swoje ogony...

Wątpliwości znikają, gdy słyszy się znakomite interpretacje dawnej muzyki. Zaczyna ona ukazywać nieznaną piękno, urzekać przejrzystością i lekkością. W tym sensie można więc z całą pewnością mówić o wzbogaceniu, a nie zubożeniu technik wykonawczych.

I właśnie pod batutą dyrygenta o ugruntowanej pozycji barokowego specjalisty – posiadającego i u nas grono wyznawców – przyszło nam zainaugurować festiwal.

Powierzenie właśnie jemu dwóch pierwszych symfonicznych opusów mistrza z Bonn wydawało się ze wszech miar słuszne; zarówno *I symfonia C-dur* op. 21, jak i *II symfonia D-dur* op. 36, tkwią jeszcze wyraźnie w epoce klasycznej, a o nią maestro Phipher-Legwie też zahaczał w swojej działalności dyrygenckiej.

Emanujące z mistrza skromność i pokora wobec wykonywanych dzieł zjednały mu uznanie i sympatię muzyków. Czar zaczął jednak pryskać już w czasie drugiej próby. Długie i monotonne powtarzanie wymyślnych konfiguracji harmonicznym, niemające wiele wspólnego z potocznie rozumianą pracą z orkiestrą, zaczęło najpierw intrygować, potem nużyć, a w końcu irytować.

Postęp był zerowy, trudne miejsca nieruszone, jedynie jakieś specyficzne współbrzmienia między, mówiąc symbolicznie, fagotem a kontrabasem ćwiczone były z uporem godnym lepszej sprawy. Technika dyrygencka mistrza sprawiała wrażenie, jakby służyła mu jedynie do zachowania równowagi – w sensie dosłownym.

W drugim dniu prób doszły do nas słuchy, że dyrygent skarżył się na niektórych muzyków rzekomo „mentalnie niegotowych na twórczą współpracę” i, rzecz niesłychana, sugerował przemeblowanie orkiestry, zgodnie z własną, chyba tylko dla geniuszy zrozumiałą, logiką.

Sprawa wyszła na jaw przypadkiem, ale rzuciła światło na umiejętności i możliwości (pozamuzyczne) maestra Phiphera-Legwie.

W pewnym momencie orkiestra zdała sobie sprawę, że koncert trzeba będzie zagrać, praktycznie nie licząc na pomoc dyrygenta. Tak się oczywiście zdarza, a grać po prostu trzeba. Bo o recenzję w stylu: „mimo wizji i starań wspaniałego, stojącego za dyrygenckim pulpitem artysty, orkiestra po raz kolejny ujawniła wszystkie swoje aż nadto znane słabości...” nie było wcale trudno.

Ach, krytycy, prawdziwi kreatorzy rzeczywistości koncertu wysłucha – powiedzmy – tysięcy osób, recenzję przeczyta dziesięć tysięcy, i kto będzie miał rację?

Próbowałem zrozumieć, na czym polega fenomen sukcesu Phiphera-Legwie. I po części chyba mi się to udało. Rola dyrygenta w muzyce barokowej jest bardzo ograniczona. Wystarczy pokazać początek utworu, a doskonali muzycy zrobią resztę. Że doskonali muzycy mogli ściągać do maestra było bardzo prawdopodobne: miał rozległą wiedzę teoretyczną, prowadził też dobry chór – bo oto, kim w istocie był: muzykologiem i chórmistrzem. Dysponował również niezłymi kontaktami w świecie muzycznym i... tak to się wzajemnie nakręcało.

Koncert okazał się – a jakże – sukcesem; muzycy sprężyli się maksymalnie, a magia nazwiska i misjonarskiego wyglądu dyrygenta zrobiła swoje. Ujmijmy to tak: inauguracja festiwalu była bardzo udana, publiczność niemal ze łzami w oczach zęgnęła szlachetną sylwetkę mistrza, a i krytycy byli w siódmym niebie, choć nie zabrakło tezy, że dopiero dłuższa współpraca z protagonistą mogłaby zaowocować rzeczywiście wybitnymi kreacjami.

W filharmonii natomiast utarł się od tej pory pewien zwyczaj: nieszczególnie udane koncerty muzycy kwitowali powiedzeniem: „było legwie-legwie...”.

2 Coraz mniej jest budowli pełniących funkcję, do której zostały kiedyś powołane. Znikają stare teatry, stare fabryczki stają się nowoczesnymi loftami, wiekowe kina ustępują miejsca nowym, bardziej funkcjonalnym. Ba, nawet świątynie zmieniają czasami swój charakter z sakralnego na świecki. Ale sale koncertowe trwają. Może dlatego, że w istocie nie są jeszcze takie stare, choć ważniejszym powodem jest chyba rodzaj uprawianej w nich sztuki – niedezaktualizującej się wraz z upływem czasu.

Gdy oglądamy film z początku XX wieku, wzrusza nas on i zachwyca, ale też... niepomierne śmiesz. Muzyka powstała nawet wiele wieków wcześniej nie ma w sobie nic komicznego, chyba że jej twórca świadomie chciał ją taką uczynić. Prawdziwa muzyka, cokolwiek by o niej mówić, nigdy się nie starzeje.

Coraz więcej jest przypadków adaptowania wnętrza o pierwotnie zupełnie innym przeznaczeniu (stare stajnie, młyny, fabryczki, a nawet szpitale psychiatryczne) na pomieszczenia z powodzeniem służące życiu koncertowemu. Może dlatego, że doznań przeżytych w czasie koncertu nie zastąpi żadne nagranie, najdoskonalsze nawet i odtworzone na sprzęcie najwyższej klasy. Tajemnica obcowania z żywą muzyką, bycie świadkiem stawania się dźwięku, wyprawa w przestrzenie ulotne a niepowtarzalne – oto dającego najsłynniejsze sale koncertowe świata są natychmiast rozpoznawalną marką, tak silnie działającą na wyobraźnię.

Czy nie uruchamia jej Carnegie Hall w Nowym Jorku, a w Europie na przykład amsterdamska Concertgebouw? Gdy już znajdziesz się w takiej sali, pierwszą reakcją jest coś w rodzaju rozczarowania. Bo okazuje się, że sala jak sala – owszem piękna, ale podobnych na świecie jest wiele. Dopiero kiedy ożywa w niej muzyka, oczywiste się staje, czemu zawdzięcza swą legendę. Wszystko razem: wygląd, akustyka i opierająca się słowom atmosfera tworzą jej kompletną wersję.

10 Po dość neurotycznym przeżyciu, jakim okazał się dla orkiestry pierwszy program, z tym większym napięciem i nadzieją oczekiwaliśmy następnego. *III symfonię Es-dur op. 55* i *IV symfonię B-dur op. 60* miał poprowadzić znany dyrygent Kumys Makirzyje. Niektórzy z kolegów mieli już okazję z nim współpracować i obiecywali sporo emocji. I nie mylili się.

Maestro Makirzyje nie zawiódł oczekiwań. Pojawił się przed orkiestrą z rozwianym włosom i w barwnej koszuli i z miejsca przystąpił do pracy nad *Eroicą*. Przegraliśmy po kilkadziesiąt kluczowych taktów każdej z części, po czym dyrygent powiedział:

– Proszę państwa, bardzo państwu dziękuję, spotykamy się jutro!

Trzeba przyznać, że wywołał niezłe zamieszanie, jako że od początku próby upłynęło raptem pół godziny. Tłumaczyliśmy to chęcią racjonalnego gospodarowania siłami orkiestry, zresztą większość muzyków była zadowolona z dodatkowych godzin odpoczynku. Ale jak zwykle znaleźli się malkontenci; według nich mieliśmy do czynienia z karykaturą próby i należało to dyrygentowi uświadomić. A ten był zaskoczony; przyjechał prosto z Anglii, gdzie ekonomia z jednej, a profesjonalizm z drugiej strony nakazują do niezbędnego minimum ograniczać czas poświęcony na próby. Zwłaszcza w wypadku tak żelaznych pozycji symfonicznego repertuaru. Dyrygent nie musiał sobie jednak długo przypominać współpracy z jedną z najlepszych w swoim czasie orkiestr kameralnych świata. Następnego dnia wzięli się do morderczej pracy, cyzelując poszczególne frazy tak długo, aż... zaczęły świecić niezwykłym blaskiem. Dodatkowo zarządził próby sekcyjne po południu. Część muzyków znowu była niezadowolona (ta sama część co poprzednio), no, bo jak to, wczoraj skracamy, dzisiaj wydłużamy... Dyrekcja przystała jednak na propozycję dyrygenta.

Poprzez powszechne zmęczenie zaczęło przebijać się poczucie, że możemy zagrać niezwykle koncert. Bo dyrygent, w pozornym chaosie, wykonał jednak kawał dobrej roboty, zarażając swoim sterowanym lub spontanicznym szaleństwem większość muzyków. Gdzie przebiegała u niego granica naturalności i autokreacji, nigdy nie byłem w stanie określić. Na próbie generalnej w dniu koncertu dalej pracowaliśmy intensywnie; o krótkim, śródowym preludium wszyscy już dawno zapomnieli. Ukoronowaniem tej tytanicznej pracy był fenomenalny występ. Patos i emocje pierwszej symfonii romantycznej, jak zwykle się określał *Eroicę*, oraz będąca istnym pokazem wirtuozowskich możliwości orkiestry *IV symfonia* porwały publiczność.

Kumys Makirzyje nie oszczędzał orkiestry, ale nie oszczędzał również siebie; jeśli muzycy byli po koncercie mokrzy, to on wyglądał, jakby właśnie wynurzył się z morza muzyki – dosłownie i w przenośni. Mimo świadomości, że jutrzejszy ranek to znów ciężka próba z dwiema niełatwymi symfoniemi, zyskaliśmy nagle poczucie, że temperatura festiwalu podniosła się o parę stopni.

11 A może zamartwiałem się niepotrzebnie? Może instytucja orkiestry symfonicznej nie ma przyszłości lub wyśniona przeze mnie upiorna sytuacja stanie się rzeczywistością? Przedziwny sen aż domagał się wytłumaczenia.

Gdyby przyjąć bardzo pesymistyczny, budzący grozę wariant bazujący na orwellowskiej omnipotencji zwierchników, można by sobie wyobrazić elektroniczne czujniki sprawdzające w trakcie prób i koncertów liczbę fałszywych nut zagranych przez poszczególnych muzyków. W jeszcze bardziej szokującej odmianie –

każdy z takich dźwięków byłby natychmiast karany... lekkim impulsem elektrycznym lub odjęciem określonej kwoty z bankowego konta winowajcy.

Absurd? Abstrakcja?

Z pewnością.

Ale kamery w salach koncertowych to już standard. Czy nie jest to wcielanie w życie ideologii Wielkiego Brata? Tyle że kamery są dzisiaj wszędzie. Fundując sobie nieustanny postęp technologiczny, sami nie wiemy, kiedy stajemy się jego ofiarami.

Pulpity elektroniczne mogą stać się jedną z pozytywnych nowinek. Kształtem przypominając tradycyjne, nie będą jednak wymagały położenia na nich papierowych nut, same stanowią rodzaj ekranu. Wystarczy podłączyć komputer do centralnej biblioteki nutowej i na pulpitych pojawi się zamówiony utwór. Od tej pory każda uwaga robiona przez dyrygenta lub zmiana artykulacji zasugerowana przez koncertmistrza jednym dotknięciem wprowadzona zostanie na ekrany wszystkich muzyków. Znikną ołówki i gumki myszki... Jestem przekonany, że to rozwiązanie już dawno byłoby możliwe z technicznego punktu widzenia. Ale... no właśnie.

Komu tak bardzo chciałoby się inwestować w orkiestrę symfoniczną?

I tu dotykamy innego aspektu orkiestrowej przyszłości. Mogło się wydawać, że państwa, które osiągnęły względny dobrobyt materialny, nie będą miały większych problemów z utrzymywaniem dotowanych instytucji artystycznych, w tym orkiestr symfonicznych. Okazało się to tylko częściową prawdą. Nawet najbogatsze społeczeństwa nie są wolne od kryzysów ekonomicznych. A odpowiedź na pytanie: w jakim sektorze najłatwiej i z punktu widzenia społecznych kosztów (widzianych w krótkiej perspektywie) najbezpieczniej szukać rezerw finansowych, jest bardzo prosta: oczywiście w kulturze.

Zjawiskiem już zauważalnym jest łączenie zespołów symfonicznych; robienie jednej orkiestry z dwóch (tak reklamowany syndrom 2 in 1, niebezpiecznie dryfujący w kierunku all in one, może na dłuższą metę i dla innych sektorów okazać się zabójczy). Do czego może prowadzić taki proces w reakcji łańcuchowej – niestety sobie wyobrazić. Aby posłuchać dobrego koncertu, być może trzeba będzie przemierzać dziesiątki, jeśli nie setki kilometrów. Argumenty decydentów będą podobne: przecież wszędzie są osiągalne nagrania najlepszych orkiestr świata, podobnie jak możliwość uczestniczenia w życiu artystycznym za pomocą telewizji i internetu, oferujących praktycznie nieograniczony dostęp do wnętrza najsłynniejszych koncertowych sal i na deski najbardziej szacownych teatrów operowych.

Pieniądze na kulturę ciągle są, ale spora ich część pochodzi z kieszeni prywatnych.

Indywidualnym sponsorom – co naturalne – jest jednak łatwiej finansować przedsięwzięcia o charakterze jednorazowym aniżeli strukturalnym. Zaś orkiestra symfoniczna jest pod względem finansowych i organizacyjnych potrzeb o wiele bardziej wymagająca niż niejedna fabryka. A w dodatku nic nie produkuje...

Ale chwala prywatnym sponsorom. Gdyby nie oni, nasze życie kulturalne byłoby mniej kulturalne.

Wydaje się, że pozostanie pewna kategoria orkiestr niezagrożonych zmienną koniunkturą i pewnych swojego bytu. Dla przykładu: Berliner Filharmoniker, Filharmonia Narodowa, Koninklijk Concertgebouworkest czy The New York Philharmonic Orchestra...

Orkiestry pomniki.

Ale zdecydowana większość z nich, w cyklu ewolucji i przystosowań będzie musiała sobie wywalczyć przetrwanie. Wydaje się, że zmieni się ciężki, nieruchawy, zasiedziany model z przeszłości. Nowoczesna orkiestra musi stać się organizmem żywym, prężnym, elastycznym, mobilnym i – rzekłbym – transformalnym. Zdolnym wykreować z siebie odmienne składy i zestawy instrumentalne, tak aby w tym samym czasie dokonać kilku kameralnych desantów na miejsca pozbawione dużych sal koncertowych. Albo gdy jedna jej część przygotowuje program wczesnoklasyczny (a więc o ograniczonym składzie), pozostali muzycy zajęci będą nagraniami muzyki do filmów (żegnajcie, intratne chałtury...) lub akompaniowaniem baletowi klasycznemu. I tylko co pewien czas połączy wszystkie swoje siły w symfonicznej pełni.

Taka orkiestra wymagać będzie znakomitego, prężnego zarządzania, a przede wszystkim wszechstronnych, otwartych, pracowitych muzyków. Czyli nas.

Jeśli coś budzi mój niepokój, to możliwość wylania dziecka z kąpielą. Rozdrabnianie działalności, rozmywanie symfonicznego bytu w pogoni za udowodnieniem światu swojej przydatności może prędzej czy później odbić się na poziomie artystycznym.

Wielobyt przechodzący w niebyt...

Czy prawo Kopernika-Grishama (o gorszym pieniądzu, który wypiera z rynku lepszy) może mieć bardziej uniwersalne zastosowanie? Wydaje się, że tak. Wzrastająca liczba bytów zastępczych zdaje się to potwierdzać. Ta prawidłowość mogłaby dotknąć również orkiestry. A stąd byłby już tylko krok do uznania, że to, co było kiedyś wzniosłą sztuką, po latach prób i walk stało się ostatecznie okazjonalną chałturą.

Bo z kulturą jest jak z drzewem: bardzo łatwo je ściąć, ale, aby odrosło, tak samo wielkie i piękne, potrzeba lat, wielu, wielu lat...

12 Literatura orkiestrowa nie obfituje w wielkie fragmenty solowe dla altówki. Jest ich raptem kilka – choć słowo „wielkie” powinno tu być traktowane z umiarem. Należy do nich partia z poematu symfonicznego *Don Kichot* Richarda Straussa, gdzie altówka wciela się w rolę Sancho Pansy, partnerując wiolonczeli personifikującej głównego bohatera. Jest partia w operze *Arabella* tego samego kompozytora i dwa solowe fragmenty we francuskich baletach: *Giselle* Adolphe Adama i *Coppelia* Leo Delibes'a. Jak skromny jest na ogół ich charakter, obrazuje następujące zdarzenie.

W ramach ogrywania programu przed publicznością zagrałem kiedyś zaprzyjaźnionemu skrzypkowi fragment z *Coppelia*. Kiedy skończyłem, powiedział:

– No, czemu nie grasz? Zaczynaj...

Wiadomo, skrzypek, złośliwa bestia...

Ale rzeczywiście w stosunku do ich solowych popisów, na przykład w *Szeherazadzie* Mikołaja Rimskiego-Korsakowa, czy *Życiu bohatera* Richarda Straussa, nie jest to partia imponująca.

Wśród wymaganych na nadchodzącym egzaminie fragmentów orkiestrowych znajdował się solowy fragment z opery *Wolny strzelec* Karla Marii Webera.

Filharmonia Krakowicka chciała się widocznie przekonać, czy wyselekcjonowani do finału kandydaci mają potencjał do wykonywania takich partii, gdy zajdzie potrzeba nagłego zastępstwa – choć na pełnoprawne miejsce lidera-koncertmistrza grupy organizowane są zazwyczaj odrębne przesłuchania.

Ten króciutki fragment, a zwłaszcza tytuł opery, z której pochodził, wydał mi się nagle symbolem mojego miejsca na muzycznej i życiowej mapie.

13 Jak bardzo mogą różnić się od siebie – z pozoru identyczne – instrumenty. A instrumentalści?

Czy posiadają pewne łączące ich cechy? Do jakiego stopnia muzyk przejmuje cechy instrumentu, na którym gra, a w jakim wzbogaca jego brzmienie osobistymi przymiotami?

Zacznijmy od fletów. To prawdziwe primabaleriny orkiestry. Nos noszą przeważnie tak wysoko, jak wysoko brzmi ich instrument. Ale wystarczy posłuchać – na przykład – *Popołudnia Fauna* Debussy'ego, by im to wybaczyć. Ich mniejszy brat, flet piccolo, sprawdza wrażliwość ludzkiego ucha na ultradźwięki.

Oboista to ktoś w rodzaju koncertmistrza grupy instrumentów dętych. To on podaje dźwięk – la – do którego stroi się cała orkiestra. Pięknie brzmiący obój może poruszyć nawet skałę, dlatego wybaczcie oboiście jego nadwrażliwość.

A rozek angielski, zwany też obojem miłosnym? Czy nazwa nie mówi sama za siebie?

Gwarantuję, że każde solo tego instrumentu grozi potrzebą wyjmowania z kieszeni chusteczek higienicznych. Dialog oboju i rożka angielskiego z trzeciej części *Symfonii fantastycznej* Hectora Berlioz'a jest jak rozmowa zagubionych dusz.

Oto klarnet, instrument rubaszny i dobronczny – może się to przekładać na charakter muzyków – zwany popularnie kijem, chyba ze względu na prostotę brzmienia. Klasyczny klarnet nie wibruje; to domena klezmerów i jazzu. Ale posłuchajcie, jak figluje na początku *Dyla Sowizdrzała* Richarda Straussa lub wślizguje się w *Błękitną rapsodię* Gershwina, by zrozumieć, że nic po orkiestrze bez klarnetu. Klarnet piccolo to niezapomniana wiedźma z *Sabatu czarownic* – finału wspomnianej już *Symfonii fantastycznej*.

Kłania się fagot, naczelną satyryk orkiestry. Fagocista, człowiek z finezyjnie zarysowanym intelektem i ładnie wypukłym ego, zagra wszędzie tam, gdzie potrzebne jest brzmienie charakterystyczne, przechodzące w groteskę. Gdy jednak chcesz odkryć drugą część jego natury, posłuchaj, jak zaczyna się *VI symfonia h-moll, Patetyczna*, Piotra Czajkowskiego.

Jeśli zaś stęskniłeś się za dźwiękiem odkrzaczacza, posłuchaj kontrafagotu, czyli reprezentanta instrumentów ekstremalnych. Nie daj się zwieść posępnej naturze kontrafagocisty – to w gruncie rzeczy wesołek i żartowniś.

Trąbki. Ich niewymuszona elegancja natychmiast rzuca się w oczy. Bo trąbka to prawdziwy amant orkiestry: męski, zdecydowany. Dalekie mu są rozmazane rozterki obojów; on po prostu gra i zdobywa. A kto chce go posądzić o brak finezji, niech posłucha fragmentu *Obrazków z wystawy* Modesta Musorgskiego, części zatytułowanej *Samuel Goldenberg i Szmul*.

Waltornie, czyli rogi francuskie. To one dźwigają na swych barkach ciężar koncertu. Skisują czy nie? – myślą muzycy, gdy zbliża się waltorniowe solo. Jeśli tak, to nic się nie stało, bo to naprawdę trudny instrument. Lecz jeśli zagrają bezbłędnie – otwiera się niebo. Grany przez rogi chorał z drugiej części *Koncertu na orkiestrę* Beli Bartóka to ułamek chwili, który dotyka sfery nieziemskiej.

Puzony. Puzoniście nie wchodzi w drogę, jeśli nie musicz. A jeśli musicz, wejdź – to sympatyczny ludzkie. Jeśli czasem czegoś ci brakowało na koncercie, to znaczy, że w utworze nie było puzonów. Bez nich symfonie Mahlera brzmiałyby ubożej.

Tak samo zresztą jak bez tuby. To ciężka artyleria, ale bez niej się wojny nie wygrywa. Znów odwołam się do *Obrazków z wystawy* Modesta Musorgskiego. Ten fortepianowy utwór, genialnie zinstrumentowany przez Maurice'a Ravela, pokazuje kalejdoskop orkiestrowych brzmień. Puzony tworzą niezwykły klimat rzymskich katakumb, a tuba rozśpiewuje się w szerokiej, rwącej serce frazie ilustrującej przejazd drabiniastego wozu o skrzypiących kołach, ciągniętego przez parę wołów...

Warto wspomnieć o jeszcze jednym utworze, tym razem w całości autorstwa Maurice'a Ravela, stanowiącym kompendium wiedzy o barwach i możliwościach poszczególnych instrumentów. To *Bohero*, niekwestionowany superhit muzyki zwanej poważną.

Istnieje muzyczny przewodnik po orkiestrze symfonicznej: *The Young Person's Guide to the Orchestra*, którego twórcą jest Benjamin Britten. Zadanie utworu jest przede wszystkim dydaktyczne. Adresowany do młodego słuchacza, ukazuje interesujący, bo zastosowany w praktyce przekrój możliwości brzmieniowych orkiestry.

Aby poznać je w artystycznym apogeum, trzeba posłuchać wspomnianego już *Koncertu na orkiestrę* Beli Bartóka, arcydzieła szokującego niewiarygodnym potencjałem symfonicznego brzmienia w całym blasku.

I tak dojechaliśmy do perkusji. Uwaga, perkusista to jedyny poza dyrygentem człowiek w orkiestrze, który dysponuje pałką, a nawet dwiema. I wie, jak nimi uderzać! Oto rytmiczny motor orkiestry. Patrzy na orkiestrę nieco z góry i... tak mu już zostaje, ale dobrze, przyznajmy mu: jest przydatny (by nie rzec, niezbędny).

Harfa to wiatr, morze, szum lasu. Tak zwiewna i eteryczna jak harfistka trącająca jej struny.

Posłuchajcie *Szeherazydy* Rimskiego-Korsakowa, a wpadniecie w zachwyt. Harfistki są jednak przeważnie zajęte: a to zmianami pedałów w instrumencie, a to jego transportem, więc trudno z nimi pogadać.

Przejdźmy do instrumentów smyczkowych.

Czym flet dla grupy instrumentów dętych, tym pierwsze skrzypce dla kwintetu. Ich rola jest porównywalna, choć wydaje się, że skrzypce mają jednak więcej do grania. Ale jest ich też więcej, więc jakoś to się wyrównuje. Pierwsze skrzypce w orkiestrze to zbiór wirtuozów, którym z jakichś względów nie ułożyła się kariera solistyczna. Ale wysoki pułap ego pozostał. Jeśli jednak mówiliśmy tu już o niezbędności różnych instrumentów, to bez tej grupy nie sposób sobie nawet wyobrazić orkiestry. Po prostu nie istniałaby.

Drugie skrzypce to ci, którzy powinni grać w pierwszych, ale świadomie i dojrzałe wybrali drugie – dla zachowania równowagi i uniknięcia dysproporcji. W istocie więc ego drugich skrzypków jest o około pół tonu wyższe niż pierwszych.

O altówkach już mówiłem. Dla jednych (czyli wszystkich) chłopiec do bicia, dla innych (czyli altowiolistów) serce orkiestry, jej oddech, jej utajony, ale wyczuwalny puls, jej, jeśli już nie kwint-, to przynajmniej kwartesencja.

Wiolonczele to takie duże pierwsze skrzypce. Wiolonczeliści, od dzieciństwa narażeni na zaczepki współpasażerów w środkach masowego przekazu, wyrabiają w sobie hart i odporność oraz siłę (nie tylko ducha) – i tymi cechami wzbogacają orkiestrę. A także aksamitnym dźwiękiem.

Pewien znany wiolonczelista (z instrumentem), atakowany w zatłoczonym autobusie przez nieprzyjazną niewiastę, przytomnie odparł:

– Dla pani przyjemności nie będę grał na okarynie.

To nie był koniec rozmowy. Nieprzyjazna niewiasta zasugerowała, w którą partię ciała wiolonczelista może ją ewentualnie pocałować. Ten zaś niezrażony zapytał:

– Czy to aby czas i miejsce na takie karesy?

Kontrabas w końcu. Prawdziwy dźwiękowy fundament orkiestry. (Na pytanie, skąd fascynacja paniami o pysznie puszystych nogach, jeden z basistów zwykł odpowiadać: bo lubię solidne podstawy). Porównania z gehenną ich dzieciństwa nie wytrzymują nawet zdesperowane wiolonczele. Dlatego basiści trzymają się zazwyczaj w swoim gronie, skłonni sądzić, że nikt poza nimi samymi ich nie zrozumie. Ze szczególnych osiągnięć dźwiękowych polecam początek fugata w *Scherzo z V symfonii* Beethovena. Skojarzenie z przesuwanymi szafami nasuwa się samo. A mówiąc poważnie: bez z któregośkolwiek z opisanych instrumentów nie byłoby orkiestry symfonicznej. Świat byłby uboższy.

14 Trzeci koncert festiwalu miał prowadzić Tygrys Rydojeskin, przedstawiciel jednej z klasycznych szkół batuty. Zupełnie odporny na nowe prądy interpretacyjne wyrażał się o nich z pobłażaniem.

– Czy wolą państwo potrawę z sosem czy suchą? – sformułował retoryczne pytanie, które miało rozstrzygnąć dylemat: jak należy grać Beethovena: z wibracją czy bez niej.

Ktoś próbował nieśmiało odpowiedzieć, że to zależy od potrawy. Rydojeskin przygwoździł oponenta ironicznym spojrzeniem i dodał:

– Ale wódki bezalkoholowej pan nie lubi? Bo ja nie.

I w ten sposób rozstrzygał pojedynek stylów interpretacyjnych.

Niemniej dla wszystkich było oczywiste, że mamy do czynienia z wysokiej klasy fachowcem, który po prostu wie, co i jak należy robić, aby dobrze przygotować orkiestrę. Jego koncepcja utworów, oparta na dobrze pojętej tradycji, przekonywała. Pracując z nim, po raz kolejny dochodziłem do wniosku, że dobry dyrygent ufa muzykom. Bo sam jest muzykiem.

V symfonia c-moll op. 67 to prawdziwy hit sal koncertowych. Jej pierwsza część do zniesmaczenia przerabiana na potrzeby muzyki lekkiej, łatwej i przyjemnej (sformułowanie bardziej kojarzące się z „panienką” niż ze sztuką, choć słowo „sztuka” bywa również synonimem panienci, o dziwo...), a zwłaszcza otwierający ją motyw losu, to bez wątpienia jeden z najbardziej rozpoznawalnych evergreenów muzycznych. Potężny ładunek emocjonalny utworu plus pogodny charakter kolejnego symfonicznego dzieła – *VI symfonii F-dur* op. 68 Pastoralnej, znanej też jako pierwsza w historii symfonia programowa (z dźwiękową ilustracją sielskiej wsi, jej życia, zabaw, piękna, a nawet burzy i tęczy) – złożyły się na fantastyczny koncert. Tygrys Rydojeskin dysponował nienaganną techniką dyrygencką. W trakcie koncertu emanował spokojem dającym orkiestrze poczucie bezpieczeństwa; to trochę tak, jak jechać autobusem prowadzonym przez wytrawnego kierowcę (różnicę docenią ci, którzy zaznali męki podróżowania z kiepskim szoferem). Z harmonijnej współpracy orkiestra – dyrygent powstał solidny koncert, pozbawiony może pewnej nieobliczalności, ale pozwalający muzykom bez reszty oddać się przyjemności grania. Rydojeskin panował nad muzyką i orkiestrą. A to znaczy, że... był dyrygentem z prawdziwego zdarzenia. Do tego stopnia, że niekiedy odnosiłem wrażenie, jakby rutyna brała górę nad artryzmem. Jeśli jednak było to rzemiosło, to bez wątpienia najwyższej próby.

Phipher-Legwie, Makirzyje, Rydojeskin, Terwal i Rucacelli. To była wielka piątka festiwalu. Ale to orkiestra wypełniła jego ramy, to orkiestra była wykonawczynią wszystkich pięciu koncertów, to ona stworzyła dyrygentom możliwość zaistnienia. A że swoją maestrią przyczynili się do jego poziomu i artystycznej intensywności, tego nikt im nie może (i nie zamierza) odebrać.

15 Europejska muzyka, tak jak i kultura w ogóle wywodzi się z dwóch pni: sacrum i profanum.

Początki chorału gregoriańskiego sięgają VIII wieku naszej ery, a jego nazwa ma związek z imieniem papieża Grzegorza Wielkiego, któremu błędnie przypisywano wprowadzenie go do liturgii kościelnej. Chorał nie wzięął się jednak znikąd. Tak jak religie są bardziej kontynuacją niż rewolucją, czerpiąc pełną garścią z kultów poprzedzających – tak i chorał gregoriański był adaptacją i rozwinięciem śpiewów, między innymi synagogałnego, syryjskiego, bizantyjskiego i greckiego. Prócz posiadania czysto muzycznych walorów torował drogę nowoczesnemu zapisowi nutowemu i solmizacji (nie miała w tym zasługa żyjącego na przełomie X i XI wieku teoretyka i kompozytora Gwidona z Arezzo) – do dzisiaj stosowanej metodzie nauki śpiewu. Przypomniałem sobie, skąd pochodzą nazwy dźwięków: ut, re, mi, fa, sol, la – to początkowe zgłoski wierszy hymnu na cześć świętego Jana.

Czy zdajemy sobie sprawę, że wiele melodii będących i współcześnie częścią kościelnego obrządku, choć przeważnie włączanych przez organistów w bezpieczny dla ucha system dur-mol, zawiera elementy autentycznych gregoriańskich śpiewów? Czy istnieje inna, równie stara muzyka, będąca nieprzerwanie w powszechnym użyciu?

16 Prowansalski poeta – muzyk, liryk i piewca miłości, który swoje pieśni zaczął tworzyć i śpiewać gdzieś około roku 1100. Przypomniał mi się jeden z nich: Raimbaut de Vaqueiras i jego wesoła pieśń o majowych świętach: *Kalenda maya*. Jego kontynuatorem stał się we Francji truver, a na terenie germańskim – minnesinger.

17 Kompozytor był zapalonym tatarnikiem. Swoją pasję przypłacił życiem, ginąc pod lawiną na zboczach Małego Kościelca 8 lutego 1909 roku.

18 Nieraz zastanawiałem się – co tam ja? myślały nad tym rzesze badaczy i historyków – jaki był w istocie sens tajemniczej inskrypcji, którą Beethoven opatrzył swój łabędzi śpiew. Sam kompozytor tłumaczył ją trudnościami z napisaniem finału ostatniego kwartetu i naciskami ze strony wydawcy. Niektórzy odczytywali je jako akceptację głuchoty, choroby – najnowsze badania wykazały, że była to ołowica – czy zbliżającej się śmierci. Cokolwiek by znaczyły, słowa geniusza można interpretować bez końca, tak jak jego muzykę.

19 Pod koniec siedemnastego wieku, uchodząc przed prześladowaniami religijnymi w swoim kraju, ucieka i osiedla się w Estonii – Eston czujnie nadstawił ucha – stara, hugenocka rodzina. Tutaj, w Parnawie, rodzi się jej kolejny potomek o imieniu Gustaw, który w tysiąc osiemset czterdziestym drugim roku przenosi się z rodziną do Sankt Petersburga, by przy ulicy Bolszaja Morskaja otworzyć pracownię jubilerską. Tam też w tysiąc osiemset czterdziestym szóstym roku przychodzi na świat syn Gustawa, Peter Carl. Do osiemnastego roku życia chłopiec przesiąka atmosferą i podstawami fachu w domu rodzinnym; ani przez moment nie ma wątpliwości, że jubilerstwo będzie jego zawodem. Przez kolejne dziesięć lat jeździ po Europie, studiuje i zapoznaje się ze wszystkim, co najlepsze i najciekawsze, w technikach i stylach złotniczych starego kontynentu. W przyszłości, sięgając po niektóre spośród nich, w powszechnej opinii zapomniane, wzbogaci techniki współczesne, tworząc prawdziwe dzieła sztuki, zachwycające detalem i perfekcją wykonania.

W roku tysiąc osiemset siedemdziesiątym wraca do Rosji, by przejąć po ojcu rodzinną firmę jubilerską. Pod jego kierownictwem rozrasta się ona z interesu rodzinnego w duże przedsiębiorstwo. Ale Peter Carl nie jest biznesmenem. Jubilerstwo pozostaje jego prawdziwą i najważniejszą pasją. Mimo że zatrudnia grono znakomitych złotników, to właśnie on pozostaje głównym projektantem i technologiemi na flagowym okręcie swojej firmy. Jest wybornym rzemieślnikiem. Ale też artystą. Artystą, jakich mało.